

Pięć melonów na rękę

Edmund Niziurski



calibre 0.9.27

Edmund Niziurski

Pięć melonów na rękę

Rozdział I

Czemu ścigał mnie gang braci Ryps? "Dzisiaj nie będzie obiadu".

Moje występy w Szulerni. Daremne kłamstwa, Mariusz i Dariusz wiedzą wszystko. Człowiek sukcesu? To na pewno nie tato. Am witamina. Boję się szerszeni pod mostem.

Było to w czasach, gdy jajko kosztowało tysiąc, a kilogram szynki sto tysięcy, portfele pęczniały od banknotów i wszyscy byli milionerami... no, prawie wszyscy, ja w każdym razie nie byłem. Tego dnia trochę wcześniej niż zwykle (bo w szkole nie było matmy) stałem przed wystawą sklepu sportowego Bucholca i pożądliwie wlepiąłem oczy w czarne tyżworolki, dręczący mnie od miesięcy, niedościgły przedmiot moich marzeń. I tym razem nie mogłem się oprzeć pokusie. Wlazłem do środka i kazałem sobie podać numer czterdzieści dwa do przymiarki, choć wiedziałem, że nie będzie mnie stać na kupno, ani jutro, ani za miesiąc, ani w dającej się przewidzieć przyszłości, zwłaszcza po tym, co nas ostatnio spotkało.

Ekspedientka niechętnie podała mi pudełko. Musiała zapamiętać, że kiepski ze mnie klient. Oglądałem właśnie moją lewą nogę uzbrojoną w rolki, gdy usłyszałem znajome głosy, zachryple i kogucie, a jeden jakby barani. Zerknąłem niespokojnie w stronę okna. Tak, nie omyliłem się, to byli oni! Darek i Mariusz bracia Ryps oraz ich paczka: ten atleta Ryszard Grążel (głos barani), obok niego niezwykle skuteczny adept

walk dalekowschodnich, szczupły Picio Kozłowski zwany Igielką i jeszcze słoniowaty Eryk Knąber, czyli Elefant (głosy kogucie), a także gruby Kluch, którego brali z sobą chyba tylko po to, by bawić się jego kosztem (jak się naprawdę nazywał, nie wiedziałem).

Od paru dni miałem na karku tę niebezpieczną szajkę. Wkładali nadspodziewanie dużo wysiłku, żeby mnie dopaść i ...rozliczyć. Musieli pewnie wytropić, że wracam tędy z budy, no i postanowili zacząć się tutaj. Ale ja z pewnych zasadniczych powodów nie miałem najmniejszej ochoty z nimi się spotkać, rzuciłem więc buty z rolkami i na wszelki wypadek schowałem się za rzędem pstrokatych kurtek w stoisku z odzieżą sportową. Żywiłem nadzieję, że nie wejdą do sklepu, ale oni po krótkiej dyskusji weszli.

No, to będzie cyrk i jaja – pomyślałem i nie pomyliłem się. Zaraz zaczęli na oczach bezradnych ekspedientek przewracać sklep do góry nogami, rzucać piłkami, pojedynkować się kijami golfowymi, zakładać rękawice bokserskie i boksować, przymierzać kaski motocyklowe i walić się po łbach rakietami. A żeby było śmieszniej, małemu Kluchowi zamiast kasku wsadzili na głowę pękaty kociołek biwakowy. Biedak nie mógł go potem zdjąć i skarżył się płaczliwie:

– No i coście zrobili! Ściągnijcie mi to teraz, świry! Zawsze musicie mi coś zrobić!

– Zaraz, mały! Zabawimy się w ciuciubabkę! – śmiejąc się wciskali mu naczynie jeszcze głębiej na oczy.

– Rany, co wy... Nic nie widzę! – ogłupiały Kluch z wyciągniętymi

rękami jak ślepiec obijał się o manekiny popychany to w jedną to w drugą stronę przez rozochoconych łobuzów, którzy zarykiwali się z ubawu.

Dopiero zaalarmowany kierownik Bucholc z dwoma uzbrojonymi ochroniarzami położył kres tym wulgarnym wybrykom. Kazał bandzie wynosić się ze sklepu, ale przedtem odstawić towar na półki, co w przypadku kociołka biwakowego okazało się niewykonalne, ponieważ nie chciał Kluchowi zejść z głowy.

– To dlatego, że on ma odstające uszy – orzekł Mariusz.

– I źle uformowaną czaszkę – dodał Dariusz. – Biegnij po masło – krzyknął do Igielki. – Trzeba szczyłowi nasmarować małżowiny.

– Lepiej olejem sojowym – radził flegmatycznie Elefant.

– Najlepiej żelem FA! Tylko żelem FA! – przekonywał Grązel. – Żel FA jest najbardziej śliski!

– E, szkoda żelu – powiedział Mariusz. – Wystarczy namydlić małego mydłem. Przy okazji umyjemy mu brudne uszy.

– Prędeej, bydlaki – niecierpliwił się Kluch – duszno mi, łeb mi pęka, róbcie coś! – bulgotał. – Tak mnie urządzić, śmierdziele!... Żeby was pokręciło, zawsze musicie mi coś zrobić.

– Wszystko dlatego, że masz nietypową czaszkę – tłumaczył Dariusz.

– Kto widział mieć łeb w kształcie gruszki!

– Najdusy, gnojone chmyzy! – pieniał się Kluch.

– Przestań bluzgać – straszył go Mariusz. – Jak będziesz za dużo

mówić, to spuchniesz, a wtedy już w ogóle nie da się tego ściągnąć i

trzeba będzie uciąć ci głowę.

Kluch umilkł przerażony taką perspektywą.

– A ty tu czego się czaisz? – usłyszałem za sobą męski głos. Ktoś złapał mnie za kołnierz. Łypnąłem przez ramię. Zobaczyłem gniewne, nabiegłe krwią oczy. To kierownik sklepu, Bucholc!

Spłoszony wyrwałem się gwałtownie i skoczyłem do wyjścia.

Rozpędzony jak byk na korridzie pchnąłem po drodze ciężkiego Elefanta. Zwalił się na Igielkę, Igielka na Grążela, Grążel na braci Ryps!

Co za fuks! Sam byłem zaskoczony, że mi się tak udało! A żeby galimatias był większy, rzuciłem im jeszcze pod nogi manekin w dżokejce. Już w drzwiach zerknąłem za siebie i z satysfakcją stwierdziłem, że cała hultajska piątka leży.

Niemniej moja sytuacja była nie do pozazdroszczenia, bo wszyscy błyskawicznie poderwali się rozjuszeni i dysząc zemstą pognali za mną z dzikim wrzaskiem:

– Mucha, stój! Zatrzymaj się, ty gnojku! Łapać Muchę!

Nieszczęsny Kluch, wciąż z kociołkiem na głowie, też jakimś cudem wy dostał się na ulicę i zataczając się belkotał płaczliwie:

– Gdzie jesteście, parszywcy! Nie zostawiajcie mnie, dranie...

Ale bracia Ryps nawet się nie obejrżeli i na czele swojej bandy sadzili za mną wielkimi susami zmniejszając za każdym krokiem dystans...

Czułem, że nie wytrzymam długo. Byłem słaby, od paru dni nie zjadłem porządnego posiłku, dziś wsunąłem tylko śliwki w occie (nic innego nie znalazłem już w spiżarce) i zagryzłem resztką

przedwczorajszej bułki. Ten bieg uświadomił mi, jak bardzo straciłem kondycję.

Tydzień temu mama powiedziała:

– Przykro mi, Witku, dzisiaj nie będzie obiadu!

Nie rozumiiałem w pierwszej chwili.

– Nie szkodzi – odparłem – możemy zjeść coś u "Króla".

"Król" to była nowa, elegancka restauracja na sąsiedniej ulicy.

– Obawiam się, że nie stać nas na to – oświadczyła zakłopotana mama.

– Jak to nie stać, mamo?!

– Tata nie wrócił, znów nie wiadomo, gdzie się podziewa, a mnie skończyły się pieniądze.

– Pożycz!

– Pożyczam już od miesięcy... obawiam się, że nikt nam już więcej nie pożyczy, a nie chcę sprzedawać rzeczy, to już byłoby dno.

– A wuj Karol?

– Wyjechał do Frankfurtu.

– A ciotka Trafek-Trońska?

– Od ciotki Trafek nikt jeszcze nie wydusił ani grosza.

– Mamo, to co zrobimy! – wykrzyknąłem.

– Nie wiem, spróbuję znaleźć jakąś pracę.

Przygryzłem wargi. Nie wierzyłem, żeby jej się udało. Nie miała ani referencji, ani wykształcenia, ani żadnej praktyki... I zdjął mnie strach.

Nigdy dotąd przez głowę mi nie przeszło, iż może nadejść taki dzień, że

będę głodny i nie dostanę obiadu.

Tego dnia uprzytomniłem sobie ze zgrozą, że nie mogę już liczyć na moich starych i że to ja, ja sam, muszę teraz zatroszczyć się o mamę i o siebie. I kiedy główkowałem, jak zdobyć trochę pieniędzy przypominałem sobie, co mi dawno powiedział Wojtuś Pycek.

Graliśmy na ławce w parku w pokera i kiedy ograłem go po raz trzeci z rzędu, łobuz zamruczał z podziwem:

– Ty, Mucha, mógłbyś śmiało zmierzyć się z braćmi Ryps w Szulerni.

Po godzinie wyszedłbyś z melonem w kieszonce.

Szulernią nazywaliśmy zaciszne miejsce w nadbrzeżnych zaroślach pod pierwszym i jedynym ocalałym przęsłem starego mostu na Pilicy.

Miało ono fatalną opinię, porządni ludzie omijali z daleka ten zakątek.

Panowało ogólne przekonanie, że to melina najgorszych mętów i szumowin naszego niezbyt bogobojnego miasteczka, siedlisko wszelkiego zepsucia, co było po części prawdą, lecz odkąd teren ten opanował gang braci Ryps, zaszły tam widoczne zmiany, pytanie tylko, czy na lepsze.

Pomysłowi bracia urządzili pod mostem, jak to ładnie określili, ośrodek relaksu. W rzeczywistości rznąli tam w karty, głównie w pokera, obrabiając młodszych kolegów z budy. Nazywało się to strzyżeniem baranów. Zarobili wtedy na nowe przezwisko. Nazywano ich klasykami, bo młodocianych amatorów hazardu załatwiali klasycznym sposobem. Najpierw pozwalali im wygrywać i zarazić się gorączką hazardzistów, a potem, rozochoconych, "strzygli" do

ostatniego grosza, wyciągając od nich nie tylko kieszonkowe i wszystkie oszczędności, ale także co cenniejsze fanty: zegarki, kasety, medaliki, łańcuszki...

Ale kto nie tracił głowy, nie dawał się ponieść emocjom i umiał w porę wycofać się z gry, ten mógł podobno zarobić tu sporo forsy.

– Dobra, stary – powiedziałem do Pycka – ale wiesz, że nie śmierdę groszem. Skąd wezmę forszę na początek?

– Zablefuj – odparł bez wahania. – Oni wiedzą, że Karol Mantyka, ten handlowiec z mercedesem, to twój wuj. Możesz śmiało udać, że pomagasz mu w interesach i jesteś dobrze nadziany. Wystarczy, jak włożysz coś do puli na początek i zablefujesz, a potem już będziesz operował tym, co wygrasz.

Zastawiłem więc w lombardzie u Szyjki medalik, pamiątkę po pierwszej komunii i z bijącym mocno sercem udałem się do Szulerni.

Karta szła mi nadzwyczajnie. "Karety" i "fulle" pchały mi się w łapy, podczas gdy moi partnerzy dostawali do ręki lub dokupywali same

śmieci. Tego popołudnia zarobiłem trzysta patyków z hakiem, a

nazajutrz jeszcze więcej i ...rozbyczyłem się na całego. Zacząłem

zagrywać coraz bardziej bezczelnie i ryzykownie podbijałem stawki.

Chyba uwierzyłem, że szczęście w kartach kupiłem sobie na stałe. A

potem ta decydująca rozgrywka, którą będę pamiętał do śmierci...

W "banku", na skrzynce po cytrusach piętrzył się ładny stosik

banknotów. Bracia Ryps przestali się nagle uśmiechać. Dariusz

westchnął i powiedział:

– No, to, Mucho, czas na lep!

– Skończ jak każdy kiepski kiep! – dodał Mariusz.

I wtedy coś się z moim szczęściem pokręciło. Niespodziewanie w rękach Dariusza znalazł się full, ja miałem tylko trójkę waletów.

Przegrałem wszystko, a potem już się potoczyło klasycznym torem.

Żeby się odegrać przystępowałem do kolejnej gry blefując ordynarnie, rzecz jasna przegrywałem, – bracia Ryps po mistrzowsku robili mnie w konia, a wówczas znów chciałem się odegrać i tak w kółko, aż splukałem się do ostatniej nitki. Mało mi było tego. Zamiast się opamiętać bezwstydnie poprosiłem braci o kredyt. Zgodzili się łatwo. Wiedziałem, że ta partyjka, to dla mnie ostatnia szansa. Postanowiłem pozbyć się reszty skrupułów i szachrować teraz na całego, ale oni okazali się lepszymi szachrajami, zresztą było ich dwu.

Tak, to byli dużej klasy klasycy i klasycznie mnie załatwili. W rezultacie pod koniec dnia byłem im winien całego melona z pestkami, co musiałem poświadczyć własnym podpisem na kawałku papieru. Dali mi termin trzydniowy na uregulowanie długu i zagrozili, że będę miał tragiczny wypadek po drodze do szkoły, jeśli nie dotrzymam terminu.

Przez całe trzy dni myślałem, skąd wytrzasnąć tego melona, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Liczyłem już tylko na jakiś cud, ewentualnie na powrót nadzianego taty (tata nie wraca, ranki i wieczory...), ale to też równało się z cudem.

Więc nawet nie zdziwiłem się zbytnio, gdy nazajutrz po upływie terminu znalazłem w skrzynce na listy kartkę z trupią główką i

piszczelami oraz z następującym tekstem:

Oj, nieładnie, Mucho, niehonorowo! Termin minął, a ty co? Ani mru-mru ani kukuryku! Przykro nam, ale musimy rozpocząć procedurę egzekucyjną. Masz zgłosić się natychmiast do Sz., inaczej znajdziesz się na liście do likwidacji.

Oczywiście nie miałem zamiaru się zgłaszać. Bałem się, że nie wyjdę z Szulerni żywy. Moje położenie było rozpaczliwe. Wiedziałem, że mi nie przepuszczą i żyłem w permanentnym strachu. Z domu wychodziłem przez okno spuszczać się po linie piorunochronu na podwórko, stamtąd przez płot przelażłem na skwer Piastów i bocznymi uliczkami pędziłem do szkoły. Tu czułem się stosunkowo bezpiecznie, natomiast bałem się powrotu. Czułem, że czają się gdzieś na mnie i odważyłem się wyjść z budy dopiero dwie godziny po lekcjach i daleką, okrężną drogą przez zgiełkliwą ulicę Radomską przemykałem się do chaty.

Niestety, ta zabawa nie mogła trwać długo. W końcu musieli mnie wytropić, no i wytropili, że po drodze ze szkoły wstępuję do sklepu sportowego Bucholca. Dziś też mnie licho skusiło, żeby wstąpić, a teraz siedzą mi na karku i chyba już nie odsadzę się od nich.

Czując, że słabnę, resztką sił skręciłem na plac targowy przy Andersa i lawirując między straganami próbowałem zmylić tropy. Na razie los mi sprzyjał. Grążel i Igielka byli tuż tuż, ale zawadzili o stół z piramidą wielkich arbużów, arbuzy jak bomby rozleciały się po ziemi i na chwilę powstrzymały pogoń. Niestety wciąż byłem w opałach, bo od strony stoiska rybnego próbowali zabiec mi drogę bracia Ryps. Nie

namyślając się wiele wywalilem im pod nogi tacę ze śniętymi karpami. Warto było popatrzeć, jak z przerażeniem wpadają w poślizg... A jednak nie przewrócili się. Jako wytrawni łyżwiarze na medal dali sobie radę z tą nieoczekiwaną przeszkodą. Rutyna im pomogła... zakodowane obronne odruchy! Natychmiast obniżyli środek ciężkości i przybrali dla zachowania równowagi optymalną w tych warunkach pozycję. Ale nadbiegający za nimi Elefant już nie zdążył wyhamować z powodu zbyt dużej wagi ciała i z piskliwym okrzykiem grozy przejechał się na rybach jak na rolkach aż do stoiska mleczarskiego, a tam całą masą swojego stukilowego cielska wbił się w stertę jogurtów, kefirów, śmietanki, tudzież kolorowych kremów. Wszystkie apetyczne danony i bakomy rozprysły się po osłupiałych sprzedawcach i klientach, a na moje szczęście także po ogłupiałych Rypsiakach.

Zanim, oślepieni, przyszli do siebie, zyskałem nad nimi kilka sekund przewagi. Miałem nadzieję, że dadzą za wygraną i odczepią się ode mnie, ale oni byli zażarci. Upačkani jak klowni na biało i różowo pozbierali się szybko i na nowo podjęli pościg nawet nie ocierając pysków.

Teraz pozostała mi już tylko jedna szansa... Znaleźć się jak najprędzej w parku na skarpie i tam zaszyć jak ścigane zwierzę w gęstwinie krzaków. Ale czy zdążę?

Na trawniku, obrócony do mnie tyłem, ogrodnik z wężem w ręku rozmawiał z muskularnym inwalidą o bujnej czuprynie, który siedział w wózku. Od razu wiedziałem, co zrobię. Wyrwałem ogrodnikowi z rąk

sikawkę i skierowałem mocny strumień wody prosto w zbliżających się Rypsiaków. Najpierw w grubego Elefanta. Nie wytrzymał i czmychnął, potem załatwiłem w ten sam sposób Igielkę. Zajadłość we mnie wstąpiła. Już zacząłem wierzyć, że się obronię, ale szczęście niespodziewanie odwróciło się ode mnie. Szprycowałem właśnie dość skutecznie obu braci całą siłą sześciu atmosfer ciśnienia, gdy nagle wąż zakrzuszył się i zwiotczał, a bystry strumień załamał się żałośnie.

Zrozumiałem – nagły spadek ciśnienia, typowa dolegliwość naszych biednych dłubkowskich wodociągów.

Sprawy potoczyły się teraz fatalnie. Ogrodnik wyszedł z chwilowego osłupienia, rozzłoszczony wyrwał mi sflaczałego węża i zaczął mnie nim okładać bezlitośnie; odskoczyłem w bok, ale tak nieszczęśliwie, że prosto w łapy tego kudłacza na inwalidzkim wózku. Typ ścisnął mnie stalowym chwytem i przydusił. Miał potworną siłę w rękach (inwalidzi na wózkach często mają).

– Co pan wyrabia! – wykrztusiłem. – Niech pan mnie puści! Gonią mnie! Cała banda! To źli chłopcy.

On jednak ani myślał mnie puścić.

– Znasz tego gnojka? – zapytał ogrodnika. – Gdzieś go chyba widziałem.

– To mój młodszy brat – rozległ się głos Darka Rypsa. Zdyszany ocierał mokrą twarz. – Świetnie, że pan go przytrzymał. Jest psychicznie chory. Stale ucieka z domu i rozrabia w mieście. Gdy dostaje ataku, bywa niebezpieczny. Ciężko poranił już paru ludzi. Jutro

odwozimy go do czubków. Dziękujemy za pomoc... to był wspaniały

chwyt! Tylko pozazdrościć takiej krzepy w rękach!

– Niech pan nie słucha, to kłamstwa! – bełkotałem rozpaczliwie, ale

wątpię, czy inwalida mnie zrozumiał. Mile pochlebiony komplementami

bez wahania oddał mnie w ręce braci Ryps, którzy zaraz obezwładnili

mnie fachowo i wierzgającego bezradnie jak cielę zaciągnęli na ławkę w

kącie ogrodu.

Byłem przygotowany na najgorsze. Wiedziałem, że znęcają się

bestialsko nad swoimi ofiarami, już na wstępie częstując pojmanyh

jeńców nadzwyczaj bolesnym ciosem w żołądek. Pewien, że mnie też to

spotka, napiąłem obronnie mięśnie brzucha, by złagodzić skutki ciosu,

ale, o dziwo, ciosu nie było, ani tortur, w ogóle nic z tych rzeczy.

– Czemu uciekałeś jak głupi zając – zapytał Mariusz.

– Nerwowy jestem – bąknąłem.

– Bałeś się nas? Nieczyste sumienie, co Mucha?

– Nie mam jeszcze tej forsy, ale jutro... przysięgam...

– Jutro będzie jutro. Masz nas za głupków? Od początku

wiedzieliśmy, że chcesz nas zrobić w konia. Wymyśliłeś sobie, że

obłowisz się u nas zgrywając się na Wielkiego Szu i ciągnąc zyski ze

strzyżenia baranów. A naprawdę to taki z ciebie szuler, jak ze mnie

karmelita bosy. Nie masz zielonego pojęcia o szulerce, a gdybyś nawet

miał, to też zdałoby się psu na budę, bo jesteś mięczak i rozklejasz się na

widok płaczącego barana. Krótko mówiąc blagier z ciebie, Mucha, a my

bardzo nie lubimy blagierów, prawda, Darek?

– Oj, nie lubimy! – potwierdził Dariusz.

– Zwłaszcza, gdy próbuje nas zwodzić taki gnojek, takie walutowe zero, taki finansowy trup jak ty!

– Ja, finansowy trup! – oburzyłem się – owszem mieliśmy w domu chwilowy kłopot z gotówką, bo ojca zatrzymały interesy... ale już dzwonił, że wraca... dziś, najdalej jutro, dostanę zaległe kieszonkowe, pięć i pół melona i spłacę dług pod hajrem! Z nowym wozem wraca. Zarobił dwanaście miliardów na komputerach z Tajwanu, co zrobiły furorę na rynku... – blagowałem bez zająknięcia, ale oni nie kupili tej gadki.

– Ty, ty, czaruś, daruj sobie – zaśmiali mi się w twarz – to są bajeczki, które sam sobie opowiadasz przed snem. Prawda jest taka, że twój stary kładzie każde przedsięwzięcie, zawala każda transakcję, nic jeszcze mu nigdy w życiu nie wyszło i nie wyjdzie! To kompletny nieudacznik, noga do interesów. Wszyscy to mówią! Narobił tylko niebosiężnych długów, samemu Szyjce winien jest miliard z okładem! O, bo naciągać na pożyczki to on umiał. Nabral nawet Karola Mantykę.

– No, no, licz się ze słowami! – warknąłem. – Mój tata nikogo nie naciągnął.

– Owszem, to znana sprawa, namówił swojego szwagra na jakiś księżycowy interes, który okazał się wielką plajtą, a teraz, biedak, ukrywa się przed wierzycielami.

– Wcale się nie ukrywa. Byłby wrócił już wcześniej, ale niespodziewanie musiał przeprowadzić ważne rozmowy z koncernem

Daewoo.

– No proszę, tak ci powiedział? Biedak, zgrywa się na człowieka sukcesu, ale zapytaj go jak wróci, co się stało z majątkiem twojej matki.

Niech ci opowie, jak go zmarnował na nieudane przedsięwzięcia...

– Nieprawda! Niczego nie zmarnował. Mama ma wciąż sto dziesięć działek budowlanych w Radomiu Firleju, tak jak miała...

– Co ty powiesz, sto dziesięć działek!

– Żebyś wiedział i na największej firma "Plaza" chce postawić hotel na dwadzieścia kondygnacji... Mama właśnie wyjechała do Radomia przeprowadzić pertraktacje.

Bracia Ryps parsknęli śmiechem.

– Ty, Mucha, masz wyobraźnię, niech cię lichy! Powieści mógłbyś pisać! – powiedział Dariusz. – A co do twojej mamy, to owszem wyjechała, ale ambulansem do szpitala, po tym jak zaśląbla na ulicy pod pocztą. To twój stary wpędził ją w chorobę, wszyscy mówią. To smutne, ale jesteście na dnie, Mucha...

– Wuj Karol...

– Wuj Karol też ci nie pomoże – przerwał mi ostro Mariusz. –

Podobno nakrył cię, jak majstrowałeś przy jego komputerze i nie masz już prawa wstępu do jego domu.

Zaczerwieniłem się i przygryzłem upokorzony wargi. Dranie, wszystko o nas wiedzieli, o mnie, o rodzicach, nawet o wuju i nie mylili się, byliśmy na dnie. A tata, zamiast skończyć z aferami i wyjść wreszcie na prostą, popisał się ostatnio nowym zagraniam. Pięć dni temu, gdy

wróciłem ze szkoły, stanąłem w progu osłupiały. W mieszkaniu panował rozgardiasz, jakby przeszedł przez nie huragan. Porozrzucane rzeczy, pootwierane szafy, powyciągane szuflady. Od razu domyśliłem się, czyja to sprawka. Zniknęło radio, zniknął telewizor, aparat fotograficzny, magnetofon z odtwarzaczem, a nawet mikser z kuchni i sokowirówka. A ze ścian ulotniło się (co mnie najbardziej wzburzyło) sześć Nikiforów, ostatnie z małej kolekcji obrazów, które mama odziedziczyła po dziadku. Z ulgą stwierdziłem, że ocalał magnetowid, chyba dlatego, że stanowił własność wuja Karola (budująca uczciwość taty!).

Na stole leżała kartka z dużego notesu agendy z nakreślonym w widocznym pośpiechu tekstem:

Przykro mi, musiałem zabrać parę rzeczy. Interes, który rozkręcam, potrzebuje pilnie gotówki. Nikifory wrócą do nas niedługo. Daję je tylko na zabezpieczenie kredytu, który biorę. Wybaczcie, że zostawiam bałagan, ale bardzo się spieszę. Tym razem kura zniesie na pewno złote jajko. Jeszcze trochę zaufania i cierpliwości, kochani. Zobaczymy się wkrótce. Bądźcie dobrej myśli! Kocham Was!

`rp

Tata

`rp

Dobrze, że mama tego nie widziała. Dwa dni wcześniej zabrano ją do szpitala. Co za bezwzględny człowiek! – pomyślałem. – Zupełnie bez hamulców w maniackalnym dążeniu do sukcesu. Ale tym razem

przeholował! Odnajdę go! Nie miał prawa zastawić Nikiforów, to własność mamy. Odzyskam je! Odbiorę, u kogokolwiek teraz się znajdują!

Zmiałem list w ręce i wrzuciłem do kosza, lecz po krótkiej chwili wydobyłem go z powrotem i wygładziłem. "To jest dokument niebezpiecznej beztroski taty – pomyślałem – zachowam go". W koszu zauważyłem obce śmieci: jakieś faktury, kosztorysy, podartą "Gazetę Bankową" i... kwit parkingowy. Obejrzałem go z ciekawości. Miał nadruk: Parking strzeżony S.C. Silnica, ul. Sokolów, Kielce. Data wskazywała, że dnia poprzedniego ojciec parkował tam pojazd o numerze rejestracyjnym KIC 9119. A więc tatę coś wiąże z Kielcami. Poszukiwania powinienem zacząć od tego miasta...

– No, co, już nie brzęczysz, Mucho? – zaśmiał się Mariusz. –

Zrozumiałeś w końcu, że mydlić nam oczu nie ma sensu. My wszystko wiemy. Czas skończyć tę głupią rozmowę. Dość już nawciskałeś kitów, a teraz gęba w ciup i posłuchaj: gwizdżemy na twoją forszę.

– Cooo?!

– Na tej forsie położyliśmy krzyżyk, prawda, Darek?

– Tak, czarny krzyżyk z kropką – przytaknął Dariusz. – Nie chcemy od ciebie tego melona.

– To... to co chcecie? – zaniepokoiłem się nie na żarty.

– Zrobisz coś dla nas – powiedział Mariusz.

– Co takiego?

– Wyświadczysz nam małą grzeczność.

– *Mianowicie?*

– *Przewieziesz paczkę do drogerii "Miś" w Radomiu.*

– *Nie możecie jej wysłać... na przykład pocztą?*

– *To zbyt cenna przesyłka, boimy się, że zginie.*

– *Cóż to takiego?*

– *Nie musisz wiedzieć – mruknął Darek.*

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

– *Chcecie mnie wpakować w łajno, to coś trefnego, prawda?*

– *Skądże znowu! – zaprzeczył z oburzeniem Mariusz. – To sprawa po prostu... tajemnicy handlowej. Widzisz, Mucha, mamy swoje dojścia, dobre układy z importerami, od czasu do czasu nawija się bombowy interes, ale nie chcemy o tym trąbić, bo konkurencja tylko czyha...*

– *Nikomui nie powiem, ale muszę wiedzieć, co mam przewieźć.*

Bracia Ryps spojrzeli po sobie.

– *Powiedz mu, Darek – rzekł Mariusz – on już zrozumiał i będzie trzymał język za zębami!*

– *To jest... Lekarstwo.*

– *Lekarstwo?*

– *Dokładnie witamina.*

– *Jaka witamina?*

Dariusz spojrzał pytająco na brata.

– *Powiedz mu, Darek.*

– *To jest AM witamina – powiedział Dariusz.*

– *Nie słyzałem o takiej witaminie. Na co to jest?*

- Na przyszłe.*
- Oczyszcza krew – dodał Mariusz.*
- Ale czemu ja? Czemu nie dostarczycie tego sami? – patrzyłem na nich nieufnie.*
- No, wiesz – skrzywił się Mariusz – gliniarze uprzedzili się do nas, o byle co się czepiają, mają nas stale na oku. Ubzdurali sobie, że towar, który rozprowadzamy, pochodzi z lewego obiegu.*
- A nie pochodzi?*
- Jasne, że nie! To towar czysty jak pielucha pampers. Prosto z jednej likwidowanej apteki, tyle że nie wolno go sprzedawać bez recepty. Dlatego się nas czepiają. Wiesz, zaraz przesłuchania, skąd tyle mamy, szykany, konfiskaty i takie różne rzeczy, od razu ci wynajdą odpowiednie paragrafy i jesteś załatwiony, bracie. Z tobą, to co innego, ciebie nikt nie zahaczy, jesteś nowy w interesie. Przebierzesz się za harcerza, towar będzie w plecaku, uszczęśliwisz Misia przesyłką, da ci pokwitowanie i będziemy kwita.*
- Oczywiście dostaniesz na bilet i diety, prócz tego pół melona na drobne wydatki – wtrącił Dariusz.*
- A jak nie?*
- Co, jak nie?*
- Jak się nie zgodzę pojechać?*
- O raju, chyba nie będziesz taki głupi. Wiesz, że wypadki chodzą po ludziach.*
- I jeszcze coś ci powiem na ucho – Mariusz uśmiechnął się złowrogo.*

– Tam pod mostem zagnieździły się szerszenie. Wyjątkowo niebezpieczny gatunek. Jak ktoś jest uczulony, ginie od jednego ich ukłucia, ukłucia niewidocznego. W zeszły piątek znaleziono w tym miejscu trupa mężczyzny bez śladu jakichkolwiek obrażeń. Nie chcielibyśmy, żeby ciebie spotkało coś podobnego, Mucha. Lubimy cię.

– Więc nie nawal! – podjął Dariusz. – Jutro o ósmej rano spotykamy się w Szulerni. Stawisz się w mundurku, wypucowany, schludny harcerzyk z małym plecakiem na ramionkach, pamiętaj!

Tak powiedział, a ja zrozumiałem, że jest to propozycja nie do odrzucenia.

– To do jutra, Mucho – podnieśli się z ławki.

– Aha, masz tu małą zaliczkę. Kup sobie bułkę – Mariusz chciał mi wręczyć parę banknotów, ale uniosłem się honorem i nie przyjąłem.

`pa

Rozdział II

Isia, czyli mój specjalny problem. Co mi zaproponował Jacek Bolek dwojga imion Pająk, zwany pospolicie Pampersem? Spółka "Pyton" Artura Saledy. Jeśli nie bardzo wiadomo, o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze. Zastawić magnetowid wuja Karola u dobroczyńcy naszego miasta, pana Szyjki? Obrzydliwy to pomysł, ale nie widzę lepszego.

Roztrzęsiony wróciłem do domu. Stanowczo nie podobała mi się ta witamina braci Ryps. Nie wierzyłem im za grosz i czułem, że chcą mnie wrobić w kryminalną kabałę. Ale czy miałem jakieś wyjście? Groźby

tych drani to nie przelewki, wiedziałem, do czego są zdolni.

Przed bramą zobaczyłem Isię Materską, córkę naszej gospodyni. Isia to był mój specjalny problem...

– Nie chodź na górę – uprzedziła mnie. – Tam jeden taki czeka na ciebie. Powiedziałam, że cię nie ma, ale on uparł się, że zaczeka. Siedzi twardo pod twoim mieszkaniem i przegląda papierki.

– Pewnie komornik – mruknąłem. – Czy ma teczkę?

– Taką dyplomatkę kwadratową.

– Może być z banku. Tata narobił długów, bank ma już orzeczenie sądu i nakaz egzekucji.

– Nie, on raczej nie wygląda na komornika – powiedziała Isia. – Jest bardzo młody, sylwetka sportowca, mięśnie jak u boksera, dzinsy...

– Niedobrze, to może być prywatny odbieracz długów, a tacy są najgorsi. Pewnie Szyjka go nasłał. Tata mówi, że już pół miasta siedzi w kieszeni u Szyjki. Diabli nadali tego odbieracza.

– W końcu mu się znudzi i pójdzie – powiedziała Isia. – A na razie zaczekasz u mnie. Poczęstuję cię szarlotką.

– Ale twoja mama – skrzywiłem się. Stara Materska patrzyła złym okiem na przyjacielskie kontakty Isi ze mną.

– Mamy nie będzie co najmniej dwie godziny. Poszła na pogrzeb pana Dudki, wiesz, tego co robił w piwnicy sztuczne ognie i wysadziło go w powietrze razem z domem. Mają odpalić mu nad grobem fajerwerki. Podobno zażyczył sobie w testamencie. Wystrzelą race w czterech kolorach! – swoim zwyczajem Isia rozgadała się na dobre.

Słuchałem piąte przez dziesiątę, myślami byłem daleko od fajerwerków pana Dudki. Dopiero zapach świeżego ciasta przywrócił mnie do rzeczywistości. Przypomniałem sobie, że wczoraj Materska nosiła z piwnicy resztki nadgniłych jonatanów z zeszłorocznych zbiorów. Ta szarlotka pewnie z tych jabłek. Odbiło mi się, ale w końcu głód zwyciężył. Szarlotka nie była wcale taka zła, była nawet całkiem dobra, kwaskowata, krucha, pachniała drożdżami i cynamonem. Zjadłem trzy kawałki, zjadłbym jeszcze więcej, ale Isia siadła naprzeciw i przyglądała mi się z uśmiechem czarnymi rozmarzonymi oczyma, a w krągłej buzi zrobiły się jej dwa dołeczki, jak zawsze, kiedy się uśmiechała. Głupio mi było; że mnie tak obserwuje i wstydzilem się więcej zjeść.

– Och, byłabym zapomniała – powiedziała nagle – jest poczta dla ciebie.

Podawała mi sporą stertę listów i pisemek. Przerzuciłem je szybko. Wciąż żadnych wiadomości od ojca. Same rachunki, ponaglenia, upomnienia i straszenie egzekucją.

– Martwisz się o tatę? – zauważyła Isia.

– Tak. Bardzo się martwię. I o mamę. Dzisiaj rano dzwoniłem do szpitala. Dają mi jakieś dziwne odpowiedzi...

– Przykro mi – popatrzyła na mnie zatroskana – poczekaj chwilę! – skoczyła do kuchni i po chwili wróciła z pękatym gąsiorkiem w ręku.

– Co ty! – wytrzeszczyłem oczy.

– To jest wino z porzeczek.

– Z jakiej to okazji?

– Z bardzo prostej: mam dzisiaj urodziny!

– Przepraszam cię – bąknąłem zakłopotany – zapomniałem. No to,

Isiu, dużo zdrowia i spełnienia marzeń – uścisnąłem ją ostrożnie, bo...

szczerze mówiąc, to trochę bałem się Isi. Isia wyraźnie lgnęła do mnie,

ubzduriała sobie, że jestem jej chłopakiem, a ja poza zwykłą sympatią

nic do niej nie czułem i z tego powodu sytuacja często stawała się

kłopotliwa.

Teraz też nie opuszczało mnie skrepowanie. Natomiast Isia nie miała

tego rodzaju zahamowań i bez żenady zarzuciła mi ręce na szyję.

Napalona dziewczyna!

Chciałem coś powiedzieć, ale nie dała mi.

– Nic nie mów – szepnęła i mocno przywarła ustami do moich ust.

Usiłowałem wykrzesać z siebie trochę ochoty, ale nadaremnie. Co

miałem robić? Nie chciałem sprawić jej przykrości, więc próbowałem

dzielnie wytrzymać ten namiętny pocałunek. Nie wiem, jak długo

wytrzymałbym, na szczęście ktoś zastukał energicznie do drzwi. Isia

puściła mnie i zapytała głośno:

– Kto tam?

– To ja! Nie będę dłużej czekać. Zostawiam w drzwiach wiadomość

dla Witka Muchy. Proszę mu przekazać, koniecznie do rąk własnych! –

głos zabrzmiał mi dziwnie znajomo.

Rozległo się skrzypienie desek na klatce schodowej. Ktoś zbiegł do

bramy.

– To ten, co siedział na schodach – powiedziała Isia.

Spojrzałem przez okno. To żaden z nachodzących mnie typów; ani komornik, ani żaden inny egzekutor, tylko znany mi dobrze Jacek Pająk, zwany Pamperssem, siedemnastolatek licealista. Kiedyś byliśmy razem w jednej paczce, w paczce, która zapisała się w historii naszego miasteczka jako gang Artura Saledy, ale przecież od dwu lat straciliśmy kontakt. Co może Pampers chcieć ode mnie?

– Przepraszam cię, Isiu – wybiegłem z mieszkania.

Dognałem typa pod restauracją Króla.

– Chciałeś mnie widzieć? – wysapałem. – O co chodzi?

Ale on zamiast odpowiedzieć najpierw uścisnął mi rękę i poklepał mnie po plecach jak starego kumpla. Jego niebieskie oczy śmiały się do mnie. Potem odsunął mnie na krok od siebie i taksował uważnie. Ja też mu się przyglądałem. Nie widziałem go od paru miesięcy. Zmienił się przez ten czas, zmężniał, wydoroślał jakoś i wyprzystojniał... no i ta elegancja, wyglądał jak rasowy makler giełdowy, biała koszula, czerwone szelki, krawat, modnie skrojone spodnie.

– Nie wyglądasz najlepiej – powiedział do mnie. – Więc to prawda...

– Co prawda?

– O twoich rodzicach. Zostałeś sam?

– Tak jakby – mruknąłem. – Czy przyszedłeś złożyć mi wyrazy współczucia?

– Niezupełnie, Lord.

Lord! Nie cierpiałem tego przyzwiska. W gangu Artura Saledy, który

zgrzywał się na dżentelmena w angielskim stylu, nadano mi je chyba przez przekorę. Miało oznaczać, że mam kiepskie maniere i duże braki w wychowaniu ogólnym.

Przygryzłem wargi.

– Więc o co chodzi? – zapytałem chłodno.

Jacek uśmiechnął się pod nosem.

– Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia.

– To już druga dzisiaj – zauważyłem ponuro.

– Moja z pewnością lepiej trafi w twój wybredny gust, Lord.

– Mianowicie?

– Czy chciałbyś trochę... pokupczyć?

– Pokupczyć? Jak to?

– No, zabawić się w handel i zarobić parę melonów.

Zaskoczył mnie. I co tu gadać, z miejsca podniecił, ale starałem się ukryć podniecenie.

– Jak sobie to wyobrażasz? – zapytałem. – Nie bardzo znam się na handlu, ale wiem, że na początek trzeba mieć jakiś kapitał, a ja nie mam ani grosza...

– Forse ma Artur. Nasz stary dobry boss Artur Saleda, nie zapomniałeś chyba Artura?

Uśmiechnąłem się do moich wspomnień. Zapomnieć Artura? Nigdy nie zapomnę tych dwu lat w jego paczce! Szesnastoletni dryblas, urodzony przywódca z fantazją łowcy przygód i my dziewięć-, dwunastoletnie żądne silnych wrażeń pętaki. Te fascynujące zabawy w

Indian i piratów, które nam fundował, te podchody, te czaty i przespiegi, te dzikie harce w wodzie... A potem to już było na serio. Święta wojna przeciw ludziom z tomaszowskiej fabryki pluszu i tkanin tapicerskich, którzy chcieli ogrodzić naszą plażę nad Pilicą i postawić tam bungalowy. Ale to był zarazem koniec naszego gangu. Artur zdał na uniwersytet i wyjechał do Warszawy. Co prawda nie zagrzał tam długo miejsca. Niebawem doszły nas wieści, że narozrabiał jako student i został wylany z uczelni. Nie wrócił już do naszego Dłubkowa, przepadł gdzieś bez echa. Zdawało się, że poszedł na dobre pod wodę, aż tu nagle w zeszłym roku wypłynął odmieniony jako "poważny biznesmen". Pamiętam jego triumfalny powrót w czerwonym "prawie nowym" volkswagenie golfie z jednym tylko wgnieceniem na lewym błotniku. Wkrótce potem zarejestrował w Dłubkowie spółkę handlową "Pyton" o dość niewyraźnym poletku działania.

– Czy to znaczy, że Artur chce mnie zatrudnić? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Zatrudnić? To nie tak! Widzisz, Artur kręci teraz na wyższym poziomie, przesiadł się z klasy, powiedzmy, turystycznej do klasy prawdziwych biznesmenów. Operuje w zgoła innej strefie. Grube międzynarodowe interesy od Moskwy po Amsterdam i Brukselę. Zostało jednak tutaj parę dobrze przygotowanych, napiętych transakcji "Pytona" do załatwienia, które przestały Artura właściwie obchodzić, ale które żal zmarnować. Dlatego chce je odstąpić nam.

– Nam?

– Tych rzeczy nie da się załatwić w pojedynkę, zbyt dużo harówki i mitręgi, czy choćby zwykłego dźwigania towaru. Mam już w tym pewne doświadczenie. Od pół roku pracuję dla Artura...

– Na co ci to? – spojrzałem na Jacka podejrzliwie, wciąż nie bardzo rozumiałem powody, dla których chce mnie zrobić w jakieś interesy. – Masz przecież nadzianych starych. Idzie wam świetnie.

– Myślisz o naszym rodzinnym straganie? Nędzni kramarze! – uśmiechnął się wzgardliwie. – Marzy im się, że kiedyś mnie postawią za ladą, ale niedoczekanie ich! Niezależność, Lord – zaakcentował – to jest to, co najbardziej cenię. Chcę robić własne interesy na własną odpowiedzialność i ryzyko! Interesy w wielkim stylu. Kram na targowisku, to nie dla mnie. Jaki to interes? Pieniądze, prawdziwe pieniądze robi się w ruchu, a nie stercząc godzinami w budce. To co oni ciułali przez dwadzieścia lat, ja zdobędę w dwa miesiące.

Pokiwałem głową. Pomyślałem, że jego nienawiść do budki i straganu wynika stąd, że kiedyś starzy zmusili go do sprzedawania konfekcji dziecięcej, w tym pieluszek dla niemowląt. Stał się z tego powodu przedmiotem głupich żartów w szkole i przyczepiono mu przyzwisko Pampers.

– No, dobrze, rozumiem cię, ale czemu zwracacie się z tym akurat do mnie? – zapytałem.

– Jak to, Lord? A do kogo niby mamy się zwrócić? Sam Artur mnie zachęcił.

– Artur?!

– Tak, on sam. "Nie namyślaj się wiele, powiedział, smaruj do naszego człowieka z Costa del Sol znanego pod imieniem Lord i przekaz jego lordowskiej mości, że Capitan Arturo ma dla niego robotę". Tak powiedział.

– E, wciskasz kity!

– Pod hajrem tak powiedział! On pamięta, że byłeś do końca w jego paczce i że z miną lorda bez skrzywienia buzi wyłożyłeś całą swoją forszę na "fundusz wojenny", gdy trzeba było przegnać z plaży "pluszowych ludzi". Artur Saleda nie zapomina takich rzeczy.

Słuchałem miło polechtany.

– Ja też od razu pomyślałem o tobie – ciągnął Jacek. – Inteligentny z ciebie bystroń, nie masz nałogów, nie palisz, nie pijesz, nie ćpasz. I nie jesteś złodziejem.

– Dziękuję.

– Niełatwo kogoś tutaj dobrać na współnika. Jak nie ćpun i nie szajbus, to leń patentowany albo niedojda bez ikry. Na tym tle prezentujesz się raczej korzystnie. Masz gładką mowę, słownictwo na uniwersyteckim poziomie, nie przymierzając jak z jakiegoś Oksfordu czy z Harvardu, no i choć taki przemądrzały i nad wiek rozwinięty jesteś nieletni, Lord, to duży atut w naszej spółce, w razie czego można będzie na ciebie zwalić winę, bo jako dzieciak i tak nie pójdziesz siedzieć...

Skrzywiłem się.

– Mów poważnie, bez bajerów. Nie weźmiesz mnie na takie lepy,

chociem Mucha. Na pewno jest drugi powód.

– Owszem, nie będę ukrywał, jest drugi powód. Otóż jako młodociany współnik jesteś atrakcyjny z racji swoich rodziców, a raczej... ich braku. O ile się nie mylę, zostałeś sam jak palec, a taka sierotka jak ty może się łatwo i bez pytania urwać z chaty, po prostu jesteś wolny, a to niesłuchanie upraszcza sytuację.

– To już lepiej brzmi – mruknąłem – ale to jeszcze chyba nie wszystko. Zagrajmy w otwarte karty, ty coś ukrywasz, Pampers, wciąż myślę, o co tu naprawdę chodzi. Wujek Karol mówi, że jak nie wiadomo, o co chodzi, to na pewno chodzi o pieniądze. Zgadza się? Jacek roześmiał się.

– Masz cynicznego wujka – powiedział i spojrzął na zegarek. – Już czwarta. Nie lubię rozmawiać z pustym żołądkiem. Może byśmy zjedli gdzieś obiadek i pogadali spokojnie. Ja funduję!

Była to propozycja nader ponętna i na czasie, zważywszy, iż od rana, nie licząc Isinej szarlotki, nic nie jadłem i kiszki marsza mi grały.

– Jeśli zapraszasz mnie do "Króla", to proszę bardzo, czemu nie! – odparłem z miną starego bywalca lokali.

Jadanie u "Króla" było dobrze punktowane w naszym mieście, zwłaszcza przez młodzież, odkąd wprowadzono tam dobrą rockową muzykę i zaangażowano do obsługi przy stolikach piękne bliźniaczki, siostry Graj, umiejętnie robiące się na Madonnę.

– Jadasz u "Króla"? – Jacek spojrzął na mnie z nieukrywanym szacunkiem.

– Kiedy jestem przy forsie – odparłem skromnie – ale właśnie

wyczerpała mi się forsa – zrobiłem minę zbiedniałego lorda.

O tej porze w restauracji przewaliła się już główna fala obiadowych gości i było trochę pustawo.

Przy stoliku Jacek zamówił dwa befsztyki, które przyniosła jedna z bliźniaczek z tak promiennym uśmiechem, jakby miała szczęście obsługiwać co najmniej księcia Walii z księciem Yorku. Z początku bałem się pokazać, jak bardzo jestem głodny, ale widząc, że Jacek pałaszuje mięcho bez żadnej żenady i w tempie ekspresowym, rozluźniłem się i poszedłem w jego ślady. Potem Jacek zamówił jeszcze sznycle wieprzowe po wiedeńsku i malutkie golonki z chrzanem, piklami i innymi pikantnymi przystawkami, tudzież dwie butelczyny bawarskiego piwa, a kiedy chciałem zaprotestować, kuksnął mnie boleśnie w brzuch.

– Siedź cicho. Powiedziałem: ja płacę.

Przez kilka minut wcinaliśmy w milczeniu, aż nam się uszy trzęsły, wreszcie, gdy zakończyliśmy operację na golonkach i zostały po nich tylko po dwie kości na talerzach, Jacek nalał resztę piwa, trącił się ze mną i zagaił:

– Wróćmy do interesów. Nie będę ukrywał. Faktycznie chodzi o to, żebyś do spółki wniósł trochę gotówki, na rozruch, powiedzmy sobie.

– Mówiłeś, że to Artur Saleda finansuje – przypomniałem mocno zde gustowany.

– Tak, zgadza się, finansuje te interesy, które zaklepał "Pyton", ale

człowieku, ja mam trochę ambitniejsze plany niż handlowa obsługa

"Pytona".

– Jak to ambitniejsze? Nie rozumiem – zaniepokoiłem się. – Co ty właściwie kombinujesz? Co chcesz zrobić?!

– Zahandlować na boku, Lord... na własny rachunek, bez oglądania się na "Pytona", bez płacenia mu haraczu. To dopiero zapewni nam godziwy zysk. W terenie zdarzają się niesłychane okazje, Lord! Są transakcje, na których masz trzykrotne, ba czasem dziesięciokrotne przebicie. Tylko trzeba mieć rozeznanie, dobrego nosa, łut szczęścia, no i trochę gotówki na początek. Pomyślałem więc, że można by uruchomić twoje melony, które sobie pieścisz bezproduktywnie.

– Ja?! Pieszczę melony?! – zaśmiałem się. – A toś dobrze trafił!

Właśnie dziś ostatni grosik wyleciał mi przez dziurę w prawej kieszeni.

– Nie szkodzi – Jacek nie stropił się bynajmniej. – Grosik wyleciał ci z prawej, a do lewej jak nic wleci ci pięć melonów!

– A to jakim sposobem?

– Pewien szlachetny dobroczyńca się o to postara. Nazywa się Józef Szyjka. Zdaje się, że wasza rodzina zawarła już z nim bliższą znajomość.

Zaniemówiłem. Szyjka był to stary lichwiarz i waluciarz, do którego się szło, gdy przycisnął zły los i potrzeba było szybko gotówki. Miał dobre serce, nie gardził żadnym fantem, pożyczył każdemu, kto mógł dać minimalne zabezpieczenie. Obecnie wyszedł z podziemia i otworzył interes pod ładną nazwą: "Milano Lombard". Przybytek ten zawałony nagromadzonym dobrem wszelkiego rodzaju mieścił się w "Błękitnym

Pałacyku", w dawnym żłobku, który w latach czterdziestych urządzono tu po wypędzeniu hrabiów Poraj-Pilickich.

– Chcesz, żebym coś zastawił u tego dobroczyńcy? – jęknąłem. – Ależ ja nic nie mam!

– Masz. Magnetowid dobrej marki Sony.

– Skąd wiesz, u licha?!

– Powiedział mi mój kuzyn, Pycek. Nagrywałeś dla niego kasetę z Batmanem. W tej zabawce śpią miliony, Lord. Trzeba je uruchomić, żeby przyniosły zysk. Prosta sprawa.

– Nadzwyczaj prosta – zadrwiłem – jest tylko mały szkopuł. Ta zabawka nie należy do mnie. Pożyczyłem ją od wuja.

– Karol Mantyka to twój wuj?

– Tak, a bo co?

– Słyszałem od Pycka, że wyjechał na dziesięć dni.

– I co z tego?

– Procedura narzuca się sama. Magnetowid idzie sobie odpocząć w dobrym towarzystwie do pałacu Szyjki. Dostajesz od naszego dobroczyńcy x melonów. Obracasz nimi. Pieniążki uwielbiają obrót. Rosną, pęcznieją, męźnieją od obrotu. I rozmnażają się, rozmnażają jak króliki! Z x melonów robi się 5 x, z 5 x 25 x, to narasta lawinowo w postępie geometrycznym i jeszcze szybciej! Potem oddajesz Szyjce dług z procentem, odbierasz magnetowid i zostaje ci w ręku sto melonów, może więcej...

– Bajeczki, Pampers. Nie lubię, jak się robi ze mnie balona. Powiedz

uczciwie, czy da się podwoić wyłożoną sumę, to wszystko czego pragnę.

– Skromny jesteś, ale masz moją gwarancję. Za tydzień zwrócę ci

twój wkład, a prócz tego...

– Tylko nie mów jak dziecku, że dostanę sto milionów, bądź poważny

– wtrąciłem gniewnie.

– No więc dobrze, nie dostaniesz stu milionów, to mogłoby się

zdarzyć tylko w wyjątkowo sprzyjających warunkach i idealnych

obrotach. Ale zagwarantuję ci pięć melonów na rękę. Wystarczy?

– Zaraz, zaraz, kochany, cały czas mówimy o moim wkładzie, a co z

twoim wkładem?

Jacek chrząknął.

– Ja biorę na siebie problem transportu i wnoszę do interesu wóz.

– Wóz?! – zaskoczył mnie.

– Od niedawna jestem posiadaczem starego FSO combi. Prezent

urodzinowy od moich starych, którzy przesiedli się na Japończyka.

Prócz tego wniosę do spółki swoje chody, znajomości, doświadczenie,

całą moją handlową wiedzę, Lord i zasady nowoczesnego marketingu.

Czy to mało?

– Mam niedługo egzamin do liceum – bąknąłem.

– Nie bój się, zdązysz. Nie jedziemy na księżyc. Nasz najdalszy

zasięg, to Sokółów Podlaski, Radom, Kielce. Obskoczemy w dziesięć dni,

góra! No to jak?

Milczałem i myślałem: w Radomiu mógłbym odwiedzić mamę w

szpitalu, w Kielcach rozejrzeć się za ojcem. Ten kwit parkingowy to

*niewielka poszlaka, ale warto sprawdzić... tak, to była z różnych
względów kusząca propozycja, tylko ... tylko czy można wierzyć
Pampersowi? Możliwe, że chce po prostu wyciągnąć ode mnie pięć
melonów. A jeśli nawet dopuści mnie do interesów, to nie wiadomo, czy
to będą uczciwe interesy, uczciwsze niż braci Ryps. Czy nie wpadnę
przypadkiem z deszczu pod rynną? Za całą gwarancję mam tylko słowa
Pampersa. No i paskudna sprawa z tym magnetowidem. Nie mogłem
pozbyć się myśli, że robię coś bardzo złego. Czy muszę moją "kariere
handlowca" zaczynać od oczywistego przestępstwa?*

*– Co z tobą, Lord – zaniepokoił się Jacek. – Nie słyszysz, co mówię do
ciebie? Chcę wiedzieć, czy decydujesz się.*

*– Muszę wszystko spokojnie przemyśleć – powiedziałem. – Bądź tak
dobry i zadzwoń do mnie o szóstej.*

*Tak powiedziałem Jackowi, ale naprawdę to byłem już
zdecydowany. Miałem aż nadto powodów, by skwapliwie przyjąć jego
propozycję, a jeden był zasadniczy i wystarczył za wszystkie. Bałem się
braci Ryps i musiałem szybko uciekać z tego miasta.*

`pa

Rozdział III

*Na dworcu lotniczym Okęcie. Czy ktoś nas śledzi? Pudełka po whisky
marki Johny Walker. Pierwsze rozczarowania. Straszna przygoda w
mieście łysych kobiet. Transakcja w Domu Emerytów. Kursy*

*Przystosowawcze doktora Golda. Uroki motelu "Charles". Jak niecznie
wyzyskałem kowboja nadbużańskiego. Pogaduszki z yuppies to piękne,*

ale gdzie moja forsa?!

Od świtu deszcz leje niemiłosiernie, wycieraczki na szybie wozu pracują z jękiem bez wytchnienia. Dłubków Mazowiecki żegna nas płaczliwie. Mogłoby się zdawać, że zalewa się rześzystymi łzami na nasze pożegnanie, ale naprawdę to ja jestem bliski płaczu. Siedzę skulony i, co tu owijać w bawełnę – wystraszony. Czuję, że wpakowałem się w jakąś szaloną kabałę, a w dodatku zrobiłem wujowi Karolowi świńską rzecz: zastawiłem u Szyjki wiadomy przedmiocik.

Operację przeprowadziłem jeszcze wczoraj wieczorem, gdy ta wiedźma Materska wyprawiała córce urodziny, na które mimo protestów Isi oczywiście nie zostałem (szczęśliwie) zaproszony jako nicpoń i niepożądany element. Jak złodziej nie zauważony przez rozbawione towarzystwo, przemknąłem się po schodach z ciężkim fantem pod pachą. Dostałem za niego trzy melony pożyczki. (Cholerny "dobroczyńca" nie chciał dać więcej.) Są teraz w kieszeni Pampersa, który ucieszył się nawet z tej kwoty i pędzi rozluźniony po warszawskiej szosie pogwizdując wesoło. A to dlatego, że wczoraj późnym wieczorem rozmawiał przez telefon z Arturem Saledą i ma dostać od niego (prócz upoważnień

do

zawierania

odnośnych

transakcji,

tudzież

zaświadczenia, że jest przedstawicielem firmy "Pyton"), także sześć dodatkowych melonów "na wejście w obrót", jak się wyraził.

W tym celu mamy się spotkać z szefem o ósmej rano na lotnisku na Okęciu. Artur wciąż jest w rozjazdach, na Okęciu też będzie uchwytny tylko w przelocie. Przyleci z Moskwy i za dwie godziny wyrusza do Amsterdamu. Pędzimy więc najpierw na Okęcie. Tu zostawiamy wóz na parkingu i spieszymy do dworca lotniczego. Jacek zachowuje się dość dziwnie, co chwilę ogląda się za siebie, przestaje pogwizdywać i ma skonsternowaną minę.

– Co się dzieje? – pytam go niespokojnie.

– Dziesięć kroków za nami idzie typ – mruczy ściszym głosem. –

Zauważyłem go jeszcze przed Grójcem. Jechał za nami cały czas w czerwonej toyocie corolli, a teraz idzie za nami. Nie podoba mi się to.

Obawiam się, że nas śledzi.

– Jesteś pewien, że to ten z toyoty?

– O pomyłce nie ma mowy, dwa razy nas wyprzedzał i przyjrzałem mu się dokładnie. Nietrudno zapamiętać faceta. Uroda troglodyty.

Musimy mieć go na oku, obejrzyj się dyskretnie i zapamiętaj typa.

Obejrzałem się. Faktycznie miał okropnie zdeformowaną twarz, wygląd jeśli nie troglodyty, to z pewnością eks-boksera na inwalidzkiej rencie.

– Lepiej na razie zostań tutaj i uważaj na niego – powiedział Jacek, gdy weszliśmy do hali dworca lotniczego. – Zobaczymy, co robi. Gdyby poszedł za mną, ty też idź!

Zostałem więc i dyskretnie obserwowałem Boksera (tak go nazwałem na własny użytek). Kręcił się po hali niecierpliwie, czasem tylko przystawał w kącie, by zapalić papierosa. Chyba przez kwadrans nudziliśmy się obaj. W pewnej chwili zauważyłem, że podszedł do niego drugi typ, elegant pod krawatem w rozpiętym długim czarnym chałacie. "Playboyowaty" – jakby określił wuj Karol, który miał swoje powiedzonka. Wymienili parę słów, po czym playboyowaty został, a Bokser ruszył w tę stronę, gdzie zniknął Jacek. Ja też ruszyłem. U wejścia do hali przylotów nadziełem się na Jacka. Po jego zadowolonej minie poznałem, że wszystko załatwił pomyślnie.

– Mam wszystkie potrzebne papierki – oznajmił triumfalnie. – Od tej chwili jesteśmy oficjalnymi przedstawicielami "Pytona". Będziemy w stałym kontakcie z Benonem, to zaufany goryl i agent handlowy Artura. Mamy co dzień informować go przez telefon, jak nam idzie. A tu sześć melonów od Artura na "rozruch" i "zaczyn" – potrząsnął plikiem nowiutkich banknotów. – Niestety, to tylko pożyczka do zwrotu, nie prezent.

– A to co takiego? – wskazałem na podłużne, przewiązane wstążką, ozdobne pudełko firmowe z napisem JOHNNY WALKER, które trzymał w drugiej ręce. – Czy to whisky od Artura na rozruch?

– Nie rób sobie apetytu – rzekł z uśmiechem Jacek – ani to whisky, ani dla nas. To prezent od Artura dla przyjaciółki w Podzamczu Chęcińskim, zapakowany dla żartu w pudełko po szkockiej, żeby było śmieszniej. Artur lubi takie niewinne kawały. Prosił mnie, żebym

doręczył tej pannie, jak będziemy w tamtych stronach. Fajne pudło, co?

Bądź tak dobry i zanieś je do samochodu...

– A ty? – zdziwiłem się.

– Zafasuję jeszcze drugie takie. Cały stos takich pudełek widziałem przy bufecie.

– Po co ci ono?

– Włożę do niego prezent dla mojej Pameli. Poznasz ją, to córka właścicieli motelu "Charles", ma surowe obyczaje i jest wrogiem wszelkich alkoholi. Zrobię jej kawał z tym pudełkiem. Pomyśli, że ofiarowuję jej whisky! Wyobrażasz sobie jej oburzoną minę? A tymczasem w środku niewinna... laleczka! Łowiczanka! A raczej Łowiczanin, bo to chłopak.

Pokręciłem głowę. Pampers był jak widać pod silnym urokiem Artura Saledy i wyraźnie małpował jego zagrania.

– Ale czemu chcesz tej dziewczynie zrobić kawał?

– Żeby podrażnić ją trochę... bo czasem bywa zbyt "sierozna", ale to wspaniała dziewczyna, poznasz ją, jej starzy prowadzą motel "Charles" nad Liwcem. Wpadniemy tam w sobotę, trzynastego, jak wszystko dobrze pójdzie. By the way Lord, co z tym przyjemniaczkiem, naszym aniołem stróżem? Nie widzę go jakoś.

– Zrobiło ich się dwu, jeden poszedł za tobą, drugi został –

rozejrzałem się po hali. – O, znów są w komplecie – rzekłem podniecony.

– Stoją tam, przy telefonie i obserwują nas.

– Idź do wozu jak gdyby nigdy nic – powiedział Jacek. – Zobaczymy,

co zrobić.

Nic nie zrobili. Stanęli przed drzwiami dworca i czekali.

Jacek wrócił, gdy chowałem pudełko pod fotel wozu.

– A gdzie twoje pudełko? – zapytałem.

– Mam je złożone płasko na brzuchu pod koszulką – odparł. –

Ostrożność nie zawadzi. Lepiej ich nie intrygować tymi pudełkami.

Pakowanie zrobię później. Wskakuj! Zmywamy się szybko!

Ruszyliśmy z piskiem opon.

– Postuchaj, Pampers, o co tu chodzi? – wysapałem zdenerwowany,

gdy znaleźliśmy się w alei Krakowskiej.

– Nie mam pojęcia – mruknął. – Może coś im się pomyliło.

– Naprawdę nie znasz tych ludzi?

– Pierwszy raz ich widzę na oczy.

– Boję się – wyznałem.

– Spokojna głowa. Nie widać ich za nami. Może ich zgubiliśmy, a

jeśli nie, to zaraz ich zgubimy – to mówiąc Jacek skręcił gwałtownie w

prawo w ulicę Malowniczą.

Zatrzymaliśmy się nie opodal autoserwisu tuż za rogiem i

odczekaliśmy przyczajeni cały kwadrans. Żadna czerwona toyota nie

przejechała.

– Chyba mamy ich z głowy – orzekł Jacek.

Ze splaszczonego firmowego opakowania Johnny Walkera

uformował z powrotem pudełko i wsadził do niego zawinięty w zdobny

papier prezencik dla tej dziewczyny z motelu, po czym małpując Artura,

również przewiqał je wstąqką.

Już na luzie jedziemy dalej. W Jankach bierzemy kurs na Grójec.

A pół godziny potem...

Pół godziny potem targam spocony do wozu ciężkie pojemniki z butelkami i pluę sobie w brodę, że dałem się tak głupio zrobić.

Pod wieczór robię bilans dnia. Wypada okropnie. Gdzie te genialne transakcje? Gdzie kokosy? To, co robimy, to po prostu nędzny objazdowy handelek. Za pół, za ćwierć ceny bierzemy przeterminowane napoje z likwidowanej (bankructwo?) hurtowni w Grójcu (to właśnie ta "okazja", o której Pampers tyle się rozwodził), objeżdżamy różne miejsca nad Pilicą, gdzie właśnie zaczynają się sianokosy, zarzynamy wóz jazdą po bagnistych polnych drogach, brodzimy jak chruściele po łąkach, po grząskich wertepach i wtykamy piwko tudzież inne podrzędne sikacze utrudzonym rolnikom. Cały zarobek, to dwa, trzy tysiące na butelce. Choć pogoda się poprawiła i po rannym deszczu zrobiło się parno i gorąco, przez osiem godzin pozbyliśmy się zaledwie około trzystu butelek, co daje zysk niespełna siedemset tysięcy złotych do podziału na trzy części (tę trzecią część zabierze "Pyton"). I jeszcze do tego ta mitręga z fakturami i to cholerne dźwiganie! I tak ma być jeszcze jutro i pojutrze, a nawet jeszcze gorzej, bo w niedzielę będziemy dostarczać te bąbelki i sikacze także knajpom, barkom i kioskom, obsługiwać odpusty, chrzciny, wesela w tak zwanym najgłębszym terenie i uwijać się jak w ukropie!

Nie odzywam się do Jacka. Uważam, że bezczelnie mnie nabrał.

Czuje, łobuz, że jestem wściekły i próbuję mnie rozchmurzyć.

– No, no, Lord, nie łam się! Będzie lepiej. To był faktycznie ciężki dzień, czasem trzeba odwalić mniej atrakcyjną robotę, ale nie rezygnujesz chyba...

– Owszem – wybucham – jeśli o mnie chodzi zabawa skończona, to nie dla mnie, Pampers. Zrobiłeś mnie w konia! Wracam do chaty!

– Daj spokój, wytrzymaj jeszcze te dwa dni, przysięgam ci, że we wtorek odbijemy sobie z nawiązką! Forsa sama będzie nam pchać się w rękę. Już żadnego dźwigania i brodzenia po łąkach! Wchodzimy w elegancką sferę! Jeśli skłamię, oddam ci trzy melony i dołożę drugie tyle, przysięgam! Zaufaj mi.

Wzdycham głęboko i pytam:

– To co tym razem?

– Kosmetyki.

Milknę zaskoczony.

– "Pyton" zapewnił sobie wyłączność dostaw farby do włosów

"Kleo", to rewelacyjny produkt, farba-odżywka według zupełnie nowej formuły pewnej francuskiej firmy, która za naszym pośrednictwem chce wejść na polski rynek. Promocyjne ceny!

– Więc będziemy sprzedawać farbę do włosów?!

– Tak, w dwunastu odcieniach. Mamy stałych odbiorców, a raczej odbiorczynie, gdyż naszymi klientkami są głównie fryzjerki w małych miastach. Fatyga właściwie żadna. Handel łatwy i czysty. Po prostu wstawiamy po sto flakonów preparatu, inkasujemy należność i do

następnego miasteczka...

Nie wiem, czy dobrze robię, ale daję Pampersowi jeszcze jedną szansę i odkładam na dwa dni moją rezygnację.

We wtorek rannem odbieramy towar od naszego agenta w Tomaszowie i zaczynamy objazd. Najpierw wpadamy do Rawy Mazowieckiej i dziarskim krokiem smarujemy do salonu fryzjerskiego "Diana". Mieści się on w eleganckim obwieszonym szyldami pawilonie, razem ze stu innymi zakładami i instytucjami mniej lub bardziej szacownymi, w tym z żeńską sekcją dżudo klubu sportowego "Herakles", co od razu zwróciło moją uwagę.

– Panie z tego klubu też od dwu miesięcy są naszymi klientkami – mówi z uśmiechem Jacek wskazując na szyld. – Wszystkie ufarbowały sobie włosy na jeden kolor: stare złoto. To robi podczas zawodów bardzo estetyczne wrażenie.

W salonie "Diana" zastajemy cztery klientki. Trzy o modnych fryzurach robiły sobie manicure, czwarta wstawiała właśnie uczesana "na chłopczycę" z fotela.

– Panowie sobie życzą? – fryzjerka jakby spłoszona poprawiła sobie włosy. Były to piękne włosy o głębokim kasztanowym odcieniu i mogły służyć za reklamę farby-odżywki oferowanej przez firmę "Pyton".

– Pani Lenora? – chrząknął Jacek z uwodzicielskim uśmiechem.

– Tak, czym mogę służyć?

– Pani mnie nie poznaje? Jacek Pająk z firmy "Pyton". Byłem tu już z panem Saledą... Arturem Saledą.

Fryzjerka zaniemówiła na chwilę, zupełnie jakby ją coś zatkało.

– Czy coś nie w porządku? – zaniepokoił się Jacek.

– Nie... wszystko w najlepszym porządku – fryzjerka przyszła już do siebie. – Pan jest od Artura Saledy? – upewniła się.

– Tak, mamy dla pani kolejny prezencik... Witku, pokaż pani flakony... ulepszona farba "Kleo" z podwójną odżywką po tej samej cenie i ze zintegrowanym zapachem.

Wydobyłem z torby flakonik, odkręciłem zakrętkę i podsunąłem Lenorze pod nos, może cokolwiek za blisko.

Wydała jakiś nieartykułowany okrzyk, odskoczyła i sięgnęła po telefon.

– Komenda policji? Z komisarzem, proszę!

– Co pani?! – Jacek wyrwał jej słuchawkę i rzucił na widelki. –

Zechce pani wytłumaczyć, o co chodzi!

– A o to! – wskazała na włosy.

– Nie rozumiem. Ma pani wyjątkowo piękną główkę. Bujne, dobrze odżywione włosy.

– Bujne?! – Lenora ze złością zerwała sobie perukę. Pod peruką ukazała się głowa łysa jak u manekina.

– Nie rozumiem... pani insynuuje... że... że to od "Kleo"? Wykluczone!

– To nie insynuacje; tak mi powiedział dermatolog, to od tej waszej farby ołysiałam! Czy pan słyszy?! Ołysiałam i zakładam sprawę w sądzie, i inne panie też. To miasto wskutek waszej odżywki stało się miastem łysych kobiet! Odpowiedcie nam za to!

– To jakaś pomyłka, zapewniam panią – wybelkował Jacek. – "Kleo" to renomowana firma, nie było dotąd żadnych reklamacji! To jakiś nieszczęśliwy przypadek. Może nie trzymała się pani przepisów, może jest pani specjalnie uczulona... Wszystkie panie, które stosowały naszą farbę były zadowolone, pani jest wyjątkiem...

– Ja?! Wyjątkiem?! – wzburzona fryzjerka doskoczyła do klientek, które przerwały manicure i przejęte przyglądały się całej scenie. – Niech pan patrzy – proszę bardzo, niech pan patrzy – Lenora zaczęła kobietom zrywać jedną po drugiej peruki. Ostłupieliśmy. Wszystkie te modne panie również były łyse! Jak ona!

Podburzone przez Lenorę zerwały się z foteli, zaczęły wykrzykiwać mocne słowa pod naszym adresem i odcięły nam odwrót przez frontowe drzwi.

– W nogi, Lord! – syknął rozpaczliwie Pampers i wyskoczył na korytarz. Ja za nim.

Chcieliśmy dać dyla na dwór, ale już z sali natrysków naprzeciwko zaalarmowane krzykiem wybiegły zawodniczki dżudo, wielkie tłuste kobiety w skąpych kostiumach kąpielowych, wszystkie wagi ciężkiej i wszystkie zupełnie łyse, podobne do japońskich zapaśników w stylu sumo. Spóźniliśmy się o ułamek sekundy. Zdążyły zatarasować korytarz i drogę do wyjścia. Nawet nie próbowaliśmy się przebić, sprawa wyglądała beznadziejnie, tym bardziej, że jednej z nich udało się wyrwać mi torbę. Flakony potoczyły się po podłodze.

– To ci oszuści od farby – krzyknęła grubym altem najtęższa z łysych

kobiet.

– Łapać zbrodniarzy – podniosły się głosy – trzymać ich!

– Gdzie ten miglanc z wąsikiem... ten żulik karaluszek, jak mu tam...

– Sałata – podpowiedziała któraś z zawodniczek.

– Nie Sałata, Saleda! – poprawiła druga.

– Wszystko jedno, dawać karalucha!

– Rozprawimy się z nim!

Dopadły jak erynie do struchlałego Jacka, który rozplaszczyl się na ścianie.

– To nie on – stwierdziła najtęższa z nich przypatrując się bacznie Jackowi.

– To jakiś zgnitek – obejrzała go pogardliwie druga.

– Tak, to nie Saleda – dodała trzecia z atletek.

– To jego agent – wyjaśniła fryzjerka Lenora, która stanęła wzburzona w drzwiach. – Ten chłystek nazywa się Pajak. Przywiózł z sobą chłopca praktykanta, pewnie go ćwiczą w oszustwach.

– Nie szkodzi, niech będzie Pajak! – powiedziała najtęższa, oblizując grube wargi. – Mam pomysł za sto baniek! Zatrzymamy tych gówniarzy jako zakładników i nie puścimy aż Sałata tu przyjedzie! Będzie kino!

Pomysł zachwyił kobiety.

– Tak jest! Dobrze mówi – rozległy się głosy. – Przytrzymać ich!

Zamknąć trucicieli! Zrobimy z tego skandal na cały kraj! Niech przyjadą reporterzy i sfilmują gnojków!

Zawlokły nas do jakiegoś pokoju, który okazał się pomieszczeniem

biurowym i zamknęły na klucz. Ale nie doceniły determinacji Jacusia zwanego Pamperssem. Byłem pełen podziwu. Jego decyzja w tej raczej niewygodnej sytuacji była szybka i prosta.

– Wiejemy, Lord – wskazał na okno. Było wprawdzie zamknięte, ale nie zabezpieczone żadną kratą. – Babska nieopatrność, moje panie – mruknął pod adresem atletek. – Przecież wystarczy stłuc szybę...

To mówiąc zdjął z lampy przy biurku abażur i... założył sobie na głowę. Patrzyłem osłupiały. Zdawało mi się, że zwariował, ale on po prostu z niewiadomych powodów (bo przecież nie był baranem) uznał, że takie rzeczy najlepiej robić głową. I rzeczywiście, pochyliwszy łeb jak baran załatwił okno bez problemów i elegancko, wybijając w nim wielką, zdumiewająco okrągłą dziurę, przez którą przeleźliśmy z łatwością.

Nim nieroztropne kobiety spostrzegły, żeśmy dali dyla, już dopadliśmy do naszego wozu i jak niepyszni zmyliśmy się z Rawy, mając za całą pociechę to, że z tej niefortunnej przygody wynosimy cało głowy.

Oczywiście znów nie odzywam się do Jacka. On sam też jest tak przybity, że nawet nie próbuje nic tłumaczyć, świadom, iż zblaźnił się w moich oczach na całej linii.

Przed pierwszym skrzyżowaniem zatrzymuje wóz.

– Domyślam się, że rezygnujesz ze spółki ze mną – mówi – odwiozę cię więc do Dłubkowa.

Wyjmuje z kieszeni trzy melony i daje mi. Tego się nie spodziewałem.

Patrzę na niego zaskoczony.

– Co to?

– Twój udział. Zwracam ci, żebyś mógł wykupić od Szyjki

magnetowid. Trzymaj! Aha i jeszcze drugie trzy tytułem nawiązki.

Będziemy kwita!

Nie wiem, co powiedzieć. Cholerny z niego psycholog, wie, jak mnie podejść.

– A... a ty? – bąkam speszony. – Co będziesz robić?

Wzruszył ramionami.

– Psy szczekają, karawana jedzie dalej – zamruczał. – Obskoczę

dalszych klientów według harmonogramu. To co się stało, to jeszcze nie

koniec świata. Z "Pytonem" od czasu do czasu zdarzają się takie afery,

no, wiesz, szara strefa czasem bliższa czarnej. Ale nie sądzisz chyba, że

świadomie wpychaliśmy tym kobietom taki bubel. Hurtownik nas

nabrał, to wszystko, szczerze ci mówię, nic nie wiedziałem o szkodliwym

działaniu tej farby. Będę się teraz lepiej pilnował. Od tej pory żadnych

nie sprawdzonych interesów! Nie bój się, "Pyton" nie pociągnie mnie na

dno! Idę z nim do czasu, bo mi po drodze. Nie myśl, że tak będzie zawsze.

Liczy się ostateczny rachunek, w końcu wyjdę na swoje, mam sposoby...

Cześć, Lord! Przyjemnie było przejechać się z tobą – uśmiechnął się do

mnie smutno. – Do zobaczenia za tydzień w rodzinnym miasteczku.

Pomożesz mi taszczyć walizki z melonami. Będą bardzo ciężkie –

zażartował – ale być może dlatego, że dla pucu dopełnię je kamieniami.

Tak czy owak będzie zabawnie... A swoją drogą tyso mi, że cię

zawiodłem... Nie miej mi za złe... może innym razem...

*Tak mówił szelma, wzruszającą wstawił gadkę i skuteczną, bo nagle
ogarnia mnie żal i popełniam chyba najgłupszą rzecz w życiu.*

*– Schowaj! – mówię i odtrącam banknoty. – Jadę dalej z tobą,
oszuście!*

Śmiejemy się obaj, robi się fajnie, znów jesteśmy na luzie.

– Co jeszcze masz na dziś w planie? – pytam.

*– Mały niewinny interes z... emerytami – Pampers uśmiecha się
tajemniczo.*

*Interes z emerytami? To brzmi dość frapująco. Pytam o szczegóły,
ale Jacek nie chce nic powiedzieć poza tym, że jedziemy odwiedzić
DEEES, czyli Dom Emerytów Samotnych.*

*Dom Emerytów Samotnych mieści się na samym skraju pięknej
skarpy nadwiślańskiej, właściwie należało by go nazwać "pałacem
emerytów", bo – jak informuje odrapana tablica na bramie wjazdowej
– to jest naprawdę barokowy pałac z osiemnastego wieku, należący
niegdyś do hrabiów Sinołęckich i stanowi obiekt zabytkowy, prawem
chroniony, którego naruszenie będzie surowo karane. Niestety okazuje
się, że to ostrzeżenie na tablicy niewiele pomogło pałacowi. Uderza mnie
ogólne zaniedbanie "chronionego prawem obiektu". Zachwaszczony
park, błotnisty, rozjeżdżony kołami jakichś ciężkich wehikułów,
podjazd pod kolumnowy walący się portyk, na gmachu wszędzie liszaje
zacieków, na pół urwane rynny, a w dachu wielka, widoczna z daleka
czarna dziura. W dodatku – żadnego śladu życia! Czyżby pałac był*

opuszczony? Okazuje się, że tak jest w istocie. Jacek opowiada mi, że ta szacowna budowla była już dawno przeznaczona do remontu, lecz odkładano go z roku na rok, aż wreszcie przed kilkoma tygodniami, w samą noc wielkanocną wybuchł tu pożar i o mało co nie doszło do tragedii. Szczęściem wicedyrektorka Domu, pani Cytrusiewicz, cierpiała akurat tego dnia na ostre bóle z powodu rwy kulszowej i nie spała, dzięki czemu w porę zauważyła ogień buchający z dachu, narobiła alarmu i pożar szybko ugaszono. Jednakże poważne uszkodzenia budynku zmusiły dyrekcję do ewakuacji wszystkich zamieszkałych tu starców do innych przytułków. Zostały tu tylko dwie osoby z personelu do pilnowania domu i nadzorowania remontu, który ma się niedługo rozpocząć. Istotnie, gdy przyjrzałem się lepiej, widać było osmolone krokwie, sterczące jak żebra szkieletu dinozaura, którego obdarto ze skóry... Przykry widok. I to cholerne błoto. Z powodu wybojów i bajora nie podjeżdżamy pod same drzwi, lecz zatrzymujemy się zaraz za bramą w cieniu wiekowych lip. Główne, frontowe drzwi zastajemy zamknięte. Nikt nie odpowiada na dzwonek i stukanie. Ruszamy na poszukiwania innego wejścia. W bocznym prawym skrzydle znajdujemy wreszcie drzwi z napisem "Administracja", zaopatrzone w wizjer zwany pospolicie judaszem. Stukamy. W okienku judasza pojawia się zaczerwienione oko. Skrzypiący głos każe nam się ustawić z profili, a potem en face. Oko obserwuje nas podejrzliwie, a głos żąda legitymacji. Wolimy ich nie pokazywać.

– Nie mamy legitymacji, zostawiliśmy je w domu – mówi Jacek – ale mamy bilety – pokazuje oku dwa banknoty.

Oko ogląda je z zainteresowaniem, po czym drzwi otwierają się ostrożnie i staje w nich człowieczek w średnim wieku, czupryniasty, brodaty i wąsaty, a w ogóle jakiś włochaty. Jacek informuje, że jesteśmy z Dłubkowa z firmy "Pyton" z polecenia pana Artura Saledy i chcemy rozmawiać z panią dyrektor Cytrusiewicz.

Ani "Pyton" ani nazwisko Saleda nie robią żadnego wrażenia na włochozcu.

– Panowie zgłoszą się jutro – mówi – o tej porze pani dyrektor nie przyjmuje już interesantów.

– Nie jesteśmy interesantami – złości się Jacek. – Robimy biznes z panią Cytrusiewicz. Biznes! Pan wie, co to znaczy? – wręcza włochozcowi bilety.

– Aaa, biznes – włochozcu rozjaśnia się w uśmiechu i ściska nam rękę.

– Cicirko jestem, starszy magazynier i ogólny dozorca obiektu – przedstawia się. – Panowie spoczną w holu. Nie możemy przeszkadzać pani dyrektor. Pani dyrektor jest przed telewizorem. Panowie muszą poczekać, aż pani dyrektor skończy oglądać serial.

Widzę, że w Jacku wzbiera pasja.

– Pan nas zamelduje teraz! To sprawa niezwykle ważna dla pani dyrektor Cytrusiewicz, a my możemy odjechać i jedyna w swoim rodzaju okazja przeleci jej koło nosa. Z pewnością nigdy panu tego nie wybaczy!

Twardy ton Jacka robi wrażenie na ogólnym dozorczy obiekcie. Znika i po minucie wraca z wiadomością, że pani dyrektor Cytrusiewicz nas prosi.

Długim korytarzem Cicirko prowadzi nas do wielkiego gabinetu umeblowanego starymi i zapewne równie zabytkowymi jak pałac meblami. Obwieszcza nasze przybycie pociągając atlasową, szkoda, że brudną i wypłowiałą, szarfą przy drzwiach. Rozlega się donośny dźwięk sygnaturki. Na ten sygnał, gdzieś z głębi pałacu wynurza się wielka tęga niewiasta w skórzanej spódnicy i kurcie, owinięta szerokim fantazyjnym szalem, zwisającym jej aż do stóp. Okazuje się, że to jest właśnie

owa

pani

Cytrusiewicz,

wicedyrektorka,

aktualnie

zarządzająca obiektem. Przyjemnie nam usłyszeć, że jesteśmy miłymi gośćmi.

Pan Cicirko wycofuje się i po chwili wraca niosąc na tacy czekoladowe wafelki i herbatę. Zaproszeni do stolika jemy, pijemy i gaworzymy swobodnie. Pani Cytrusiewicz robi wrażenie kobiety dystygowanej, dość dobrze zorientowanej w politycznej i gospodarczej sytuacji kraju. Jest pełna uznania, że tacy młodzi ludzie jak my zamiast zbijać bąki, wałkonić się i oddawać bezmyślnym rozrywkom, lub – co

gorsza – nałogom bierzemy się do interesów. Mimo to nie kryje swego rozczarowania, że Artur Saleda nie przyjechał osobiście, jak obiecał. Jest ostrożna i czujna. Nurtują ją wątpliwości, czy może z nami załatwić ten, jak się wyraża, "delikatny interes".

Nasze wyjaśnienia, że Artur uległ wypadkowi i ma nogę w gipsie, jakoś nie trafiają jej do przekonania. Sytuacja staje się niezręczna, coraz bardziej kłopotliwa, lecz i tym razem Jacek staje na wysokości zadania. Bystro orientuje się w czym rzecz i bez słowa przechodzi do meritum sprawy, to znaczy pozwala przemówić melonom. By rozproszyć niepokoje nieufnej niewiasty wyklada przed nią na stół plik grubych banknotów w formie apetycznego wachlarzyka.

Cicirko i pani Cytrusiewicz zastygają na moment w milczeniu.

Melony robią duże wrażenie na dystygowanej niewieście. Zgarnia je niedbałym ruchem ze stolika i wachluje się nimi powabnie.

– Proszę iść za panem Cicirko, panie Jacku, pan Cicirko pomoże panu zapakować... – uśmiecha się do nas z wyraźną sympatią. Ja też się podnoszę, ale Jacek powstrzymuje mnie.

– Lepiej przetrzyj przez ten czas szyby, Lord!

Najwyraźniej nie chce, bym mu asystował przy pakowaniu, a także bym został sam na sam z dyrektorką. Wściekły idę do samochodu.

Po kilkunastu minutach pojawiają się Jacek i Cicirko dźwigając fachowo zapakowane w szary papier paczki dość dużego formatu; lokują je w samochodzie.

– Teraz możesz pójść z nami – mówi Jacek. – Pomożesz nam znieść

resztę.

Obracamy dwa razy i wszystkie paczki są już w wozie. Na zakończenie wizyty dostajemy od pani Cytrusiewicz ładne fotografie pałacu i kasetę z nagraniem tutejszego chóru emerytów "Sielanka" oraz ustne zaproszenie do dalszej współpracy, choć nie wiem, na czym ta współpraca miałaby polegać.

Odjeżdżamy serdecznie żegnani przez oboje rezydentów. Jacek jest w doskonałym humorze, wkłada kasetę do odtwarzacza i przestuchujemy chór starców. Śpiewają niezłe, choć smutno.

Nie pytam Jacka, co jest w tych paczkach i dokąd je wieziemy, ćwiczę powściągliwość i opanowanie, zresztą wiem, że i tak wkrótce wszystko się wyjaśni, na pewno Jacek sam mi powie. Jednakże widząc jego zaabsorbowanie

prowadzeniem

wozu

i

pieśniami

emerytów

postanowiłem ukradkiem zbadać "towar". Ostrożnie wsuwam rękę za oparcie fotela i próbuję namacać najbliższy pakunek. Niestety Jacek zauważa mój manewr i bije mnie po łapie.

– Nie psuj opakowania! – warczy.

– Chyba już mogę zobaczyć, co jest w paczkach? – mówię.

– Nic ciekawego – odpowiada. – Towar.

– Ale jaki?

– Białe w różowe groszki.

– E, nabijasz się ze mnie. Mów poważnie. Co tam jest?

– Bielizna.

– Koszule, majtki?

– Nie. Bielizna pościelowa.

– We wszystkich paczkach bielizna?

– Tak. Po pięć kompletów w jednym opakowaniu; a w każdym komplecie duża poszwa, poszewka i prześcieradło.

Zatyka

mnie.

Jestem

przykro

rozczarowany

i

głęboko

zdegustowany.

*– Chcesz powiedzieć, że kupiliśmy brudną bieliznę po emerytach? –
wybucham.*

Jacek śmieje się.

– Skądże! Bielizna jest całkiem nowa.

– Jesteś pewien, że nie używana?

*– Ależ tak! Sprawdziłem. Niektóre komplety mają jeszcze fabryczne
opakowania. To bielizna z darów, świeżo zakupiona z funduszu pomocy*

społecznej SOS. Nie zdążyli jej ani razu użyć...

Przetrawiam ponuro w myśli ten zakup.

– Czy chociaż ładna? – bąkam.

– Całkiem przyjemna. To zresztą nieważne. Grunt, że tania.

Wybulilem raptem cztery miliony za pięćdziesiąt kompletów. Po osiemdziesiąt patyków za jeden.

– I co z tego będziemy mieć? – pytam nie przekonany.

– Jak to co? To jest okazyjne kupno, stary. Wyjątkowa taniocza.

Taki komplet na rynku wart jest trzy razy tyle...

Coś mi w tym wszystkim nie gra.

– Nie rozumiem... – mruczę zaaferowany. – Jeśli jest tak jak mówisz, to czemu się pozbyli kompletów za tak nędzną cenę.

– Po prostu na razie im niepotrzebne. Po pożarze staruszków rozlokowano gdzie indziej. Więc po co te bety mają leżeć? To byłaby czysta strata, zwłaszcza, gdy dyrekcji pilnie potrzebna jest gotówka, a w magazynie kapie przez dziurawy dach. Prosty rachunek podpowiada, że lepiej obrócić tą bielizną, to znaczy, chciałem powiedzieć, spieniężyć ją, a forszę przeznaczyć na remont... Racjonalne, nie?

Jedziemy przez chwilę w milczeniu.

– Mamy dość nietypowe źródła zaopatrzenia – zauważam złośliwie.

– To fakt – Jacek zgadza się spokojnie – raczej nietypowe, już ci mówiłem, że tylko na takich "nietypowych" transakcjach można "nietypowo" zarobić, to znaczy nadzwyczajnie. Chyba kapujesz, że w naszej sytuacji, kiedy nic jeszcze nie mamy, prawie żadnego kapitału,

nie możemy iść na zwykły zysk, na pospolity handelek z 20 procentami

marży. Musimy mieć szybkie przebicie, co najmniej stuprocentowe!

Podwojenie, potrojenie stawki, tylko to nas interesuje.

– I myślisz, że nam się uda?

– Mów. Czy coś jeszcze cię gnębi?

– Tak. Czemu w takim razie dyrekcja Domu sama nie postarała się o taki zysk i oddaje nam towar za pół darmo? Ta Cytrusiewicz wyglądała przecież na rozsądną i obrotną kobietę.

Jacek wzrusza ramionami.

– Nie wiem, może nie mieli kupca. W końcu to jest zapadła dziura.

– Czemu nie rozejrzeli się dalej, nie poszukali?

– Już powiedziałem ci, może byli przypileni, a może... może niewygodnie im było szukać.

– Co masz na myśli?

– Nic – uciął Jacek jakby zmieszany. – Nie zapominaj, że to są tylko urzędnicy. A urzędnicy są nieruchawi i zwykle idą na łatwiznę. Akurat złożyliśmy im ofertę, to znaczy Artur złożył, więc na to poszli...

– A właśnie, skąd, do licha, Artur się o tej bieliźnie dowiedział?

– On ma psi węch do tych spraw... To kwestia nosa i handlowej smykałki. Po prostu wyczytał w gazecie, że był pożar w domu emerytów w Zdzichowie i od razu pomyślał, że jeśli tych staruszków stamtąd zabrano, to być może zostały po nich różne rzeczy i warto wysondować, czy nie kroi się tam dla nas jakaś korzystna transakcja, może dwie...

Zapamiętaj, stary, tak zwane wypadki losowe to zawsze dobra okazja

dla obrotnych ludzi...

– Cudze wypadki – poprawiam.

Jacek spojrział na mnie spode łba.

– Lepiej słuchaj, a nie przerywaj, przyda ci się. Jak widzisz, Artur

główkował bezbłędnie. Pojechał, wysondował, no i mamy te bety za pół

darmo. On ma psi węch!

– Raczej węch szakala – zauważam ironicznie.

– Dobrze powiedziane, choć złośliwie – Jacek śmieje się.

Chrząkam i wyrażam pogląd, że problem nie został jeszcze

rozwiązany i, że zakup tych cholernych betów to dopiero połowa tego

wątpliwego interesu i to połowa łatwiejsza, a co ze zbytem? Upchnięcie

takiej ilości bielizny nie wydaje mi się ani proste, ani możliwe w ciągu

paru dni.

Jacek kiwa głową z politowaniem.

– Czy ty myślisz, że bralibyśmy te bety, gdybyśmy nie mieli

zaklepanego odbiorcy?

– A mamy?

– Jasne, że mamy. Bierze całość i z zamkniętymi oczami.

Pytam, kto jest tym szczęśliwym nabywcą, ale Jacek wpatrzony w

lusterko, klnie pod nosem.

– Co się stało?

– Jedzie za nami.

– Kto?

– Ta czerwona toyota.

– Jesteś pewien, że to ta sama co na Okęciu?

– Ta sama!

Niestety nie mogę się przyjrzeć dokładnie, bo właśnie nad nami przelatuje z ogłuszającym warkotem samolot rolniczy typu "Gawron" i częstuje nas jakimś duszącym, drażniącym świństwem, które rozpyła na pola. Zanoszę się kaszlem.

– Zamknij okno – charczy Jacek – otrują nas!

Już za późno. Samochód pełen gryzącego pyłu tej trucizny.

Zatrzymujemy się na poboczu. Toyota mija nas w pędzie. Szczęściem po drugim nawrocie odlatuje ten powietrzny pirat. Wietrzymy samochód.

Oddychamy ciężko, jak niedoszli topielcy... Ponawiam moje pytanie, gdzie posiali tego durnia, co bierze od nas bieliznę.

– W Ludwisinie – odpowiada Jacek – sto parę kilometrów stąd.

– Co tam jest? Kolonia karna? Zakład odwykowy dla narkomanów?

Jacek wyjaśnia, że znajduje się tam były ośrodek szkoleniowy jakiegoś związku, obecnie we władaniu pana Golda z firmy "Manhattan",

który

go

wynajął

i

prowadzi

tam

kursy

przystosowawcze.

Zastanawiam

się

do

czego?

Czy

do

życia

na

własną

odpowiedzialność? To mogłoby być nawet ciekawe, chcę zauważyć głośno, ale akurat mija nas długi konwój zdezelowanych rżących ciężarówek i aplikuje nam solidną porcję czarnych spalin. Na pół uduszeni wskakujemy do wozu, odjeżdżamy szybko i... pakujemy się prosto w strefę żółtego gryzącego dymu z kominów pobliskiej fabryki.

– Gdyby to był kurs przystosowawczy do życia bez oddychania, zapisałbym się bez namysłu – oświadczam ponuro.

– Niestety – wzdycha Jacek – to jest kurs przystosowawczy dla menedżerów do pracy w skomputeryzowanych przedsiębiorstwach.

Kiszki nam marsza grają. Namawiam Jacka, żeby zatrzymał się przed jakąś gospodą; ulega w końcu i wstępujemy do baru w Stanisławowie. Chcę zamówić obiad, ale mi nie pozwala. Nie mamy czasu, najemy się po zakończeniu transakcji w motelu "Charles", to niedaleko Ludwisina, a teraz tylko przekąska. Wcinamy więc dwie

chude kanapki i popijamy herbatą. Za to już o siódmej z minutami zajeżdżamy do Ludwisina. Ośrodek faktycznie przypomina trochę kolonię, z tym, że raczej kolonię letnią dla dzieci. Jakieś baraczki, parę jednopiętrowych pawilonów i jeden duży budynek, z dumnym napisem: "Aula", w którym chyba mieści się administracja, jadalnia, no i sala wykładowa. Na progu auli wita nas wyraźnie ucieszony pan Gold we własnej osobie, okrągły, ruchliwy i bardzo energiczny biznesmen. Nie ukrywa, że spadamy mu z nieba. Lękał się, że Artur nie zdąży na czas dostarczyć pościeli, a tu kursanci już jutro zaczną się zjeżdżać.

To miłe czuć się tak potrzebnym i pożądanym. Wstyd mi trochę, że tak wybrzydzałem na tę transakcję i nie doceniałem roli bielizny w dziele komputeryzacji nowoczesnych przedsiębiorstw. Przy sposobności dowiaduję się w trakcie rozmowy, skąd wzięły się te zdumiewające powiązania Artura Saledy z panem Goldem. Otóż poznali się jeszcze za granicą. Artur przez pewien czas był szoferem, a następnie gorylem pana Golda.

Wyjmujemy paczki z towarem i roznosimy po pawilonach sypialnych. Niecierpliwie czekam na moment zapłaty. Wkrótce nadchodzi ta chwila. Wpatruję się w banknoty wykładane przez Golda na zielony stół w sali konferencyjnej. Czy faktycznie wybuli te dziesięć melonów? Liczę. Tak jest! Bez zmrużenia oka Gold odliczył nam dwadzieścia pięćsetek. Żegnamy się. Gold przeprasza, że nie częstuje nas kolacją, ale kuchnia zacznie pracować dopiero pojutrze, kiedy zacznie się kurs. Za drzwiami dzielimy się "łupem" i znikamy.

W samochodzie dwa razy wyjmuję z kieszeni spodni moje sześć melonów. Oglądam. Wprost nie chce mi się wierzyć. A jednak! Tak, to nie jest złudzenie. W niespełna cztery godziny podwoiłem kapitał!

– No widzisz, nie wierzyłeś – mówi rozpromieniony Jacek. – Trafiają się złote interesy, Lord. I tak już od tej chwili będzie. Długie pasmo zysków. Melony w kolejce do naszej kieszeni.

To pięknie, mam jednak przykre wrażenie, że oszwabiliśmy pana Golda, ale Jacek wyśmiewa moje skrupuły.

– Człowieku, on też ze swojego punktu widzenia zrobił niezły interes. Pomyśl, ma fabrycznie nową bieliznę pościelową w ładne kropki, bez kłopotów, z dostawą na miejsce i taniej niż w hurtowni, nie mówiąc już o sklepie.

Ukoivszy niepokój sumienia popadam w euforię. Coś się ze mną dziwnego dzieje. Ogarnia mnie przyjemne podniecenie, chyba jeszcze nigdy

nie

przeżywałem

czegoś

podobnego!

Tak

czuje

się

prawdopodobnie hazardzista, któremu wyszedł w końcu upragniony numer przy ruletce. Handel to wspaniała, cudowna gra! Chcę grać

dalej.

– Stary – sapię w stronę Jacka – jest pogodny wieczór, dopiero ósma, jeszcze widno. Co nam szkodzi obrócić drugi raz forsq? Może da się zrobić jeszcze jedną małą transakcję?

Jacek parska śmiechem.

– Wciągnęło cię, co? Gorączka zaczyna nas trawić? Znamy tę gorączkę, to gorączka fuksów. Ale musisz się opanować. Spójrz w lusterko, zobacz jak ty wyglądasz. Prawdziwy kupiec ma pokerową twarz!

– Ale posłuchaj...

– Nie! Powiedziałem, na dzisiaj dość. Przystajemy myśleć o interesach. Relaks. Tego wymaga higiena psychiczna. Trzeba umieć się odprężyć. Musisz jeszcze przerobić tę lekcję.

Zajeżdżamy z fantazją pod motel. Koła wozu chrzęszczą na żwirowej nawierzchni dróżki dojazdowej. Zza kępy drzew wylania się świetlisty wielki neonowy napis: "Charles". Jacek hamuje z piskiem opon.

Podczesuje się w lusterku samochodowym i ogląda sobie z troską pryszcz na nosie.

– Cholera, że też musiało mi to wyskoczyć – złości się. – No, nic, zasuwamy! Kolacja i lulu, stary. Za to jutro kroi nam się klasyczna transakcja.

– Gdzie?

– W Radomiu.

Chcę się dowiedzieć czegoś więcej, ale Jacek swoim zwyczajem nie

ujawnia szczegółów.

– Branża obuwnicza – informuje krótko.

Motel jest nowy, czysty i zadbane, lśni świeżą farbą i lakierem. Na parkingu kilka limuzyn i furgonetek, jakiś TIR, a także porę wozów konnych.

– Przed kolacją muszę zadzwonić do Artura – mówi Jacek. – Na razie siadź sobie przy bufecie i napij się czegoś.

Siadam na wysokim stołku przy barku i popijam zimną colę, którą serwuje mi sam szef motelu, pan Karol, rumiany, uśmiechnięty wielkolud.

Jacka długo nie widać, a gdy wreszcie pojawia się w sali, zamiast do mnie kieruje się w przeciwną stronę, bo... no, właśnie... Ze schodów

wiodących do piwnicy wyłoniła się hoża dziewczyna ze wspaniałym grubym warkoczem pszenicznej barwy. Domyślam się, że to owa

Pamela, o której zostałem "uprzedzony". Dźwiga pękaty słój ogórków.

Jacek niemal w susach trójskoczka zasuwa do niej i usłużnie wyręcza ją w transporcie wiktuałów. Oboje znikają za drzwiami kuchni.

Wzdycham ciężko. Chyba będę musiał dłużej poczekać, bo z kularów kuchennych dochodzą mnie znamienne odgłosy rżenia i chichoty.

Prawdopodobnie Jacek przerabia razem z Pamelą lekcję higieny psychicznej, do której mnie zachęcał.

Zamawiam kolejną butelczynę i rozglądam się po motelu. Właśnie wkroczył na salę kołyszącym się, kowbojskim krokiem niewielki chuderlawy chłopina w dużym czarnym kapeluszu, w okularach i z

wyrazem głębokiego cierpienia na szerokiej, uczciwej, mazowieckiej twarzy.

Poprawił nerwowo okulary i po chwili wahania zbliżył się do barku.

Przechyliwszy się przez ladę dłuższą chwilę perorował jękliwie przy uchu pana Karola. Pan Karol słuchał coraz bardziej niecierpliwie, wreszcie kręci głową.

– Nie potrzeba – słyszę jego stanowczy głos.

– Nie weźmie pan ani setki? – jęczy chłopina.

– Ani setki – ucina Karol.

– No, to mnie dasz pan setkę – westchnął chłop okularnik – co za życie, co za los, Matko Boża!

– Setkę? – nie bardzo zrozumiał Karol.

– Setkę czyściochy, derektorku. Trza mi zalać robaka.

– Tylko setkę? – zapytał raczej zdziwiony Karol.

– Tylko, szefie. Umiarkowany jestem w jedzeniu i picciu.

Karol nalał mu do szklaneczki, a napoczętą butelkę postawił obok, tak na wszelki wypadek... Chłopiek popijał skąpymi łydkami pojękując:

– Co za nieszczęście! Matka Boża mnie opuściła. Za co zostałem tak pokarany? Za jakie grzechy? – pytał Karola, niestety Karol nie potrafił

mu odpowiedzieć na te proste pytania, a jedyne co mógł zrobić dla

niego, to znieczulić go alkoholem. Jednakże "kowboj mazowiecki"

zaimponował mi godnym szacunku umiarkowaniem i po zaaplikowaniu sobie dwu setek "na robaka" dał piękny pokaz wstrzemięźliwości.

Szerokim, piastowskim gestem odsunął od siebie butelkę, którą barman

kusząco postawił był przed nim, uregulował należność i skarżąc się na swój los ruszył ku wyjściu nieco tylko bardziej niż przedtem kołyszącym się krokiem kowboja (nadbużańskiego).

Pan Karol i ja odprowadziliśmy go wzrokiem.

– Smutny facet – rzucam uwagę.

– Ma powody. Spotkało go faktycznie duże nieszczęście – mówi pan Karol. – Miał niezłą fermę kurzą pod Rybieniem, lecz przyszła straszna zaraza, pomór drobiu i w ciągu jednego tygodnia, jak powiada, stracił prawie wszystko. Parę tysięcy kur padło trupem.

– Czego on od pana chciał?

– Sprzedać mi resztę jaj, jaka mu została, bardzo tanio chciał sprzedać, bo go przypiliło. Został z rodziną bez środków do życia, w dodatku zadłużony w banku. Cholernie ryzykowny interes takie fermy.

Robi mi się żal "kowboja".

– Czemu nie kupił pan od niego tych jaj?

– Mam stałego dostawcę i zapas na cały miesiąc; gdzie bym to trzymał?

Szybko główkuję dopijając colę.

– Po ile on chciał? – pytam nagle Karola.

– Czteryście za sztukę.

Kalkuluję błyskawicznie. Nawet u nas w Dłubkowie były ostatnio po osiemset, a w dużych miastach, na przykład w takim Radomiu, gdzie wybieramy się jutro, na pewno placą po tysiąc i więcej. Miałbym więc przebicie niemal potrójne! Na dziesięciu tysiącach jaj zarabiam sześć,

siedem melonów! Węszę dobry interes. Przypominam sobie słowa Jacka. Wypadki losowe to okazja dla obrotnych ludzi, a więc także pomór kur na fermie. Nadzwyczajne sytuacje dają nadzwyczajne zyski. Artur Saleda na tym bazuje. Chyba więc mogę śmiało iść w ślady Artura Saledy.

Rzucam na ladę banknot i nie czekając na resztę zsuwam się ze stołka i biegnę za farmerem, który właśnie nagabuje na parkingu jakiegoś szofera z ciężarówki.

– Trzysta jak dla pana, niech stracę! – słyszę jego płaczliwy głos, ale szoferak nie jest zainteresowany.

– Dwieście! – mówię zbliżając się do "kowboja". Zatyka mnie z emocji. Pierwszy raz w życiu przystępuję do transakcji na milionową skalę, prawdziwej transakcji handlowej.

Chłop okularnik taksuje mnie podejrzliwym wzrokiem. Muszę zadziałać wizualnie. Wyjmuję w tylnej kieszeni plik banknotów.

"Kowboj" patrzy łakomie.

– Trzysta! – chrypi.

– Dwieście! – chcę zadeklarować twardo, ale z nerwów wychodzi mi koguci falset.

– Ile pan chciałbyś? – chrząka "kowboj".

– A ile tych jajeczek?

– Trzy tysiące sześćset sztuk.

– Płacę dwieście za sztukę i biorę wszystko – macham w powietrzu plikiem banknotów. – Ale pomoże mi pan załadować.

"Kowboj" umilkł na moment jakby zatkany i tylko gapił się w moje melony.

– Niech będzie moja strata – jęknął wreszcie rozpaczliwie. – Chodź pan!

Idę za nim. Na wymoszczonej suto słomą furmance z wysokimi latrami piętrzyły się "plastry" z jajami. Oglądam je dokładnie. Są dość duże, czyste, o ciemnych skorupkach.

– Prima sort – chwali chłop okularnik. – Pan na handelek?

– Zgadza się.

– Obłowisz się pan. Pójdzie wszystko detalicznie bez kłopotu, to karmazyny, znasz pan, z czerwonym żółtkiem, klejentki takie lubią.

Gdzie to załadujęm? Masz pan tu wóz?

– Tam! – pokazuję i nagle z ust wyrzywa mi się gniewny okrzyk, bo widzę, że właśnie dwu złodziejasków małolatów włamało nam się do samochodu. Alarm dźwiękowy nie zadziałał. Czyżby Pampers

zapomniał go włączyć? Pędzę wściekły wrzeszcząc: "łapać złodziei!"

Spłoszone małolaty rzucają się do ucieczki. Dopadam do wozu, rozglądam się po wnętrzu i stwierdzam z ulgą, że niczego nie brakuje.

Pętaki wyciągnęły wprawdzie spod siedzeń pudełka po Johny Walkerze, te z prezentami od Artura Saledy i Jacka, ale szczęśliwie nie ukradli ich.

Może uznali, że nie warto, bo po małym ciężarze zorientowali się, że nie ma w nich butelek z whisky, a może po prostu wpadli w popłoch widząc, że ich nakryłem... Tak, chyba całkiem stracili głowę, bo zostawili nawet pęk złodziejskich kluczyków w drzwiach. Nowicjusze w zawodzie.

Wpycham z powrotem ocalone prezenty pod fotele i z pomocą kowboja nadbużańskiego zabieram się do przeładowania na nasz wóz plastrów towaru. Jest ich sto dwadzieścia – ledwie się mieszczą w naszym kombi. Myślę, chichocząc w duchu, o Jacku. Ale będzie miał minę, jak zobaczy swój wózek zapchany pod dach jajami! Zatkan go z wrażenia, gdy się dowie, jaki ubiłem kokosowy interes! Zzielenieje z zawiści, gdy mu powiem, za ile to kupiłem i jakie będę mieć na tym przebicie!

Odliczam siedemset dwadzieścia patyków. Kowboj nadbużański łapie je chciwie i pojękując odchodzi do swej pustej furmanki, a ja, spocony z emocji z trochę nieczystym sumieniem, bo przeświadczony, że wykorzystałem handlowo nieszczęście farmera, wracam do barku i funduję sobie duży kielich wermutu "Cinzano", żeby oblać tę moją pierwszą samodzielną transakcję.

Koło barku robi się tłoczno. Dwu facetów przysiada się do mnie, jeden po prawej stronie, drugi po lewej. Obaj noszą koszulki z napisem "Yuppie", ale nie bardzo to im poprawia wygląd. Dawno już nie widziałem podobnie żalonych mord. Jeden w dodatku garbaty, a drugi nieprzyzwoicie wręcz gruby. Ale muszą im przyznać, że starają się być uprzejmi i strugają dobrze wychowanych chłopców. Zagajają sympatycznie na temat motelu. Jakie to błogosławieństwo dla całej okolicy. Jest gdzie przyjść przez okrągłutką dobę, TV albo wideo obejrzeć, wyżalić się i popłakać, kumpla spotkać, piwka popić. A mają tu doskonałe piwko. Do wyboru, także duńskie i holenderskie, ale

najlepsze to "Amstell". Czy już piłem "Amstella"? Chcą mnie poczęstować swoim, ale odmawiam tłumacząc się, że pijam tylko do obiadu. Częstość mnie wobec tego papierosami marlboro, "nie palę" – mówię, ale oni naprzykrzają się, a jeden z nich jest w dodatku tak niezręczny, że wypuszcza paczkę z rąk. Papierosy rozsypują się po podłodze. Wypada mu także zapalniczka. Chyba facet ma już dobrze w czubie. Wszyscy trzej zsuwamy się ze stoików i szukamy tej zapalniczki. Wpadła jakimś cudem aż pod ladę; w rezultacie znajduje ją i podnosi Karol.

Nareszcie zjawia się Jacek. Jest bardzo zadowolony, że zastaje mnie z butelką "Cinzano". Odciąga mnie od barku i sadza przy stoliku pod oknem. Okazuje się, że już zamówił dla nas różne smakowitości, polecone mu specjalnie przez Pamelę. Co za organizacja! Nie czekamy nawet trzech minut i już obiad wjeżdża na stół. Pieczeń sarnia, indyk z borówkami, frytki, sałaty, ogórasy, pomidorasy, a na końcu dostajemy torty i kawę. Proponuję cicho coś mocniejszego, jakiś likierek albo przynajmniej półwytrawne sherry, ale drań odmawia umyślnie głośno: "Wiesz, że nie piję z zasady". I wiem, dlaczego to robi. Bo w drzwiach stoi Pamela i obserwuje nas z daleka uśmiechnięta. Więc Jacuś zgrywa się na abstynenta.

Koniec obiadu. Czas płacić. Umawiamy się, że płacimy po połowie. Sięgam do kieszeni i nagle ręka mi nieruchomieje. Kieszeń jest pusta! Grzebię po kolei we wszystkich kieszeniach, lecz nigdzie nie ma forsy. Rozglądam się, czy mi nie wyleciała. Nie, nic nie leży na podłodze!

– Co się stało? – Jacek patrzy na mnie z niepokojem.

– Moje pieniądze – belkoczę – moje melony...

– Co melony?...

– Ukradli mi, łobuzy! – martwięię z rozpaczy.

`pa

Rozdział IV

Jak oczyszczono mnie z melonów? Jeszcze nic straconego! Świetny występ Pameli. Jak zmienilem się w kundla Miziołka. Operacja na nodze Garbatego. Wielka nocna rozgrywka na urlowskich polach.

– Co za złodziejska okolica! – belkoczę płaczkliwie. – Jak byleś w kuchni przepędziłem jakichś bezczelnych szczyli, którzy chcieli obrobić nasz wóz, a teraz ci...

– Jacy "ci"? – Jacek patrzy na mnie zdenerwowany.

– No... "yuppies"!

– "Yuppies"? Jak wyglądali?

– Jeden był garbaty... i... i długowłosy.

– Garbaty yuppie?

– A drugi to taki... taki popisowy grubas z łysinką. Obaj mieli koszulki z napisem "Yuppie". Byli przy barze, zagadywali mnie... To na pewno oni!

– Ale w jaki sposób mogli ci ukraść?

– Nie wiem... może wtenczas, jak upadły im papierosy i zapalniczka, schyliłem się wtedy...

– Gdzie trzymałeś forszę?

– No, w kieszeni, w tylnej kieszeni spodni.

– Kto tak nosi pieniądze! – oburza się Jacek.

– A niby gdzie miałem trzymać?

– A tu, zobacz! – Jacek podnosi nogawkę spodni.

Widzę, że ma skarpetkę z ciasną, mocno przylegającą do ciała gumką, a nóżkę pod tą skarpetką wyraźnie zgrubiałą.

– Cierpisz na puchlinę nogi, czyli tak zwaną słoniowatość? – pytam i sam sobie się dziwię, skąd mnie stać jeszcze na taki humorek.

– Żeby ci zawsze tak nóżka puchła! – sapie Jacek.

Rozglądamy się po motelu, ale po "yuppies" już oczywiście ani śladu.

Pan Karol informuje nas, że jak tylko odszedłem od barku, oni też zaraz się wynieśli. Nie zna ich. To jacyś nowi. W każdym razie nietutejsi. Może "objazdowi" na gościnnych występach.

– No to leżymy na obie łopatki. Szukaj teraz wiatru w polu! Co za głupol z ciebie! – na nowo pieni się Jacek i dalej swoje: – Forsę nosimy na nodze, kretynie!

– Sam jesteś kretyn – odgryzam się. – Skąd mogłem wiedzieć? To są knajackie zwyczaje. Nie uprzedziłeś mnie, nie powiedziałeś...

– No tak, oczywiście! – warczy Jacek. – Zapomniałem, że Artur wtrynił mi do kompanii zielonego jak szczypior szczyla! Moja wina!

– Pewnie, że twoja! A kto mnie posadził przy barku i kazał czekać?

Nie trzeba było tak długo się obcyndalać z Pamelą.

Moja zuchwałość zatyka Jacka. Zapewne rozkwasiłby mi facjatę, ale

Pamela znów pokazała się w sali, więc opanował się i zasyczał tylko:

– Zamknij się, przyszczy, bo jeszcze jedno słówko... i zabraniam ci raz na zawsze wspominać o Pameli! – wycedził patrząc na mnie z odrazą. – Uciążliwy jesteś, Lord, wiesz? Pomocy mało, a nawet na chwilę nie można cię spuszczać z oczu. Tak już dobrze nam szło, a ty zawałiłeś wszystko. To już właściwie koniec interesu, no bo z czym do Radomia, jak połowę kapitału diabli wzięli!

– No, nie całą połowę – sprostowałem niemrawo.

– Jak to nie całą?

– Bo... bo część za... za... zainwestowałem.

– Co ty bredzisz? – zdumiał się Jacek. – W co zainwestowałeś?

– W towar, bardzo chodliwy.

– Kiedy, u licha, zdążyłeś?!

– Jak ty się migdałiłeś z Pamelą w kuchni.

– Zakazałem ci wymawiać tego imienia, barani skopku! – Jacek poczerwieniał niebezpiecznie.

– Przepraszam, Pampers – wybelkotałem. – Wyrwało mi się.

– Pamiętaj, jak jeszcze raz ośmielisz się wycierać sobie Pamelą swoją brudną gębę... to...

– Tak, wiem, co się stanie – przerwałem szybko i zmieniłem temat. – A co do towaru, to pomyślałem, że warto coś załadować, jak jedziemy do Radomia. Wujek Teo~s mówił, żeby wystrzegać się pustych przebiegów, bo to strata...

– Załadować?! – Jacek zmarszczył brwi. – Chcesz powiedzieć, że ten towar...

– Jest już w wozie. Chcesz zobaczyć?

Jacek wybiegł zaniepokojony na dwór, doskoczył do swojego kombi, otworzył tylnie drzwi i osłupiał.

– Co to? – wymamrotał.

– Jaja – wyjaśniłem spokojnie. – Karmazyny, pierwszy gatunek.

Dobre, wiejskie jaja.

Jacek wodził wytrzeszczonymi oczyma od dołu do góry i z powrotem.

– To wszystko jaja?!

– Wszystko – oświadczyłem z dumą. – Dokładnie trzy tysiące sześćset sztuk. Interesują mnie tylko grube transakcje.

– Oszalałeś?! Zapchać mi wóz jajami aż po dach?!

– To znakomity interes – zapewnilem go i wyjaśniłem rzeczowo na czym polega handlowy urok tej transakcji. – Sam powiedziałeś:

"wyjątkowa okazja – wyjątkowy zysk" – zakończyłem. – Zobaczysz, wezmę za te jajeczka co najmniej cztery melony w Radomiu, a to jest procentowo zysk, o jakim się nawet Arturowi Saledzie nie śniło.

Sześciokrotne przebicie!

Jednakże Jacek, ku mojemu zdziwieniu, nie okazał zachwytu.

– Człowieku – jęknął – komu to upchniesz? Jaj jest pełno na rynku, a ty nie masz umówionego hurtownika. Gdzie to będziesz sprzedawać i komu? Na ulicy, różnym babinom po pięć sztuk? Ile to by zajęło czasu i atlasu!

– A co mi innego po tej kradzieży pozostaje? – odparłem z determinacją. – Straciłem całą gotówkę! Cztery okrągłe melony! –

poczułem nagle, że oczy mi zwilgotniały i nie panuję już nad sobą. Jak szczeniakowi wyrwał mi się z piersi zgoła niemęski szloch.

Jacek chrząknął zakłopotany.

– No, no nie rozklejaj się – próbował mnie pocieszyć. – Może jeszcze nie wszystko przepadło. Jeśli złapiemy tych złodziei...

– Jak ich złapiemy – zalkałem. – Sam powiedziałeś: "szukaj wiatru w polu".

– Nawet wiatry... niektóre wiatry można... przyskrzynić – powiedział.

– Myślisz, że jest jakaś szansa? – otarłem oko.

– Owszem – jedna maleńka.

– Jaka?

– Wszystko zależy od tego, czy mamy do czynienia z zimnymi zawodowcami, doliniarzami, czy też z pospolitymi obwiesiami z gatunku tych pijaczków, co po prostu kradną szmal na wódę, żeby sobie popić. Jeśli więc obrobili cię tacy pijaczkowie, to pewnie teraz gdzieś niedaleko przepijają twoje pieniądze i...

– I można ich wziąć za frak? – ożywiłem się.

– No, nie tak łatwo, bo tu znów wszystko będzie zależeć od tego, czy to są pijaczkowie bufetowi czy plenerowi...

– Plenerowi?

– Tacy, co piją pod chmurką na zielonej trawce... Oczywiście mogą być jeszcze pijacy meliniarze, co popijają w swoich norach, ale ci chyba nie wyglądali na meliniarzy. Meliniarze nie afiszowaliby się w motelu.

Ci złodzieje to raczej światowcy, bywalcy lokali... Jeśli więc szczęście nam dopisze, to przyłapiemy ich jeszcze dziś w najbliższym barze w okolicy...

– Co się stało? Czemu macie takie głupie miny? – usłyszeliśmy dźwięczny alt niewieści.

Obróciliśmy się. Zmierzala do nas uśmiechnięta Pamela.

Jacek opowiedział jej, jakie nieszczęście mnie spotkało. Zapytaliśmy ją, gdzie są jakieś lokale z alkoholem w niedalekim sąsiedztwie.

Dowiedzieliśmy się, że najbliższy jest w Urlach nad Liwcem, nowo otwarty bar-dyskoteka "Kopciuszek", poza tym jest lokal w Rybieniu Leśnym nad Bugiem, w Kamieńczyku, no i oczywiście w Wyszkanie.

Decydujemy się spenetrować najpierw Urle. Chcę jechać tam natychmiast, ale Jacek proponuje ustalić w pierw plan akcji. Założmy, że faktycznie zastajemy tych "yuppies" w barze, czy w dyskotecce. Siedzą i popijają. Ale jak im odebrać melony? Mają przewagę fizyczną, mogą w dodatku być jeszcze z jakimiś innymi kumplami.

Czuję, że opuszcza mnie animusz.

– Może lepiej zawiadomić policję – bąkam nieśmiało.

– Głupi! – Jacek z miejsca odrzeka ten projekt. – Jaka policja uwierzy, że taki fafel małolat jak ty miał przy sobie cztery melony.

– Ty zaświadczysz – mówię. – Pan Gold zaświadczy.

Jacek chrząka stropiony.

– Wolałbym nie wspominać policji o naszych interesach.

– Czemu?

– No, wiesz, policja lubi się czepiać wszystkiego, zaczął sprawdzać, niuchać, a złodzieje ulotnią się tymczasem. Zresztą gdyby nawet nam uwierzyli, to jaki masz w końcu dowód, że to ci "yuppies" cię okradli? Za rękę ich nie złapałeś, a oni wyprą się łatwo wszystkiego.

– Po banknotach będzie można poznać, że to oni. Na jednym stukniętym ktoś dorysował Moniuszce spiczastą czarną bródkę i zabójczy wąsik, a drugi – pięćsettyśięcny – miał dużą tłustą plamę...

Zapamiętałem dobrze. Oglądałem te pieniądze parę razy.

– Nie możemy na to liczyć – mruknął Jacek. – Takie znaczono banknoty mogli od razu gdzieś schować albo rozmienić. Nie, Lord, lepiej poradźmy sobie sami. Trzeba wymyślić coś sprytnego...

– Co?

– Zaraz... spokojnie – zamruczał Jacek. – Czy nie zauważyłeś przypadkiem, gdzie oni trzymają forszę?

– Chcesz wiedzieć, w której kieszeni?

– Czy... w ogóle w kieszeni – Jacek mrugnął do mnie okiem. – Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem, ale... ale nie zwróciłem uwagi. Nie zauważyłem...

– Przypomnij sobie dobrze, musiałeś coś zobaczyć. Siedzieli blisko przy tobie. Czy płacili za piwo?

– Chyba tak...

– Jesteś pewien?

– Tak, przypominam sobie. Garbaty płacił.

– Czy widziałeś, skąd wyciągał pieniądze?

- Nie, nie zauważyłem.*
- Musiałeś coś zauważyć. Skoncentruj się.*
- Zauważyłem tylko, że Garbaty... – urwałem zakłopotany.*
- Co Garbaty?*
- Raz schylił się do samej podłogi – powiedziałem i w tym momencie doznałem czegoś w rodzaju iluminacji. – Nie myślisz chyba, że on też, tak jak ty...*
- Myślę, że schylił się nie po to, żeby podrapać się w tydkę – odparł Jacek. – Oczywiście to nie jest pewne, ale chyba możemy przypuszczać, że łobuz trzyma pieniądze na nodze.*
- A gdyby tak faktycznie było?*
- Gdyby tak było, to by nam znacznie uprościło sprawę. Stolik – nakryty długą serwetą, nogi pod stołem... Czy domyślasz się, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić?*
- Chyba tak! – wykrzyknąłem. – Jedźmy tam zaraz!*
- Chwileczkę – powstrzymała mnie Pamela. – Jeśli dobrze zrozumiałam, to chcesz wślizgnąć się pod stolik nie zauważony i wyjąć złodziejowi ze skarpetki pieniądze.*
- Dokładnie tak – odparłem.*
- Genialny pomysł – odczułem jakby drwinę w jej słowach. – Tylko jak zrobisz, żeby cię nie zauważyli?*
- Stropiłem się.*
- Trzeba czymś odciągnąć ich uwagę – wymamrotałem.*
- Odciągnąć uwagę! Bagatelka! Czy to w ogóle jest możliwe?*

– Owszem jest – wtrącił niespodziewanie Jacek. – Ty odciągniesz

ich uwagę – wskazał palcem na Pamelę.

– Ja?!

– Nikt nie zrobi tego lepiej. Już sam widok takiej atrakcyjnej dziewczyny jak ty sprawi, że będą się gapili w ciebie jak kruki w wołowy gnat, a jeśli się do nich przysiądziesz...

– Co?!

– Zrobisz to dla przyjaciół, Żabko, i zagadasz do tych troglodytów słodko, jak tylko potrafisz, żeby Witek spokojnie mógł przeprowadzić operację na nodze opryszka.

– Ja... ja nie potrafię, zatka mnie z nerwów, zblaźnię się, wszystko popsuję – zajęczała przestraszona Pamela.

– Potrafisz i spiszesz się na medal. Marzysz przecież, żeby zostać aktorką. Wystarczy, jak zapomnisz, że to jest tancbuda w Urlach i wyobrazisz sobie, że już jesteś na prawdziwej scenie i grasz rolę zepsutej dziewczyny, co uciekła z domu do dyskoteki... i... i tam podrywa facetów.

– Zepsutej?! – oburzyła się Pamela. – Nigdy w życiu, to nie mój "żanr".

– No to – niewinnej i nieszczęśliwej, co miała wypadek na szosie i prosi dwu dżentelmenów o pomoc. Ciekawym, czy w teatrze daliby ci tak przebierać w rolach! – Jacek uruchamia cały swój (niemały) talent przekonywania. Bierze Pamelę na litość i na ambit. Uplywa jednak dobrych kilka minut drogocennego czasu, zanim Pamela godzi się

wreszcie odegrać rolę, jaką przeznaczył jej Jacek.

Kolejne dwadzieścia minut zabiera nam spieszne rozładowanie

wozu z nieszczęsnych jaj, żeby zrobić miejsce dla Pameli. Za jej zgodą przenosimy "towar" do motelu i lokujemy go w pustej wnęce za piecem kuchennym.

Jest już prawie ciemno, kiedy opuszczamy parking "Charlesa".

Przynaglłam Jacka do pośpiechu. Boję się, że nim dotrzemy do Url, złodzieje już się ulotnią. Jacek uspokaja mnie, oczywiście w swoim drażniącym stylu:

– Nie histeryzuj, Lord, przepicie twoich czterech melonów, to nie pestka, to jednak zajmie im trochę czasu! – i oboje z Pamelą śmieją się.

Niech ich diabli z taką pociechą!

W spowitych egipskimi ciemnościami Urlach nie pali się żadna latarnia (a może tu w ogóle nie ma latarń?), mimo to nie mamy trudności z dotarciem do "Kopciuszka". Prowadzą nas do niego bezbłędnie zajadłe rytmy rocka słyszalne już z odległości paru kilometrów. Współczujemy tym wszystkim, którzy spodziewali się tu znaleźć ciche, wiejskie letnisko.

Na wszelki wypadek zatrzymujemy wóz w bezpiecznej odległości od dyskoteki i zakradamy się ostrożnie pod jej okna. Zaglądamy do środka.

– Zaraz zobaczymy, Lord, czy jesteś lucky boy – mruczy do mnie Jacek.

– Jestem! – o mało nie krzyknęłam na cały głos z emocji.

W czerwonym świetle "chińskich" lampionów, którymi obwieszono było wnętrze lokalu, od razu zauważyłem naszych "yuppies". Wbrew temu, co podejrzewaliśmy, wcale się nie kryli po kątach. Siedzieli przy zsuniętych stolikach w dość licznym towarzystwie, obok barku. Było z nimi jeszcze trzech drabów o bandyckich mordach i dwie jaskrawo wymalowane lale. Widać było, że cała kompania bawi się doskonale (za moje melony) i wszyscy mają już dobrze w czubie. Tak więc na razie szczęście mi dopisało, ale mój niepokój wcale się przez to nie zmniejszył.

Czy nie przyjechaliśmy za późno? Czy ci dranie są jeszcze przy forsie? Ile zdążyli już przepuścić? Wszystko, czy tylko trochę? A może... może jeszcze nic? Może jeszcze nie doszło do płacenia, a w takim razie...

Miotany niepewnością spojrzałem na Jacka, a Jacek – na Pamelę.

– Pamela, rób, co do ciebie należy – powiedział.

– Boję się – wykrztusiła. – Oni wyglądają okropnie.

– Śmiało! To zwykła trema przed występem. Ona zaraz ci przejdzie, jak tylko zaczniesz, zobaczysz – szeptał gorączkowo Jacek. – Po akcji spotykamy się wszyscy przy wozie...

– To niebezpieczne, Jacku – zauważyła Pamela. – A co, jak "yuppies" od razu rzucą się za Witkiem? Mogą nas dopaść, zanim zdążymy odjechać... Myślę, że lepiej będzie, jak ulotnimy się przez drzwi kuchenne na podwórze, tam niedaleko jest taki wielki stóg siana, a za stogiem stodoła Mandeckiego. To znajomy taty. Schowajmy się do tej stodoły, a jak wszystko się uspokoi, odjedziemy spokojnie. To zbyt poważna stawka, żeby ryzykować...

– Zgoda! Ostrożność nie zawadzi – przytaknął Jacek. – No, to do roboty! Zasuważ, Pamela! Kurtyna w górę!

Z zapartym tchem czekaliśmy na występ Pameli. Co będzie, jak ją zdusi trema i załamie się w ostatniej chwili?...

Nie! Nie załamała się. Rozpuściła swój pszeniczny warkocz, rozczesała włosy, wyprostowała się i jak piękna anielica, istny symbol niewinności w białej powłóczystej sukience wkracza do dyskoteki.

Chwiejnym krokiem (pijanego anioła?) zasuwa wprost do barku, zgarnia z lady pusty kieliszek i z tym kieliszkiem zataczając się zabawnie wykonuje coś w rodzaju tańca przed oczyma ogłupiałych "yuppies", po czym, wciąż balansując z wdziękiem, przechyla się nad stołem i dość bezceremonialnie (jak na anielicę) sięga po butelkę żytniówki ku jeszcze większemu osłupieniu całego towarzystwa. W tym kulminacyjnym momencie najwięcej przytomności umysłu wykazał gruby "yuppie", pierwszy wyszedł z osłupienia i poderwał się z miejsca z imponującą (zważywszy na jego tuszę) szybkością; uprzedzając Pamelę chwycił butelkę, by szarmancko napelnić jej kieliszek, jak przystoi dżentelmenowi znad Liwca. Niestety okazało się to nadzwyczaj trudne, bo Pamela wciąż znajdowała się w stanie chwiejnej równowagi, a jej kieliszek wykonywał dość nieprzewidziane ruchy. W rezultacie zamiast do kieliszka Pameli wódka naląta się do ucha siedzącego obok draba o kostropatej gębie, co wywołało wybuch wesołości przy całym stole. Podziwiam Pamelę. To co robi, graniczy z genialnością! Potrafiła całkowicie skupić na sobie uwagę tego szemranego towarzystwa.

To właściwy moment, żebym ja z kolei przystąpił do akcji. Wchodzę do dyskoteki, Jacek za mną; będzie mnie ubezpieczał. Od razu mieszam się z tłumem tańczących, rozglądając się czujnie. Nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wszyscy są zajęci sobą. Śmiało zachodzę do zsuniętych stolików od strony mrocznego kąta, gdzie nikt w tej chwili nie siedzi. Rozglądam się ponownie. "Yuppies" wciąż zajęci są wyłącznie Pamela, więc już bez obaw daję błyskawicznego nura pod ostatni stół.

Niewidoczny pełzną wytrwale w kierunku barku. Mijam coraz więcej nóg, ale interesuje mnie tylko jedna, ta na samym końcu w rozkładanych adidasach, noga Garbatego. Mało miejsca, raz po raz ocieram się o czyjeś łydki i kolana. To jednak zupełne szaleństwo, ta przeprawa pod stolikami. Jestem pewien, że za chwilę ktoś mnie wyciągnie stąd za uszy, ale ku mojemu zdziwieniu nikt jakoś nie reaguje. Znieczulenie alkoholowe? Bardzo możliwe. Dopiero gdy byłem już blisko celu, jakaś noga się wściekła i kopnęła mnie boleśnie w łydźwie. Ktoś zaklął głośno:

– Cholera, znów pies pod stołem. W tej budzie pod stolami stale łaszą się psy żebraki.

– To pewnie ten parszywy kundel Miziołka – zachrypił drugi głos. – Daj mu resztę tych śmierdzących flaków, to się odczepi.

To był najbardziej przykry moment mojej obłądnej akcji w dyskotecę "Kopciuszek". Nim zdołałem odpelznąć z tego niebezpiecznego miejsca, czyjaś ręka cisnęła pod stół prosto w moją twarz obrzydliwą papkę owej zdyskwalifikowanej potrawy. Na pół oślepiiony próbowałem zetrzeć

sobie obrzydliwostwo rąbkiem obrusa zwisającym ze stołu; pewnie

zrobiłem to zbyt nerwowo i usłyszałem przepity głos znad stolika:

– Uważaj, Józek, nie szarp serwety!

– Ja?! – oburzył się Józek. – To ten kundel Miziołka. Czuję bydlaka pod stołem.

Bąłem się, żeby nie zajrzeli pod stół, więc warknąłem ostrzegawczo.

Z dwojga złego godziłem się już raczej na rolę psa.

– Słyszałeś – zasapał głos znad stołu – jeszcze warczy bydlę! Co za niewdzięczny drań! Dałem mu flaki, a on nam zęby szczyrzy!

– To teraz daj mu kopa!

Oczywiście na takie dictum wyrwałem co sił do przodu. W następnej

sekundzie byłem już przy "moich" nogach. Tak, nie mogłem się mylić, te

stare adidas, obszarpane dżinsowe spodnie. To na pewno nogi

Garbatego!

Co za emocje! Serce kołacze mi jak szalone, pot mnie oblewa, strach

dławi, ale krzepiąca świadomość, że moje drogie melony są tuż, tuż, w

zasięgu mojej drżącej ręki, pomaga mi wziąć się w garść. Przetykam

ślinę przez ściśnięte gardło i zabieram się do przewidzianych czynności.

Podciągam ostrożnie Garbatemu obszarpaną nogawkę i oglądam mu

nogę. Jeśli nasze podejrzenia są słuszne, typ powinien mieć kostkę

napuchłą od szmalu. Niestety brak "opuchlizny"! Widzę zwykłą, raczej

luźną skarpetkę, beżową w pomarańczowe prążki. Zdenerwowany

dobieram się do drugiej nogi i... omal nie krzyczę z radości. Na tej nodze

"puchlina" była daleko zaawansowana. Skarpetka wyraźnie czymś

wypchana i ściśnięta szeroką gumową opaską. Czeka mnie teraz decydująca faza operacji. Delikatnie zsuwam opaskę i wyluskuję ze skarpetki plik banknotów... A jednak "yuppie" coś poczuł. Zaswędziało go? Chciał podrapać się ręką w kostkę i nagle stwierdził, że zniknęły mu pieniądze... Zerwał się potrącając stolik. Zadźwięczało szkło przewracanych kieliszków i butelek...

Przerażony wyskakuję spod stolika. Biegnę do drzwi kuchennych roztrzaskując po drodze tańczące pary. Słyszę bolesny krzyk Garbatego. – Łobuz! Łapcie go! Bezczelny szczyl! Cały szmal zdjął mi z nogi! Rusza w zajadłą pogoń za mną, za nim – gruby, za grubym – kostropaty i jeszcze dwu innych drabów. Fatalna sytuacja! Już doganiają mnie, dosłownie czuję na plecach ich oddechy, ale Jacek jest na miejscu i w ostatniej chwili przytomnie pcha im krzesło pod nogi. Nadziewają się na nie z przekleństwami, a ja zyskuję drogocenne sekundy przewagi. Z ulgą wpadam w drzwi kuchenne i... natykam się na tęgiego kelnera wagi ciężkiej, który niósł właśnie tacę z półmiskami nóżek w galarecie. Zderzamy się ze wszystkimi przykrymi skutkami wynikającymi z elementarnych praw dynamiki. Kelner reprezentuje "masę", ja "energię kinetyczną", trudno się dziwić, że w pół sekundy cała dyskoteka zamienia się w pobojuwisko. Taca wylatuje w powietrze, nóżki rozpryskują się dookoła. Co najmniej sześć par tanecznych ślizga się na galarecie i chwilę potem wszyscy lądują na podłodze. Co za pogrom! Kątem oka widzę jedno wielkie kłębowisko splątanych ciał! Tylko kelner balansuje jeszcze z zawodową wprawą na jednej nodze,

lecz i on wkrótce traci równowagę i rozpaczliwie chwyta się bufetowej, która stanęła osłupiała z dwoma kuflami piwa w rękach...

Tym razem los jest dla mnie łaskawszy. Piwo chlusta prosto w twarz nadbiegających "yuppies". Stają, ścierają pianę z oczu, a ja wykorzystuję tę pomyślną okoliczność i wybiegam na dwór roztrącając personel kuchenny, który zwabiony harmidrem tarasował przejście.

Pędzę przez podwórze. Jakiś zażarty czarny kundel rzuca się na mnie i zagradza mi drogę. Na szczęście belzebub jest na łańcuchu, wprawdzie wychodzę ze spotkania z nim bez szwanku, ale zmusza mnie do zmiany kierunku. Tym razem ja tracę czas, a "yuppies" znów siedzą mi na karku. Przesadzam parkan, dość zresztą niefortunnie i naciągam sobie ścięgno. Kulejąc biegnę jakąś dróżką w stronę mającego stogu.

"Yuppies" są tuż, tuż... Tracę nadzieję, że zdołam umknąć. Nagle czyjaś ręka wynurza się z zarośli i wciąga mnie błyskawicznie w gęstwinę. To Jacek. Znów jest "na miejscu". Banda "yuppies" nie zauważa tego manewru i mija nas w biegu.

Czy to już koniec przygód, czy tylko chwila ulgi. Szczerze mówiąc na dzisiaj mam już dość tych wariackich perypetii...

Trzęsę się cały z emocji i tym bardziej podziwiam zimną krew Jacka.

Nie tylko nie widać po nim cienia zdenerwowania, ale jeszcze stać go na rzeczowe pytanie:

– Czy to prawda, co wykrzykiwał Garbaty? Odebrałeś mu swoją forszę?

– Tak – odparłem z wyraźnym odcieniem dumy.

– Dużo przepili? Ile brakuje?

– Nie liczyłem.

– To sprawdź.

Przeliczam szybko banknoty.

– Nie zgadza się – oznajmiam zdenerwowany.

– Za mało?

– Za dużo.

– Jak to za dużo?

– Rąbnąłem mu siedem melonów – wyjaśniam zakłopotany. – Tyle drań miał w skarpetce.

– A skubaniec! Pewnie obrobił jeszcze kogoś oprócz ciebie. Ale z ciebie lucky boy. Gratuluję!

– Tylko co ja mam zrobić? – bełkoczę niezadowolony. – Oddać mu nadwyżkę?

– Coś ty! Nie bądź głupi – oburza się Jacek. – A koszty? A nasze nerwy, a strata czasu, a cyrk, który musieliśmy odstawić, a wspaniały występ sceniczny Pameli? Mają to mieć za darmo? Takie przedstawienie kosztuje!

– Mimo to jakoś mi nieprzyjemnie, by nie powiedzieć głupio.

– Że okradłeś złodzieja?

– Złodziej też człowiek – bąkam.

– Cicho! Oni chyba wracają – zgasił mnie Jacek. – Bierzmy nogi za pas! Za stóg i do stodoły!

Bezpiecznie docieramy do pobliskiego stogu; niedaleko za

wysrebrzoną w świetle księżycy łąką rysuje się trapez wielkiej stodoły.
Ruszamy na przelaj biegiem. Przed nami niski, chyba spleciony z
wikliny płotek. Przeskakujemy go łatwo i... niespodziewanie lądujemy
w głębokim, zabagnionym, gąbczastym jakimś rowie. O takiej atrakcji
Pamela nas nie uprzedziła. Gramolimy się niezdarnie, a tu jeszcze
jedna średnia przyjemność. Na brzegu pojawia się jak spod ziemi
pudlowaty czworonóg, niesłychanie niegościnnie bydlę i histerycznym
ujadaniem sprowadza nam na kark wszystkie, spuszczone na noc z
łańcuchów, wściekłe psy urlowskie. Potwory te ustawiają się szpalerem
nad rowem i trzymają nas w szachu. Jesteśmy dosłownie w pułapce. Co
gorsza to zajadłe zbiorowe szczekanie naprowadza ponownie na nasz
ślad "yuppies". Słyszymy ich przekleństwa. Są coraz bliżej. Podpełzamy
do gęstego skupiska trzcin. Stąd ukryci możemy bezpiecznie
obserwować ruchy opryszków. Jest ich wciąż pięciu. Garbaty biegnie
pierwszy, błyska latarką. Oglupieni alkoholem nie zdają sobie sprawy z
napastliwości pilnujących nas bestii. Dzielne kundły urlowskie rzucają
się na nich. Przez chwilę trwa szarpanina. "Yuppies" bronią się kołkami
wyrwanymi z płotku. Dwu z ich bandy ma już dosyć. Rezygnują z
polowania na nas i dają dyla. Okazało się, że wybrali fatalną
alternatywę. Wszystkie czworonogi pędzą za nimi. Sprawdza się
pogląd, że psy wyczuwają tchórzki i tym zajadlej ich atakują.
Dwu wrogów mniej, ale sytuacja wciąż trudna. Księżyc ponownie
wyszedł zza chmur, tylko ślepy nie zauważyłby przydeptanej trawy i
połamanych trzcin – widomych znaków, że ktoś tu buszował...

Kurczymy się, z twarzą przy samej ziemi nasłuchujemy czujnie. Omiata nas snop światła latarki. Zauważą nas czy nie? Nie zauważyli. Słysząc oddalające się głosy. Pewnie uznali, że buszowały tu tylko psy. Chcę od razu wyskoczyć z rowu, ale Jacek przytomnie przytrzymuje mnie w ostatnim momencie. I ma rację. Wcale nie wszyscy odeszli. Ten kostropaty został. Ma lepszego nosa, jakby wyczuwał, że tu gdzieś siedzimy ukryci, kręci się, bada ślady na trawie, wreszcie staje na brzegu rowu, dokładnie nad naszymi głowami i rozgląda się, cokolwiek zbyt daleko, bo gdyby spojrzął pod swoje nogi... Na szczęście nie przyszło mu to do pijackiego łba i to zadecydowało o jego przegranej. Jacek znów mi imponuje swą zdolnością szybkiej reakcji. Spręża się błyskawicznie, daje małego susa w górę, łapie oburącz draba za nogę i ściąga go w dół. Typ wali się z wrzaskiem twarzą w błoto.

– Buty! – krzyczy Jacek.

Rozumiem go w lot. Obaj chwytamy faceta za kamasze, Jacek za jeden, ja za drugi; ściągamy mu je z nóg i jak dyskiem rzucamy daleko w gęste zarośla. Ja dla pewności ściągam mu jeszcze skarpetki. Pełno tu pokrzyw i ostów, mam nadzieję, że ten zabieg wyłączy go na jakiś czas z gry.

Wyskakujemy z rowu i gnamy do bliskiej już stodoły. Kostropaty też próbuje się wygramolić, ale robi to niezdarnie i ześlizguje się z powrotem. Jednakże jego krzyk alarmuje "yuppies". Wracają i pomagają bosemu kumplowi wydostać się z rowu, a potem rzucają się za nami. Dyszący zemstą bosy też próbuje włączyć się do pościgu, ale

szybko musi zrezygnować. Widzimy, jak podskakuje w miejscu na jednej nodze, trzymając się rękami za drugą, a potem wali się na ziemię. Chyba poważnie skaleczył sobie stopę. Zajadły facet. Mimo że dostał od nas nauczkę, podjudza "yuppies" do rozprawienia się z nami. Może sobie podjudzać. Chcą dalej igrać z nami, proszę bardzo. My też rozochociliśmy się! Zabawimy się na całego.

– Zrobimy na nich zasadzkę – mówi podniecony Jacek.

Okrążamy dookoła stodołę. Niestety – przykra niespodzianka.

Wierzeje są zamknięte na solidną kłódkę. Czyżby nie było żadnego sposobu na przeniknięcie do środka?

– Tędy, chłopcy – słyszymy nagle znajomy głos. To Pamela. Wychyla się z mało widocznych drzwiczek w bocznej ścianie budynku.

Pakujemy się bez pośpiechu, umyślnie zostawiając drzwiczki otwarte. Stodoła jest w połowie zapchana, wspinamy się z Pamelą wysoko ponad klepisko i czekamy ukryci za paczkami sprasowanej słomy w kształcie wielkich sześciątów.

Po chwili widzimy już "yuppies". Wpadają zadyszani, świecą latarką... rozglądają się po klepisku, a potem po sąsiedkach z lewej i prawej strony.

Jacek daje znak. Na tę komendę wszyscy troje jednocześnie zwalamy intruzom na łeb owe ciężkie słomiane paki po kilka naraz, w sumie ze sto chyba. Straszne to bombardowanie. Jęki i złorzeczenia, które dochodzą z dołu, świadczą o skuteczności naszej akcji. Na zakończenie spuszczaemy na powalonych opryszków wielką lawinę słomy luzem, po

czym spokojnie opuszczamy stodołę Mandeckiego.

Prowadzeni przez Pamelę zmierzamy najkrótszą drogą do naszego samochodu. Mniej więcej po stu krokach stwierdzamy z przykrością, że kryształowe, ożywcze powietrze urlowskie nabiera jakiegoś dziwnego gnilno-mdło-słodkawego, a w sumie obrzydliwego zapachu. Pamela wyjaśnia nam, że to od silosów. To takie zbiorniki wykopane w ziemi, gdzie rolnicy przechowują kiszonki, wysłodki buraczane i różne wytłoki, stanowiące paszę dla bydła.

– Patrzcie dobrze pod nogi, jak będziemy mijać te silosy – uprzedza nas Pamela. – Niektóre mogą być odkryte i łatwo w nie wpaść po ciemku.

– Niech ich diabli! – zaklął nagle Jacek oglądając się.

– Co się stało?

– Twardziele! Nie dali za wygraną. Znow nas gonią.

– Po takim maglowaniu – dziwię się. – Muszą mieć żelazne łby.

– Honor im nie pozwala poddać się – mówi Pamela – tu wszyscy w okolicy tacy "honorowi".

– Czy naprawdę nie ma już sposobu, żeby odczepić się od nich?

– Mam pomysł – Jacek zatrzymuje się nagle.

– Co chcesz zrobić? – pytam, ale on zamiast odpowiedzieć zabiera się do odsuwania drewnianych pokryw silosów.

Od razu zrozumiałem i z zapalem zacząłem mu pomagać w tej robocie. W niespełna pół minuty otworzyliśmy trzy zbiorniki. Pozostałe były już przedtem otwarte.

– Myślisz, że nam się uda? – pytam podniecony Jacka.

– Mamy pięćdziesiąt procent szans – odpowiada. – Zobacz, oni nie mają już latarki, musieli ją posiać gdzieś w słomie. Poza tym gniew ich zaślepia...

Wycofujemy się daleko za silosy. Jacek zapala zapalną, "na wabia", żeby łobuzy kierując się w prostej linii na nas, powpadały w te pachnące pułapki.

Już biegną do nas. Wpatrujemy się w napięciu w czarne sylwetki na tle szarego pola. Jacek zapala drugą zapalną. Zagapieni w mrugający płomyk, jakśmy do ognia, lecą coraz prędzej w głupim zapamiętaniu, bez zastanowienia, nie patrząc pod nogi, ogarnięci jednym pragnieniem dobrania nam się do skóry. Słysząc mrożący krew w żyłach krzyk. To gruby "yuppie" już znikł z pola widzenia, w chwilę później ten sam los spotkał garbatego.

Doskoczyliśmy do silosów. Słodkavo-mdły zapach ze zdwojoną siłą uderzył w nasze nozdrza. Obaj "yuppies" zanurzeni aż po pachy, taplali się rozpaczliwie w gęstej masie wysłodków, jak karaluchy w słoju śmietany, czepiając się oślizgłych ścian próbowali wygramolić się z oblepiającej ich papki, lecz nadaremnie. Odpadali raz po raz i grzęźli niemal po uszy w tym obrzydlistwie, co sądząc po zapachu, dawno przestało już być wysłodkami czy kiszonką i upodobniło się raczej do zawartości kloaki.

– Cześć! – powiedział do nich Jacek kucając na brzegu. – Powinniście się cieszyć, że na tym się skończyło. Mogliśmy was lepiej załatwić, ale

nie jesteśmy mściwi. Zostawiamy was z dużym zapasem paszy, więc z głodu nie zginiecie. Kiszonki mają podobno dużo witamin. Smacznego!

– podniósł się i otrzepał kolana.

– Co wy?! – przestraszyli się "yuppies". – Tak się nie robi! Nie chcecie chyba nas porzucić w tym gównie? Potoniemy!

– Wykluczone. Tu jest płytko, przecież widzę, że nie sięga wam nawet do nosa. A mała zaprawa pływacka dobrze wam zrobi. Poćwiczcie styl grzbietowy i żabkę. Pływanie na pewno jest zdrowsze od wódki.

– Litości! Wszystkie melony są wasze, tylko ratujcie! Spuśćcie drabinę, na miłość boską, jakąś żerdź, kij chociaż... Wyciągnijcie!

– Gospodarz Mandecki rozstrzygnie, czy was tu zakisić, czy wyciągnąć. Zdaje się, że właśnie tu biegnie.

Istotnie od strony stodoły zbliżało się szybko trzech ludzi. Biegl

Mandecki w długiej nocnej koszuli z dwoma synami. Z widłami biegli.

Uznaliśmy, że najwyższy czas się zmyć. W końcu pogwałciliśmy cudze, prywatne terytorium, oraz narobiliśmy sporo zamieszania w stodole i przy silosach. Głupio byłoby tłumaczyć się, że mieliśmy dość ważne powody...

Zadyszani, lecz już bez problemów, dobiegamy do samochodu. O

północy docieramy do motelu "Charles". Pamela serwuje nam zimne koktajle owocowe z lodem i mrożone ananasy z puszki, dla ochłonięcia z wrażeń i ochłody.

– Teraz już mogę ci powiedzieć – mówi do mnie Jacek cedząc różowy musujący płyn. – Ty, Lord, jesteś faktycznie lucky boy. To była prawie

beznadziejna rozgrywka, a jednak...

– To zasługa Pameli – ucinam krótko. – Jestem twoim dłużnikiem,

Pamelo!

Pamela roześmiała się.

– Nie przesadzaj. Za to ja dzięki tobie miałam sceniczny debiut.

– To fakt – wtrąca Jacek. – Pamela sprawdziła się na medal, można

powiedzieć, że zdała konkursowy egzamin. Ale prawdziwym

szczęściarzem byłeś dzisiaj ty, Lord – wali mnie kordialnie po łopatce. –

Nie dlatego, że zarobiłeś trochę forsy. To cacy, to ładnie, ale nie to jest

najważniejsze, najważniejsze jest to, że forsa lubi do ciebie wracać?

– Lubi? – skrzywiłem się. – To czemu sama nie wyskoczyła

Garbatemu ze skarpetki?

– Żebyś miał trochę emocji – odparł Jacek – ale ona ciebie lubi, o tym

przekonaliśmy się dzisiaj i dlatego mówię ci, zrobisz majątek, chłopie.

Jak by nie patrzeć na to, co przeżyliśmy, miałeś w sumie szczęśliwy

dzień!

– Dziękuję. A nerwy? A napięcia? Gdybym miał co dzień zarabiać

takim kosztem, wykończyłbym się w ciągu tygodnia!

Jacek wzruszył ramionami i wyrąbał z odętą miną:

– Możesz skończyć na dzisiejszych transakcjach. Nie obrażę się.

Rozliczymy się jeszcze tej nocy. Musisz tylko jutro rano zabrać z sobą te

nieszczęsne jaja. Tu nie ma miejsca na składowanie towaru...

Przetykam ostatni kawałek lodowatego ananasa. I mówię (z

pokerową twarzą – nauka nie idzie w las):

– Zaraz, spokojnie, nie gorączkuj się, Pampers! Prawdziwy kupiec panuje nad odruchami i nie papie głodnych kawałków! Kto ci powiedział, że chcę skończyć? Ja dopiero zacząłem. A co do rozliczenia...

– Przepraszam cię, ale...

– Bez głupich propozycji, proszę! Pięć melonów na rękę? To śmieszne. Rozliczymy się dopiero jak zostanę miliarderem.

`pa

Rozdział V

Nieprzewidziane kłopoty z bielizną. Trzy tysiące piskląt w wozie?

Sposób na Kwaka, czyli jak wyciągnąć magistrza Kaczkowskiego z betów. Jak blisko stąd do Europy. Poznajemy zdrowe zasady marketingu.

Wyczerpani po niezwykłych przygodach tego pierwszego dnia naszej handlowej wyprawy zasypiamy błogo w wygodnych łóżach motelu "Charles" i lulamy smacznie snem sprawiedliwych kupców, ale nie dają nam się wyspać. Już o piątej rano budzi nas gwałtowne stukanie do drzwi. Telefon z Dłubkowa!

Dzwoni agent Benon. Jest zaniepokojony brakiem wiadomości. Nie złożyliśmy wieczornego meldunku, jak było uzgodnione.

Jacek tłumaczy, że nie mogliśmy uzyskać połączenia, lecz u nas wszystko w najlepszym porządku...

– Niezupelnie – przerywa zdenerwowany Benon. – Wyłoniła się mała komplikacja. Cofamy transakcję z bielizną...

– Co takiego? – dębijemy.

– Bety mają być z powrotem u miłych staruszków w Zdzichowie.

– Czemu?

– Nigdy nie pytaj "czemu" albo "po co", kiedy dostajesz zlecenie z centrali! Zrozumiałeś?

– Tak, Benon, ale nie możemy cofnąć transakcji. Bielizna jest już w Ludwisinie u Golda.

– Zabierzecie z Ludwisina i zawieziecie z powrotem do Zdzichowa.

Pani C. odda wam pieniądze.

– Jak możemy zabrać!... A Gold?! Jak ty sobie to wyobrażasz, przecież on się nie zgodzi.

– Przekonacie go. Wymyślicie jakiś pretekst. Na przykład, że zaszła pomyłka w asortymencie, czy coś w tym rodzaju... i że dostarczymy mu jutro lepszy towar.

– A jak się nie da przekonać?

– To zrobicie mu kęsim-kęsim.

– Żartujesz chyba...

– To nie żarty. Bielizna ma być najpóźniej o dwunastej w Zdzichowie.

– Ależ, Benon!

– Bez gadania. Po wykonaniu zaraz meldować. Czekam na telefon.

Cześć! – odłożył słuchawkę.

– Jacek, co to wszystko ma znaczyć?! – jęcząc wystraszony.

Ale wygląda na to, że Jacek sam jest w kropce. Milczy zaaferowany.

– To wszystko dalej mi wygląda na jakieś szemrane transakcje –

mówię. – A miało być już prosto, jasno i uczciwie. Czemu nie

powiedziałaś mi wszystkiego. Nie uprzedziłaś...

– Sądziś, że ja wiem wszystko? Sam chciałbym wiedzieć, co za czort

w tym siedzi. Ale nie bój się, w Zdzichowie na pewno wszystko się

wyjaśni, przyciśniemy panią Cytrusiewicz albo tego Cicirkę.

– Lepiej już tam nie jedźmy – wykrztusiłem. – Myślę, że w tej

sytuacji...

– Nie jesteś tu od myślenia – przerwał Jacek.

– Jednakże...

– Dostyc! – spojrzał na zegarek. – Pięc po piątej. Jedziemy do Golda i

jego magistrów przystosowujących się. Im wcześniej to załatwimy tym

lepiej.

Pamela mimo wczesnej pory też już jest na nogach.

– Coś się stało? – pyta na widok naszych zaaferowanych min.

– Nie, nic – mówi Jacek i ożywia się nagle. – Słuchaj, Pamela,

przygody nas się trzymają i pełno zbójców na drodze. Mam dla ciebie

mały prezencik na urodziny. Jeśli pozwolisz, to zostawię go już teraz u

ciebie, pod warunkiem, że rozpakujesz go dopiero w dzień urodzin. Wolę

nie jeździć z nim dłużej.

– Jeżeli chcesz – mówi zaskoczona Pamela.

Jacek biegnie do wozu, wyciąga z niego pudełko i wręcza Pameli.

– Nie bój się – mówi – to nie jest to, co myślisz. To niespodzianka!

Żegna się z Pamelą czule, ja też się żegnam i startujemy szybko.

– Pa, do soboty! – Pamela macha nam ręką.

Na szosie o tej porze jeszcze jest pusto. Ciągniemy setkę. W parę minut jesteśmy już w Ludwisinie i... od razu niespodzianka. Brama nie zamknięta. Na podwórzu kupa motocykli i kilka furmanek. Złot magistrów na motorach i furmankach? Miło, ale coś nam tu nie pasuje. I ta muzyka i te przyśpiewy i przytupy dochodzące z sąsiedniego baraczku. Czy tak ma wyglądać szkolenie przystosowawcze? I gdzie stróż? Śpi? Zglądamy do jego budki przy bramie. Pusta. Wszystko wskazuje na to, że personel obchodzi tu hucznie jakieś imieniny, które przeciągnęły się do białego rana, a stróż bawi się razem ze wszystkimi. No, ładnie, ale że Gold pozwala na coś takiego!

Kierujemy się do budynku administracyjnego. Wiemy, że Gold sypia w swoim gabinecie. O tej porze zastaniemy go pewnie jeszcze w betach, ale trudno. Jestem przygotowany na najgorsze. Serce mi skacze w piersiach. To będzie trudna, nieprzyjemna rozmowa.

A tymczasem... jeszcze jedno zaskoczenie. Na drzwiach gabinetu wisi kartka z podpisem Golda.

Wyjechałem do Warszawy. Wracam w piątek około #/12#00.

A więc los dalej nam sprzyja. Śmiało maszerujemy do pawilonów sypialnych. Okazuje się, że komplety bielizny wciąż jeszcze leżą w paczkach, nie rozpakowane, na nie pościelonych łóżkach. Zabieramy je i bez przeszkód nosimy do samochodu.

Robi się gorąco. Jacek częstuje mnie gazowanym "Ptysiem", który zamelinował był w bagażniku.

– Twoje zdrowie, Lord!

– Z jakiej to okazji? – dziwię się.

– Z okazji twojego diabelnego fartu! Nie myślałem, że nam tak łatwo pójdzie. Niech cię kule biją, Witek! Naprawdę trzeba mieć twoje puchate szczęście, żeby tak się wszystko ładnie ułożyło. Ty się chyba urodziłeś w noc świętojańską?

– Nie – odpowiadam – w dzień Siedmiu Męczenników.

– Zupełnie nie do wiary! – Jacek kręci głową.

To fakt. Ale choć wszystko nam dotąd idzie jak z płatka, jakoś nie mogę się rozluźnić. Wciąż czuję się jak pajęczarz kradnący bezczelnie bieliznę i mimo woli przyśpieszam kroku.

– Nie pędź tak – dyszy Jacek uginając się pod ciężarem łupu. – Po cholere tak zasuwasz? Nic nam nie grozi. Chyba nie masz pietra?

– Mam, diabelnego – sapię.

– Spokojnie! Nikt nas nie goni. Odpręż się!

– Odprężymy się sto kilometrów za bramą. Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz – mówię i mam rację. W ostatnim pawilonie niespodziewana komplikacja. Otwieramy drzwi i... od razu czujemy, że tu jest inaczej. Uderza w nas przykry zaduch nie wietrzonego pokoju zmieszany z odorem lekarstw czy innego świństwa. Zastygamy w bezruchu. Do licha, czyżby już zdążył zagnieździć się tutaj jakiś magister kursant?

Niestety tak. Widzimy, że nasze paczki z bielizną są rozbebeszone, a na łóżku w kącie spod czterech chyba prześcieradeł sterczy chuda blada noga... Wrażenie jest zbyt silne. Nie mogę powstrzymać się i wydaję

nieartykułowany bełkot. Jacek zatyka mi usta, ale już za późno... Noga poruszyła się i cofnęła, za to spod drugiego końca prześcieradeł wyłoniła się lekliwie mała łepetynka w niebieskiej czapeczce z pomponem, niczym główka pajaca.

– Kto to? – usłyszeliśmy nerwowy piskliwy głos.

– Cicho – wybełkotał Jacek – proszę się nie bać...

– Kim jesteście, panowie i co tu robicie? – czarne przenikliwe oczka lustrują nas podejrzliwie.

Wymieniam z Jackiem niespokojne spojrzenie. Nie wiem, co odpowiedzieć. Magister kursant zadaje dość kłopotliwe pytania.

– Czy panowie są złoczyńcami?

– My? – bąkam głupio.

– Słyszałem, że w okolicy grasują grupy złoczyńców.

Sytuacja robiła się nieprzyjemna, szczęściem Jacek zdołał w porę wziąć się w garść i przejął inicjatywę. Podeszedł śmiało do łóżka i warknął:

– Dostyc tego! Pan wyskoczy z pościeli!

– Co?!! – magister wydlubał sobie woskowe koreczki z uszu. – Nie bardzo rozumiałem. Pan zechce powtórzyć!

– Wyskakuj pan z betów! Szybko! – krzyknął groźnie Jacek z

bandyckim błyskiem w oczach. Zdumiewające jak łatwo ten chłopak potrafi zmienić ton i wcielić się w inną zgoła osobę.

– A... a... – wybełkotał magister – więc to jednak napad!

– Nie – odparł Jacek zimno – to inspekcja sanitarna.

– Inspekcja?! Tutaj? Teraz? Po co?...

– To my zadajemy pytania – przerwał Jacek. – Pańskie nazwisko?

Wystraszony magister poruszył bezgłośnie ustami, po czym z bolesną miną złapał się za gardło.

– Co panu jest? – zaniepokoił się Jacek.

– Kwa... Kwa... – zakwakał słabo magister.

Jacek ściągnął surowo brwi.

– Proszę zachowywać się poważnie. Nie udawać kaczki i odpowiedzieć na pytanie! – upomniał ostro delikwenta.

Magister z wyrazem cierpienia na twarzy drżącą ręką nagryzmolił coś w notesie, co leżał przy łóżku, wyrwał kartkę i wręczył nam.

Zdumieni przeczytaliśmy:

"Ja nie udaję kaczki, ja chciałem tylko powiedzieć, że nazywam się

Kwak-Kwaczkowski, ale dostałem skurczu gardła i zatkalo mnie.

Zawsze mnie zatyka, jak się zdenerwuję."

– No, dobrze – chrząknął Jacek – ale co pan robi w tym łóżku?

– Przy... przy... na ku... kur... – zaczął bełkotać magister.

– Lepiej niech pan napisze, na tej kartce.

Kwak-Kwaczkowski napisał:

"Przyjechałem na kurs przystosowawczy doktora Golda."

– Kurs zaczyna się jutro – zauważył chłodno Jacek.

"Owszem – napisał Kwak-Kwaczkowski – lecz mam zwyczaj na

wszystkie kursy i konferencje przyjeżdżać do obiektu zakwaterowania

co najmniej dzień wcześniej. To umożliwi mi zorientowanie się, czy

mógłbym w tym obiekcie bezpiecznie rozchorować się. Człowiek zawsze powinien liczyć się z możliwością zachorowania. Po za tym wcześniejszy przyjazd zwiększa moją szansę na wybór odpowiedniego łóżka w pokoju. Jak panowie wiedzą, łóżko winno być usytuowane na osi północ-południe."

– Pan jest zapobiegliwy – zauważył Jacek.

"Z moim stanem zdrowia muszę być zapobiegliwy, pan rozumie" – napisał Kwak.

– Rozumiem, ale kto panu pozwolił wejść samowolnie do łóżka? Pan będzie uprawniony do korzystania z pościeli dopiero od dnia jutrzejszego.

"Tak, lecz... lecz właśnie rozchorowałam się – wyjaśnił magister. – Dostałem podejrzaną wysypkę, prawdopodobnie od tych flaków..."

– Flaków?!

"Najadłem się flaków w motelu "Charles" i dziwnie się poczułem..."

– Muszę pana wyprowadzić z błędu – oświadczył z urzędową miną

Jacek. – To nie flaki panu zaszkodziły. Pańskie przypadłości wiązałbym raczej z Ludwisinem. Pan musiał zarazić się tutaj, zwłaszcza że pojawiła się zmienna wysypka.

– Tutaj?! – magister Kwak-Kwaczkowski odzyskał nagle zdolność mowy.

– To karygodne, iż nie poinformowano pana o przypadkach chorób zakaźnych, które tu miały miejsce.

– Zakaźnych? – Kwak-Kwaczkowski nerwowo podskoczył na łóżku.

– Pierwszy raz słyszę! Sądzi pan, że ja też?... – wymamrotał blednąc jak prześcieradło.

Tego doprawdy już za wiele. Jacek chyba przeholował z tą zgrywą.

Chrząkam i szturcham go w żebro, żeby przestał, ale on ani myśli.

Straszenie biednego hipochondryka sprawia mu małą przyjemność, więc używa sobie na nim, ile wlezie.

– Nie zachował pan należytej ostrożności – cedzi wpatrując się w niego jak bazyliszek – a już zupełną lekkomyślnością określiłbym użytkowanie przez pana tej zakażonej bielizny.

– Zakażonej? Nie rozumiem – wymamrotał magister.

– Używały jej dwa poprzednie kursy przystosowawcze. Ta bielizna jest...

– Nie prana?!

– Właśnie! Ze względów oszczędnościowych przepuszczono ją tylko przez magiel prasujący. Ten żółtawy kolorek...

Magister jak oparzony wyskoczył z łóżka.

– Brawo i serdeczne dzięki – ucieszył się Jacek. – To nam znakomicie ułatwi zadanie.

Rzuciliśmy się obaj do pościeli.

– Co panowie robią?! – przestraszył się Kwak.

– Zabieramy te szmaty do dezynfekcji – odparł Jacek.

– Panowie się nie boją zakażenia?

– Ryzyko zawodowe – mruknął Jacek.

Uformowaliśmy z bielizny cztery komplety i spakowaliśmy je

błyskawicznie. Już przy wozie dopędził nas Kwak.

– Panowie – jęknął – czy mógłbym zabrać się z wami? – był już w płaszczu, gotowy do drogi, w jednej ręce trzymał parasol, w drugiej neseser.

Przygwoździłem Jacka ciężkim oskarżycielskim spojrzeniem.

Zmieształ się. Chyba pojął nareszcie, że przesolił.

– Ależ, panie magistrze – wymamrotał – co pan?! Jutro zaczyna się kurs. Nie zostanie pan?

– Zostać tutaj?! O, nie! To zbyt duże obciążenie psychiczne. Mam organizm zbyt mało odporny na wszelkie zakażenia. Gdybyście zechcieli mnie podrzucić do motelu "Charles", tam przenocuję... Zapłacę za podrzucenie...

– Nie o to chodzi – rzekł zakłopotany Jacek – po prostu nie ma miejsca.

– Ja bardzo proszę...

– Doprawdy nie wiem... Chyba, że Witek odstąpi panu swoje miejsce, a sam pojedzie z tyłu, z paczkami.

Wzdycham ciężko i robię sobie legowisko na paczkach. Na szczęście do Mińska niedaleko. Wysadzamy Kwaka-Kwaczkowskiego przy motelu. Żegnamy się przyjacielsko. Kwak już dosyć rozluźniony dziękuje nam za ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem zakażenia i wywiezienie z "zadzumionego", jak się wyraża, "obożu odosobnienia Golda". "Oby na czas" – dodaje.

Słuchamy z dość niewyraźnymi minami. Dokucza nam nieczyste

sumienie.

– No i masz! Załatwiliśmy chłopu kurs! – mówię do Jacka, gdy Kwak zniknął za drzwiami stacji. – Co ci strzeliło do łba, żeby go aż tak przestraszyć?

– Skąd mogłem przypuszczać, że trafię na hipochondryka – broni się Jacek – gdybym wiedział, że biedak tak się przejmie...

– Szturchałem cię, żebyś przestał, ale ty wyraźnie wyżywałeś się jako aktor. Czyżbyś pozazdrościł Pameli?

– Ja? – Jacek miesza się nieco.

– Masz chorobliwe zapędy aktorskie.

– Chorobliwe?

– Myślę, że aktorstwo w życiu to równie niezdrowe jak niebezpieczne hobby.

– Ty, ty, filozof! Za bardzo się mądrzysz i dzielisz włos na czworo. Nic się takiego nie stało. Po co Kwakowi kurs przystosowawczy? Czy taki żaloszny facet jak on może się jeszcze do czegoś przystosować? Zamiast rozczulać się nad Kwakiem pomyśl lepiej, ile zażądać od Cytrusiewiczowej za zwrot bielizny.

– No, tyle ileśmy od niej wzięli.

– Głupi! A marża? A koszty transportu? Doliczmy dwadzieścia procent marży i dwa procent za transport. Ile wypada?

– Cztery miliony osiemset osiemdziesiąt tysięcy – mówię.

– Zgadza się. Tyle zażądamy – Jacek uśmiecha się zapatrzony w pustawą szosę.

– Myślisz, że da?

– Och, jeszcze nam będzie wdzięczna. Musiały tam nagle wypłynąć jakieś problemy.

Istotnie. W Zdzichowie muszą mieć problemy, bo pani wicedyrektor Cytrusiewicz w asyście pana Cicirki oczekują już nas niecierpliwie na schodach i witają z wielką ulgą.

We czworo, razem z panią wicedyrektor, w pocie czoła nosimy spiesznie bieliznę z powrotem do magazynu. O nic nie pytamy. Czujemy, że wszelkie pytania byłyby tu kłopotliwe i... nietaktowne. Sprawa jest cienka, delikatna, może trefna, czekamy więc aż pani Cytrusiewicz sama coś powie, ale ona bynajmniej nie kwapi się do wyjaśnień. Bez targów wypłaca nam żadaną kwotę i zaprasza na skromny posiłek do małej jadalni przy kuchni. Tu oddaje nas szybko w ręce pana Cicirko, a sama ulatnia się zaaferowana.

Jedzenie – kanapki z twarożkiem i szczypiorkiem – staje nam w gardle. Udziela nam się napięta atmosfera. Jacek bębni palcami w stół.

– Panie Cicirko, co tu jest grane? Co to za polka-odbijanka z tą bielizną?

Odwozimy,

przywozimy,

to

sprzedajecie,

to

znów

odkupujecie?

Pan Cicirko chrząka zakłopotany.

– Panom coś nie smakuje twarożek, to może coś na słodko – stawia przed nami talerzyk miodu i drugi taki sam – konfitur.

– Panie Cicirko – mówi Jacek – co nam pomoże miodek, jak mamy w ustach niesmak z powodu tej bielizny.

– No cóż, faktycznie kłopotliwa sprawa, ale panowie chyba zostali zorientowani przez Arturka.

– Artur był wyjątkowo małomówny w tej kwestii. Przypuszczam, że chciał nam oszczędzić przykrych wrażeń.

– Istotnie sprawa jest równie przykra jak niespodziewana – rzekł pan Cicirko oblizując palce po miodzie. – Zaraz po panów wyjeździe wczoraj otrzymaliśmy cynk, że przyjeżdża ktoś ważny z Warszawy, prawdopodobnie na inspekcję, więc uznaliśmy, że na wszelki wypadek lepiej mieć tę bieliznę w magazynie, no, bo wie pan, ci kontrolerzy...

– Ależ pani Cytrusiewicz mówiła – przerwał Jacek – że ta bielizna leżała tu bezużytecznie i że mieliście prawo nią rozporządzać.

– Tak jest – przyznał Cicirko – formalnie wszystko było w najlepszym porządku. Bielizna ta została wykreślona z ksiąg inwentarza, skasowana, że tak powiem.

– Wykreślona? Dlaczego?

– No... jako spalona w czasie pożaru.

– Ale przecież nie została spalona – zauważył Jacek.

– Oczywiście. Zaszła tu pomyłka inwentaryzacyjna. Wbrew temu, co

wszyscy myśleli, ta nowa piękna bielizna ocalała w nietkniętym

stanie... Palec boży w tym był, panowie i przezorność oraz

zapobiegliwość naszej pani dyrektor Cytrusiewiczowej.

*– Mówi pan, pomyłka – rzekłem zdezorientowany – ale jak mogło
dojść do tak wielkiej pomyłki?!*

*– W prosty sposób, panowie – odparł Cicirko. – Inwentaryzator
sądził, że podczas pożaru ta bielizna była na łóżkach.*

– A nie była?

– Szczęśliwie nie.

– A co było?

– No... tamta, stara.

*– Tamta stara, skreślona i skasowana wciąż jeszcze była? Jakim
cudem?*

Cicirko odchrząknął nieco zakłopotany.

– Powiedziałbym, że cudem gospodarności naszej pani dyrektor.

*Pani dyrektor uznała, że ze względów oszczędnościowych nie należy na
razie używać nowej bielizny, ale doniszczyć starą.*

*– Tę formalnie już nie istniejącą, niby skasowaną, ale zapobiegliwie
nie wyrzuconą.*

– Otóż to. Była ona wprawdzie mocno połatana, miejscami

*cokolwiek dziurawa, o barwie... niezdecydowanej i, ogólnie, że się tak
wyrażę, zeszmazona, ale jeszcze całkiem odpowiednia dla naszych*

*drogich pensjonariuszy. Wiadomo, jacy są ci staruszkowie, oni tak
plamią i paprają, biedacy, panowie rozumieją.*

– Rozumiemy, to flejtuchy i szkoda dla nich nowej bielizny – Jacek pokiwał głową. – Po prostu zostawiliście na łóżkach starą, a tę nową trzymaliście w magazynie na specjalne okazje, dla wybranych gości, na przykład, jak przyjeżdżała inspekcja.

– Tak jest. Pan zna się na rzeczy – pochwalił Jacka Cicirko. – Czy praktykował pan może w domach dla staruszków, albo w schroniskach dla nieuleczalnie chorych?

– Nie, ale odwiedzałem...

– Oczywiście. Jak człowiek umie patrzeć, a pan ma bystry wzrok, można się wiele nauczyć. W każdym razie panowie widzą teraz, jak taka oszczędność była dalekowzroczna i mądra. Ostatnie wypadki udowodniły to w całej pełni. Bielizna ocalała!

– Tak, widzimy, dziwi nas tylko, że po pożarze inwentaryzator jej nie dostrzegł. Nie dostrzegł przez roztargnienie, czy... niedopatrzenie? A może w ogóle nie zajrzał do magazynu?

– Zajrzał, ale nie zauważył – odparł z pogodnym uśmiechem pan Cicirko.

– Cierpiał na wadę wzroku?

– Tak należałoby sądzić. Dzięki temu, powiedzmy, szczęśliwemu przeoczeniu nasza nowa bielizna została uznana za żertwę pożaru i skasowana, pod względem prawnym nie istniała, a zatem mogliśmy swobodnie dysponować nią dla ogólnego dobra w ramach gospodarki rynkowej, co też zrobiliśmy przy czynnym udziale panów... Niestety ktoś nie rozumiejący naszych uczciwych intencji i inicjatyw

gospodarczych oraz podstawowych zasad ekonomii musiał coś

zauważyć i poskarżyć na nas. Stąd ta nagła kontrola... – pan Cicirko

urwał nagle, bo za oknem rozległ się szum silnika samochodu.

– To oni... inspektorzy, będę już musiał iść, przepraszam – podniósł

się z miejsca.

– My też się lepiej ulotnimy – oświadczył Jacek. – Nie będziemy

państwu przeszkadzać.

Chcieliśmy się zmyć po cichu, ale Cicirko zatrzymał nas energicznie.

– Po co ten popłoch?! Panowie dokończą spokojnie posiłku.

Przyniosę jeszcze herbatę...

– Wolelibyśmy jednak...

– Naprawdę byłoby rozsądniej, gdyby panowie zostali i zaczekali na

wynik inspekcji. Może uda się nam ponownie sprzedać panom bieliznę.

Zdębieliśmy.

– Pan żartuje.

– To może brzmi zabawnie, ale liczę się wciąż z taką możliwością.

Zdarzają się różne cuda. Wszystko zależy od tego, czy trafimy w osobie

inspektora na człowieka otrząskanego z problemami gospodarki

rynkowej.

Po naszych ostatnich doświadczeniach nie dziwimy się już niczemu i

zostajemy z samej ciekawości, jaki będzie dalszy przebieg afery i jak to

się wszystko skończy.

A skończyło się zgoła niezwykle! Pięć minut później wbiegł

podniecony Cicirko.

– Niestychana rzecz – wykrztusił na progu. – Czy wiecie, kto przyjechał? Nie żaden inspektor, nie kontroler, tylko nasz dobry znajomy, pan Juruś z zaopatrzenia z dyrekcji.

– Chciał wam zabrać niepotrzebną bieliznę? – pytamy.

– Nie, przeciwnie. Przywiózł nową.

– Co takiego?!

– Drugie pięćdziesiąt kompletów. Mamy teraz razem sto do dyspozycji. W związku z tym kłopotliwym nadmiarem panowie jako handlowcy wyspecjalizowani w branży pościelowej proszeni są na chwilkę do gabinetu pani dyrektor.

Udaliśmy się skwapliwie. Rysowała się bowiem szansa odkupienia tej fatalnej bielizny i zwrócenia jej Goldowi. Ukoilo by to nasze zbolale kupieckie sumienie.

W gabinecie, w rogu pod filodendronem na niskim stoliku stała pękata butelka koniaku otoczona wianuszkami kieliszków, filiżanek i talerzyków napelnionych paluszkami, wafelkami, herbatnikami i innymi specjalami. Zapadł świeżo naparzonej kawy unosil się w powietrzu.

– Oto i nasi dzielni handlowcy – powiedziała wesoło pani

Cytrusiewicz wstając z fotelika i przedstawiła nas szpakowatemu, ostrzyżonemu na jeża mężczyźnie o ascetycznej, pooranej pionowymi zmarszczkami twarzy, ozdobionej sarmackim wąsem.

– Nasz kochany pan Juruś – uśmiechnęła się promiennie do wąsacza

– dowiedział się o nieszczęściu, jakie na nas spadło i pofatygował się do

nas z nową bielizną na miejsce spalonej, bo akurat nadarzyła się okazja dogodnego zaopatrzenia w te rzeczy, a pan Juruś jest dużym specjalistą w tych sprawach i nigdy nie przepuści korzystnej okazji, lecz wyjaśniłam mu, że żadna bielizna nie jest nam aktualnie potrzebna, w każdym razie aż do odbudowania obiektu. Co rozważywszy pan Juruś oświadczył, że w tych trudnych czasach przebudowy i dołączania do Europy bezużyteczne chomikowanie tej bielizny... byłoby... hm... dużą niegospodarnością...

– Niefrasobliwością – dorzucił pan Juruś.

– I wręcz nieprzyzwoitością – dorzuciła pani Cytrusiewicz.

– W każdym razie – niestosownością! – podkreślił pan Juruś.

– W tym stanie rzeczy – uśmiechnęła się pani Cytrusiewicz – nasz miły gość gotów jest odstąpić panom ten towar...

– Jeśli to nas zbliży do Europy – zaznaczył z godnością pan Juruś. –

Bielizna winna wziąć udział w obrocie handlowym i zaowocować uczciwym zyskiem – dodał mierząc nas przenikliwym spojrzeniem.

– Niech o jej losie zadecydują zdrowe prawa rynku! – rzekła uroczyście pani Cytrusiewicz i napelniła kieliszki. – Za wolny rynek! – wzniosła toast.

Wychyliliśmy kieliszki w skupieniu.

– Do zasad nowoczesnego marketingu – wyjaśnił pan Juruś –

marketingu, którego jestem gorącym wyznawcą, należy ważna zasada, by nie więzić pieniędzy w towarze. Liczę, że z pomocą panów od ręki upłynniemy tę bieliznę i uzyskane pieniądze będziemy mogli przeznaczyć

na inny... hm... cel.

– Szlachetny cel – zaznaczył szybko pan Cicirko – bardzo szlachetny cel, na przykład...

– Na przykład na kupno kolorowego telewizora dla naszych biednych staruszków! – wykrzyknęła radośnie pani Cytrusiewicz. – I co panowie na tę ofertę? – obróciła się do nas.

Wymieniliśmy smętne spojrzenia. Szczerze mówiąc mieliśmy już dość tej całej pościelowej afery.

W tej czystej, fabrycznie nowej bieliźnie wyczuwaliśmy jakiś brudek.

Ale głupio nam było powiedzieć to im w oczy. Zresztą jakie mieliśmy dowody? Więc Jacek powiedział tylko:

– O ile dobrze zrozumiałem, państwo proponują nam nabycie stu kompletów wiadomego towaru. To... to interesująca oferta, lecz musimy porozumieć się przedtem z centralą. Od ręki możemy wziąć tylko pięćdziesiąt. Jaka cena wchodziłaby w grę?

– Tyle ile ja zapłaciłam, to znaczy cztery miliony osiemset osiemdziesiąt tysięcy – uśmiechnęła się pani Cytrusiewicz.

– To była cena sprzedaży, droga pani – rzekł Jacek – a teraz w grę wchodzi cena kupna.

– Nie cena kupna, a cena sprzedaży – uśmiechnęła się jeszcze bardziej słodko pani Cytrusiewicz – bo przecież teraz to ja sprzedaję, a wy kupujecie.

– Nie cena sprzedaży, a cena kupna – uśmiechnął się Jacek – bo teraz to my kupujemy, a pani sprzedaje. Tak to wygląda od naszej strony.

– Ale dlaczego mamy na to patrzeć od waszej strony?

– Bo my jesteśmy kupcami.

– A ja?

– Pani jest klientką.

– Panie Juruś – westchnęła dyrektorka – czy to sprawiedliwe?

Pan Juruś pogłaskał wąsa.

– Obawiam się, droga przyjaciółko, że nie da się tego inaczej załatwić. Kupcy zawsze doliczają marżę, gdy sprzedają, a kupują odpowiednio taniej. W końcu muszą mieć na tym jakiś zarobek, nie kupują na własny użytek, lecz żeby obrócić towarem...

Wysłuchawszy tej opinii pani Cytrusiewicz mięknie i przyjmuje od nas równe cztery miliony z zerami. Z uprzejmą pomocą pana Cicirki i pana Jurusia ładujemy ponownie pięćdziesiąt paczek do wozu i odjeżdżamy szybko.

`pa

Rozdział VI

Przywracamy Kwakowi dobre imię. Gorzki smak soczku "Calvados".

Kto rąbnął pudełko z prezentem? Fatalna pomyłka Jacka. Znów czerwona toyota, tym razem w pirackiej akcji. Człowiek o twarzy kłowna. Ubijamy interes stulecia.

Gdy docieramy do Góry Kalwarii jest dopiero parę minut po jedenastej, ale decydujemy się zadzwonić do Golda i robimy przystanek przy poczcie. Te przeklęte paczki w tyle wozu dosłownie parzą nas w plecy i chcemy się pozbyć ich jak najprędzej, niemniej wiemy również,

że nie wolno nam działać na łapu-capu, zbyt pochopnie. Rozsądek podpowiada nam, że wpierw należałoby ostrożnie wybadać sytuację i odpowiednio do niej dostosować nasze dalsze zachowanie. Bo jeśli ktoś nas wtedy widział i wie, że to my "zwinęliśmy" bieliznę...

– No, właśnie – pytam Jacka – co będzie, jak w Ludwisinie zrobiło się dla nas zbyt... zbyt... niezdrowo?

– Nie bój się – odpowiada – paczki nie były rozpakowane, wystarczy więc mała gadka: "pomyłka w asortymencie, tak jak powiedział Benon, musieliśmy wymienić". Pamiętaj, bez żadnych dalszych szczegółów!

"Pomyłka w asortymencie", tylko tyle!

Telefony w tych małych miasteczkach (i nie tylko) działają wciąż jeszcze okropnie. Używa prawie godzina, zanim wreszcie dostajemy połączenie z Ludwisinem. Za to mamy przyjemność rozmawiać z samym Goldem, który właśnie dopiero co wrócił był z Warszawy. Jak można było przypuszczać jest cały roztrzęsiony. Nie pojmuję zrazu z kim rozmawia, nic nie kojarzy, dopiero nazwisko Artura i magiczne słowo "bielizna" wywołuje u niego żywą reakcję.

– Bielizna?! Właśnie okradziono nas dokładnie z bielizny pościelowej, którą panowie wczoraj byli uprzejmi dostarczyć! A jutro zaczyna się kurs. Co ja pościelę magistrom? W czym ich położę?

Zupełnie koszmarna sprawa! Kursant nas okradł! Wyniósł po cichu pięćdziesiąt paczek bielizny i ulotnił się bez śladu.

– Kursant?! – poczuliśmy się głupio.

– Dziś w nocy lub z samego rana. Skorzystał z tego, że mnie nie było,

a stróż tańczył.

– Jak to tańczył? Stróż?!

– Jako ojciec chrzestny. Bo personel urządził sobie zabawę

kompaktową, że tak powiem, z racji chrzcin dwojaczków żony kucharza

i imienin trzech panienek z personelu. Na szczęście łatwośmy

zidentyfikowali złodzieja. To niejaki Kwak-Kwaczkowski, magister

informatyki...

– Jest pan pewien? – jęknął zakłopotany Jacek.

– Niestety tak. To osobnik znany w środowisku naukowym. Stały

bywalec różnych kursów i konferencji. Udawał nieszkodliwego dziwaka

–

hipochondryka.

Faktycznie

wyglądał

mi

na

chorowitego,

roztargnionego naukowca. Kto by pomyślał proszę panów, że taki

człowiek może ukraść bieliznę pościelową. Co za upadek obyczajów! A

jak przemyślnie to zrobił! Nikt nawet nie zauważył, jak odjeżdżał! I co

za kondycja fizyczna! Co za tupet! Powiedziałbym, brawura!

Pięćdziesiąt paczek przenieść w ciągu kilku minut i załadować do wozu!

Pod nosem całego personelu i stróża...

– Tańczącego stróża – zauważył uszczypliwie Jacek.

– Tak, niestety, tańczącego stróża – przytaknął z goryczą pan Gold.

Słucham tego wszystkiego z rosnącym zakłopotaniem. Do głowy mi przedtem nie przyszło, że cała afera może się skrupić na Bogu ducha winnym Kwaku-Kwaczkowskim. Trzeba koniecznie wyprowadzić Golda z błędu!

Z ulgą stwierdzam, że Jacuś Pampers ma w sobie resztki człowieczeństwa i próbuje zdjąć odium z Kwaka.

– Proszę się uspokoić – mówi do Golda. – Mam dobrą wiadomość.

Pańska wspaniała bielizna wraca do pana... to znaczy już jedzie!

– Co takiego?!

– Mamy ją w naszym wozie, uratowaną.

– Z rąk Kwaka? Jakim cudem? Schwytaliście go?

– Odebraliśmy ją niejakiemu Anatolowi Grynderowi.

– Anatolowi Grynderowi? Nie znam!

– To chory psychicznie, który zbiegł ze szpitala, niestychanie sprawny fizycznie i przebiegły. Od kilku dni grasuje po okolicy w czerwonej toyocie. Rozdaje ludziom różne rzeczy, które kradnie w nocy.

– Kradnie w nocy?

– Lub wczesnym rankiem. Dzisiaj próbował rozdawać chłopom pańską bieliznę.

– Rozdawać moją bieliznę?! – oburzył się Gold.

– Wydaje mu się pewnie, że jest świętym Franciszkiem albo ministrem Kuroniem.

– Czy dużo rozdał? – zaniepokoił się Gold.

– Nikt od niego nie chciał brać. Ludzie tu są nieufni, podejrzewali jakąś nieczystą sprawę. Mieliśmy szczęście, że przejeżdżaliśmy tamtędy. Z pomocą sołtysa i miejscowych strażaków odebraliśmy Grynderowi paczki i właśnie wieziemy do pana. A pan magister Kwak-Kwaczkowski posiada alibi na całą zeszłą noc i nie ma nic wspólnego z kradzieżą. Przyjechał wprawdzie na kurs dzień wcześniej, ale wyniósł się jeszcze wczoraj wieczorem, bo nie mógł usnąć z powodu hałaśliwej zabawy, którą urządził sobie personel. Wypłoszony przeniósł się na noc do motelu "Charles". Proszę do niego zaraz zadzwonić i sprowadzić go do Ludwisina! Z uwagi na jego wiadome dziwactwa, proszę mu koniecznie powiedzieć, że otrzymał pan właśnie zupełnie nowe, czyste, wyjałowione, zdrowotne i higieniczne komplety pościeli oraz że teren kursów został dokładnie odkażony i uznany przez sanepid za całkowicie bezpieczny dla zdrowia magistrów kursantów.

Zażenowany, że niesłusznie podejrzewał Kwaka, pan Gold obiecuje natychmiast zająć się nim i przywieźć go osobiście do Ludwisina, a mnie spada nieznośny kamień z serca. Pampersowi chyba też, bo mruga do mnie zadowolony.

– Umie się załatwiać te rzeczy, co, Lord?

Już na luzie w dobrym humorze dojeżdżamy do Ludwisina i oddajemy panu Goldowi jego paczki. Uradowany menedżer chce nam zapłacić dwie setki patyków tytułem zwrotu kosztów, i wynagrodzenia za "cenną przysługę", ale honor kupiecki nie pozwala nam przyjąć żadnych pieniędzy. Wychodzi na to, że jesteśmy niesamowicie

szlachetni, bezinteresowni i przyjaciele. Gold nie tai swojego zdumienia i podziwu. Wymawiamy się także od obiadu, którym chciał nas uraczyć. Wolimy nie ryzykować spotkania z magistrem Kwakiem-Kwaczkowskim, który, jak nas poinformował odprężony Gold, już od godziny z powrotem przebywa w Ludwisinie. Zresztą nie mamy czasu, bo według harmonogramu powinniśmy już dawno być na fermie Duriasz Mały koło Białobrzegów i jesteśmy spóźnieni bite cztery godziny.

Zasuwamy więc szybko z powrotem. W pełnym pędzie mijamy tablice reklamowe motelu "Charles" i dróżkę wiodącą do niego.

– Chyba zapomniałeś o czymś – mówię siląc się na spokój.

– Niby o czym? – warczy Jacek.

– O moim towarze. Mam towar u "Charlesa".

– Ach, te cholerne jaja! – złości się, ale w końcu zawraca wściekły.

Nasze stosunki są coraz bardziej napięte. Nie do wytrzymania na dłuższą metę. Postanawiam przejąć inicjatywę i rzecz radykalnie wyprostować.

– Masz rację – mówię. – Wrobiłem cię w te jaja. Bez pytania o zgodę.

To nie było fair. To było samolubne. Ale chcę to naprawić...

Jacek łypie na mnie zaskoczony okiem.

– Dopuszczam cię do spółki – mówię. – Równe udziały. Fifty fifty!

Mój nieoczekiwany gest robi na Jacku wrażenie. Mruczy coś

niewyraźnie i już bez dąsów pomaga mi załadować towar do

samochodu. Już w oczyszczonej atmosferze po raz trzeci "przerabiamy"

tego dnia tę samą trasę między Bugiem a Wisłą.

Nasz następny etap to Tarczyn. Mamy wstąpić do hurtowni soków, dżemów i koktajlów owocowych o milej nazwie "Calvados". Trochę kręcę nosem. Nie jestem przekonany do tego interesu.

– Czy na jakichś soczkach można zarobić?

Jacek uśmiecha się pobłaźliwie.

– Soczek soczkowi nierówny. Nie jedziemy po "jakiś" soczek, jedziemy po soczek specjalny "Calvados", dla specjalnych odbiorców i co tydzień specjalnie przygotowywany dla "Pytona" przez "opojów".

– Opojów?! – marszczę czoło.

– To pieszczotliwe "zwisko" nadał menedżerom z "Calvadosu" Artur Saleda. To starzy przyjaciele Artura. "Pyton" ma dziesięć procent udziału w tej firmie i do dyspozycji specjalną piwniczkę...

– Piwniczkę?!

– Jako specjalny podręczny magazyn, i ta piwniczka to także nasza specjalna... hm... szansa...

– Szansa na co?

– Że ulokujemy w niej, do cholery, te jaja, zanim znajdziemy naiwniaka, który nieopatrznie zgodzi się je odkupić!

Opuszczam nieco oparcie fotela, motor mruczy monotonnie, przymykam oczy. Robi się ciepło i sennie. Raz po raz zapadam w drzemkę, a potem w głęboki sen. Dziwny i sensacyjny. Śni mi się, że jedziemy wielkim TIR-em, wieziemy komputery, magnetowidy, wideokamery, sprzęt hi-fi, jakąś skomplikowaną ultranowoczesną

aparaturę, różne elektroniczne cacka... Nagle z tyłu dobiega nas ostry pisk. Czyżby ktoś włączył aparaty? Ale kto i jakim cudem?! Nasłuchuję. Głos nie cichnie, przeciwnie, dołączają do niego coraz to nowe piski, już cała aparatura piszczy, coraz głośniej i głośniej, na wszystkie możliwe tony... Boże, to przecież... sygnały alarmowe! Grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo! Przenika mnie dreszcz przerażenia.

– Zatrzymaj! – krzyczę do Jacka.

Jacek hamuje gwałtownie. Przed nami na szosie – gigantyczna barykada z przewróconych ciężarówek, zagranicznych Tir-ów, autokarów i luksusowych limuzyn. Na jej szczycie na fotelach wyjętych z komfortowych wozów siedzą uzbrojeni w broń maszynową "yuppies" i ten kowboj nadbużański, który sprzedał mi jajka. Patrzę na mnie i pękają ze śmiechu. Do licha, nie wiedziałem, że są w zмовie i czemu tak się śmieją? Rozzłoszczony posyłam im soczystą wiązkę słowną. W odpowiedzi częstują mnie serią z automatu... Czuję przeszywający ból w boku. Trafili mnie?!

Przerażony, otwieram oczy. Stoimy na poboczu szosy. Barykady i "yuppies" ani śladu. Za to Jacek grzmoci mnie pięścią w żebro.

– Wwi... du... ju... ajaja... – coś bełkocze niezrozumiale.

– Nie zgrywaj się na Anglika – mówię. – Wal po polsku!... Co ci?!

Masz pypcia w gębie?

– Lo... Lord!!! Nie widzisz? Tam... tam... jaja!... – mamle przerażony, wskazując na ładunek w tyle wozu.

Oglądam się i robi mi się żółto w oczach. Do licha! Co się stało z moim

extratowarem? Zamiast jaj widzę mrowie piskląt. Niektóre dopiero wykluwają się ze skorupki, inne już próbują chodzić i to one wydają te zwycięskie, radosne piski. Tak, sprawa jest zupełnie prosta. Na naszych oczach odbywał się proces wylęgania, a ja stawałem się szczęśliwym (?) właścicielem stada trzech tysięcy sześciuset kurcząt!

– Nabiał cię w butelczynę ten dowcipny kmiotek – zasyczał Jacek. Już odzyskał zwykłą swadę i zaczął używać sobie na mnie. – Masz, głupku swój znakomity interes. Okazyjne kupno! Faktycznie to była okazja, ale dla tego oszusta. Trafił mu się wyjątkowo łatwowierny kupiec! Dałeś sobie wtrynić zalęgnięte jajka, Lord. To tajemnica ich niskiej ceny. Pewnie były z jakiejś zbankrutowanej pegeerowskiej wylęgarni, dobrze już nagrzane, a my je dogrzaliśmy trzymając za piecem w motelu... i teraz w rozgrzanym wozie... Od razu wiedziałem, że z tymi jajami będzie tylko kłopot. Co my teraz zrobimy? – jęknął – taka strata!

Chrząknąłem zakłopotany.

– Trudno – powiedziałem starając się zachować fason. – To... to był specjalny towar. Mogło być jeszcze gorzej. Pomyśl, co by było, gdyby jajeczka okazały się wprawdzie nie zalęgnięte, ale za to częściowo nieświeże? Jajeczka zawsze mogą być częściowo nieświeże. A nasze przeciwnie... Spójrz na te pisklęta, jakie zdrowe, jakie żywotne...

– Ale pisklętaaaa! – zapłakał Jacek.

– Pisklęta to też towar – mówię. – Takie pisklę jest więcej warte od jajka.

– Myślisz?

– Co najmniej dwa razy – mówię z przekonaniem. – Uplynnimy je...

to znaczy, sprzedamy łatwo na targu...

– Trzy tysiące sześćset sztuk? – jęknął Jacek. – Kto tyle kupi?

– Nie histeryzuj, Pampers – zgasilem go. – Na pewno nie wylęgną się wszystkie, może będzie ich tylko tysiąc.

– Tylko?! – Jacek zaśmiał się gorzko.

– Za to po pewnym odchowaniu warte będą pięć, dziesięć i dwadzieścia razy tyle co jajko.

– Masz zamiar je odchować?

Chrząkam niewyraźnie.

– Ciekawym, gdzie je będziesz chował, bo przecież nie w moim wozie

– cedzi Jacek przez zęby. – I to jeszcze ci powiem: wóz ma być zaraz opróżniony z tego tałatajstwa!

– Co mam zrobić? Tak po prostu wyrzucić pisklęta na pole?

– A pewnie!

– Proszę bardzo! Otwieraj drzwi i wyrzucaj, ty okrutniku, ty...

Pampersie bez serca!

Jacek wściekły łypnął ponurym okiem na kłopotliwy ładunek.

Pisklęta piszczały coraz głośniejsze i chyba bardziej żałośnie. Z pewnością były głodne i spragnione. Niektóre "dyszały" z otwartymi szeroko dziobkami, jakby uchodziło z nich życie...

– No, dobrze – zasapał Jacek – wyrzucimy je, ale nie tutaj.

– A gdzie?

W odpowiedzi zapuścił motor.

– Wracamy – warknął. – Mam pomysł, co zrobić z tą piszczącą hałasną!

– Jaki?

– Podrzucimy je Marcie Duriasz. Ona w ramach dużej fermy rodziców, prowadzi małą fermę kurzą. Dasz jej te pisklęta, niech dołączy do swoich.

– W charakterze prezentu?

– W charakterze udziału. I dobrze by było wyposażyć je w jakieś wiano, to dobrze nastroi Martę.

Po drodze zatrzymujemy się w Grójcu i jako wiano naszych pisklątek kupujemy worek śruty i specjalną mieszankę do hodowli brojlerów.

Stwierdzam, że Pampers ma wyraźne chody u Marty. Dzielna dziewczyna bez żadnych pytań i ceregieli godzi się przyjąć nasze kurczątko do swojej fermy, którą prowadzi razem ze swoim młodszym bratem Krystkiem. Gdy pisklęta dorosną i staną się brojlerami, dostaniemy za nie po pięć patyków od sztuki. Dobre i to.

"Najważniejsze, że kłopot z głowy! Nie rób mi więcej, Lord, takich kawałów!" – mruczy Jacek, gdy opróżnionym i jako tako oczyszczonym po nieszczęsnych jajach wozem wyjeżdżamy z powrotem na szosę.

W Tarczynie zatrzymujemy się na małym placyku przed bramą z wielkim napisem Calvados Mazowiecki. Stoi tu już jeden samochód w policyjnych barwach.

– Zostań tu – mówi Jacek do mnie. – Jakoś tu dziwnie cicho... i ten gliniarski wóz... Pójdę zobaczyć, co się święci.

Chyba coś niedobrego – myślę, bo widzę, że zajeżdżają jeszcze dwa inne. Z drugiego wyskakuje tęgi funkcjonariusz w okularach i... ku mojemu przerażeniu sady wielkimi krokami prosto do mnie!... No... tak, mogłem się spodziewać, że tak się to wszystko skończy.

Doniesiono na nas, to pewne! Bekniemy za tę skandaliczną historię z farbą i za te kombinacje z bielizną pościelową... przez głowę przelatują mi rozpaczliwe myśli. Co robić?! Strugać głupawego małolata, czy wyskoczyć z wozu i próbować ucieczki?...

Za późno! Tej drugiej możliwości już nie ma, bo nogi mi wrosły w podłogę. Przykro zaskoczony odkrywam w sobie pozostałe kliniczne symptomy nieopanowanego strachu: zimny pot, gęsią skórkę, a serce – też klasyczny objaw – podchodzi mi do gardła. Przygnębia mnie ten oczywisty brak odporności psychicznej. Koniecznie muszę popracować nad sobą i wzmocnić swój system nerwowy.

Policjant okularnik przykłada dwa palce do daszka czapki i prosi o dokumenty. Wyciągam je nerwowo z saszetki Jacka. Policjant przygląda się najpierw dokumentom, potem mnie.

– A gdzie kierowca? – pyta.

– Wszedł na chwilę – wykrztuszam przez ściśniętą krtani – ale o co chodzi? Czy coś nie w porządku?

– W dużym nieporządku – mówi policjant. – Chciałbym, żebyś dobrze obejrzał wasz wózek.

Wyskakuję z auta i oglądam.

– A niech to licho! – jęczę – zgubiliśmy tablicę rejestracyjną!

– No właśnie. Leżała niedaleko stąd, za dziurą w jezdni. Masz szczęście, akurat nadjeżdżałem!

– O, Boże – jęknąłem jeszcze głośniejsze – bo spostrzegłem, że przednie prawe koło trzyma się tylko na trzech śrubach, czwartej brakuje.

Trzyma się, to zresztą za dużo powiedziane, gdy sprawdziłem, śruby tkwiły całkiem luźno i dawały się kręcić palcami. Dreszcz mnie przeszedł. Byliśmy o krok od strasznego wypadku!

Policjant przetarł okulary i pokręcił głową.

– No, no, takie niedbalstwo!

– To nie nasza wina... wóz był w porządku, ktoś chciał nam pewnie ukraść tablicę i koło... i... i poodkręcał śruby, albo... albo może chciał nam zrobić brzydki kawał...

– Bardzo brzydki – powiedział policjant. – Na przyszłość radzę dobrze sprawdzać wszystko przed jazdą – dodał oddając mi tablicę i dokumenty.

Wrócił zdenerwowany Jacek.

– Czego on chciał od ciebie – spojrzał podejrzliwie na policjanta w okularach, który właśnie wsiadał do swojego wozu.

– Zgubiliśmy tablicę rejestracyjną – odpowiadam. – On ją znalazł i oddał. Odleciała przy wstrząsie, tu pełno dziur w jezdni.

– Odleciała? Jak mogła odlecieć!

– Ktoś musiał majstrować przy niej, a co gorsza przy kołach – pokazałem obłuzowane śruby.

Jacek zaklął pod nosem, chwycił klucz i podokręcał je.

– Głowę dam, że to ci z toyoty – zasapał. – Załatwili to w Grójcu,

kiedy robiliśmy zakupy. Sprawdziłeś, czy nic nie zginęło ze środka?

– Chyba nic.

Jacek niezadowolony z mojej odpowiedzi otworzył tylnie drzwi i

uważnie lustrował wnętrze. Na koniec zajrzał pod siedzenia.

– A niech to diabli! – w jego okrzyku było więcej zdziwienia niż

złości. – Ukradli prezent!

– Prezent Artura?

– Właśnie! Ale czemu zostawili droższe rzeczy, choćby radio...

– Może to jacyś pijacy. Zmyliło ich pudełko po whisky.

– Nie, nie, to te draby z toyoty, co pętają się koło nas od Okęcia! Co za

parszywy dzień! Wskakuj, zmywamy się!

– A co z "Calvadosem"? – zapytałem pakując się do wozu.

– Wdepnęliśmy nie w porę. Akurat podczas obławy...

– Obławy?!

– Policja zrobiła tu nalot. Skonfiskowali "opojom" hektolitry

moszczu i pulpy! Żal! Tyle owoców się zmarnuje, choć to nie pierwszy

wybór, trzeci sort, jabłuszka trochę nadgniłe, ale szkoda! Tyle pulpy

gotowej do fermentacji! Mój Boże!

– Wciąż nie bardzo rozumiem.

– Śmierząca sprawa, Lord. Okazało się, że tam była fabryczka w

fabryczce. Na górze nektary i dżemy, na dole w piwnicach

bimbrownia...

– Chcesz powiedzieć, że nasz calvados...

– Był pędzony na lewo jako produkt uboczny i nielegalny... A takie to było tanie i dobre soczysko. Ze szlachetnego surowca!

– Soczysko wysokoprocentowe i dobrze destylowane?

– Widzę, że znasz się trochę na rzeczy, współniku – Jacek uśmiechnął się kwaśno. – Tak, "opoję" to fachowcy, wyrób był bez zarzutu. Ich gorzala nawet po rozcieńczeniu w rozlewni miała jeszcze te swoje trzydzieści, czterdzieści procent. Rzecz w tym i całe nieszczęście, że u nas zyskowny przywilej produkcji wszelkiego rodzaju spirytusików zastrzegło sobie państwo i nikomu innemu nie daje... a takich, co to robią i sprzedają, pakuje się do kicia. Całe szczęście, że coś zwęszyłem od razu i nie dałem się wciągnąć do kociołka, bo by nas zgarnęli jak tamtych, co byli w środku i już byśmy paradowali jak oni w bransoletkach – Jacek spojrział w lusterko, czy nikt nas nie ściga i dodał gazu.

Przygryzłem wargi do krwi.

– Ty oczywiście wiedziałeś od początku, czym to pachnie?

– Że "opoję" to pędzą na miejscu? Do głowy mi nie przyszło!

– Naprawdę?

– Myślałem, że mam do czynienia po prostu z hurtownią calvadosu.

Słowo, że nie wiedziałem.

– Ale Artur wiedział i wrobił nas bez skrępowań.

Narasta we mnie gniew.

– Mam tego wszystkiego serdecznie dość! – wybucham. – Tym razem to już naprawdę koniec! Wycofuję się, Pampers!

– Nie opowiadaj! Żartujesz chyba? – Jacek spojrział na mnie

zaskoczony. – Nic się przecież nie stało.

– Nic?! Obiecałeś, że już żadnych lewych interesów, żadnych

szemranych transakcji! Miało być uczciwie.

– Ależ ręczę ci... na tle innych "Pyton" to całkiem uczciwa firma na

dorobku. Pamiętaj, że wystartowaliśmy niedawno. Nie wszystko się

jeszcze układa jak powinno, a że czasem robiło się interesy...

powiedzmy nietypowe...

– Łagodnie to nazywasz.

– Nie zgrywaj się na świętoszka, od czegoś trzeba było zacząć. Jak

myślisz, skąd Artur wytrzasnął szmal na uruchomienie "Pytona". To był

golec, taki jak ty i ja. A melony nie urosły mu przecież w kieszeni.

– Był dwa lata za granicą i sporo zarobił.

– Nie bądź naiwny. To jego matka rozpuszcza takie budujące wersje,

a on przez te dwa lata po prostu siedział w kiciu!

Wolę nie pytać za co. Milczę przykro zaskoczony. Jacek wzdycha

ciężko.

– Gdybyś pogrzebał dzisiejszym miliarderom w ich życiorysach,

różne rzeczy by powychodziły. Mało kto na początku kariery ma czyste

konto.

– Czy tak być musi? – mruczę ponuro.

– Nie musi, ale zbyt często bywa. Jak jesteś na początku drogi, sam,

bez chodów i pomocy, to musisz czepiać się byle jakiego wózka, inaczej

nie pojedziesz.

– Nie, to nie tak! Pięknie dziękuję Pampers, lecz ja się w to nie bawię!

– Łatwo ci mówić – westchnął Jacek – ale spróbuj sam zrobić te

pierwsze sto milionów, jak nie masz przetartej ścieżki, a na drodze

rozbój i nieuczciwa konkurencja, pełno hien, szakali i różnych

szwindlarzy! No, spróbuj, zrozumiesz wtedy... Jak musisz oganiać się

przed tą zgrają to każdy kij jest dobry i każdy chwyt dozwolony – dodał

z jakąś zimną zaciętością.

– Każdy chwyt? Chyba przeholowałeś trochę – skrzywiłem się.

Jacek chrząknął.

– No dobrze, przeholowałem, wprowadzie sam Adam Mickiewicz

powiedział: "gwałt niech się gwałtem odciska", ale nie bój się. Nie będzie

już żadnych trefnych interesów. Zahandlujemy uczciwie, jak Pan Bóg

przykazał.

– E, nie wierzę – zaszydziłem. – Na pewno masz w planie jakiś

dowcipny interesik ze stuprocentową marżą. Ciekawym tylko co? Guma

do żucia, od której wypadają zęby? Podrabiane pampersy, które

ciekną? Marlboro szpikowane swojską machorką spod Miechowa?

– Wiesz, pomysływy jesteś, Lord! – Jacek próbował się uśmiechnąć,

ale mu nie wyszło. – To oferta nader kusząca dla aferzystów, ale nic z

tego. Tym razem żadnych sensacji, ubijemy zdrowy interes z

prawdziwego zdarzenia. Nasz partner to solidna radomska firma,

panowie Golas i Przykryty. Oferują towar dla ekskluzywnej klienteli.

– Krawaty dla nudystów? Kapelusze z piórkiem?

– Skończ już z tym płaskim dowcipkowaniem. Firma "Golas i

Przykryty" zaspokaja potrzeby pięknych pań.

– W dziedzinie kosmetyki?

– Nie.

– Konfekcji?

– Nie. W dziedzinie obuwia.

– Falszywe adidasy trzeciej klasy rodem z Przytyka?

– Prawdziwe firmowe czółenka rodem ze słonecznej Italii.

Zagwizdałem zaskoczony.

– Mówisz serio?

– Oczywiście! Golas i Przykryty robią te czółenka na oryginalnej włoskiej licencji! Fason Pi~e de la Capretta. Obuwie zarazem eleganckie i zdrowotne. Przebój sezonu. Weźmiemy tego na początek czterdzieści par.

– Żartujesz. I to nam się opłaci?

– Mowa! Polecą w ciągu dwu dni.

– Ciekawym, gdzie my to upchniemy.

– Jak to gdzie? Na wsi.

– Na wsi? Czterdzieści par w dwa dni? A komuż to chcesz sprzedać?

– Komu? – Jacek roześmiał się. – Spokojna głowa! Sprzedam pannom młodym, które w najbliższych dniach będą się stroić do ślubu. Takie szczęśliwe oblubienice, to wymarzone klientki, gotowe za takie czółenka zapłacić każdą, nawet wygórowaną, cenę. Nawet gdyby tylko co czwarta kupiła...

– A gdzie te oblubienice znajdziesz?

W odpowiedzi Jacek wyciągnął ze swojej dyplomatki gęsto

zadrukowany arkusz i pomachał nim triumfalnie.

– Tu masz te wszystkie dzierlatki w promieniu stu kilometrów po obu stronach Wisły. Adresy, imiona i nazwiska, daty ślubów, wszystko jest na tej liście. Nic tylko obskoczyć i opylić...

– Czy to pewne? – spojrzałem z niedowierzaniem.

– Jak w banku Pko. Lista została sporządzona na podstawie zapowiedzi kościelnych i zapisów w księgach parafialnych.

– Ale te... te oblubienice...

– Co oblubienice?

– Może będą wolały kupić w normalnych sklepach. Skąd wiesz, że to pójdzie?

– Pójdzie. Rzecz w tym, że pantofle, które można dostać w sklepach, nie pasują na ten typ stopy, jaki reprezentują tutejsze panny, stopy mocno zbudowanej o wysokim podbiciu. Natomiast my proponujemy najnowszy przebój sezonu, rewelację rynku: obuwie zdrowotne na licencji firmy "Lampedusa" ze świetnej serii Campaniola, w szczególności zaś model Pi~e de la Capretta, czólenka damskie dyskretnie poszerzone w palcach w sposób niewidoczny dla oka i nic nie ujmujący elegancji. To przewrót w historii damskiego obuwnictwa. To także koniec męki oblubienic nabijanych do tej pory bezlitośnie w czólenka starego typu. To obuwie zawojuje wkrótce cały rynek, a my będziemy pierwsi... Czy wiesz, jaka to dla nas szansa...

– Chciałbym wierzyć, ale...

– Przekonasz się sam niedługo. W kwietniu Artur sprzedał sześćdziesiąt par tego modelu w ciągu dwu dni! Zarobił na tym na czysto trzydzieści melonów z górą. Tak, to znakomity interes, ale trzeba, rzecz jasna, mieć rozeznanie. Stąd ta lista sporządzona przez agentów Artura, żeby nie grać w ciemno... O, Boże! – Jacek hamuje gwałtownie, a potem cofa wóz kilkanaście metrów w tył.

– Co jest? – pytam zdenerwowany.

– Zobacz! Zobacz, tam na poboczu... leży przy szosie!

– Co leży?

– Pudełko po whisky Johnny Walker! To skradzione... z prezentem od Artura!

Poznaję! Faktycznie leżało!

Jacek podbiegł do niego, podniósł z ziemi, otworzył i... z gardła wydarł mu się dziwny nieartykułowany bełkot. Podbiegłem i ja. Jacek bez słowa podał mi otwarte pudełko. Spojrzałem i osłupiałem.

To nie był prezent od Artura! W pudełku znajdowała się lalka – chłopaczek w łowickim stroju, a raczej to, co z niego zostało, ponieważ był bez rąk i głowy, rozkrajany wzdłuż, i – jeśli się tak można wyrazić – dokładnie wybebeszony!

– Do licha, Pampers! – wykrzyknąłem. – To przecież twoje pudełko, twój prezent dla Pameli! Co to ma znaczyć?

– To znaczy – jęknął zgnębiony Jacek – to znaczy, że pomyliłem pudełka; dałem Pameli pudełko Artura, a w wozie zostało moje, z lalką w środku. No i widzisz, co z nią zrobili!

– Zwyczajnie! – mruknąłem.

– Niekoniecznie – powiedział Jacek – to raczej szperacze.

– Szperacze?

– Śledzili nas od dawna, jechali naszym tropem. Sądziли pewnie, że wiozę coś cennego i że to jest ukryte w lalce... Ale jak mogłem się tak pomylić? Przecież pudełko Artura było pod prawym siedzeniem.

– Myślę, że to te szperacze, co szperały w naszym wozie pod motelem...

Oni mieli te pudełka w rękach i to oni musieli coś zachachmęcić!

– Chyba tak, ale powinienem był sprawdzić, zanim wręczyłem Pameli. Co teraz będzie, jak ona zajrzy do pudełka? Wiesz jakie są dziewczyny, nie wytrzyma z ciekawości i zajrzy już teraz.

– No, to co, że zajrzy.

– Jak to co? Mam złe przeczucia. Znam Artura, to złośliwa małpa i świntuch! Bóg jeden wie, co mógł dla kawału włożyć do tamtego pudła, a Pamela pomyśli, że to ja... Śmiertelnie obrazi się na mnie.

– W pudełku Artura na pewno nie będzie nic... hm... niestosownego.

To przecież miał być prezent dla przyjaciółki z okazji jej ślubu.

– I to właśnie dla Artura okazja dla zrobienia brzydkiego kawału.

Nie wiadomo, co między nimi zaszło... Boję się, znam naszego Arturka, on ma pomysły!

– No, cóż – próbuję uspokoić Jacka – w najgorszym razie wytłumaczysz Pameli, że zaszła pomyłka, a ja zaświadczę, że nie z twojej winy i opowiem o tych małolatach, co nam przetrząsnęli wózek...

Jacek pokręcił głową.

– To nie będzie takie proste, Lord. Nie wiesz, jak drażliwa jest

Pamela.

– Myślisz, że nam nie uwierzy?

– Tego właśnie się boję.

– Ech, przesadzasz, jak zwykle, gdy chodzi o Pamelę.

Zajęty rozmową nawet nie spostrzegłem, jak mineliśmy Grójec.

Przed nami wygodna droga bez zakrętów. Szosa śmiało przecina

pofałdowany teren południowego Mazowsza. Po lewej i po prawej

stronie sady i sady, a my jak na zawrotnej fali w lunaparku, to pod

górkę, to z góry, to wjazd, to zjazd. Ostatni wprost na most na Pilicy.

Niestety o odprężeniu nie ma mowy. Tuż za parkingiem w

Broniszewie Jacek zaklął pod nosem i mruknął:

– Obejrzyj się. Zdaje się, że mamy towarzystwo.

Istotnie, ta czerwona toyota corolla z warszawską rejestracją, znów

nam siedziała jak rzep na ogonie. Denerwująca sprawa. Już przecież

przetrzęsneli nam cały wóz i przekonali się, że nie wieziemy nic ani

cennego, ani ciekawego i nawet w tym "zagadkowym" pudełku, które

skradli, nic nie ukrywaliśmy... Więc po co nas wciąż eskortują? Czego

jeszcze chcą?

Przed mostem Jacek umyślnie zwalnia, żeby nas wyprzedzili, ale oni

też zwalniają i wcale nie myślą wyprzedzać. W żółtym tempie wloką się

za nami przez most i całe Białobrzegi. Zaraz za miastem Jacek zmienia

taktykę i przyśpiesza gwałtownie. Czyżby chciał się im urwać? Naiwny

pomysł, złudna nadzieja. Oni też przyśpieszają, a w wyścigu z toyotą

jesteśmy z góry na straconej pozycji. Dopędzają nas łatwo. Zaczyna się zadrzewiony teren. Wjeżdżamy w las. Faceci z toyoty jakby tylko na to czekali. Nagle zmieniają zachowanie. Dają sygnał dźwiękowy, chcą nas zatrzymać. Z bocznego okna wysuwa się łapa z "lizakiem". Kim są, do licha? Policja w cywilu? UOP? Prywatni ochroniarze? Czy też po prostu gangsterzy udający policję? Raczej to ostatnie. I mają złe zamiary. Ich zachowanie nie wróży nic dobrego. To chyba oczywiste.

Nie reagujemy na ich sygnały, ignorujemy coraz bardziej agresywne ruchy lizaka i prujemy naprzód na najwyższych obrotach...

Nie zważając, że z przeciwka zbliża się stara pykawka, błękitny wartburg, toyota zabiera się do wyprzedzania naszego wozu i na choma wjeżdża na pasmo wartburga. Pykawka ratując się rozpaczliwie przed czołowym zderzeniem, skręca w prawo, hamuje ostro i wpada w poślizg na błotnistym poboczu. Słyszymy pisk opon i głuchy łomot. Oglądamy się. Straszny widok! Wartburg nadział się na drzewo! W tej samej chwili piracka toyota wyprzedza nas i, nie zatrzymując się, ucieka z miejsca wypadku. Wstrząśnięci tym, co się stało, przystajemy i pędzimy do przewróconego wartburga. W wozie nikogo nie ma. Kierowcę siła zderzenia wyrzuciła przez przednie okno. Leży kilka metrów dalej.

Podchodzimy do niego. Wygląda na trupa. Jacek chce go zbadać, a on nagle siada. Zupełnie niesamowita historia! Siada i, zaskoczony, z widocznym zdziwieniem ogląda sobie pokrwawione ręce. Wciąż jeszcze jest w szoku, ale chyba nie doznał poważniejszych obrażeń, bo całkiem swobodnie poprawia sobie krawat i strzepuje jakieś prochy z rękawa

perłowego

garniturku.

Czyścioszek!

Przyglądam

mu

się

zafascynowany. Ma ciekawą twarz, białą jak kreda, z okrągłymi rumieńczykami na policzkach, rude włosy, takiegoż koloru krzaczaste nienaturalne jak przylepione brwi, wielki nochal zakończony czerwoną gulą. Facet przypomina mi cyrkowego kłowna, lecz w tej chwili jest to kłown żaloszny. Z jego prawej skroni i z ucha sączy się krew. I tak miał duzo szczęścia, że wypadając z wozu nie uderzył głową w drzewo i wylądował stosunkowo miękko na zielonych poduchach mchu torfowca.

– Chyba zabiłem się – wybełkotał patrząc z osłupieniem na swój wózek wbity w sosnę.

– Niech pan spróbuje poruszyć nogami – powiedział Jacek.

Ranny poruszył bez jęku.

– Kręgosłup ma pan w porządku – orzekł Jacek – nic panu nie będzie...

– Ale ta krew... – mamrotał ranny.

– To z drobnych zadrapań, jak pan wylatywał przez szybę... zaraz opatrzemy pana. Ma pan apteczkę, bo my niestety nie mamy.

– Jest w wozie pod siedzeniem – jęknął.

Pobiegliśmy do rozbitego wartburga. Wewnątrz walały się

rozrzucone papiery, pozbieraliśmy je do kupy.

– To jakiś biznesmen – mruknął Jacek. – Zobacz, ma książeczkę

czekową, wzory umów... jakieś listy handlowe – oglądał z

zainteresowaniem.

–

Wynika

z

tego,

że

nazywa

się

Jan

Maruda-Nowaczek i pracuje w firmie "Salutas Gentium".

– Jak na biznesmena ubogo zasuwiał. Pierwszy raz widzę biznesmena

w dwusuwowej pykawce – zauważyłem. – Jest apteczka! –

wykrzyknąłem wyciągając spod fotela pudełko ze znakiem czerwonego

krzyża.

Opatrzyliśmy szybko nieszczęśnika, nie żałując wody utlenionej,

jodyny i przylepca. Biedak szybko przychodził do siebie. Gdy przekonał

się, że naprawdę wyszedł cało z tak groźnego wypadku, że może o

własnych siłach wstać i chodzić, popadł w coś w rodzaju euforii

właściwej ludziom, co fuksem wyłgali się od śmierci. Euforia ta

objawiła się zwłaszcza w niesamowitym gadulstwie. Zasypanyszy nas

na wstępie wylewnymi podziękowaniami przez parę minut wspominał ze szczegółami wszystkie przygody, które mu się w życiu przydarzyły.

– Tak, tak, moi panowie – zakończył – byłem wystawiany na próby i ciężko doświadczany od dziecka, lecz czuwała nade mną Ręka Boża! Nic nigdy mi się nie stało! Podobnie i tym razem! Czy to nie cud, że wyszedłem bez szwanku?!

– Rzeczywiście – przytaknęliśmy.

– Wracam jakby z tamtego świata cały i zdrowy! Co za wspaniałe uczucie! Zupełnie jakbym narodził się na nowo! Jakby ktoś podarował mi drugie życie. Dookoła cudowny świat! Ptaszki śpiewają, sosny pachną żywicą, a ja żyję!... Chodzę!... – wykrzykując swoje zachwyty nad przyrodą leśną chwiejnym krokiem ruszył w stronę swego nieszczęsnego wehikułu.

Wspólnymi siłami, acz nie bez trudu, udało nam się postawić pykawkę na kołach. Jacek próbował uruchomić silnik, ale bezskutecznie.

– Przykro mi, panie Nowaczek, dalej pan nie pojedzie – orzekł zaglądając pod pociętą maskę wozu. – Akumulator rozbity, to byłoby jeszcze pół biedy, dałoby się ruszyć bez niego, gorzej, że chłodnicę panu diabli wzięli i te przewody i cewka...

Ale typ nie przejął się zbytnio tym stanem rzeczy.

– Niewielka szkoda – machnął lekceważąco ręką. – To stary grat.

Właściwie już dawno nadawał się do kasacji. Dość mi się wysłużył, staruszek! A swoją drogą, co za pirat drogowy tak mnie załatwił! Żeby

wyprzedzać na chama i wariata w podobnej sytuacji... I uciekł drań!

Nawet nie wiem, komu mam podziękować za ten bukiet emocji.

– Załatwiła pana czerwona toyota corolla z czterema szemranymi łobuzami w środku. Gnojki od dwu dni deptają nam po piętach. Może pan nas powołać na świadków. Mamy zanotowane numery tego wozu, podamy czas i miejsce wypadku...

– Czas?! A właśnie, która to godzina, panowie?! – Nowaczek z niepokojem spojrzął na swój zegarek z rozbitym szkiełkiem. – Stanął chyba... – potrząsnął nim zdenerwowany.

– Za dwadzieścia pięć trzecia – powiedziałem.

– Niech to diabli! – zasapał. – O trzeciej muszę być u notariusza w Grójcu!

– Obawiam się, że to nierealne – mruknął Jacek.

– Co też pan! Niech pan nie mówi takich rzeczy – zirytował się Nowaczek. – Tu chodzi o transakcję mego życia! O miliardy, rozumie pan?! O grube miliardy!

Spojrzeliliśmy na niego z niedowierzaniem. Nie wyglądał na człowieka obracającego takimi sumami.

– To regularny wariat – szepnąłem do Jacka.

– Albo ujawniły się skutki kontuzji – rzekł cicho Jacek przyglądając się Nowaczkowi ze współczuciem. – Niech pan się uspokoi – powiedział łagodnie do niego. – Nie straci pan ani jednego miliarda, wszystko da się załatwić.

– Na pewno? – Nowaczek chwycił go gwałtownie za rękę. – Panowie

byli dla mnie tak uczynni... właśnie zastanawiałem się, czy mogę prosić o jeszcze jedną przysługę...

– Naprawdę? – Jacek próbował wyswobodzić się z uścisku.

– To dla mnie ostatnia szansa... Błagam, panowie, podrzućcie mnie do Grójca.

Zaskoczeni spojrzeliśmy jeden na drugiego.

– Chętnie byśmy to zrobili – chrząknął Jacek – ale rzecz w tym, że... że jedziemy w przeciwną stronę i też się bardzo śpieszymy, bo mogą nam zamknąć hurtownię.

– Niech pan zatrzyma kogoś, kto zasuwa na Warszawę i komu będzie po drodze – dodałem.

– Obawiam się, że nikt nie zechce mnie zabrać – jęknął Nowaczek. –

To nie jest najlepszy pomysł! Autostop zdechł, panowie, a mój wygląd, nie wiem czemu, nie budzi zaufania. Ludzie stali się teraz podejrzliwi, nie chcą kłopotów, wszyscy się śpieszą, a na drodze tylu gangsterów, aż strach teraz brać kogoś na łebka. Więc nie zatrzymują się, a jeśli już kogoś zabiorą, to każą sobie słono bulić z góry, a ja... powiem panom prawdę... tak się złożyło, że nie mam przy sobie ani grosza gotówki, tylko książeczkę czekową... nie, w mojej sytuacji to beznadziejna sprawa!

– Pan przesadza – rzekł Jacek. – Na pewno ktoś w końcu zlituje się i zatrzyma.

– Ależ, panowie, zrozumcie mnie! Ja nie mogę na to liczyć i cierpliwie czekać jak sierotka. Po prostu nie mam ani pięciu minut czasu. Jak

zaraz nie popędzę setką do Grójca wszystko diabli wezmą. Majątek przepłynie mi koło nosa. To straszne uczucie taki przepływ tysięcy melonów... miliony, miliardy przepływają, a ja nic nie mogę zrobić, bo tkwię tutaj jak głupi kolek... No, wyobraźcie sobie sami... Ale widzę, że panowie mi nie wierzą.

– Trudno uwierzyć, proszę pana – powiedział Jacek – może wyglądamy... hm... dość młodo, ale nie nabieramy się już na bajeczki.

– Żadne bajeczki! – zdenerwował się. – Już powiedziałem wam, robię interes mojego życia! Z jednego miliarda będę miał dziesięć! Osiągnę tysiąc procent w zysku! W trzy dni!

Roześmialiśmy się, co rozgniewało go jeszcze bardziej.

– Uważacie, że plotę brednie?! – zaperzył się. Jego czerwony nos napęczniał jak purchawka. Zdawało się, że pęknie!

– Nie chcemy pana obrażać, ale...

– Uważacie mnie za idiotę?

– Tysiąc procent zysku, to przecież niemożliwe!

– Owszem, możliwe! – wysapał. – Jeszcze trochę za mało wiecie o interesach. W interesach wszystko jest możliwe, oczywiście w pewnych szczególnych wypadkach, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności. A taki właśnie szczęśliwy zbieg zaistniał w tym przypadku, nadzwyczajny zbieg, wyjątkowy! – bulgotał podniecony. – A dlaczego zaistniał! Bo wszedłem w posiadanie cennej informacji, ka-pi-tal-nej, panowie!

– Wszedł pan? – spojrzeliśmy na Nowaczka nieufnie.

Jego twarz smutnego kłowna rozjaśnił chytry uśmieszek.

– Mówiąc prawdę podstuchiłem. Powiem wam, pod warunkiem, że zachowacie w absolutnej tajemnicy. Od dwudziestu lat, panowie, pracuję w firmie o nazwie... – ugryzł się w język – powiedzmy w firmie X. Jestem skromnym, źle opłacanym i pomiatanym na każdym kroku urzędnikiem na podrzędnym stanowisku podinspektora robót kanalizacyjnych, a potem zdegradowanym, już tylko referentem w komórce higieny pracy, panowie mnie rozumieją... toalety, szalety, umywalnie, te rzeczy... Dwadzieścia lat bez żadnej perspektywy i nagle trafiła mi się niezwykła szansa. Wpadł mi w ucho urywek poufnej rozmowy w gabinecie dyrektora. Akurat przechodziłem tamtędy. Drzwi były nie domknięte. Dobry Bóg chciał mnie wynagrodzić za te lata mojej uczciwej lecz nędznej pracy i podprowadził mnie pod te drzwi, żebym mógł podstuchać... A to była wiadomość na wagę złota. Od razu się zorientowałem, jaka tu się kroi dla mnie szansa. I wykorzystałem ją bezbłędnie. Tak jest panowie! Grunt to informacja. Zrobię dziś wielki interes, wypłynę na wielkie wody biznesu, tylko, na miłość boską, muszę za pół godziny być u notariusza w Grójcu...

Słuchaliśmy coraz bardziej niecierpliwie tego potoku wymowy, nie mieliśmy

wątpliwości,

że

są

to

wynurzenia

chorobliwie,

prawdopodobnie

skutek

utrzymujących

się

wciąż

zaburzeń

pourazowych. Wreszcie Jacek zdecydował się zakończyć sprawę i

przerwał Nowaczкови.

– Przykro nam, ale czas ucieka. Musimy pożegnać się z panem.

– Co wy, panowie – przestraszył się Nowaczek – chyba nie

zostawicie mnie tutaj! Nie możecie mi tego zrobić! Miejcie sumienie,

blagam! – zaczął rozpaczliwie. – Wynagrodzę was! Nie pożałujecie!

Nie mam wprowadzić gotówki, ale dam wam zarobić w inny sposób.

Napcham wam do kieszeni tyle forsy, że będziecie mogli kupić sobie

nowy wózek. Dopuszczę was do interesu! Dostaniecie swój udział! Sto

milionów!

Wstyd powiedzieć, ale ta okrągła liczba miała na nas magiczny

wpływ. Przystanęliśmy mimo woli.

– Sto melonów?! Pan żartuje.

– Jak Boga kocham, mówię serio! Sto milionów wasze, po –

pięćdziesiąt na łebka... Zaraz powiem jak... tylko proszę o chwilkę

cierpliwości... zaraz wam wytłumaczę – bełkotał gorączkowo, coraz

szybciej, jakby się bał, że mu uciekniemy i nie zdąży się wypowiedzieć. –

Jak już wiecie zdobyłem ważną informację, wtajemniczę was, tylko język za zębami, nikomu ani mru mru... Otóż podstuchałem, że międzynarodowe konsorcjum o nazwie "Salutas Gentium", to, które niedawno wchłonęło firmę, gdzie pracuję, planuje budowę wielkich zakładów przemysłu spożywczego nad rzeką, Pilicą, koło wsi Przybysławice i w tym celu postanowiło wykupić kilkadziesiąt hektarów gruntu w tamtej okolicy. Od razu zorientowałem się, że los mi pakuje w łapy wielką szansę, jedną i pewnie ostatnią w życiu, że mogę szybko zrobić miliardowy interes. Grunt, na który ma apetyt konsorcjum, należy do kilku chłopów, a jego najważniejsza część, piaszczysty pas nad samą rzeką stanowi własność niejakiego Palucha. To starszy, chytry chłopiek w wieku emerytalnym. Natychmiast sprawdziłem człowieka i wszedłem z nim w kontakt. Od lat próbuje nieborak pozbyć się tego nieużytku i chce go sprzedać po pół dolara za metr kwadratowy. Udałem, że się targuję, w końcu przystałem na tę cenę. Chłopina był uszczęśliwiony. Dziś mamy sporządzić akt notarialny. – Nowaczkową twarz smutnego kłowna wykrzywił uśmiech politowania. – Wydaje się poczciwcowi, że robi kapitalny interes, a ja za trzy dni, proszę was, opylę te piachy konsorcjum po pięć dolarów za metr...

– Sądzi pan, że tyle dadzą?

– Będą musieli, to i tak wypadnie im niezbyt drogo i taniej niż gdyby zmienili lokalizację. Zarobię po cztery i pół dolara na metrze! To ile to wyniesie, jeśli sprzedam im choćby te dziesięć hektarów? Czterdzieści

pięć tysięcy dolców na czysto! To się nazywa interes!

– Według mnie to się nazywa spekulacja – zauważyłem zimno. – Pan wykorzysta niewiedzę tego chłopca. Będzie się czuł oszukany, kiedy się dowie, ile mógł wziąć za ten grunt...

– O żadnym oszustwie tu nie może być mowy – odparł spokojnie Nowaczek. – Te pół dolara za metr, to była jego cena. Sam mi zaproponował. Zapłacę mu dokładnie tyle, ile chciał.

– Tyle chciał, bo nie wiedział o zamiarach konsorcjum.

– Nie bądź śmieszny, młody kolego, miałbym go informować, z jakiego powodu kupuję ten szmat jałowego piachu? To jest gra, przyjacielu. I nie mam żadnego obowiązku! Czy jak grasz w szachy, uprzedzasz przeciwnika o swoich zamysłach, o planowanych kombinacjach?

– Jednakże ten chłopina...

– Niech skarży się na los – przerwał ostro Nowaczek. – Ja nie jestem winny. Po prostu raz w życiu miałem szczęście. Należało mi się sprawiedliwie. Jestem małym urzędnikiem. Dwadzieścia lat sumiennej pracy bez kantów i łapówek, bez żadnych boków, panowie. Nie dorobiłem się niczego. Naprawdę należało mi się... I wy też łapcie szansę!

– Psiakość! Nie mieścimy się w czasie – Jacek walczył z pokusą. – Czy nie można przelożyć tego na jutro?

– W żadnym wypadku – zaprzeczył kategorycznie Nowaczek – o żadnej zwłoce nie może być mowy, bo Pycio mnie podkupi.

– Pycio?!

– To mój kolega z firmy. On chyba zwęszył coś. Obawiam się, że jedzie za mną, śledzi moje ruchy. O, Boże! – wykrzyknął przerażony. – Jestem pewien, że to on zrobił ten wypadek! Tylko skąd u niego ta toyota?

– To nie on, niech pan się uspokoi! – powiedział Jacek. – Już mówiliśmy panu, to paczka łobuzów, co od paru dni depczą nam po piętach.

– Nie znacie Pycia! Mógł przekupić tych typów i wynająć, żeby mnie usunęli z drogi. Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny. Jedźmy na litość Boską. W każdej chwili może dogadać się z Paluchem za moimi plecami... a wtedy żegnajcie miliardy! I wasza pękata sumka też przepadnie. Sto okrągłych melonów na każdego!

– Ile pan powiedział? – Jackowi zaświeciły się oczy jak kotu, oblizał wargi. Znałem ten objaw. Chwycił przynętę.

– Proponuję podwyższenie udziału. Kupię dla was dodatkowo tysiąc metrów za jedne dziesięć baniek. Za trzy dni wyciągniecie z tego od konsorcjum sto.

– Sto? – upewniał się Jacek.

– Okrągło i dokładnie. Sto na łebka! Razem dwieście. Bez żadnej blagi. Dostaniecie to na piśmie!

– Niech pan zaczeka – Jacek pognął do naszego samochodu. – Gdzie podzielaś blok i kalkę?! – warknął na mnie.

– Co chcesz zrobić? – zaniepokoiłem się.

– Dawaj!

Gdy mu podałem, wyrwał z bloku dwie kartki, przełożył kalką i nagryzmolił błyskawicznie jakiś tekst.

– Podpisz tutaj! – wskazał palcem.

– Zaraz... zaraz... chwileczkę! – zdenerwowałem się. – W co ty mnie wrabiasz? – przejechałem wzrokiem kartkę i odczytałem półgłosem:

Ja Witold Mucha zamieszkały w Dłubkowie upoważniam pana Jana Marudę-Nowaczka urodzonego.... w do nabywania i zbywania w moim imieniu nieruchomości rolnych w granicach wiadomej mu kwoty i na wiadomych mu warunkach.....

– Daj spokój! Uwierzyłeś mu? To jakaś niewiarygodna afera. Nie dajmy się w to wciągnąć! Spryciarz chce, żebyśmy go za darmo odstawili do Grójca i na dodatek – wyludzić dziesięć melonów.

– Nie wygląda mi na naciągacza – mruknął Jacek. – Widziałeś przecież jego dokumenty w wozie. Z tych papierów wynika, że faktycznie jest umówiony na dziś z notariuszem. A to, co mówi o interesie, brzmi dość przekonująco. Takie rzeczy się zdarzają.

– Bajeruje! Opowiada różne takie bajeczki. W kinie widziałem lepsze. Nie dajmy się zrobić w konia!

– Nie bój się, nie jestem głupi. Wszystko będzie cacy i Ok! Facet musi nam dać pokwitowanie i zobowiązanie na piśmie! Coś w tym rodzaju: "Kwituję odbiór dziesięciu milionów złotych od panów Pająka Jacka i Muchy Witolda z Dłubkowa, urodzonych w dniu..." Nie, daty urodzenia lepiej nie podawać, bo jesteśmy nieletni... wystarczą imiona rodziców...

a dalej będzie tak: "zobowiązuję się zainwestować ten kapitał w wiadome transakcje handlowe i rozliczyć się w ustalonym miejscu i czasie". Podpis. Numer dowodu osobistego.

Przestraszyłem się nie na żarty.

– Nie rób tego – jęknąłem. – Oszalałeś. Nie znasz faceta, a chcesz mu na piękne oczy powierzyć tyle pieniędzy?! Co ci przyjdzie z tych pokwitowań, jak facet zmyje się z forszą i szukaj wiatru w polu...

– Nie sądzę, ja mam nosa i jestem fizjonomistą. Nigdy bym sobie nie darował, plułbym sobie do śmierci w brodę, że miałem taką okazję i przepuściłem ją z nędznego tchórzostwa, bo mi zabrakło odwagi, bo w krytycznym momencie pożałowałem głupich pięciu melonów.

– To nie jest to, co mieliśmy robić. Gdyby Artur wiedział...

– Nie strasz mnie Arturem! – warknął Jacek.

– Mieliśmy pracować na pewniaka. To miał być handel, a nie hazard... nie jakiś toto-lotek!

– Nazywaj to jak chcesz! Boisz się w to wejść, to nie wchodź. W wielkich interesach zawsze jest jakiś element gry i ryzyka. No i dobrze. To mnie właśnie podnieca. Ale rzecz jasna, to nie jest zabawa dla mięczaków o słabych nerwach, ja w każdym razie zaryzykuję i zagram, a ty nie chcesz grać, proszę bardzo, nie graj! Żebyś tylko potem nie żałował, jak z dziesięciu melonów zrobię sto!

– Z dziesięciu?! Z jakich dziesięciu? Coś ci się pomyliło. Masz tylko pięć melonów w kieszeni.

– Ty masz drugie pięć – uśmiechnął się krzywo Jacek.

– Już powiedziałem, ja w ten interes nie wchodzę!

– Pięknie, ale pożyczysz mi...

– Co takiego?! Ani mi się śni!

*– Proszę, Lord, bądź kolegą. Oddam ci z pierwszego utargu! Pod
hajrem! Jutro, najdalej pojutrze!*

*– Mam finansować twój wyglup?! O, nie! Ktoś musi być rozsądny w
tym tandemie, żebyśmy mieli za co wrócić do chaty!*

*– No, no, Wituś, nie bądź świnią, inaczej koniec z naszym tandemem
i spółką!*

*Przygryzłem wargi do krwi. Zrozumiałem. Wybrałem się na ten
handel nie z kupcem, ale z hazardzistą. To mentalność typowego gracza,
a hazard to wiadomo – narkotyk. Nie ustąpi mi, nie odwiódę go od tego
szalonego zamiaru.*

*– Dobra, wariacie – powiedziałem tłumiąc wściekłość. – Zabawimy
się w to! Ale nie dostaniesz mojej forsy, żadnych pożyczek, o nie! Mam
pożyczyć hazardziście, to już wolę sam zagrać na własny rachunek.*

*I nie czekając na Jacka pierwszy podszedłem do Nowaczka. – Tu jest
moje upoważnienie dla pana – powiedziałem podając mu dokumencik –
kolega zaraz dołączy swoje i jedziemy, panie Maruda. Pan nam tylko
podpisze pokwitowanie na te dziesięć melonów i dla porządku małe
zobowiązanie.*

*– Tak jest! Oczywiście! – Nowaczek z widoczną ulgą chwycił
upoważnienie. – Podpiszę wszystko jak trzeba!*

Podyktowałem mu szybko tekst spreparowany przez Jacka. Bałem

się, że będzie miał jakieś opory, ale on przełknął wszystko gładko, by nie powiedzieć ochoczo i przypieczętował zamaszystym autografem.

– Zaraz, jeszcze jedno – wtrącił Jacek – co do miejsca i czasu rozliczenia pan wstawi: "ferma Duriasz Mały nad Pilicą koło Białobrzegów, 15 czerwca 1992 r. godzina #/12#00". Czy odpowiada panu?

– Może być – Nowaczek zgodził się bez dyskusji spoglądając niespokojnie na zegarek.

Wzięliśmy wrak pykawki na hol, odstawiliśmy go po drodze do warsztatu przy stacji benzynowej i po szaleńczej jeździe z paraliżującym uczuciem, że hazardzista Jacek tym razem rzucił na szalę nasze cenne życie, z pięciominutowym zaledwie opóźnieniem dotarliśmy do Grójca.

Baliśmy się, że nie zdążymy załatwić sprawy w Radomiu i że panowie Golas i Przykryty zamkną nam swoją hurtownię, zdecydowaliśmy więc nie bawić dłużej w Grójcu i spiesznie pożegnaliśmy się z Nowaczkiem.

– Mam nadzieję, że pan nie nawali – rzekł Jacek i przypomniał: – Duriasz Mały, piętnasty czerwca, dwunasta godzina.

– Zaufaliśmy panu! – dodałem, zatraskując drzwi wozu.

– I nie pożałujecie – uśmiechnął się Nowaczek całą swą błazeńską gębą. – U mnie jak w banku, panowie! – Pomachał nam przyjaźnie rączką.

`pa

Rozdział VII

Golas i Przykryty, czyli za wysokie progi. Cash znaczy gotówka.

Rewelacyjne trumny Celebesa. Namolny klient z Przytyka. Wiktuały na stypę. Playboy i Kaczynos, czyli amatorzy "palisandrowej" trumny za wszelką cenę. Próba przemocy.

Z przewietrzonymi kieszeniami (zamiast melonów mamy tam autografy pana Marudy-Nowaczka) przemierzamy jeszcze raz radomską szosę. Coraz bardziej prześladowają mnie czarne myśli.

Analizuję powtórnie całą przygodę i nie mam już wątpliwości, że popełniliśmy, mówiąc delikatnie, nieostrożność wdając się w konszachty z oczywistym aferzystą spekulantem. Wciąż mam przed oczyma jego pocieszoną sylwetkę i ten błazeński uśmiech, którym nas żegnał. Wydaje mi się, że był to uśmiech szydery. Jestem wściekły na Jacka, ale milczę, by nie rozniecać na nowo bezpłodnej już dyskusji i dla uspokojenia nerwów zaczynam pożerać słone paluszki i zapijać je coca-colą.

Jacek też milczy. Mam wrażenie, że ochłonął już z handlowych emocji i na niego też przyszedł czas refleksji. Chyba dręczy go pytanie, czy przypadkiem nie dał się zrobić w konia przez tego starego cwaniaka o wyglądzie kłowna na emeryturze. Jest wyraźnie niespokojny.

Prowadzi wóz jak patałach. To włącza, to wyłącza radio, warczy i prycha na mnie, przeszkadza mu, że głośno (jakoby) chrupię i siorbię. Wyprzedza nieprawidłowo i omal nie nadział się na wielkiego Tir-a, który nadjeżdża z przeciwnej strony.

- Co ty wyrabiasz? – wybucham w końcu – weź się w garść! Były melony, nie ma melonów. Stało się... Za bardzo się przejmujesz – staram się go uspokoić. – Nie myśl o tym. Rozpamiętywanie tej kokosowej transakcji nic nam nie da.*
- Wcale o tym nie myślę – odburknął.*
- To o czym?*
- O tych cholernych czólenkach Golasa i Przykrytego.*
- Fason Pi~e de la Capretta?*
- Właśnie.*
- Nie rozumiem w czym rzecz? Wszystko miało być dobrze obmyślane, przygotowane i w ogóle cacy.*
- Jest cacy. Z wyjątkiem maleńkiego szczegółu.*
- Jakiego szczegółu?*
- Nie wiadomo, którego wspólnika zastaniemy w firmie.*
- Czy to takie ważne?*
- Diabelnie ważne. Jak powiedziałem ci, jest tam dwu wspólników: Jakub Golas i Maciej Przykryty. Artur uprzedzał mnie, że interes można zrobić tylko z Golasem. Jak trafimy na Przykrytego, wyrzuci nas za drzwi.*
- Wyrzuci?! – zdumiałem się.*
- Jak się dowie, że jesteśmy od Artura Saledy.*
- Ale czemu?!*
- Głupia sprawa. On uważa Artura za szpiega. Za szpiega przemysłowego.*

– Żartujesz?!

– Wcale nie! Przykryty to podejrzliwy, nieużyty maniak z obsesją na temat szpiegów. Być może Artur zadawał mu za dużo pytań, wiesz, Artur jest dociekliwy, może za bardzo przyglądał się nowym modelom, no i te jego demoniczne, ciemne okulary... W każdym razie Przykryty ubzdurał sobie, że Artur pracuje dla konkurencji i chce mu wykraść wzory nowych czółenek damskich, że w swoich okularach ma mikroaparat i robi nim szpiegowskie zdjęcia. Więc z fałszywym uśmiezkiem niby to prowadzi rozmowy handlowe z Arturem, a naprawdę to przygląda się jego okularom i nagle łap za nos zaskoczonego Artura! Chce mu zerwać okulary!

– Żartujesz!

– Słowo! Artur broni się. Krzyki. Szamotanina. Nadbiegają pracownicy firmy. Przykryty oskarża Artura o szpiegostwo. Artur ryczy, że nikomu nie da sobie majstrować koło nosa i tłumaczy, że nie ma przy sobie żadnych mikroaparatów...

– A nie miał? – zaciekawilem się.

– Za kogo ty uważasz Artura! – Jacek spojrzał na mnie zgorszony.

– Nic, tak mi się tylko wyrwało – bąknąłem zmieszany.

– Niech ci się na przyszłość nie wyrzywa. I nie rób głupich min, jak będę rozmawiał z Golasem. Żadnych uśmiezków. Powaga, pewność siebie, odrobina nonszalancji i angielszczyzna w "cwisznrufach", czyli słówka wtrącane po angielsku. To imponuje tym zgredom. Musimy grać rolę lordów z nudów bawiących się chwilowo w handel butami.

Przyjmij to do wiadomości.

Przyjmuję do wiadomości i na wszelki wypadek przypominam sobie parę zwrotów z nagrań amerykańskich filmów, które wpadły mi w ucho.

Zbliżamy się do Radomia. Już Wielowieś. Jacek bez uprzedzenia zjeżdża na pobocze.

– Co się stało? – pytam z niepokojem.

– Przebieranko – odpowiada. – Czas przeistoczyć się w lordów.

Wyjmuje z podręcznej torby perłowoblękitny krawat na gumce, sprawnie zakłada na szyję, a następnie wyciąga z plastikowego worka zamszową marynarkę, przejeżdża po niej szczotką, tą samą szczotką przeciera zakurzone buty, przyczesuje włosy i przegląda się zadowolony w lusterku.

– Wybierasz się do szewców, czy do królowej angielskiej? – pytam złośliwie.

– Szewc szewcowi nierówny – mruczy. – Wkraczamy w eleganckie kręgi ekskluzywnego ladies tip top shoes biznesu. Jak nie będziesz ubrany, Golas potraktuje cię jak chłystka i guzik z interesu. No, co się tak gapisz? Wskakuj w swoje welwety!

Przebrani i przyczesani wjeżdżamy do Radomia. Siedziba firmy robi duże wrażenie. Świeżo odnowiony lśniący szkłem i aluminium pawilon z olbrzymim kolorowym neonem:

Alexis

Obuwie

dla dystyngowanych pań

Przed bramą dwie furgonetki, jedna ze sklepów hotelowych

Marriotta, druga ze stylizowanym napisem "HOLLYDAY INN". Czterech pracowników w błękitnych kitlach wynosi z magazynu sterty pudełek.

Przyglądamy się etykietom. Na każdej stoi jak byk: "Obuwie zdrowotne Pi~e de la Capretta".

– Popatrz, nasze czólenka! – mruczy podniecony Jacek. – Widzisz, idą jak woda!

Niemal cały parter od frontu zajmuje sklep firmowy. Z wielkiego hallu ozdobionego plakatami reklamowymi i gablotami z wzorami obuwia kierujemy się na piętro, gdzie, jak gloszą napisy, mieści się biuro wytwórni "Jakub Golas i Maciej Przykryty S.C."

Przed drzwiami Jacek poprawia nerwowo krawacik, żegna się, wyprostowuje.

– No, Witek, naprzód! Zasuwamy! Żeby tylko trafić na Golasa. Liczę na twoją szczęśliwą gwiazdę!

W biurze wita nas miła uśmiechnięta sekretarka. Wyluszczamy sprawę. Chodzi o odbiór zamówionej partii obuwia: czólenka damskie fason Pi~e de la Capretta, numery pięć, sześć, siedem, osiem, po siedem par z każdego numeru. Firma "Pyton"...

Urzędniczka grzebie w papierach, zagląda do segregatorów, po czym oświadcza:

– Przykro mi, ale nie mam takiego zamówienia.

Jacek czerwieni się i chrząka zakłopotany.

– Być może to było gentlemen agreement i pan Saleda załatwił

sprawę z panem Golasem ustnie.

– Ustnie? – dziwi się urzędniczka.

– Podczas gonitw końskich na Służewcu w Warszawie – Jacek

zagrywa bezczelnie. – Wiem, że pan Saleda rozmawiał z panem Golasem

w tej sprawie na ostatnich wyścigach. Oni znają się od lat. Poznali się

kiedyś właśnie tam, przy kasach totalizatora...

Sekretarka daje Jackowi znaki, żeby się uciszył. Jest wyraźnie

zmieszana i chyba wystraszona. Ale w Jacusia wstąpił już duch bojowy.

– To ja porozmawiam z dyrektorem osobiście – mówi i zrywa się z

fotela. – Czy jest pan Golas?

– Jest, ale... – sekretarka urywa, bo w drzwiach gabinetu ukazuje się

mężczyzna bez jednego włosa na głowie, z błyszczącą patriarchalną

łysiną i gładko wygoloną twarzą o klasycznych rysach rzymskiego

senatora. Tylko że jest to Rzymianin bez togi, nabity w szafirowy

garniturek i z teczką-dyplomatką w ręku.

Zastępujemy mu drogę.

– Pan Golas?

– Nie. Jestem Przykryty – odpowiada.

A to pech! Jacek ma głupią minę. Może kretyn nareszcie przestanie

wierzyć w moją szczęśliwą gwiazdę.

Chcemy się wycofać, ale drzwi zatarasował nam typ o posturze

boksera wagi ciężkiej, zapewne portier, sądząc po uniformie ze złotymi

guzikami.

*– Chwileczkę – Przykryty taksuje nas nieufnym wzrokiem – panowie
sobie czegoś życzą? Pani Jadziu – obraca się do sekretarki – kim są ci
młodzi ludzie?*

*– To z jednej nowej firmy... zaopatrzeniowcy. Przyjechali w sprawie
czółenek – wyjaśnia jęklawie sekretarka.*

– Z jakiej firmy?

*Jacek chrząka z zakłopotaniem, ja milczę, sekretarkę też jakby
zamurowało.*

*– Co się tu dzieje? – Przykryty patrzy na nas podejrzliwie. Czuję, że
chce nas wziąć na spytki.*

*Sytuacja zrobiła się niebezpieczna, ale niespodziewanie przyszedł
nam w sukurs portier.*

*– Panie prezesie – zagrzmiął tubalnie – kierowca czeka. Mam
przypomnieć panu prezesowi, że pan prezes jest już pięć minut
spóźniony!*

Przykryty spojrział na zegarek.

– Przepraszam, nie mam czasu. Porozmawia z panami mój wspólnik

– rzucił nam niezbyt życzliwe spojrzenie i wyszedł spiesźnie.

*Oddychamy z ulgą. Jacek mruga do mnie wesołym okiem i klepie
mnie po łopatkach. Chyba z powrotem zaczął wierzyć w moją szczęśliwą
gwiazdę.*

Sekretarka łączy się z szefem.

*– Dwu panów od pana Saledy z Głubczyc chce mówić z panem
prezesem... Tak... Oczywiście... – odkłada słuchawkę i każe nam czekać.*

Czekamy więc niecierpliwie. Po pięciu minutach z gabinetu wylania się uśmiechnięty dżentelmen w szmaragdowym nienagannym garniturku, brunet imponująco czupryniasty, a w ogóle jakiś włochaty, bardzo wąsaty i brodaty podobny do Karola Marksa z mojej starej książki do historii.

– Golas jestem – przedstawia się. – Czym mogę panom służyć? – przygląda się nam badawczo, miętosząc czarną bródkę.

– Chodzi o czólenka damskie model Campaniola fason Pi~e de la Capretta. Pan obiecał naszej firmie w ramach promocyjnego uderzenia na wieś i po promocyjnych cenach.

– Obiecałem? Gdzie? Kiedy? Komu? – Golas robi zaskoczoną minę. – Pan mi opowiada jakieś dziwne rzeczy.

– Obiecał pan panu Saledzie. O ile się nie mylę, pan Saleda był tu w kwietniu – Jacek zmienia wersję. – Tak, w połowie kwietnia i panowie konferowali... hm... to znaczy debatowali. Pan sobie nie przypomina?

– Ach, tak! Był tu ktoś spod Warszawy i rozwijał jakieś fantastyczne plany "obsługi pantoflanej", jak się wyraził, ślubów wiejskich...

Przepraszam, a o jaką firmę chodzi?

– Firmę "Pyton" Artur Saleda i spółka z Dłubkowa Mazowieckiego – Jacek akcentuje "d" i "b" w nazwie, ale nie na wiele to pomaga.

– Ach tak, przypominam sobie – chrząka Golas. – Pani Jadziu, czy pani sprawdziła tego "Pytona" z Głupkowa? – z przykrością zauważamy źle ukrywaną ironię w głosie Golasa i robi nam się bardzo nieprzyjemnie. Przygryzamy wargi i nawet nie próbujemy prostować.

– Niestety – odpowiada pani Jadzia – nie mamy pana Saledy i jego

"Pytona" w agendzie. Chyba pan Przykryty nie zakwalifikował go do listy hurtowników objętych akcją promocji.

– Ile par chcieliście zamówić, to znaczy ile setek? – pyta Golas.

– Dwadzieścia osiem – bąka Jacek.

– Dwadzieścia osiem setek?

– Dwadzieścia osiem par – wyznaje zażenowany Jacek.

Golas uśmiecha się z politowaniem.

– Tę ilość mogą panowie nabyć w naszym sklepie firmowym na dole z piętnastoprocentowym rabatem...

– Przepraszam – przerywa ostro Jacek – ale pan Artur Saleda

wynegocjował dostawę na warunkach takich jak dla hurtowników. To ponad trzydzieści procent mniej niż w detalu. Taka była umowa...

– To nie tak! Zgodziłem się odstąpić wam te czółenka tylko wtedy, gdy po remanencie zostanie jeszcze coś w magazynie – tłumaczy Golas –

to znaczy z superaty, lub gdyby któryś z klientów się wycofał. Lecz nic takiego nie zaistniało, panowie. Te czółenka to najnowszy krzyk mody,

to przebój tego sezonu. Zamówienia wciąż przewyższają nasze

możliwości produkcyjne. Klienci wyrywają nam towar z rąk, biorą

wszystko, że tak powiem na pniu. Zadatkują z góry. W tej sytuacji

przyjeliśmy

zasadę,

że

w

pierwszej

kolejności

załatwiamy

najpoważniejszych kontrahentów.

Słuchamy upokorzeni. Golas wyłożył sprawę jasno. Dla takich

lilipucich firm jak nasza, nie ma miejsca w jego biznesie. Nie liczymy się

jako partnerzy, po prostu nie zaistnieliśmy na rynku. Ale Jacek nie daje

za wygraną. Zapewnia o talentach handlowych "Pytona", opowiada o

naszych wyjątkowych sukcesach w zdobywaniu wiejskiego rynku,

dręczy Golasa jak natrętna mucha, odwołuje się do jego uczuć

wyższych, bierze go na litość, a gdy to wszystko nie pomaga, zmienia

nagle ton i kończy z godnością (po angielsku, żeby zabrzmiało

poważniej):

– Well, mister Golas, you'r right, nie jesteśmy jeszcze poważną

firmą, but a develloping one. Rozwijamy się dynamicznie i za rok

będziemy u panów kupować obuwie nie na dziesiątki, lecz na setki par.

– Widziałem już takie "dynamiczne" firmy – mówi z lekką drwiną

Golas. – Szybko się rozwijały i jeszcze szybciej upadały.

– Zagrajmy w otwarte karty – cedzi nie zmieszany Jacek. – Pan nie

ma zaufania do naszej finansowej kondycji.

– Powiedzmy do waszej wypłacalności – precyzuje z uśmiechem

Golas.

– Nareszcie wiem, o co chodzi... A gdybyśmy tak zapłacili z góry?

– Z góry? – Golas milknie na moment zaskoczony. – Za całą partię

towaru?

– Za wszystkie dwadzieścia osiem par – odpowiada Jacek, a ja

ślucham z osłupieniem bojąc się, że postradał zmysły.

– Czekałem? – pyta Golas.

– Nie. Żywą gotówką. Cash!

– Cash! – słowo podoba się Golasowi, oblizuje mięsiste wargi i gładzi

się po bródce. – Więc mówi pan cash... Popieram pomysłówych,

zdolnych, młodych ludzi. Chciałbym pójść panom na rękę i zrobić dla

was wyjątek, przeliczmy szybko... Po cenie promocyjnej to by wyniosło

dwadzieścia cztery miliony – rzuca nam cyfrę jak wyzwanie i świdruje

nas oczyma badając efekt.

– Zgoda – odpowiada Jacek z pokerową twarzą.

– Ale dzisiaj nie da się tego już załatwić. Spróbujemy odłożyć coś dla

was z jutrzejszej dostawy. Pani Jadziu, pani przyjmie od tych panów

zamówienie na te czółna.

– Numery od piątki do ósemki – przypomina Jacek. – Po siedem par

z każdego numeru.

– Ale jutro nie wcześniej niż o piątej – zastrzega urzędniczka.

– Doskonale, to nam nawet odpowiada – mówi ucieszony Jacek. –

Jesteśmy panu bardzo zobowiązani – odwraca się do Golasa. – It is very

kind of you – bryluje swoją szkolną angielszczyzną.

– Dwadzieścia cztery miliony. Cash! – mruczy Golas podnosząc

palec. Brzmi to jak przestroga, że mamy się nie pokazywać bez gotówki.

Przez chwilę przesywa nas tym swoim rybem wzrokiem, a potem

szybko znika w gabinecie.

Po podpisaniu zamówienia opuszczamy biuro w zgoła odmiennych nastrojach.

– Widziałeś? Tak się załatwia interesy – mówi rozpromieniony

Jacek. – Uff! – oddycha z ulgą – gorąco było...

– Ty chyba do reszty zwariowałeś! – sapię wzburzony. – Chcesz mu płacić gotówką?! Dwadzieścia cztery miliony?! Skąd weźmiesz tyle forsy?

– Cicho bądź – zgasił mnie. – Wszystko jest cacy i Ok! A już myślałem, że krewa – roześmiał się beztrosko. – Ale dobrze rozgryzłem faceta. Te jego gadki tere-fere, to bajtlowanie o poważnych firmach, o kolejności w zamówieniach, o tej liście promocyjnej, to wszystko – dmuchanie w balon! Naprawdę chodzi o jedno, o szybkie gorące pieniądze. No, to dałem mu je powąchać. Wiedziałem, że ma na nie apetyt, więc zaświeciłem typowi melonami w oczy i od razu chwycił przynętę.

– Kto tu chwycił, kto kogo złapał – powiedziałem. – Mam wrażenie, że ty sam się złapałeś na własny haczyk. Przyrzekłeś zapłacić gotówką, a nie mamy w kieszeni ani grosza. Mówiłem, żeby nie dawać temu aferzyście Nowaczkowi, ale ty...

– Zamknij się – przerwał mi. – Nie ma pieniędzy, to trzeba je zrobić.

– Jak?

– Nie martw się, już moja w tym głowa.

– Co ty znów knujesz? – patrzę na niego podejrzliwie. – Masz jakiś pomysł?

– Jasne! Czy myślisz, że obiecywałbym Golasowi melony, gdybym nie miał pomysłu?

– Ta gotówka potrzebna jest szybko. Jak zrobisz dwadzieścia cztery miliony w dwadzieścia cztery godziny?

– To żadna filozofia, Wituś – roześmiał się. – Jak trzeba szybkiej forsy, no to trzeba po prostu zrobić szybki interes.

– Potrafisz? Masz jakiś pomysł?

– Już powiedziałem ci, mam kapitalny pomysł. Wchodzisz do interesu?

– Trochę się boję twoich pomysłów. Czy to solidny biznes? Czy znów jakaś afera jak z Nowaczkiem?

– Żadna afera? Zdrowy interes...

– Zdrowy jak rekin?

– Jak niewinna szprotka. Uczciwy kawałek chleba. Wchodzisz?

– To zależy – mówię ostrożnie. – Muszę mieć pewność, że to coś bezpiecznego, na czym w żadnym wypadku nie można stracić.

Żadnych ptaszków i zwierzątek. Nic żywego. Nie chcę pakować się w kolejny kłopot. Masz jakiś solidny towar w tym rodzaju?

Jacek chrząknął.

– Chyba mam.

– I to nie jest żywe?

– Zupełnie nie! Wręcz przeciwnie.

– Co to znaczy "przeciwnie"?

Jacek chrząka pod nosem.

– Znaczy... znaczy, że to jest bardzo nieżywe.

– Inteligentnie wyjaśniłeś, ale może sprecyzujesz?

– Chciałem powiedzieć, że tam nie ma nic żywego ani z wierzchu, ani w środku, to jest po prostu taki... hm... sprzęt...

– To czemu tak chrząkasz głupio?

– Bo to... to bardzo specjalny towar i nie wiem, czy ci się spodoba.

– Dlaczego miałby mi się nie spodobać. Skoro to nie jest żywe...

– To nie jest żywe... – zapewnił Jacek – ale...

– Ale co?

– No, wiesz... ty jesteś taki... taki czasem przeczulony, Lord, taki nerwowy, wrażliwy. Ten towar mógłby na ciebie źle wpłynąć.

– Źle wpłynąć?! Co ty?...

– Ten towar jest... nie wiem, jak ci powiedzieć... smutny.

– O czym ty mówisz, do licha! – wykrzyknąłem.

– Mówię o... trumnach – Jacek chrząknął ponownie. – To... to są specjalne trumny – dodał szybko – trumny nowego typu... enpececo...

– Że co? – bąkam głupio.

– Ce-co nie że-co, bałwanie! To skrót od firmowej nazwy produktu:

New Patent Celebes Coffins.

– Celebes? To gdzieś w Indonezji?

– To nazwisko właściciela patentu i producenta, głupku. Artur poznał go w Tomaszowie Mazowieckim przez kościelnego, pana Gębale.

Trumny Celebesa przyjmują się szybko na rynku. Do nich należy

przyszłość...

– Do trumien Celebesa? – dziwię się.

– Jak wiesz, tradycyjne "normalne" trumny są tak drogie, że rujnują

rodzinę zmarłego, natomiast trumny Celebesa są tanie, lekkie,

plastikowe, bardzo praktyczne, z różnymi udogodnieniami, no i

niezwykle estetyczne, a do tego łatwe w transporcie. Wkłada się je jedna

w drugą, nie zajmują dużo miejsca, a przy zakupie dziesięciu sztuk

dostajesz gratisowo jeszcze jedną małą, młodzieżową, dowolnego

koloru... Liczę, że zarobiliśmy łatwo ponad pół melona na sztuce...

Robi mi się dziwnie nieprzyjemnie. Handlarze trumien? Niech go

diabli z takimi pomysłami!

– Nie, nie, Jacek – protestuję z niesmakiem. – Daj spokój, już wolę

trzymać się butów!

– Nie bądź dziecinny, Lord – beszta mnie Jacek. – Trumny to sprzęty

wyższej użyteczności, to meble osobiste, jak łóżka, po prostu łóżka

wiecznego spoczynku i bardzo cię proszę, Witek, żebyś nauczył się tak o

nich myśleć, bez przesądów i zahamowań!

– Ale czy koniecznie musimy? Dlaczego akurat trumny?

– Dlatego, że w naszej sytuacji to największy zysk i najpewniejszy

zbyt, a Celebes nie żąda natychmiastowej zapłaty. Obrócimy dwa razy,

upłynniemy czterdzieści sztuk towaru, zarobimy na każdej sześćset

patyków, co nam da okrągłe dwadzieścia cztery melony, Lord! Akurat

tyle nam trzeba dla Golasa. I wszystko w jeden dzień!

– W jeden dzień?!

– Dokładnie, Lord. A w Kielcach pewien odbiorca już czeka na dostawę. Nazywa się Besztaj i prowadzi zakład pogrzebowy "Elizjum" przy ulicy Wesolej. Weźmie cały ładunek.

– Skąd ta pewność?

– Wiem, bo byłem przy telefonicznej rozmowie. Artur obiecał mi dostawę w przyszłym tygodniu. Co nam szkodzi zrobić to już teraz?

Milknę na chwilę. Coś mi tu nie gra.

– Ciekawe dlaczego ten Besztaj sam nie sprowadza sobie towaru od Celebesa, mniej by go kosztowało.

– Chciałby, ale Celebes mu nie sprzeda.

– A to czemu?

– Jest układ z Krakowem, to znaczy z producentami plastikowych trumien w Krakowie, że przedsiębiorcy kieleccy obsługiwani są przez Kraków. Wiesz, taki podział rynku... strefy wpływów, jak w polityce... Ale Kraków jest drogi i Besztajowi oplaca się kupować trumny od pośredników, takich na przykład jak my, zwłaszcza gdy to są tip top trumny jak od Celebesa.

Na takie dictum brak mi argumentów, zresztą mój głos i tak się nie liczy.

Kiedy dojeżdżamy do Tomaszowa, już się ściemnia. Nie mamy pieniędzy na hotel, śpimy więc w Spale na campingu przy lesie, w prymitywnym bungalowie. Budzimy się wcześnie i bez śniadania pędzimy do wytwórni trumien. Jest wprawdzie wolna sobota, ale

Celebes jest już na miejscu i pilnuje interesu. Dyryguje paroma ludźmi, którzy krzątają się rażno w magazynie.

Miło znów poczuć się cenionym kontrahentem. Wystarczyło, że wspomnieliśmy o "Pytonie" i Arturze Saledzie, a czerstwa twarz

Celebesa rozjaśniła się jak księżyc w pełni, a gdy w dodatku wyznaliśmy,

iż

zamierzamy

nabyć

dwadzieścia

sztuk

jego

sympatycznego produktu, posadził nas w kantorku na zabytkowej

kanapie i ugościł kawą ze śmietanką, a potem oprowadził po magazynie

i pokazał nam cały asortyment, jakim aktualnie dysponuje.

Trumny rzeczywiście przedstawiały się znakomicie. Kolorowy

plastik, z którego były wykonane, do złudzenia przypominał różne

rodzaje szlachetnego drewna, palisandru, mahoniu, orzecha i dębu...

Dla amatorów były także doskonałe imitacje trumien "srebrnych" i

"szczerozłotych" ozdobione aniołkami, gołąbkami i orłami.

– Są naprawdę rewelacyjne – pochwalił Jacek.

– A nadto są bezpieczne – zaakcentował Celebes.

– W jakim sensie? – zapytałem.

– Na wypadek pogrzebania... to znaczy zamknięcia w trumnie kogoś

żywego – a takie pomyłki jak wiadomo się zdarzają – zapewniliśmy "nieboszczykowi" swobodne oddychanie poprzez szczeliny oddechowe. O, tutaj, pan zobaczy – pokazał Celebes. – Zamykają się one samoczynnie dopiero po trzech dniach. Oczywiście lepiej jest nie zamuroвывать grobu przez ten czas... Wytwarzamy także trumny klasy specjalnej, zaopatrzone dodatkowo w system alarmowy. Proszę, panowie zobaczą, na przykład w tym egzemplarzu zmarły, to znaczy nieboszczyk, ma do dyspozycji dwa guziczki świecące barwy czerwonej, łatwo dostrzegalne w ciemności. Naciśnięcie ich uruchamia sygnalizację świetlną i dźwiękową, to znaczy gwizdki, dzwonki lub syreny zależnie od życzenia klientów. Jeden z trzech guziczków, o, ten tutaj, zmarły może nacisnąć także nogą. Wygodne, prawda?

Chrząknęliśmy zakłopotani.

– Ostatnio rozpoczęliśmy produkcję wersji udoskonalonej. W tej wersji zmarły nie potrzebuje trudzić się naciskaniem guziczków.

Wystarczy, że się samodzielnie poruszy w momencie przebudzenia czy odzyskania przytomności, a system alarmowy natychmiast się włącza i powoduje otworzenie się trumny oraz wypchnięcie ciała na zewnątrz.

Słuchaliśmy i patrzyliśmy oszołomieni.

– I to naprawdę działa? – wybełkotał Jacek.

– Nie-za-wod-nie! – zaakcentował Celebes. – Chce pan położyć się w trumnie i spróbować?

– Nie, dziękuję! – zatrząsł się Jacek.

– Zbędne opory, udzielam gwarancji na piśmie – Celebes roześmiał

się pełną gębą. – Robiliśmy setki prób i doświadczeń, a każdy egzemplarz przed odstawieniem do magazynu jest dokładnie sprawdzany. Początkowo miałem pewne kłopoty z naborem ochotników do tych eksperymentów. Żeby ich ośmielić zamykałem w trumnie własną żonę i ja sam też raz dałem się zamknąć i pogrzebać.

– Pan?!

– No i jak widzicie, wyszedłem cały i zdrowy. Przekonałem do mojego produktu wszystkich niedowiarków, pokonałem biurokratyczne opory i uzyskałem patent. Moje kochane skrzyneczki pomalą zdobywają rynek. Nowe patentowane zdrowotne trumny Celebesa! Mam już na nie zamówienia nawet z Ameryki!

Szczerze podziwiamy alarmowe urządzenia produktu, jednak z uwagi na znaczną różnicę w cenie wybieramy "dla siebie" trumny zwykle, aczkolwiek równie estetyczne i zaopatrzone w szczeliny oddechowe. Kompletujemy dwa zestawy, każdy po dziesięć trumien coraz to mniejszych, tak by jedna wchodziła do drugiej, a wszystkie zmieściły się w dwu największych. W rezultacie zajmują bardzo mało miejsca. Muszę przyznać. To rzeczywiście wygodny, praktyczny i tani towar! W dodatku Celebes w charakterze premii dorzuca nam jeszcze gratisowo dwie piękne, "reklamowe" trumny: dużą, "palisandrową" ze srebrnym orłem i mniejszą, dziecięcą, jasną, "czeczotkową" ze złotymi aniołkami. Umieszczamy je osobno na wierzchu.

O pół do dziewiątej docieramy do Radomia. Przy stacji benzynowej założono nowy snack-bar z apetycznymi hot-dogami. To przypomina

nam, że prócz filiżanki Celebesowej kawy nie mieliśmy jeszcze dzisiaj nic w ustach. Zatrzymujemy się i z zapalem wsuwamy ciepłą strawę popijając mocną herbatą. Pragnienie wciąż nam dokucza, jeden kubek to za mało, bierzemy jeszcze dwa oraz pyszne drożdżówki z serem na deser, wracamy do wozu i już tu kończymy naszą ucztę.

Zajęci pałaszowaniem tych smakowitości nie widzimy zrazu, że jakiś człeczyna w okularach kręci się koło naszej gabloty. Dopiero gdy rozplaszczyl swój nos na szybie i zaczął bezczelnie zaglądać do środka, bierzemy się do typa ostro:

– No, no, panie ładny, weź pan swój kinol z szyby. Co nam pan tu zapuszcza żurawia?

– A bo tak patrzę i myślę, co tam leży. Pudła nie pudła, ciekawe rzeczy – wyszczerzył zęby w mało fotogenicznym uśmiechu. – To panowie wiozą trumny?

– Przecież pan widzi, że nie pierożki – warknął Jacek.

– He... he... jasne, że nie! To prawdziwe celebesy, widzę. Znam się trochę na tym. Czasem pomagam grabarzowi w mieście Przytyku.

Dorabiam sobie po pracy, groby kopię wieczorem... Co za szczęśliwy traf, że panów tu spotkałem. Od rana szukam właśnie trumny! Czy panowie nie odstąpiliby mi jednej?

"Nieżle – pomyślałem – to faktycznie pokupny artykuł, mamy już pierwszego klienta". Ale Jacek nie zawraca sobie nim głowy.

– Idź pan sobie! To towar nie na sprzedaż – mruczy.

– Panowie, bardzo proszę, jedna trumna nie robi wam różnicy.

Niedbała jestem, Niedbała Józef z miasta Przytyk – typ przedstawia się, jakby to miało jakieś znaczenie. – Tatuś mi umarł. Wieś Złoty Potok pod Jędrzejowem, może panowie znają. Taki kłopot! Bieda! Rodzina nie ma pieniędzy, gospodarstwo zadłużone, a tu pogrzeb, panowie. Pogrzeby teraz rujnują – zdjął okulary i przetarł czerwone oczy. – Brat telefonował do mnie, żebym skombinował jaką przyzwoitą trumnę... Nie bójcie się, dobrze zapłacę!

– Przykro mi – powiedział zniecierpliwiony Jacek – te trumny muszą jechać do Kielc, ale co za problem? Niech pan kupi w jakimś zakładzie pogrzebowym,, jest ich tu przecież kilka.

– Nie mają tego rozmiaru. Tatuś świętej pamięci był wielkoludem.

Dwa metry z okładem. Jeździłem z kolegą po całym Radomiu, szukałem, oglądałem, żadna nijak nie pasowała. Tylko ta jedna, co tu leży na wierzchu, widzi mi się, jakby była zrobiona w sam raz na miarę tatusia.

Dam za nią półtora miliona.

Wymieniamy z Jackiem spojrzenia.

– Mieście Boga w sercu! – jęczy chłopina. – Naprawdę przyciśnięty jestem! Pogrzeb wyznaczyle na szóstą... Dam dwie bańki za tę trumnę z orłem.

– Powiedział pan dwa miliony? – upewniam się.

– Niech będzie dwa i pół – chłopina wyciąga z zanadrza dość opasły portfel i śliniąc paluch odlicza pięć banknotów po pół miliona.

To kwota odurzająca nawet Jacka. Propozycja jest nie do odrzucenia. Jacek chwyta banknoty, nie ogląda nawet, czy nie fałszywe

i pakuje spiesznie do kieszeni, jakby się bał, że facet może się rozmyślić.

Niedbała z moją pomocą wyladowuje "palisandrową" trumnę.

– O, jaka lekka – zauważa. – Plastikowa?

Chrząkami lekko zakłopotani, ale okazuje się, że Niedbale plastik nie

przeszkadza, przeciwnie jest wyraźnie ucieszony z zakupu, bierze

trumnę na ramię i odchodzi, ale czemu rozgląda się tak czujnie na boki?

– Coś mi się nie podoba w tym człowieku – mówię.

– Klienci nie są do podobania – mruczy Jacek. – Kupił, zapłacił,

poszedł sobie, nic nas więcej nie obchodzi.

– No, dobra – wzdycham. – Moja dola – wyciągam do Jacka łapę.

Krzywiąc się odpala mi milion z utargu.

– Należy się jeszcze dwieście pięćdziesiąt – mruczę.

– Człowieku, nie bądź taki drobiazgowy. Dokładnie rozliczymy się

później – uspokaja mnie – a na razie...

Na razie postanawiamy uczcić transakcję dwiema butelczynami

pepsi, bo upał wciąż jeszcze daje się nam we znaki. Przy sposobności

kupujemy dużą szwajcarską czekoladę na drogę.

Ktoś trąca mnie w ramię. Odwracam się i zastygam zaskoczony. To

wrócił zadyszany Niedbała, wciąż z trumną na ramieniu.

– Bałem się, że panowie już odjechali – mamrocze.

– Co się stało? – pytamy niespokojni.

– Mam kłopot z transportem, panowie... – wysapał zdejmując

trumnę. – Kolega mi nawalił, ten co grzecznościowo miał mnie odwieźć

wózkiem. Trunkowy człowiek. Ledwie, panie, na kwadrans spuściłem

go z oczu, zdążył ululać się, a wypije moczymorda dwa łyki, to od razu dostaje małego rozumu. Nadział się, zbuk tym swoim trabantem na stragan z kielbasami. Musiałem płacić za szkodę. Cud, że go policja nie zabrała. A teraz uderzył w kimono i, że tak powiem, ogólnie nie jest na chodzie. Stąd moja prośba, czy byście, panowie, nie mogli podrzucić tej trumny do Jędrzejowa, kościół klasztorny cystersów. Tam będzie czekał mój brat... tak się umówiliśmy.

– Przykro nam – odparł Jacek – ale jedziemy tylko do Kielc.

– To zaledwie trzydzieści kilometrów dalej. Dam trzysta tysięcy za fatygę.

– Nie pasuje nam.

– Dam pięćset, płatne z góry – Niedbała wyciągnął swój opasły portfel, odliczył pięć nowiutkich niebieskich banknotów i zaszeleścił nam nimi nad uchem. Przyjemny kuszący szmerek... Spoglądamy łakomie. Taka forsa piechotą nie chodzi. Oplaca się nadrobić tych kilka kilometrów.

– Dobra – powiedział Jacek – pakuj pan!

Niedbała skwapliwie dźwignął trumnę. Coś w niej zagrzehotało nieprzyjemnie. Do głowy przyszła mi makabryczna myśl, że tak mogą chręścić ludzkie kości.

– Co pan tam wsadził? – spojrzeliśmy podejrzliwie na typa.

– Nic takiego – skrzywił się. – Taki tam prowiant na stypę. Niech jedzie przy okazji. Będzie pół setki gości.

– Pokaż pan!

Niedbała otworzył wieko. Zajrzeliśmy. Facet schował do trumny chyba ze dwadzieścia słoików z etykietą Flaki Warszawskie, parę puszek chińskiej herbaty jaśminowej, powidła i jakieś dżemy.

– W porządku – Jacek zatrzasnął trumnę. – Może pan załadować.

Niedbała rzucił ponownie niespokojne spojrzenie w głąb ulicy, po czym szybko wsunął trumnę do samochodu i sam bezceremonialnie zaczął się pakować do środka.

– Co pan?! – Jacek powstrzymał go energicznie.

– Pojadę z wami.

– Gdzie?! Nie ma tu miejsca!

– Położę się w trumnie.

– A, idź pan!... – przestraszył się Jacek. – Za duże obciążenie.

– Jestem lekki jak pianka.

– Mowy nie ma! Zgniecie pan wszystko, pogruchocze! To delikatny towar! – Jacek wypchnął go brutalnie.

– I pan jesteś człowiek?! – zajęczał płaczliwie chłopak. – Tak się nie robi!

– Nie ma pan powodu do lamentu, przyjacielu – powiedział Jacek. –

Tu duży ruch... Jest pan nadziany, złapie pan łatwo okazję.

– Co za ludzie – jęknął Niedbała. Mamrocząc przekleństwa pod naszym adresem ruszył w stronę postoju taksówek rozglądając się nerwowo dookoła.

Ledwie znikł nam z pola widzenia, koło nas z piskiem zatrzymał się zielony ford scorpio i wyskoczyło z niego dwu osobników. Jeden –

elegancik wymuskany w rozpiętym modnym chałacie długim i czarnym, można by sądzić playboy jakiś, drugi – pokraczny, o zdeformowanej gębie i splaszczonym nosie, odziany w pomarańczową wiatrówkę i niebieskie farmerki. Ten drugi kołysząc się na krzywych nóżkach dopadł do naszego wozu i nosowym głosem rzucił bez wstępów pytanie.

– Ten wsiowy menel w okularach czego chciał?

– Chciał kupić trumnę – odparł Jacek.

– Którą?

– Tę największą, z orłem.

– Ale nie sprzedaliście mu?

– Sprzedaliśmy.

– Żleście zrobili. To Szkapler! Znany kombinator, niebezpieczny typ.

Zgrywa się na prostego kmiota, a to sprytny kanciarz...

– Niech sobie będzie – mruknął Jacek – ale sprytnym kanciarzom i kombinatorom też umierają rodzice. Czemu nie mielibyśmy mu sprzedać? Dobrze zapłacił i z góry...

– Kupił trumnę, a nie zabrał. Dziwne.

– Nie miał transportu. Prosił, żeby mu ją odstawić.

– Dokąd?

– To już nie pański interes! – zdenerwował się wścibstwem typa Jacek.

– Racja! – powiedział głośno podchodząc do nas ten Playboy w czarnym chałacie. – Ty, Kaczynos, nie zadawaj takich nietaktownych

*pytań szanującym się biznesmenom – panowie wybaczą zachowanie się
mojego asystenta. Dopiero startuje w interesach i nie wie, że grzeczność
to pierwszy szczebel na drabinie sukcesu. Na pewno dziwicie się, skąd
nasze zainteresowanie waszymi mebelkami. Otóż mamy dla was,
panowie, poważną propozycję. Nasza firma, to znaczy Zjednoczenie
Przedsiębiorstw Pogrzebowych otwiera Salon Ostatniej Posługi i
wystawę trumien. Sądzę, że moglibyście zostać naszymi dostawcami. To
piękny okaz – pogłaskał orła na "palisandrowej" trumnie – oryginalne
zdobnictwo! ~a propos, ile wzięliście za nią?*

– Dwa i pół miliona – odparł oszołomiony mową Playboya Jacek.

*– Dam za nią pięć – powiedział Playboy – pięć melonów na rękę! Co
wy na to?*

*– No, cóż, naprawdę żałuję – wyznał oszołomiony Jacek – ale ta
trumna jest już sprzedana. Wzięliśmy za nią forszę od klienta i musimy
dostawić ją zgodnie z umową.*

*– Co za problem! Odstawicie inną, podobnych rozmiarów, a tę nam
opylicie.*

*– Nie da rady. Honor kupiecki nie pozwala. Słowo się rzekło, kobyłka
u płotu...*

– Dajemy pięć milionów i podpiszemy kontrakt na kolejną dostawę.

*Czy wam nie żal marnować takiej okazji? Ta trumna byłaby ozdobą
salonu. Szkoda takiej do grobu! No więc jak? Robimy interesik? Pięć
milionów od razu na rękę i drugie tyle przy następnej transakcji.*

– Nic z tego – odburknąłem rozdrażniony. – Choćbyście nawet

dawali pięćdziesiąt. Ruszaj, Jacek!

– Stać! – wrzasnął Kaczynos. Ze zdumieniem zobaczyłem, że w jego łapie błysnął pistolet.

– Chowaj twarz – krzyknął Jacek i wystartował z jękiem opon.

Wsadziłem łeb pod pachę. W tej samej chwili usłyszałem grube przekleństwo Kaczynosa i poczułem, że pieką mnie oczy. Zrozumiałem, łobuz strzelił z gazowej spluwy.

– Widziałeś, co za drań?! – bełkoczę do Jacka. Łzy kapią mi na potęgę. Na szczęście to jedyny przykry efekt.

– Kto by pomyślał – sapie Jacek – nie spodziewałem się... to jacyś regularni bandyci... Co z twoimi oczami? – spojrzał na mnie z niepokojem.

– Nic mi nie będzie. Mogło być gorzej – ocieram powieki i oglądam się do tyłu. Widzę, jak Playboy i Kaczynos wskakują do swojego forda.

Jednocześnie z bocznej ulicy rusza gwałtownie czerwona toyota.

Poznaję od razu. To nasza stara znajoma z szemranym towarzystwem w środku. Przypadek? Czy mamy do czynienia z tą samą bandą? Wszędzie są... Nie odstępują nas na krok... Czy nie uwolnimy się od nich? Czuję, jakby obrastała nas gęsta, lepka pajęczyna.

– Jadą za nami – mówię – najpierw toyota, za nią ford.

– Widzę.

– Coraz lepiej! W cośmy się wplątali, stary?

– Sam chciałbym wiedzieć – mruczy wystraszony Jacek.

`pa

Rozdział VIII

Uciekamy i mylimy tropy. Czy chodzi o flaki z powidłami?

Spektakularne spotkanie z Kleofasem Gędziołem i jego kapelą. Czemu orkiestra biega po lesie i trąbi? Gdzie podziała się fagocistka Jaga?

Besztaj bierze wszystkie trumny, czyli jak się zarabia na ludzkiej tragedii. Bezczelny złodziejaszek w akcji. Pościg za datsunem. Awaria.

Wyciskamy ze starego gruchota wszystko, na co go stać: sto trzydzieści na godzinę, ale zdajemy sobie sprawę, że na dalszą metę jesteśmy bez szans, nie uciekniemy fordowi i toyocie i ocalić nas może tylko cud.

No i rzeczywiście cud następuje! Słyszę wściekłe trąbienie i pisk hamulców. Oglądam się. Z bocznej drogi beztrosko wyjeżdża przed toyotę ciągnik z dwoma przyczepami i tarasuje szosę. Toyota, a za nią ford, hamują awaryjnie i ratują się zjazdem do płytkiego w tym miejscu rowu. Co więcej, a to już zupełny fenomen, akurat nadjeżdża policyjny patrol na motorze i legitymuje wszystkich uczestników incydentu.

Zyskujemy przez to dziesięć minut przewagi. Jacek wciąż naciska pedał gazu do dechy. W zawrotnym tempie mijamy nowy, wygodny objazd Szydłowca i prujemy jak szatani przez wieś o smutnej nazwie

Barak. Mam już dosyć tego tempa i kurcząc się w fotelu mówię:

– Wiem, że za wszelką cenę chcesz odsadzić się od gangsterów, ale mam trochę lepszy pomysł od tej zabawy w psy i zająca.

– Jaki? – Jacek jeszcze bardziej przyśpiesza.

– Przed nami widzę las. Skręćmy w drogę leśną, schowajmy w

zaroślach wóz i przez kilka minut obserwujemy z ukrycia ruch na szosie. Zobaczymy, czy ci dranie wciąż pędzą za nami. Jeśli tak, to z pewnością pojedą dalej i będą ścigać już tylko własne marzenie, lub, mówiąc innymi słowy, wiatr w polu, a my tu bezpiecznie odsapniemy. To stary trick od wieków stosowany w tej zabawie.

– I nieglupi – przyznaje Jacek. – Ty czasem miewasz niezłe pomysły, Lord.

Redukuje szybkość i zjeżdża na prawy pas. Znaki drogowe zapowiadają bliski parking i bufet. Uznajemy, że zatrzymanie się na parkingu byłoby ryzykowne i jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim skręcamy w błotnisty dukt leśny. Ustawiamy wóz za krzakami i wysiadamy. Na razie jesteśmy bezpieczni, ale nastrój przygnębienia nie opuszcza mnie.

– Jacek, ja się boję – mówię. – Źle z nami. Chyba nie wyjdziemy z tego cało. Już nie jeden wóz mamy na karku, ale dwa i włączyły się jakieś nowe bezwzględne typy. Najgorsze, że nic z tego nie rozumiem...

– Mnie też się to wszystko coraz mniej podoba – mruczy Jacek gramoląc się z wozu. – Wciąż myślę, w co oni grają, bo gra robi się niebezpieczna. Przedtem nie byli tacy agresywni, a teraz nie przebierają w środkach...

– Odkąd wieziemy trumny – zauważam.

– Tak. A dokładnie odkąd Niedbała czy jak mu tam...

– Szkapler.

– Odkąd ten Szkapler kupił od nas trumnę...

- Największą, "palisandrową" z orłem.*
- Tak jest. Ciekawe, że ci z gangu akurat chcieli mieć tę samą, gotowi byli za nią płacić horrendalną sumę, mało tego próbowali odebrać ją siłą. Nie myślisz, że to zastanawiające.*
- W każdym razie denerwujące.*
- To byli nadziani faceci, mogli kupić jeszcze lepszą, stać ich było, żeby sobie sprowadzić prosto od Celebesa, a oni uparli się, że muszą mieć tylko tę, koniecznie tylko tę. Czemu im tak zależało? Przecież nie z powodu tego tandetnego orła z blachy...*
- No, właśnie – zgodziłem się. – Czemu im tak zależało?*
- To jest pytanie – mruknął Jacek – i chyba znam odpowiedź i ty też będziesz znał, jak ruszysz łaskawie swoją lordowską główką.*
- Powinniśmy wpaść na to od początku, ale byliśmy tumanami! Dotknęło nas ciężkie zaćmienie umysłowe! Cholerna ślepotą!*
- Zaraz... – zastanowiłem się. – Myślisz, że tym gnojom tak naprawdę nie chodzi o trumnę, tylko o to, co jest w trumnie?*
- No, nareszcie widzę u ciebie jakiś przebłysk inteligencji, Mucho! – westchnął Jacek. – Tak jest, chodzi im o to, co jest w tej trumnie, a mówiąc dokładnie o to, co Szkapler do niej włożył.*
- Włożył, hm, flaki... w słoikach.*
- I powidła... – dodał Jacek.*
- Do licha, myślisz, że trafiliśmy na maniakalnych amatorów flaków z powidłami? Dość oryginalni smakosze, trzeba przyznać.*
- Nie udawaj głupka! Tacy z nich smakosze jak z ciebie, pożałuj się*

Boże, detektyw.

– Chwileczkę, więc według ciebie te specjały Szkaplera, to... –

urwałem, bo rzecz wydawała mi się absurdalna.

– Dobrze ci się powiedziało: specjały – zaakcentował Jacek. – Tak,

Dzidziu, Szkapler załadował do trumny nie lada specjały, bardzo

specjalne flaki...

– Specjalne flaki siekane olejem doprawiane?

–

Tak,

doprawiane,

ale

śmiertelną

przyprawą,

równie

niebezpieczną, jak kosztowną. Już wiesz o czym mówię?

– Na... narkotyki! – wykrztusiłem. – Co ty, oszalałeś? Co ci wpadło

do głowy!

– Niestety! Podejrzewam, mój stary, że wieziemy spory transporcik

kokainy, sprytnie ukrytej w wiktuałach.

– Kokainy?!

– Albo heroiny. Prawdziwy skarb! Jakbyśmy wieźli sztaby złota!

– Jeśli to jest ukryte we wszystkich słojach i puszkach, to jest warte

miliard... co ja mówię, na pewno dziesięć miliardów, albo jeszcze więcej!

O to, Dzidziu, toczy się gra. Wszystko jasne?

Zaniemówiłem na chwilę.

– Nie... nie, to niemożliwe... mówisz, że w tych słoikach... w naszej trumnie? Nie wierzę, naoglądałeś się kryminalnych filmów, tam ciągle jest o narkotykach.

– A masz jakieś inne wytłumaczenie? Jak inaczej wyjaśnisz zachowanie tych drani ze scorpio?

Milczałem. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

– Po jakie licho te deliberacje – wymamrotałem w końcu. – Zamiast tych pogaduszek trzeba po prostu sprawdzić, co jest naprawdę w tych wiktuałach.

Nie czekając na Jacka otworzyłem trumnę i z nieco niezdrowym podnieceniem zabrałem się do badania. Zacząłem od flaków warszawskich. Odkręciłem wieczko pierwszego z brzegu słoja i zajrzałem do środka. Mdła, przykra woń flaków uderzyła mój, pochlebiam sobie, dość subtelny nos. Dla pewności zagłębiłem dwa (niezbyt czyste) palce w gęstą zawartość naczynia i... wyciągnąłem dość ohydnie wyglądający strzep flaka. Zdegustowany przeszedłem do sondowania słoików z etykietami powidel i dżemów oraz puszek z herbatą yunan. Sensacji nie było. Wszystko się zgadzało. Tam gdzie miały być flaki były flaki, tam gdzie powidla, były powidla, gdzie herbata, była herbata...

– A niech cię struś kopnie! – mówię do Jacka oblizując palce. –

Mówiłem, że to bzdury, aleś mnie tak skołował, że omal nie uwierzyłem w twoje domysły rodem z tych cholernych thrillerów i horrorów. Ale coś

mnie wystraszył, to wystraszył. Dziękuję za takie emocje!

Jacek wciąż mi nie dowierzając sam chwycił drugi słój, obejrzał go ze wszystkich stron, a potem pogmerał w nim palcem.

– Żeby ich pokręciło! – wykrzyknął ocierając ze wstrętem oblepiony flakami palec. – Jeśli tam rzeczywiście są zwykłe wiktuały, to co te bydlaki od nas chcą? Czemu nas prześladują?! – ze złością zatrzaskał trumnę.

Wzruszyłem ramionami.

– Może coś im się pomyliło, może Szkapler wystrychnął ich na dudka, i może umyślnie wprowadził ich w błąd...

– A na nas się skrupi.

– Nie skrupi, nie jęcz! Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. Jakoś wybrniemy z tego.

Spojrzał na mnie ciężkim wołowym wzrokiem.

Na razie nie pozostało nam nic lepszego do roboty, jak podjąć obserwację szosy. Żywiliśmy w głębi duszy nieśmiałą nadzieję, że po tym incydencie z policją gangsterzy zrezygnują z dalszego pościgu. Ale była to nadzieja płonna. Nie zrezygnowali. Nie upłynęła minuta, a oba wozy nadjechały z zawrotną prędkością. I zaraz okazało się, że nie doceniłem ich przebiegłości. Miast, jak się spodziewałem, minąć w pełnym pędzie parking, zahamowali ostro; toyota zatrzymała się na poboczu, a ford scorpio ostrożnie wtoczył się na plac postojowy.

Korzystając z zasłony lasu podchodzimy w tę samą stronę starając się nie spuszczać łobuzów z oka. Z wozu wyskakują nasi znajomi:

Playboy i Kaczynos, oraz jeszcze jedna osoba, którą widzimy po raz pierwszy, jaskrawo wymalowana duża blondyna, większa o głowę od Kaczynosa, trochę w stylu lalki Barbie, ale o wiele masywniejsza w budowie, taka Barbie kulturystka, Barbie – kickbokserka... Playboy i Kaczynos ruszają sprawdzić zaparkowane wozy, Blondyna zostaje przy swoim fordzie. Ziewa, przeciąga się i poprawia włosy. Zobaczywszy wiewiórkę skaczącą po gałęziach próbuje zwabić ją pokruszonym herbatnikiem, ale ruda akrobatka poznaje, że to nie orzeszki i nie daje się nabrać.

Wracają Playboy i Kaczynos. Przez chwilę dyskutują z Blondyną. Blondyna wskazuje na bufet. Biegną więc do bufetu, zapewne, by zasięgnąć tam języka. Wracają, rozpytują jeszcze po drodze parkujących kierowców, aż wreszcie upewniwszy się, iż żaden stary FSO kombi z trumnami tu nie zaglądał, odjeżdżają wraz z toyotą w stronę Skarżyska i Kielc.

Humory nam się poprawiają. Bez pośpiechu ruszamy do naszego wozu. Lecz ledwie zrobiliśmy trzy kroki, do naszych uszu dobiegł potężny głos trąby, dziwnie płaczliwy i bolesny. Pomyślałem, że tak chyba brzmieć musi ryk zranionego bawołu. Obejrzelismy się. Coś ciekawego działo się na parkingu dla autokarów i ciężarówek. Właśnie odjechał wielki TIR i odsłonił dość osobliwy widok. Na przeciwległym skraju parkingu stał błękitny autobus, sądząc po sylwetce nie pierwszej młodości i dosyć sfatygowany. Na jego boku widniał wielki napis:

Mazowiecka Kapela Rodzinna

Kleofas Gędziol

i jego orkiestra

`ty

Dookoła klębił się tłum podnieconych muzyków. Wszyscy mieli czarne fraki i białe muchy pod brodą, jakby wracali prosto z jakiegoś uroczystego koncertu, każdy z jakimś smyczkowym instrumentem od skrzypiec po kontrabasy.

Pośrodku nich na wielkim bębnie jak na piedestale stał podobnie wyfraczony grubas z ogromną złocistą trąbą i to on wydawał te przeraźliwe rozdzierające dźwięki. Niespodziewanie gdzieś niedaleko z lasu odpowiedział mu niesamowity, kakofoniczny zgiełk i ku naszemu zdumieniu zza drzew w rozwianych frakach wybiegła jak stado faunów nowa gromada muzyków. W odróżnieniu od kolegów przy autokarze mieli same instrumenty dęte. Uderzyło nas, że wszyscy byli do siebie niesamowicie podobni. Takie same duże kartoflowate nosy, odstające uszy, cofnięte podbródki, imponująco bujne kędzierzawe czarne czupryny i policzki bardzo puciołowate, choć może tylko wydawały się takie, ponieważ cały czas dmuchali w swoje flety, klarnety, oboje, fagoty, trąbki, puzony i waltornie.

Co za widowisko! Jeszcze w życiu nie spotkałem czegoś podobnego!

– Ale kino! – wpatrywałem się zafascynowany.

– To po prostu muzycy, którzy uprawiają jogging dla zdrowia – orzekł Jacek, któremu rzadko coś imponuje.

– Z instrumentami? Zobacz, oni biegają i trąbią!

– Trąbią, bo jednocześnie ćwiczą się instrumentalnie.

– We frakach?

– Pewnie jadą na koncert i już się przebrali.

Wyjaśnienia Jacka jakoś nie trafiły mi do przekonania i, coraz bardziej zaciekawiony, zbliżyłem się do autokaru orkiestry. Jacek bez entuzjazmu podążył za mną.

Na nasz widok grubas na bębnie przestał trąbić, a w ślad za nim uciszyli się pozostali muzycy.

– Przepraszam – grubas zwrócił się do nas – panowie wracają z lasu?

– Tak jakby – odpowiedziałem. – A o co chodzi?

– Zginęła nam fagocistka... Panowie pozwolą, że się przedstawimy.

Zapewne słyszeli panowie o muzykującej rodzinie Gędziolów, to właśnie my! Często grywamy w radio, czasem nawet w telewizji. Za godzinę mamy wystąpić w Kielcach w amfiteatrze na Kadzielni, tymczasem zdarzył się przykry wypadek. Zatrzymaliśmy się tutaj, by rozprostować kości oraz odbyć generalną próbę i w pewnej chwili stwierdziliśmy, że brakuje nam Jagi, to znaczy Agnieszki. To moja najmłodsza córka, utalentowana fagocistka, zniknęła bez śladu. Ostatni raz widziano ją jak wysiadała z autobusu. Już pół godziny szukamy jej wszędzie, nawołujemy ją głosami instrumentów, niestety nadaremnie. Nie odpowiada na trąbienie, nie daje znaku życia, zupełnie jakby rozplynęła się we mgle. Czy nie widzieli jej gdzieś panowie? Piękna dziewczyna,

piętnaście lat, ubrana w niebieskie farmerki, bo nie zdążyła się jeszcze przebrać, ciemne włosy, kształtne uszka, duże niebieskie oczy. Bardzo podobna do nas; jak panowie zauważyli wszyscy jesteśmy do siebie podobni.

Chrząknąłem i spojrzałem na nochal starego Gędziola tudzież na jego odstające uszy wielkie i okrągłe jak anteny satelitarne.

Wyobraziłem sobie, jak urodziwa musi być ta jego Jaga.

– Niestety – powiedziałem – przykro nam, ale nie widzieliśmy pana córki.

– W ogóle nikogo nie spotkaliśmy w lesie – dodał Jacek.

Muzycy zasepili się.

– Zaczynam obawiać się najgorszego – rzekł ponuro Kleofas Gędziol.

– Musiała przydarzyć się jej w lesie jakaś okropna rzecz.

– Co pan ma na myśli?

– Że ukąsiła ją żmija lub że... że została porwana.

– Niech pan nie opowiada takich rzeczy. Bywają różne powody...

hm... zagubienia się dziewczyn w jej wieku, tysięcy innych powodów! –

pocieszył go Jacek tonem znawcy przedmiotu – należałoby zwrócić w

pierwszym rzędzie uwagę, czy przypadkiem nie zaszły tu powody

eskapadowo-eskapistyczne,

kontestacyjno-kompensacyjne,

lub

idylliczno-wagabundowe, ewentualnie, czy nie mamy tu na przykład do

czynienia z iluminacją parapsychologiczną względnie spiritualizacją,

nie mówiąc już o chwilowej aberracji, czy też przejściowej abnegacji.

Przepraszam, ale musimy jechać.

– Aberracja? Rze... rzeczywiście nie przyszło mi na myśl –

wymamrotał oszołomiony Gędziol. – Być może ma pan rację i przedwcześnie się martwię. Glad to meet you – bąknął nie wiadomo dlaczego po angielsku (czyżby z powodu aberracji?).

– And so am I – odparł grzecznie Pampers.

– W każdym razie, gdyby panowie trafili na jakiś ślad, proszę dać nam znać – kapelmistrz wręczył Jackowi wizytówkę.

– Nie omieszkamy, proszę pana.

– Na trzy dni zatrzymamy się w hotelu "Bristol" w Kielcach – dodał Gędziol – i jeszcze jedno do wiadomości panów: wyznaczyłem wysoką nagrodę za odnalezienie mojej córki, a także za każdą informację pomocną w tym względzie. Naprawdę miło mi było panów poznać, acz wolałbym w przyjemniejszej sytuacji – zakończył eleganckim zwrotem znamionującym obycie towarzyskie, po czym dał znak muzykom, a ci ruszyli z powrotem na poszukiwanie Jagi napelniając las rozpaczliwymi głosami instrumentów.

Mają ludzie kłopoty! Rozmawiając o oryginalnej rodzinie Gędziolów pokonujemy spokojnie świętokrzyskie pagóry. Naszych gangsterów już ani śladu. Mamy nadzieję, że na dobre odczepili się od nas.

Parę minut po godzinie czternastej docieramy do Kielc. Interes pana

Besztaja pod sympatyczną nazwą "Elizjum" mieści się przy ulicy

Wesołej, parę kroków od skrzyżowania z Bodzentyńska. Wyskakujemy

z wozu zadowoleni, że szczęśliwie dotarliśmy do celu, lecz mina mi zaraz rzednie, a Jacek mruczy pod nosem przekleństwo. Okazuje się, że ze zbyciem trumien mogą być nieprzewidziane komplikacje, bo na drzwiach wisi wywieszka:

Z powodu choroby zakład

w dniu dzisiejszym nieczynny.

– I co teraz? – pytam zdenerwowany Jacka.

– Nie bój się, to tylko niewielki kłopot – uspokaja mnie. – Zakład

zamknięty jest dla klientów, ale nie dla dostawców. Poszukamy

Besztaja w domowych pieleszach, wiem, że mieszka w oficynie na tyłach

zakładu. Jeśli nie jest umierający, na pewno nas przyjmie.

Smarujemy więc przez podwórko do oficyny. Dzwonimy. Drzwi

uchylają się przed nami, ale łańcuch, którymi są zabezpieczone, nie

wpuszcza nas do środka.

– Kto tam? – słyszymy niski niewieści alt. W szparze ukazuje się

schludna sługa w białym fartuszk z falbanką i w czepku z koronkami,

potężnie zbudowana jak dyskobolka, albo miotaczka kuli. Po tamtej

wielkiej blondynie ze scorpio, to już druga dzisiaj atletka! W dodatku na

wysokich obcasach i usiłuje patrzeć na nas z góry. Bardzo tego nie

lubimy, takie baby mogą człowieka wpędzić w kompleksy, ale panujemy

nad sobą, uśmiechamy się kwaśno i wycieramy starannie nogi o

włochatą wycieraczkę.

– My z firmy "Pyton" – chrząka Jacek.

Niestety nazwa "Pyton" nic atletce nie mówi.

– Od pana Artura Saledy – dodaje Jacek.

Nazwisko Artura też nie robi na słudze żadnego wrażenia. Mierzy nas nieżyczliwym wzrokiem i rzuca przez drzwi.

– Od Sałaty czy nie od Sałaty wszystko jedno, trumien dzisiaj nie sprzedaje się.

– My nie po trumnę...

– To o co chodzi?

– My z interesem do pana Besztaja...

– Z interesem to w poniedziałek!

– To pilna sprawa. Mamy pudełka dla pana Besztaja, królewno.

Dostawa towaru.

– Pan Besztaj zachorował, a pani kazała nie wpuszczać nikogo – odpowiada szorstko atletka i chce nam zatrzęsnać drzwi przed nosem.

Tego też bardzo nie lubimy. Jacek przytomnie pakuje but w szparę.

– Wyjmuj, Lord, bilety – szepce do mnie mocując się z atletką. – Coś mi się widzi, że mamy do czynienia z bileterką.

– Bilety? – dopiero po chwili orientuję się o co chodzi. Wyciągam spieszenie dziesięć patyków i wtykam w szparę.

Szamotanie ustaje.

– Czy już wszystko w porządku, Dobrochno? – pyta Jacek. – Możemy porozmawiać?

– Pan naprawdę ciężko chory – mówi służąca łagodniejszym tonem.

– Leży w pokoju na desce i jęczy.

– Na desce?

– Tak ma przykazane, bo go łupnęło w krzyżu. Przerwał się, nieboraczek... trzy dni temu od dźwigania trumien... duży ruch był w interesie, a on sam...

– Jak to sam, a pracownicy?

– Akurat startowali.

– Startowali?!

– Na Miedzianej Górze, na torze wyścigowym. Mieli eliminacje. To rajdowcy! Wielkie pany! Psiedusze! Dzisiaj też startują, w finałach, będą się ścigać o puchary...

– Niech pani przekaże od nas wyrazy współczucia szefowi – mówi Jacek. – Nie doszłoby do wypadku, gdybyście trzymali w zakładzie tylko nasze lekkie, zdrowotne trumny marki "Celebes". Proszę zameldować o nadejściu transportu takiego właśnie towaru. Szef będzie się gniewał na panią, jak mu pani o tym nie zamelduje. Witek, pokaż pani drugi bilet!

Niechętnie wyciągam kolejne dziesięć patyków. Sługa odchodzi, wraca po dwu minutach i zdejmuję łańcuch z drzwi ze słowami, że pan Besztaj czeka.

Besztaj leży płasko na wznak na podłodze w pasiastym szlafroku, długie, siwe włosy rozrzucone na poduszce. Wygląda malowniczo i majestatycznie zarazem. W ręku dzierży talerz. Z oczyma utkwionymi w kolorowy ekran telewizora, ustawionego pod przeciwległą ścianą, zajada z apetytem różowe plastry szynki z zielonymi ogórasami, oblizując mięsiste usta.

Zapach jadu podrażnił nasze nozdrza, ale nie zanosiło się na to, by nas zaproszono do biesiady.

Jacek odchrząknął, chciał zagaić, lecz Besztaj powstrzymał go gestem ręki. Chwilę jeszcze wpatrywał się w telewizor nie przerywając konsumpcji, a potem zbulgotał:

– Dostawa miała być dopiero w przyszłym tygodniu.

– Przyspieszyliśmy. Czy to robi panu różnicę? – zapytał Jacek.

Besztaj westchnął ciężko.

– No, dobra – otarł usta papierową chusteczką – ile tego?

– Dwadzieścia sztuk plus jedna, dziecięca z aniołkami teraz i drugie dwadzieścia po południu.

– Mogę wziąć tylko cztery.

– Jak to cztery?! – zaniepokoił się Jacek.

– Nie ma ruchu w interesie – Besztaj z jękiem sięgnął po tubę maści i zaczął sobie nacierać lędźwiowy odcinek kręgosłupa – ludzie jakoś przestali umierać. A może zamiast w trumnach chowają ich w workach?...

– Co też pan opowiada!

– Tak jest, moi kochani. Trumny są za drogie. Dlatego biorę cztery i to pod warunkiem, że obniżycie cenę. Po ile sztuka tym razem?

– Po melonie. Taniocha, ale gotówką.

– Trele morele pumpernikele – zamruczał staruch. – Za tę tandetę mogę dać najwyżej pięćset tysięcy.

– Pięćset?! – Jacek aż beknął płaczliwie.

– Pięćset za pudło z dostawą loco zakład, poniedziałek, szósta rano.

Zatyka nas z oburzenia. Pół melona za pudło to daje dwa melony za cztery sztuki, czyli zaledwie czterysta tysięcy zysku... a mówiąc szczerze żadnego zysku nie ma, bo zostaje nam szesnaście nie sprzedanych trumien i ta mała z aniołkiem. Komu je opylimy? I kiedy? Także termin dostawy proponowany przez Besztaja jest zupełnie nie do przyjęcia.

Wóz musi być rozładowany dzisiaj i to szybko, bo o piątej mamy być przecież u Golasa w Radomiu.

Próbujemy przekonać tego wstrętnego starucha, że kupując wszystkie nasze trumny zrobi kokosowy interes, straszymy go, że to już ostatni transport po tej promocyjnej cenie, że od poniedziałku ceny trumien Celebesa wzrastają o trzydzieści trzy procent i winien korzystać z okazji, wszystko na nic. Besztaj pozostaje nieugięty i zabiera się do pożerania apetycznego makowca. Widać, że nie spodziewa się większej liczby pogrzebów i nie zależy mu na szybkiej dostawie.

Jacek udaje obrażonego i grozi, że sprzeda trumny konkurencji, a gdy i to nie pomaga, demonstracyjnie opuszczamy pokój.

Jesteśmy już na podwórzu, gdy słyszymy za sobą donośny głos niewieści.

– Hej, wy tam! Zaczekajcie!

Odwracamy się. To ta wierna służa Besztaja.

– Czego? – tym razem Jacek odpłaca się jej gburstwem.

– Panowie wróć!

– Nie mamy już o czym gadać – wzrusza ramionami Jacek.

– Pan Besztaj kazał powiedzieć, że mu się odmieniło i że może wziąć towar zaraz.

Wracamy zaskoczeni. Widzimy Besztaja na podłodze wciąż z talerzem w ręku, ale dziwnie zastygłego, nawet jego żarłoczne usta nie poruszają się wcale.

Z telewizora słychać głos spikera:

"...powtarzam ważny komunikat specjalny: Dziś około godziny ósmej ze stacji Herby Nowe w Kielcach skradziono z wagonu cysterny około sześćdziesięciu litrów trującego spirytusu metylowego. Ostrzega się, że jego spożycie nawet w małych dawkach grozi śmiercią lub trwałą ślepotą..."

– Słyszycie, co się stało? – Besztaj odłożył talerz. – Biorę od was zaraz sześć tanich trumien na wszelki wypadek. Wyladujcie!

Jacek milczy przez chwilę wstrząśnięty, a potem szybko odzyskuje kupiecki refleks.

– Mówi pan sześć? Jak to sześć? Przecież ukradli aż sześćdziesiąt litrów i jeśli dojdzie do zbiorowego zatrucia...

– Odratują ich – przerywa Besztaj. – Umrze najwyżej paru, a reszta oślepnie tylko.

– Tylko?! – wybucham histerycznym śmiechem.

– Przestań – Jacek trąca mnie zawstydzony, ale ja wrzeszczę na cały głos do Besztaja:

– Dobrze się panu powiedziało: tylko.

Moje nerwy wysiadły.

– O co mu chodzi? – Besztaj patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– On to przeżywa – wyjaśnia Jacek. – Wrażliwy chłopiec.

– Aha – Besztaj wpatruje się we mnie jak w ciekawy okaz przyrodniczy. Sięga po laskę i gramoli się do zabytkowej kasy

pancernej stojącej w kącie. – Zapłacę po sześćset tysięcy od sztuki i biorę sześć – powtarza uparcie.

– Bierze pan minimum dziesięć i płaci pan milion za sztukę.

– Sześćset!

– Milion!

– Sześćset pięćdziesiąt i ani grosza... – urywa nagle, bo w telewizorze cichnie muzyka i rozlega się ponownie głos spikera: "Uzupełniamy nasz komunikat o kradzieży metanolu. Mamy w tej sprawie nowe wiadomości, niestety bardzo dramatyczne. Jak podaje Komenda Policji stwierdzono już kilkanaście wypadków zatrucia. Pięć osób zmarło jeszcze przed przewiezieniem do szpitala, dwanaście walczy ze śmiercią, w tym jedna ośmioletnia dziewczynka, która ukradkiem wypila jeden mały kieliszek z ciekawości... Jej stan jest ciężki".

Robi się makabrycznie. Czuję, że drżą mi kolana. Chwila denerwującej ciszy... a potem słyszę zadyszany głos Besztaja:

– Wyładujcie trumny. Biorę wszystkie!

– Jest dwadzieścia teraz plus jedna dziecinna z aniołkiem i drugie tyle będzie po południu – bąka Jacek.

– Biorę to, co macie już teraz, a co z resztą, powiem za godzinę, jak

powtórzą komunikat. Zapłacę siedemset tysięcy za sztukę, razem czternaście milionów.

– Dwadzieścia – poprawia Jacek.

– Szesnaście – głos Besztaja staje się płaczliwy. – To wszystko, co mogę. Pan opuści!

– Osiemnaście jak dla pana – wzdycha obłudnie Jacek. – To moje ostatnie słowo!

– Zgoda! Wyładuj, pan! Ale dorzucicie mi gratis tę małą z aniołkiem.

Wynosimy spiesznie trumny. Uwijamy się jak w ukropie. Atletyczna sługa ma nam niby pomagać, ale ociąga się i grzebie jak mucha w sosie i

w końcu wynosi laskawie najmniejszą trumnę tę z aniołkami, i jeszcze narzeka, że ciężka. Zostawiamy w wozie tylko "palisandrową" trumnę

Niedbały i idziemy inkasować u Besztaja osiemnaście melonów.

Chowamy je nerwowo, jakby wstydliwie. Nie dają nam spodziewanej satysfakcji. Trudno się oprzeć wrażeniu, że ten interes ubiliśmy dosłownie "na trupach".

Wybiegamy szybko z terenu zakładu na ulicę... i stajemy ostupiali.

Tylne drzwi naszego wozu otwarte, a trumna Niedbały zniknęła!

– Tam! – krzyczy Jacek.

Nie dalej jak dwadzieścia metrów od nas mały, cherlawy człowieczek

w pasiastej marynarskiej koszulce zasuwiał dzielnie z trumną w dół

ulicy; chwilę później skręcił w Bodzentyńską.

Jacek chwycił klucz do śrub i rzucił się za złodziejem. Ja też

pobiegłem uzbrojony było nie było w... śrubokręt. Byliśmy pewni, że

schwytamy

drania

bez

problemów.

Trumna

wydawała

się

zdecydowanie za ciężka na jego nędzną kondycję. Dobiegamy do

Bodzentyńskiej. Łobuza dzieli od nas nie więcej jak dziesięć kroków, aż

tu nagle jak spod ziemi wyrasta koło niego dwu muskularnych facetów

w panterkach, rozpoznajemy naszych dobrych znajomych: Boksera i

Kaczynosa, odbierają spieszenie trumnę cherlawemu i rzucają

błyskawicznie na platformę zaparkowanego obok datsuna, a sami

wskakują do kabiny.

Jacek spóźnia się o pół sekundy.

– Stać! – wali kluczem w szybę drzwi. Szyba wprawdzie rozpryskuje

się z brzękiem, ale datsun startuje z piskiem opon i rwie do przodu jak

szalony. Została po nim na jezdni garść szklanej kaszy.

– Prędko do wozu! – krzyczy Jacek.

Ten cherlak w marynarskiej koszulce, który gwizdnął nam trumnę

nie kwapi się z ucieczką. Stoi po drugiej stronie ulicy i z zaciekawieniem

obserwuje dalszy przebieg wypadków. Moglibyśmy teraz schwycić go

łatwo, ale wybieramy pościg za porwaną trumną.

Na pierwszym dużym skrzyżowaniu czerwone światła. Rozglądamy

się. Datsuna nie widać przed nami. Jacek wyciąga stąd wniossek, że musiał skręcić w prawo. Bez namysłu my też bierzemy ten kierunek. I słusznie. Niebawem dostrzegamy tych drani. Utknęli na moment w potoku wozów przed kolejnym skrzyżowaniem. Omal nie dopadamy ich, lecz jak na złość zmieniają się światła i oni ruszają z kopyta.

Wymuszając ordynarnie pierwszeństwo, agresywnym slalomem na jezdni zapychają w rajdowym tempie. Ich datsun ciągnie jak szatan, ale nie spuszczaamy ich z oka i wciąż siedzimy im na karku.

Pościg przenosi się za miasto. Uciekają w kierunku Dymin i Morawicy. Chyba zrozumieli w końcu, że nam nie umkną i decydują się na wredne zagranie. W pewnej chwili zjeżdżają niespodziewanie na lewą stronę szosy. Z prawego okna kabiny wysuwa się wielka łapa w czarnej rękawicy i sypie nam prosto pod koła jakby garść iskier błyszczących w słońcu...

– Uważaj! – krzyczę do Jacka. – To gwoździe!

Ale co tu można zrobić? Ani zjechać na lewą stronę, bo właśnie z przeciwka sunie autobus, ani wyhamować w porę, bo za mało czasu. Łapiemy gumę. Zarzuca nas na pobocze, omal nie wpadamy do rowu. Oglądamy opony. Trzeba zmienić przednie prawe koło. I tak dobrze, że nawaliło tylko jedno. Żłoby z datsuna spokojnie odjeżdżają sobie, machając nam na pożegnanie czarną łapą.

Wkrótce tracimy ich z oczu.

`pa

Rozdział IX

Willa przy ulicy Hajduczej. Próbujemy odebrać co nasze. Dlaczego nie potrafiłem uciec z trumną? W rękach złoczyńców. Niesamowitość i groza, czyli co kryła w sobie trumna.

Głupia zmiana koła zabiera nam pięć cennych minut. Ja się gorączkuję, śruby lecą mi z rąk, a Jacek patrzy na mnie kpiąco i dłubie się jakby umyślnie na zwolnionych obrotach, a gdy wreszcie jesteśmy gotowi, zamiast pędzić za datsunem zawraca w stronę Kielc.

– Co ty, rezygnujesz z pościgu?! – krzyczę zdumiony.

– Pościg nic nie da. Mam lepszy pomysł – mówi Jacek. – Nie wygląda mi na to, by ci dranie pchali się z łupem tą szosą gdzieś do Chmielnika, Buska czy Tarnowa... To tutejsi faceci... z Kielc.

– Myślisz?

– Ich wóz miał rejestrację kielecką, miejską. Z pewnością terenem ich działalności jest to szlachetne miasto i założę się, że będą usiłovali do niego jak najszybciej wrócić.

– Być może będą chcieli wrócić, ale inną szosą – zauważam.

– Słusznie, główkujesz prawidłowo, zerknijmy wobec tego na mapę!

Rozkładam "Atlas samochodowy Polski".

– Mogą wrócić szosą krakowską – mówię. – Ale jeśli nie chcą się z nami spotkać, muszą jechać aż do Morawicy i dopiero stamtąd – przez Brzeziny dotrzeć do szosy krakowskiej pod Chęcunami.

– Zgadza się – mówi Jacek. – A my zawracamy, w Dyminach skręcamy w prawo i przez Posłowice docieramy do szosy krakowskiej o wiele wcześniej i bliżej Kielc, chyba gdzieś koło Słowika.

– Znasz ten teren – mówię zaskoczony – jakbyś z mapy czytał.

– Coś niecoś zapamiętałem z czasów, kiedy brałem udział w rowerowych rajdach świętokrzyskich.

Realizujemy więc prosty plan Jacka. Po dziesięciu minutach jesteśmy już w Słowiku i tuż za mostem czekamy spokojnie na datsuna.

Nadjeżdża wkrótce. Ruszamy za nim i nie spuszczaemy go z oka zachowując bezpieczną odległość.

Zaraz za Białogonem datsun skręcił w nową willową dzielnicę Kielc i wjechał w jedną z małych wysadzanych jarzębinami uliczek. Zatrzymał się na jej końcu przed dużą, czarną bramą i dał elektroniczny sygnał.

Brama otworzyła się posłusznie, wpuściła do środka wóz, po czym zasunęła się bezszmerowo.

Zostawiliśmy nasz samochód przezornie za rogiem na sąsiedniej ulicy, żeby nie było go widać z terenu gangsterskiej posesji, a potem rozglądając się czujnie ruszyliśmy w stronę bramy, która wchłonęła datsuna. I zaraz okazało się, że nasza ostrożność była ze wszech miar uzasadniona. Ledwie bowiem doszliśmy do rogu, uwagę naszą z miejsca zwrócił nader charakterystyczny typ z wielkimi wypchanymi torbami w obu rękach, który zatrzymał się przy furtce interesującej nas willi. Człowiek ten zrobił na nas niezwykle wrażenie z powodu obrzydliwie pryszczatej twarzy. Przy niej nawet pokryta kraterami powierzchnia księżycy wydawała się gładka jak balonik. Patrzyłem jak urzeczony. Nigdy jeszcze u nikogo nie widziałem krost tak starannie wyhodowanych i występujących w tak wielkiej obfitości. Absolutny

rekordzista! Typ zakasowałby nawet Tulejkę Zbysława z naszej budy, zwanego Syfem, wybitnego nosiciela trądziku o niespotykanej zjadliwości.

– Nie gap się tak! – syknął zdenerwowany Jacek. – To ich człowiek!

Przyuważy nas i wszystko zepsujesz!

Ale pryszczaty na szczęście pochłonięty był swoimi sprawami.

Wyciągnął z dzinsowej kieszeni pilota, czerwona dioda przy furtce zgasła, rozległ się brzęczyk i furtka uchyliła się lekko. Pryszcz (bo tak go nazwaliśmy) wtoczył się ciężko ze swymi torbami do środka. Zaleciało od nich smakowitym zapadłem wędzonki, zabrzęczało szkło. Nowy podmuch wiatru uraczył nasze czule nosy rozkoszną wonią wanilii i cynamonu. Zapewne prócz alkoholu, wędlin i rozmaitych delikatesów Pryszcz taszczył świeże wyroby cukiernicze... Rozmarzyło nas trochę, ale wystarczyło przypomnieć sobie odrażającą gębę tego faceta, a traciło się cały apetyt.

– Widziałeś? – szepnął wzburzony Jacek. – Ten maszkaron to ich zaopatrzeniowiec. Urządzają widać, obwiesie, małą balangę z okazji gwizdnięcia trumny Szkaplera. Czy nie za wcześnie, dziatki moje?

Jeszcze nie wiedzą, nieboraki, że na zakąskę będą mieli flaki z powidłami. Powinni byli najpierw otworzyć trumnę. Ale mieliby miny!

– Mała pociecha – mruknąłem. – Prawdziwymi nieborakami to jak dotąd jesteśmy my! Lepiej wiejmy stąd póki czas i cieszymy się, że cało unosimy skórę.

– O, nie – powiedział z zaciętą miną Jacek. – Nie mam zamiaru

darować łotrom tej trumny!

– No to zgłośmy kradzież na policji, niech gliniarze przyjadą i odbiorą im, co ukradli!

– Lepiej zastanów się, co mówisz, Lord! – zganiał mnie Jacek. –

Przecież wiesz, że z tą trumną to jakaś nieczysta sprawa, a Szkapler to mętna figura. Policja może nam różne rzeczy przylepić, a nawet zamknąć nas do czasu wyjaśnienia sprawy... Nie, Dzidziu, sami musimy sobie poradzić.

– Co ci tak zależy – bąknąłem. – Wzięliśmy już za to pudło forszę, a że padliśmy ofiarą bezczelnego rabunku, to nie nasza wina. Szkapler nie uprzedził nas, że ma wrogów i że czekają nas z tą trumną takie cholerne przygody. Narazić życie dla łobuza?

Jacek potrząsnął głową.

– Nie, bratku, honor kupiecki nie pozwala. Zobowiązaliśmy się dostarczyć towar do Jędrzejowa i dostarczymy.

– Ciekawym jak?

– Zaraz zobaczysz. Pryszech zniknął już z pola widzenia. Sprawdźmy najpierw, co się święci na dziedzińcu.

Rzecz nie była łatwa, ponieważ za ogrodzeniem z wysokich żelaznych prętów znajdował się jeszcze gęsty żywopłot ze złocistych tuj, a widok przez furtkę zasłaniały dwa wielkie strzyżone na kule cisy. W końcu jednak znaleźliśmy w szpalerze tuj szparę, przez którą można było widzieć spory kawałek willi i placu przed nią. Obstawiono ją rusztowaniami, ale to nie był remont, raczej powiększanie kubatury.

Dobudowywano do starych murów coś w rodzaju lewego skrzydła z dwoma wielkimi garażami pod ziemią. Od ulicy willę oddzielał obszerny owalny trawnik, obecnie rozkopany w poprzek, pewnie z powodu robót wodociągowo-kanalizacyjnych. Wokół trawnika aż pod szeroki taras willi, niczym w dawnych pałacach, wiódł żwirowany podjazd, niegdyś zapewne wygodny, dziś pełen dziur i błota. Stały tam trzy samochody: znana nam już toyota, ford scorpio i nieco bliżej, furgonetka datsun. Kaczynos i Bokser zabierali się właśnie do wyładowania ukradzionej trumny. Reszty złoczyńców nie było widać, lecz przez otwarte okna dobiegały ich podniesione głosy. Chyba kłócili się o coś. Nad męskimi głosami górował gniewny alt Upadłej Anielicy. Nagle rozległ się brzęk szkła i wszyscy ucichli. Czyżby uśmierzyły scysję spirytualia i specjalny przyniesione przez Pryszcza? Po chwili głosy ożywiły się na nowo, ale już w innej zgoła, biesiadnej tonacji. Na tarasie pojawił się typ ubrany z nieco staroświecką elegancją w nieskazitelny garniturek koloru marengo. W ręku trzymał wielki kufel piwa.

– No, co, guzdrały! Jeszczeście nie uporali się z tym pudłem? – zbeształ Boksera i Kaczynosa.

– Już kończymy, panie Kapeć! – złoczyńcy zaczęli spuszczać trumnę na ziemię.

– Ostrożnie! Jak z porcelaną, słonie! To nie worek kartofli! Ustawcie delikatnie na trawniku!

– Tak jest, szefie – zaskrzeczał Kaczynos mocując się z ciężarem. –

Będziem się cackać jak z jajem strusia, ale gdzie to obiecane piwo? –

spojrzał łakomie na kufel w rękach Kapcia oblizując spieczone wargi.

– Najpierw zobaczę, co tam jest w środku – mruknął Kapeć. –

Byliście cały czas na bańce, moczymordy i mogliście załatwić nie tę trumnę, co trzeba.

– Co też szef!... O pomyłce nie ma mowy! Już po wadze można

poznać... ta trumna jest dobrze nadziana! Ciężkie toto jak diabli! – obruszył się Bokser.

– Ale z otwarciem może być kłopot – zauważył Kaczynos. – Jakaś nowa moda nastąpiła. Robią teraz trumny zamykane na klucz. Boją się, żeby nieboszczyk nie uciekł, czy jak!

– Co ty bredzisz, Januszek?

– Szef spojrz. Specjalny zamek. Nijak nie idzie otworzyć!

– Cholerne innowacje – zaklął Kapeć. – Już nie wiedzą, co wymyśleć!

Biegnij po wytrychy, Januszek.

– Po co, szefie. Stuknę młotkiem i po zmartwieniu – zaofiarował się Bokser.

– Sam się stuknij w głupią pałę – ofuknął go Kapeć. – Powiedziałem: jak z chińską porcelaną! No, jazda, rusz kuper, Januszek!

Kaczynos pobiegł, a Kapeć pociągnął z kufla, kucnął przy trumnie i zaczął z zaciekawieniem oglądać jej zamek i fakturę.

– Sam teraz widzisz – powiedziałem cicho do Jacka – że to beznadziejna sprawa. Oni nie odejdą od tej trumny. No i co zrobimy?

– Już powiedziałem ci, co zrobimy: zaraz odbierzemy im trumnę! – powtórzył z zaciętą miną Jacek.

Rzuciłem okiem na żelazną bramę i na wysoki parkan najeżony spiczastymi sztachetami.

– Nie mamy żadnych szans! – mruknąłem.

– Przeciwnie, Lord – odparł Jacek – tym razem szczęście nam sprzyja. Spójrz, przypatrz się dobrze! – wskazał na furtkę.

Spojrzałem i poczułem przyspieszone uderzenie serca. Tak, rzeczywiście, po tylu niepowodzeniach los jakby uśmiechnął się do nas.

Ten typ, obładowany torbami, co niósł prowiant, ten Prysycz nie domknął za sobą furtki! Czerwona dioda na parkanie przy wejściu nie pulsowała! Co za gapa ze mnie, że tego od razu nie dostrzegłem.

– Zasuwamy – mruknął Jacek.

Wstyd powiedzieć, ale tchórzyłem haniebnie.

– Może... może jeszcze poczekamy na jakiś lepszy moment – wykrztusiłem.

– Lepszego momentu już nie będzie – orzekł Jacek.

– Tam wciąż jest ich dwu przy trumnie.

– Właśnie. Tylko dwu! I są zajęci oglądaniem trumny. To gruba nieroztropność z ich strony. Żadnych środków ostrożności. Czują się wygrani i bezpieczni. Za wcześnie, panowie, to właśnie was zgubi!

– Co chcesz zrobić?!

– Zrobimy tak: ja odwrócę ich uwagę, a ty porwiesz trumnę i dasz z nią dyla na ulicę...

– Myślisz, że się uda! – przeszedł mnie przykry dreszczyk.

– Jasne. To będzie szybka akcja przez zaskoczenie. Muszę tylko jakoś

odciągnąć ich od trumny.

– Bagatela – mruknąłem – jak ich odciągniesz?

– Są różne sposoby – powiedział Jacek. – Ale nie będę się

zastanawiał, po prostu podejść do nich cicho i stuknę któregoś z nich w szczękę...

– Zrobiłbyś to?

– Bez problemu. Rozzłoszczeni zaczną mnie gonić, a ty łatwo uporasz się z trumną.

– To jeszcze może nie załatwić sprawy – mruknąłem. – Po pierwsze, skąd pewność, że obaj rzucą się w pogoń za tobą? Jeden z nich może zostać przy trumnie i co wtedy? Po drugie, nie zapominaj, że masz do czynienia z Bokserem. To zawodowiec. Możesz się nadziać na kontrę i koniec pieśni, stary.

– Może masz rację. Boksera lepiej nie tykać. Stuknę Kapcia.

– Najbezpieczniej byłoby zaimprovizować coś z dystansu.

– Co?

– Mógłbym zrobić małą – zaproponowałem ofiarnie – to mi nieźle wychodzi. Będę robił miny i skakał po trawniku, a ty hapniesz trumnę.

– To ponure żłoby. Wcale nie jest pewne, czy zareagują prawidłowo.

– No, to zagram złośliwą małą i rzucę w nich kamieniem.

– To już lepiej, ale skąd weźmiesz kamień?

Rozejrzałem się. Istotnie w pobliżu kamienia nie było.

– Czekał, coś mi przyszło do głowy – Jacek wpatrywał się w trawnik.

– Czy widzisz, co tam leży?

– Gdzie?

– Na trawie.

– Nie widzę.

– Tam leży wąż!

– Wąż? Jaki wąż, co ty bredzisz, Pampers?!

– Wąż ogrodniczy, baranie. A tu bliżej widać hydrant. Skoczę tam i

zafunduję tym draniom bezpłatny prysznic. A kiedy odpędzę ich tą

sikawką, ty będziesz miał pół minuty, żeby się uwinąć z trumną!

– Myślisz, że dam radę?

– Pestka! To żaden ciężar, razem z tym co jest w środku dwadzieścia

kilo góra!

– Mam... mam niedobre doświadczenia z węzem i hydrantem –

wykrztusiłem przypominając sobie epizod z Dłubkowa, gdy gonila mnie

banda braci Ryps. – Wąż może być dziurawy, ciśnienie za słabe...

– Pleciesz, Lord, lepiej powiedz od razu, że się boisz.

– Mimo wszystko... to... to ryzykowny pomysł.

– A masz lepszy?

Umilkłem.

– No, to jazda, zaczynamy! – Jacek podbiegł do hydrantu, odkręcił

zawór i skierował silny strumień lodowatej wody prosto w gęby

złoczyńców.

To był prawdziwy nokaut wodny. Uderzeni wodą pod wysokim

ciśnieniem niczym potężną mokną pięścią przewrócili się od razu na

trawę. Kapeć skulił się i leżał osłaniając rękami głowę oraz wydając

przejmujące płaczliwe jęki, podobne do miauczenia marcowego kota.

Bokser zerwał się wprawdzie z powrotem na nogi, ale na pół oślepiony i wciąż smagany bezlitośnie strasznymi biczami wodnymi kręcił się w kółko jak niedźwiedź ćwiczący taniec w Akademii Smorgońskiej.

Natychmiast ruszyłem do akcji. Rzuciłem się do trumny, dźwignąłem ją i z jękiem opuściłem na trawnik z powrotem. To miało być według Jacka dwadzieścia kilo? A niech to diabli! Albo osłabłem nagle, co niemożliwe, albo to pudło ważyło pięćdziesiąt z okładem. Spróbowałem jeszcze raz. Strach dodawał mi sił. Udało się, ale o biegu nie mogło być mowy. Sapiąc ciężko ruszyłem z tym cholernym ciężarem do furtki...

Czy zdążę? Obejrzałem się z lękiem.

Kapeć i Bokser już oprzytomnieli na tyle, by pojąć, że padli ofiarą bezczelnego ataku. Sypiąc przekleństwami próbowali dopaść Jacka i odebrać mu węża, ale on nie tracił głowy i wycofywał się pomalutku poddając na przemian to jednego to drugiego opryszka bezlitosnej chłocście wodnej. W ten sposób skutecznie trzymał ich w szachu, a gdy rozwścieczony Bokser chciał rzucić w niego wielką donicą z czerwonym rododendronem, co stała pośrodku klombu, Jacek natychmiast ostudził te zapędy, aplikując silaczowi solidne mycie główki i celny natrysk prosto w oczy. Gangster stracił orientację, poślizgnął się i wpakował w wykop na trawniku. Wygrzebał się stamtąd po chwili z twarzą wykrzywioną ze złości i umazaną czerwoną gliną jak Indianin umalowany do wojny, ale Jacek zdążył już zwiększyć dystans i szerokim łukiem zbliżył się do mnie. Gdybym tylko mógł szybciej z tą trumną...

Niestety... sytuacja nie wyglądała najlepiej, bo zaalarmowani krzykami z domu wybiegli już pozostali gangsterzy w komplecie. Pierwsza zorientowała się w sytuacji Lolita.

– To te pętaki! Ukradli trumnę! Łapać gnojków! Ksawer i Dżubej, wy tego z trumną – pchnęła w moim kierunku Playboya i Fakira. – Coście tak osłupieli. Do was mówię! A ty, Robert, co tak rozdziawiasz japę?

Zakręć hydrant, głupolu – huknęła do oszołomionego Pryszcza. –

Januszek, nie gap się, rusz tłusty kuper, zagroź drogę temu z węzem! – kopniakiem uruchomiła opieszalego Kaczynosa.

Tak dyrygując szybko zaprowadziła ład w gangsterskiej ferajnie i nasze szansę zmalowały gwałtownie.

– Prędeż, Lord! – krzyknął do mnie rozpaczliwie Jacek. – Co się tak wleciesz, człowieku!

– Łatwo ci gadać – wykrztusiłem uginając się pod ciężarem. – Sam spróbuj, oszuście... Miało być dwadzieścia kilo góra!

Jakby w odpowiedzi usłyszałem szpetną klątwę Jacka, ale nie była adresowana do mnie tylko do Roberta, czyli Pryszcza, któremu udało się dobiec do hydrantu i zakręcić zawór. Strumień wody załamał się żałośnie. Jacek rzucił bezużytecznego już węża i skoczył pomóc mi taszczyć trumnę, ale o dwie sekundy za późno. Cholerny Januszek był pierwszy przy furtce i odciął nam odwrót. Rąbnęliśmy go trumną w brzuszysko, ale co z tego. Od tyłu już nas dopadli Playboy z Fakirem. Jeszcze przez chwilę dzielnie stawialiśmy opór, a potem już się nie dało, bo przykuśtykał dyszący zemstą Bokser z pacynami zeszcłej gliny jak z

okropnymi wrzodami na twarzy i bez słowa trzasnął nas pięścią lewym prostym; zobaczyliśmy świece w niebie. Chciał poprawić sierpowym, ale Kapeć go powstrzymał.

– Zostaw, Bokser.

– Wykończę ich! – dyszał siłacz.

– Najpierw musimy ich wypowiedać – powiedział Kapeć.

Odebrali nam trumnę i zaciągnęli półżywych pod taras.

To było najbardziej niesamowite zdarzenie, jakie nam się przytrafiło podczas całej wyprawy.

Pamiętam. Pogoda się odmieniła. Ochłodziło się. Wiatr przeganiał arktyczne chmury, spoza których raz po raz wyglądało słońce i wtedy "palisandrowa" trumna błyskała tajemniczo brunatnoczerwoną barwą, jakby splamiona zakrzepłą krwią, a na srebrzystym orle zapalały się pióra...

Staliśmy trzymani przez gangsterów pod ręce i dygotaliśmy, nie wiem, czy bardziej z nerwów czy z zimna. Koło trumny klęczał na trawniku Kaczynos i mocował się z uchwytem wieka.

– Na mój rozum, tu nic nie da się zrobić – oświadczył bezradnie rozkładając ręce. – To osobliwe zamknięcie jak na trumnę.

– Osobliwe?! – skrzywiła się Lolita.

– Z zapadką automatyczną. Jak się zatrzaśnie, otworzyć można tylko od wewnątrz.

– Co za bzdura! Kto ma otworzyć od wewnątrz? Nieboszczyk. Na Sąd Pański? Odsuń się, Januszek, daj spróbować Dżubejowi.

Fakir pogrzebał w torbie z narzędziami, wyciągnął parę wytrychów haczykowatych i kilka innych złodziejskich instrumentów, płaskich jak lekarski skalpel. Z wprawą zawodowego kasiarza przez chwilę manipulował przy zamku, potem wsadził do szpary rodzaj cienkiej elastycznej blaszki i spróbował podnieść wieko.

– Odemknięte, ale ktoś trzyma od środka – oświadczył.

– Ktoś?! – zdenerwował się Bokser. – Kto ma trzymać? Nieboszczyk?

Głupi jesteście! Odsuń się! – odepchnął Fakira i szarpnął z całej siły.

Nadaremnie. – Musiało zatrzaskać się na nowo – wysapał.

– Dostyc tego cackania! – zdenerwowała się Lolita. – Rozłupać

dekiel! – rozkazała.

– Szkoda – Dżubej-Fakir pogłaskał orła.

– Rozwał, mówię! No, co tak wytrzeszczasz te czarne gały?

– Oszalalaś! – chciał powstrzymać ją Kapeć. – Uszkodzisz ładunek!

– Nie ma czasu patyczkować się! Do roboty, Robert!

Kaczynos posłusznie sięgnął po młotek. Już miał uderzyć, gdy nagle

w trumnie coś zachrobotać. Wszyscy ucichli i znieruchomieli. W

śmiertelnej ciszy słyhać było zagadkowe szmery, a potem dziwny,

zdławiony, podobny do jęku głos. Wyraźnie wydobywający się z

trumny! Głos dudniący i nieludzki może z powodu jej specjalnej

akustyki.

– Tam ktoś jest w środku – wybełkotał Kaczynos.

– Nie opowiadaj mi głupich kawałków – chrząknęła nadržabiając

miną Lolita. – Masz omamy. To wszystko dlatego, że portki ci się trzęsą

z nerwów. Weź się w garść, Januszek i rozwał to pudło. Pomóżcie mu, bo chłopak dzisiaj ma swój zły dzień!

Ale nikt nawet nie drgnął, ponieważ w tej samej chwili zdobna w orła pokrywa trumny pomału zaczęła unosić się do góry z przykrym złowieszczym skrzypieniem. Gangsterzy wytrzeszczali z przerażeniem oczy. Trzeba przyznać, że to bractwo spod ciemnej gwiazdy nie błysnęło w tym wypadku specjalną odwagą. Wyraźnie puściły im nerwy. Strach różnie się u nich objawiał. Jednych jakby sparaliżowało, nogi wrosły im w ziemię i niezdolni byli wykonać najmniejszego ruchu, inni po chwili osłupienia, zaczęli cofać się z zabobonnym lękiem.

Pilnujący mnie Playboy też ogłupiał solidnie. Zapatrzony w niezwykle zjawisko jakby zapomniał o mnie i poczułem, że puszcza moją wykręconą rękę. Ale ja, zahipnotyzowany zjawiskiem, zamiast uciekać stałem jak głupi i podobnie jak wszyscy gapilem się w trumnę.

Inna rzecz, że było na co patrzeć! Nigdy czegoś podobnego nie widziałem w życiu i wątpię, czy jeszcze kiedyś zobaczę. Oto bowiem wieko trumny odskoczyło nagle z głośnym trzaskiem, a z jej ciemnego wnętrza uniosła się... dziwna biała postać, zwiewna i smukła jak duch (jak wiadomo duchy z reguły bywają bardzo szczupłe, i zwykle nie mają brzuchów). Twarzy też chyba nie miała, a w każdym razie nie było widać, bo, jak przystało na ducha, od stóp do głów kryła ją szata długa i powłóczysta. Z właściwą tylko duchom i najlepszym tancerkom lekkością wyskoczyła z trumny, zatrzepotała w powietrzu jak ptak, zdawało się, że frunie stąd prosto do nieba, ale ona po chwili wahania

zdecydowała jednak zostać na ziemskim padole i przytomnie wzięła kurs na furtkę sunąc prosto w stronę przerażonej Lolity, która stała jej na drodze.

Tego było już za dużo nawet na mocne, jak się zdawało, nerwy pięknej szefowej gangu. Zareagowała zgoła nie po gangstersku.

Zastłoniła oczy i wydała zdławiony okrzyk:

– Róbcie coś! To, to... tu idzie! Stój! Nie zbliżaj się do mnie! – głos jej się załamał, zrobiła krok do tyłu i padła zemdlona prosto w ręce stojącego za nią Pryszcza. Obwieś przez chwilę trzymał ją z głupią miną, nie wiedząc, co począć z tym równie ciężkim jak kłopotliwym prezentem, a potem, łotr, cisnął bezwładne ciało w białą zjawę. Niestety zjawa z właściwą duchom zwinnością uchyliła się łatwo, a ja ze zdumieniem spostrzegłem, że wielkie ciało Lolity leci prosto na mnie nieboraka. I od razu zadziałał ten mój samarytański odruch! Nim pomyślałem, co robię, wyciągnąłem ręce, by ratować nieprzytomną kobietę przed nieuchronnym upadkiem, lecz nie byłem w stanie utrzymać jej ciężaru i razem z nią zwałilem się na ziemię.

Brutalne zetknięcie z twardą rzeczywistością, czyli z ziemią, od razu ocuciło pechową niewiastę. Zerwała się na równe nogi i... to niesprawiedliwe, cała jej złość obróciła się przeciwko mnie, zupełnie nie wiem dlaczego.

– Ty, szczyłu – wrzasnęła – jak śmiałeś?

– Co ja takiego zrobiłem? – jęknąłem gramoląc się z trawnika.

Ale ona, zamiast odpowiedzieć, tak mnie trzasnęła w twarz, że

zobaczyłem Oriona i parę innych gwiazdnych konstelacji.

– Bierzcie gnojka! – zakomenderowała i, nim oszołomiony ciosem zdążyłem dać dyla, dopadli mnie Playboy z Bokserem. Playboy obezwładnił mnie łatwo chwytem klamrowym pod szyję, a gdy próbowałem wyslizgnąć się jak piskorz, Bokser uspokoił mnie ciosem w skroń...

Tym razem na dłuższą chyba chwilę urwała mi się taśma świadomości, bo kiedy przyszedłem do siebie, ze zdziwieniem spostrzegłem, że leżę na ziemi, a nade mną dookoła pochylają się obmierzłe twarze gangsterów. Głupia pozycja. Przymknąłem z powrotem oczy i udalem nieprzytomnego, żeby posłuchać, co mówią...

– Wciąż bez czucia – mruknął Kapeć zaglądając mi do oka, które starałem się utrzymać w stanie osłupienia. – Za bardzo mu przyłożyłeś, Gusto – rzekł do Boksera.

– Nic mu nie będzie, udaje spryciarz – odparł Bokser żując powoli gumę. – Znam się na tym – uśmiechnął się krzywo pod kalafiorowatym nosem i oddalił się kuśtykając.

Z pościgu za "upiorzycą" wrócili Kaczynos i Fakir.

– Nie dało się nic zrobić – tłumaczył zakłopotany Januszek. – Zaraz za furtką zniknęła...

– Niedojdy! Do czego wy się nadajecie! – zdenerwowała się Lolita. – Jak mogliście wypuścić ją z rąk...

– Rozpłynęła się w powietrzu – stwierdził z przekonaniem Fakir.

– Jak to możliwe?

– Nieczysta sprawa – mruknął Fakir. – Ale słyszałem o takich rzeczach. W trumnie był dżin! To nie ulega wątpliwości.

– Nie zawracaj głowy! Dżiny są tylko w arabskich bajkach – wyśmiał go Kapeć.

– Niezupelnie – wmieszał się Prysycz – osobiście miewam do czynienia z dżinem w butelce.

Gangsterzy zarechotali. Posypały się dowcipy.

– Dosyć – przerwała zdenerwowana Lolita. – Nie widzę powodu do śmiechu. Obojętne, kto był w tej trumnie, przebrany kapuś, agent

Szkaplera,

czy

jakiś

pomysłowy

dowcipniś,

stał

się

teraz

niebezpiecznym świadkiem. Z winy Januszka i Dżubeja, którzy

pozwolili mu się wymknąć. To koniec waszej kariery w grupie

operacyjnej. Wróćcie do mycia samochodów i skrobania ziemniaków.

Taka nieudolność, taka opieszałość...

– Nie było żadnej opieszałości – jęknął Januszek. – W sekundę już

byliśmy na ulicy. Sprawdziliśmy każdego przechodnia, pytaliśmy, czy

nie widzieli lecącej postaci całej ubranej na biało...

– Nikt nic nie widział – oświadczył twardo Fakir.

– I jeszcze brali nas za wariatów – pociągnął płaczliwie płaskim nosem Kaczynos.

– Postać mogła od razu wskoczyć do samochodu – zauważył Kapeć.

– Wykluczone, żaden wóz nie stał na ulicy i żaden nie przejeżdżał, tylko hałaśliwa koparka.

– Ale na koparce też jej nie było – dodał ponuro Januszek.

– Ani za rogiem.

– Bo pobiegliśmy za róg, żeby się upewnić.

– I znaleźliśmy tam zaparkowaną gablotę tych smarkaczy.

– Ale wóz był pusty.

– Myśleliśmy, że przynajmniej znajdziemy to... to pudełko z Johnny Walkerem, ale pudełka też nie było.

– Tylko ci smarkacze coś mogą wiedzieć i wiedzą na pewno.

Najwyższy czas, żeby zaczęli śpiewać. Niepotrzebnie tak im dołożyliście.

– Zaraz nabiorą życia – usłyszałem chropawy głos Boksera i z przerażeniem zobaczyłem, że stoi nade mną z ogrodniczym węzem i uśmiecha się okrutnie. Czyżby chciał wziąć odwet za szprycowanie, które zaaplikowaliśmy jego kumplom?

Nie miałem najmniejszej odloty na zimny tusz. Zerwałem się błyskawicznie z ziemi i sam dziwiąc się swojej śmiałości dałem Bokserowi kozła w żołądek. Musiałem go trafić w splot słoneczny, bo od razu zgiął się jak scyzoryk; w dzikiej zajadłości, która wstąpiła we mnie, chciałem mu dodatkowo podciąć nogi, tak żeby nakrył się

kopytami i zbombardować mu szczękę, ale Fakir i Prysycz odciągnęli mnie od niego i unieruchomili pospolitym "policyjnym" chwytem, po czym zawlekli mnie z powrotem pod taras, gdzie stała otwarta trumna.

Obok podtrzymywany przez Kapcia i Kaczynosa chwiał się na nogach skatowany Jacek, był chyba w jeszcze gorszym stanie ode mnie.

Upadła Anielica zmierzyła nas wzgardliwym spojrzeniem spod długich rzęs, a jej ładną twarz lalki Barbie wykrzywił uśmiezek złej satysfakcji.

– Porozmawiamy? – zapytała zimno.

Milczeliśmy.

– Co zrobiliście z przesyłką? – wycedził Kapeć.

– Z jaką przesyłką? – udaliśmy nieświadomość.

– Pudełko Johnny Walkera – wyjaśnił spokojnie.

– Nie wiemy, o czym pan mówi.

Wmieszala się Lolila.

– Pozwól, ja z nimi porozmawiam. Zaczniemy z drugiego końca. Czy widzicie, co tutaj stoi? – zapytała.

– Trumna, którą nam ukradliście. Otwarta trumna – powiedziałem oskarżycielskim tonem.

– I nic więcej nie zauważyłeś?

– Nic. Trumna jest pusta.

– Właśnie! Pusta! – podchwyciła Anielica – a co powinno w niej być?

– Powinno coś być? – udajemy zdziwienie. – A co niby? Trup?

– Nie strugajcie głupków!

– O co pani chodzi? To nowa trumna, jeszcze bez zawartości – powiedział Jacek z niewinną miną.

– Tak jest – poparłem go – dopiero co sprzedaliśmy jednemu gościowi w Radomiu. Polecił ja dostarczyć w pewne miejsce...

– Wiem. Sprzedaliście Szkaplerowi.

– Być może tak się nazywał. Nam przedstawił się jako Niedbała.

– Nieważne. Interesuje nas jedno: Szkapler włożył coś do trumny.

Gdzie to jest? Co z tym zrobiliście?

Wymieniliśmy z Jackiem zdumione spojrzenia.

– Widziałeś jakieś rzeczy w tej trumnie? Bo ja nie – powiedział Jacek.

– Ja też nie – oświadczyłem twardo. – Mamy taki zwyczaj. Nie zaglądamy do sprzedanych trumien.

– Ale nie zaprzeczacie, że Szkapler coś tam włożył?

– Może włożył, może nie – wzruszył ramionami Jacek. – Nie obchodzi nas, co klient wkłada. A wami to się zajmie policja. Grubo bekniecie za to, co zrobiliście.

– Policja zajmie się, ale wami – wycedził Kapeć. – Jesteście bezczelnymi łobuzami, co wdarli się na prywatny teren i napadli na naszych ludzi, a my jesteśmy zarejestrowaną uczciwą firmą...

– Uczciwą?! Opowiemy wszystko policji.

– Ale czy policja wam uwierzy. Jesteście gówniarzami i chłystkami, co wdają się w mętne interesy z takim typem jak Szkapler, który ma zapapraną hipotekę na policji...

Jacek chrząknął nieco zbity z pantaląku i spróbował pojednawczego

tonu:

– Dobra, nie chcemy pójść na udry! Oddajcie nam ukradzioną

trumnę, to sobie pójdziemy i nikomu nic nie powiemy...

– Oddamy, jak ten skubaniec Szkapler zapłaci to, co nam winien i

usunie się z naszego terenu.

– To sprawa między wami a nim – powiedział Jacek. – Jakim

prawem mieszacie nas do tego! Nie macie żadnego prawa!

– Ale mamy to – usłyszałem głos Lolity i poczułem zimny dotyk stali.

Ślicznotka przystawiła mi pistolet do skroni! (gazowy? prawdziwy? Bóg

raczy wiedzieć!) – Słuchajcie no smarkacze! Albo grzecznie odpowiecie

na parę moich pytań, albo wylądujecie z kulką w głowie w tym dole po

szambie, gdzie nikt was nie znajdzie, bo zalejemy go betonem i

postawimy garaż!

Zrobiło nam się cokolwiek nieswojo. To stuknięta babka, zgrywać się

na bohaterów nie mieliśmy ochoty.

– Nie mamy nic do ukrycia – mruknął Jacek. – Niech pani schowa tę

zabawkę i przestanie nas straszyć, to będziemy mówić.

– Nareszcie powiedziałaś coś rozsądnego. – Upadła Anielica

schowała pistolet za zdobny pas dzinsów. – Może więc dalej będziesz

roztroprym chłopcem i powiesz nam, co to za numer wykręciliście z tą

trumną?

– Numer? Jaki numer?!

– Taki, że towar z trumny zniknął, a wyskoczył z niej jakiś

zamaskowany osobnik! – wycedziła ze źle skrywaną złością. Chyba była

wściekła,

że

nie

wytrzymała

konfrontacji

z

owym

"parapsychologicznym "

zjawiskiem

i

że

widzieliśmy

ją

w

kompromitującej sytuacji. – Kto to był?! – podniosła głos o oktawę.

– Naprawdę my... my nic... sami nie rozumiemy... – bąknął Jacek.

– To miał być żart? Szczeniacki wyglup?

– W żadnym wypadku.

– Kogo wieźliście w trumnie?

– Jak Boga kocham, nie wieźliśmy nikogo!

– Więc skąd tam się wziął?

– Sam chciałbym wiedzieć. – Jacek wzruszył ramionami.

– Duchy latają, jak chcą – oświadczyłem z przekonaniem.

– I nawiedzają, kogo chcą – dodał Jacek.

*– W każdym razie nie mamy z tym nic wspólnego – zapewniłem
skwapliwie.*

*– To sfera parapsychologii, a może transcendencji – wyjaśnił
mądralistycznie Jacek. – Nie jesteśmy w tym mocni, ale coś pani
powiem: gdybyśmy wiedzieli, że mamy w trumnie straszidło, tobyśmy
zrobili z nim płatne seanse spirytystyczne i pokazywali je za biletami.
Pani wie, jacy są ludzie. Jedni wolą być rozśmieszani, a drudzy wolą
być straszeni. Zgarnęlibyśmy kupę forsy. Horrorzy dobrze się sprzedają.
A pani co woli?*

*– O, pardon, mes dindons! Dosyć tego! – przerwał Kapeć. – Czy nie
widzisz, Lolu, że szczył wciska ci głupie kity? To wycwanieni gówniarze
od tego kanciarza Artura Saledy, a już nam wiadomo o powiązaniach
Saledy ze Szkaplerem. Prawda, chłopcy, korzystnie i miło się
współpracuje z panem Szkaplerem. Raz on was trochę oszwabi, raz wy
jego i interes kwitnie...*

*– Co pan?! – oburzył się Jacek. – Pierwszy raz w ogóle widzieliśmy
człowieka...*

*– Trele morele – zakpił Kapeć. – Cornichons pour cochons, nous
voulons etre bouffons! Ale dosyć tych pogaduszek! Zostawmy duchy i
Szkaplera, a wróćmy do naszego towaru! Revenons ~a nos mutons, jak
mówią żabojady! Gdzie ten towar, spryciarze?! I od razu, chłopaki, dam
wam praktyczną radę prosto z kicia. Iść w zaparte warto tylko wtedy,
kiedy wam nie przedstawię naocznego świadka. Otóż tak się dla was*

nieszczęśliwie złożyło, że mamy takiego świadka. – To mówiąc obrócił się do Upadłej Anielicy – powiedz im, co widziałaś, Lolu.

– To było w Radomiu dziś rano, od jakiegoś czasu mieliśmy was na oku – odparła Lolita. – Stałam koło was przy kiosku i udawałam, że poprawiam sobie twarz i wtedy zobaczyłam w lusterku, że sprawdzacie towar, który Szkapler włożył do trumny. Nie potrafiłam policzyć dokładnie, ale było tam co najmniej dwadzieścia słoików i kilka puszek...

– No właśnie już prawie wszystko jasne – uśmiechnął się Kapeć – dyskretnie przeprowadzona wielomiliardowa transakcja, bo tak naprawdę to wcale nie chodziło o trumnę, prawda? Wy przekazaliście Szkaplerowi drogocenną przesyłkę od Artura Saledy w pudełku z etykietą Johnny Walkera, a Szkapler przekazał wam te słoiczki i puszki.

Pytam po raz ostatni grzecznie, gdzie one są?

– A my grzecznie odpowiadamy panu: naprawdę nie mamy pojęcia.

– Westchnęliśmy ostentacyjnie.

– Skończ z nimi! – zniecierpliwiła się Anielica.

– Bon, mes dindons – rzekł do nas Kapeć. – Strugacie głupków to teraz porozmawia z wami Dzidzio. Zaraz wam tu zrobi płukanie główek przez uszy i nosy, a przy okazji nie zawadzi zaaplikować wam parę biczów szkockich. To wam przywróci pamięć! Dawać tu Dzidzia z sikawką!

Spojrzeliśmy po sobie.

– Powiedz im, Jacek o tych słoikach – powiedziałem głośno. – Jeśli to

tacy amatorzy flaków z powidłami, to proszę bardzo, niech się

dowiedzą. Co nam szkodzi?

*– Pewnie – powiedział Jacek. – Co nam szkodzi? My naprawdę nie
wiedzieliśmy, gdzie są te słoiki – zwrócił się do Kapcia i Lolity – ale
mamy pewne podejrzenia...*

*– Jakie podejrzenia – zapytał nieufnie Kapeć marszcząc diaboliczne
brwi.*

*– Rzecz w tym – odchrząknął Jacek – że... że mieliśmy w wozie trzy
podobne "palisandrowe" trumny – zetnął gładko – i przyszło mi do
głowy, że te wiktuały mogą być w innej trumnie... to znaczy w jednej z
tych trumien, które sprzedaliśmy panu Besztajowi.*

Gangsterzy umilkli zaskoczeni.

– Łże! – stwierdziła po chwili Lolita.

– Łatwo sprawdzić – mruknął Kapeć – zaraz odwiedzimy Besztaja.

*– Sprawdźcie – wzruszył ramionami Jacek. – Przekonacie się, że
mówię prawdę.*

*– Jeśli tak, to może powiesz także, co naprawdę stało się z drugim
pudełkiem po Johnny Walkerze? – zapytała Lolita.*

– Chyba włożyliśmy je do tej samej trumny – mruknął Jacek.

Lolita obróciła się do Kapcia.

*– Pojedziesz ze mną do Besztaja – rzekła podniecona. – Weźmiemy z
sobą Ksawera i Januszka, a ty Robert – zwróciła się do Pryszczu i ty,*

Dzidziu – kiwnęła na Boksera – zajmiecie się tymi smarkaczami.

Wiecie, co macie robić? Wszystko zgodnie z instrukcją!

– Tak jest – Bokser spojrział na nas ciężkim wzrokiem tak, że dreszcz nas przeszedł, a grube usta wykrzywił mu okrutny uśmiezek.

`pa

Rozdział X

Wysoko uwięzieni. Ratunek nadchodzi z niespodziewanej strony.

Jak zejść bez schodów, czyli lęk wysokości. Nasza dzielna alpinistka w akcji. Poznajemy historię nieszczęsnej ofiary Belfegora. Azyl dla Jagi.

Uściski i pierwszy pocałunek.

Z ciężkiego snu wyrwała mnie natrętna mucha, która uwzięła się na mój rozbity nos i z upodobaniem uczyniła go terenem swoich spacerów.

Chciałem ją przepędzić, lecz znajdowałem się wciąż na granicy świadomości i walnąłem się w ten kontuzjowany organ. Zawylem z bólu i to mnie przebudziło ostatecznie. Otworzyłem oczy i rozglądałem się zdumiony. Leżałem w półmroku na słomianej macie, obok mnie nieruchomy i cichy jak trup kimał Jacek. Lokum było mówiąc delikatnie nieprzytulne; surowe ściany z pustaków, zabity deskami otwór, który pewnie miał być oknem. Przez szparę wpadała wiązka promieni słonecznych, ostra jak laser. Co ja tu robię?! Gdzie jestem, u licha? Czy to wieczór czy poranek?

Zerwałem się i upadłem z powrotem na matę, bo nogi miałem jak z waty. A w ogóle czułem się sponiewierany i obolały, łupało mnie w głowie i trząsłem się z zimna. Gdzieś wyparowała cała moja energia. Ale chyba wszystkie kości miałem na miejscu, bo gdy ostrożnie podjąłem na nowo próbę wstania, udało mi się jakoś utrzymać na nogach, a nawet

podejść do drzwi. Myślałem, że otworzą się łatwo, ale one ani drgnęły. Były zamknięte na zasuwę od zewnątrz. Powoli przypomniałem sobie straszne wydarzenia ostatnich godzin... Na przedramieniu zauważyłem ślad po ułtuciu. Zrozumiałem. Dranie wstrzyknęli nam narkotyk i nieprzytomnych umieścili tutaj. To jakaś wstrzymana budowa. Sądząc po widoku, jaki ujrzałem przez szparę między deskami, uwięziono nas na wysokim szóstym, a może siódmym piętrze nie wykończonego wieżowca w jakimś odludnym, opustoszałym miejscu. Wszystko wskazywało na to, że roboty budowlane zostały tu przerwane. Izbą, gdzie nas osadzono, a która niegdyś służyła zapewne robotnikom za podręczną pakamerę, zdążyły już zawładnąć gołębie. Właśnie pod sufitem na moment ukazał się jeden z nich i cofnął zaniepokojony. Zobaczyłem, że był tam mały otwór w ścianie, może do szybu wentylacyjnego, ale niestety o wiele za mały, byśmy mogli wydostać się przez niego.

Co robić? Zacząłem szarpać śpiącego wciąż Jacka.

– Wstawaj! Zobacz, gdzie jesteśmy! Musimy coś szybko wymyśleć, bo inaczej...

Nagle urwałem, bo za drzwiami usłyszałem wyraźny szmer.

Zgrzytnęła zasuwka. Ktoś odsuwał ją pomału. Zdrętwiałem na moment.

To oni! Ludzie gangu! Przyszli po nas. Co nas czeka? Z pewnością nic dobrego.

Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym skrzypieniem, a ja osłupiałem z wrażenia. Co za miła niespodzianka! Zamiast mordy Boksera czy

zdeformowanej facjaty Kaczynosa do izby wsunęła się ostrożnie...

główka dziewczęca. Nasze spojrzenia na moment spotkały się. Co za śliczna buzia! Krótkie welniste włosy koloru hebanu, bardzo duże szare oczy, jakby stale zdziwione, kształtny nosek i ładne usta jak czerwone serduszko. Uśmiechnęła się do mnie, podeszła bliżej i pokręciła głową.

– Jak ty wyglądasz?! Co oni z tobą zrobili! – wyciągnęła z dzinsowej niebieskiej kurtki flakonik wody kolońskiej, a z kieszeni farmerek – papierową chusteczkę i opatrzyła moją pokiereszowaną twarz dość bezceremonialnie i, przykro powiedzieć, mało delikatnie, ale zacisnąłem zęby i nawet nie jęknąłem.

– Teraz jesteś bardziej podobny do człowieka – oznajmiła zadowolona ze swego dzieła. – Możesz wstać?

Nie zważając na ból zademonstrowałem pełną sprawność fizyczną.

– A ty? – zwróciła się do Jacka.

Biedak wymamrotał coś pod nosem. Wciąż nie bardzo wiedział, co się z nim dzieje. Dopiero opatrunek zaaplikowany energiczną rączką naszej samarytanki przywrócił mu pełną świadomość. Z jękiem podniósł się z maty i próbował chodzić, ale poszło mu znacznie gorzej niż mnie. Okazało się, że poza guzami i stłuczeniami pozostała mu po niedawnych wydarzeniach przykra pamiątka w postaci kontuzji stawu skokowego. Widać było, że każdy krok to dla niego męczarnia...

Dziewczyna przyglądała mu się z troską.

– Nieźle cię urządzili – powiedziała – ale musisz się jakoś pozbierać, zanim zjawią się tu ludzie gangu... Przyjdzie po was ten goryl, którego

nazywają Dwidziem i Robert, no wiecie, ten z ohydnyimi pryszczami.

– Znasz ich?! – wytrzeszczyłem oczy zdumiony.

– Zdążyłam poznać na tyle dobrze, by się domyślić, co was czeka z ich strony. Nie chciałabym być w waszej skórze. Musicie się stąd wyrwać czym prędzej! Zaraz, który z was jest Jacek, a który Witek?

Ja i Jacek spojrzeliśmy zaskoczeni po sobie.

– Skąd, u diabła, wiesz jak nam na imię? – wymamrotałem.

– Potem sobie wszystko wyjaśnimy – odparła – teraz nie ma czasu na pogaduszki, wychodzimy! Tylko ostrożnie! Brakuje schodów. I żadnych pytań, dobrze? Lepiej patrzcie pod nogi!

Rzeczywiście, za drzwiami w miejscu klatki schodowej i windy otwierała się przed nami wielopiętrowa przepaść.

– Jak nas tu przetransportowali? – zdumiałem się.

– Zewnętrzną roboczą windą. Niestety nie możemy na nią liczyć. Ci zbóje unieruchomili ją – powiedziała nasza urocza wybawicielka.

– To jak ty się tu dostałaś?

– Po drabinach.

– Po jakich drabinach? Nie widzę żadnej.

– Bo kończą się piętro niżej.

– No to jak sobie poradziłaś?

– Wdrapałam się po filarze.

Spojrzeliśmy na nią z niedowierzaniem.

– Ty?! Potrafiłaś?

– Wy byście też potrafili. To łatwiejsze niż udawanie kupców i

nabijanie ludzi w butelkę.

– Co?! Co powiedziałaś? – oblałem się rumieńcem.

– To co słyszałeś. Nie udawajcie pokrzywdzonych nieboraczków.

Sami wpakowaliście się w kabałę! Te pokątne, podejrzane interesy...

– My? Pokątne interesy?!

– Nie warto się wypierać – przerwała mi – nie chcę was sypać ani

sądzić. Nie zależy mi, żeby was przyskrzynili, nie jestem z policji, ale

sami wiecie, jak było... Mój tata powiedziałby, że pracujecie w szarej

strefie. Te afery z kosmetykami, te kombinacje z bielizną

nieszczęśliwych starców.

– Skąd wiesz, u diabła?!

– Jechaliśmy razem ładny kawałek drogi. Nasłuchałam się – odparła

z uśmiechem.

– Co ty wygadujesz?! Nie przypominam sobie, żebyśmy...

– Przepraszam, ja też mam coś na sumieniu. Byłam pasażerem na

gapę, ale chyba nie zrobiłam kłopotu, bo nie zajęłam ani trochę więcej

miejsca, niż było zajęte przez trumny...

– O, kurza twarz! – jęknął Jacek wpatrując się w wyraźnie

rozbawione dziewczę. – Wszystko rozumiem! To... to ty byłaś w

trumnie!

– Jesteś bardzo domyślny.

– Byłaś w trumnie – powtórzył bełkotliwie Jacek – ale... ale

dlaczego? Co ci wpadło do głowy?! Kim ty właściwie jesteś?

– Za dużo pytań, a my nie mamy czasu. Na razie niech wam

wystarczy, że mam na imię... – zawahała się na moment – mam na imię

Jaga.

– Jaga?

– Dokładnie tak jak czarownica! A teraz parę ćwiczeń dla rozruszania kości. Najpierw zjedziemy po tym filarze w dół.

– My?

– A jak sobie wyobrażacie? Straż pożarna ani ratunkowy helikopter stąd was nie zdejmie, nie mamy telefonu, a zresztą to byłby wstyd... tacy dzielni chłopcy, a tu wszystkiego trzy metry do drabin. Co to dla was, zuchy! – Tak nabijając się z nas trochę, zsunęła się lekko piętro niżej. – No dalej, na co czekacie? – popędzała z dołu.

– Ty pierwszy – mruknął Jacek. – Wiesz, ta moja noga...

Objąłem nerwowo gruby filar jak wystraszone dziecko ojca i zjechałem dość sprawnie. Potem pomogłem zsunąć się Jackowi tak, by nie uraził zbytnio kontuzjowanej nogi.

Od szóstego piętra faktycznie wiodły w dół drabiny, co nie znaczy, że poczuliśmy się od razu bezpiecznie. Przeciwnie, dopiero teraz zaczęły się prawdziwe emocje, bo stropy między piętrami częściowo się zawaliły, a ich żalosne relikty robiły wrażenie, jakby trzymały się wyłącznie na łasce Pana Boga. Chyba miała tu miejsce katastrofa budowlana.

Wszystkie nosiły ślady obrywu i świeciły olbrzymimi dziurami, przez które przepuszczono drabiny. Opierały się one na resztkach sklepienia i nie wiadomo było, czy wytrzymają nasz ciężar.

Pomału, uważając, by na drabinie znajdowała się tylko jedna osoba,

jakoś pomyślnie przeszliśmy. Nowy kłopot zaczął się na trzecim piętrze.

Tu drabiny się skończyły, ale poradziliśmy sobie w ten sposób, że zdjęliśmy tę, po której zeszliśmy z piętra czwartego i spuściliśmy ją piętro niżej. Gdy znaleźliśmy się szczęśliwie na drugim piętrze, próbowaliśmy powtórzyć tę operację i spuścić drabinę na strop pierwszego piętra.

– Tylko teraz naprawdę bardzo pomału i ostrożnie – uprzedziła Jaga

– to sklepienie wygląda wyjątkowo paskudnie!

– Oczywiście, że ostrożnie! – zapewniliśmy.

Niestety stała się rzecz przykra i w pełni potwierdzająca opinię o

fatalnej jakości prowadzonych tu prac budowlanych. Daję słowo, że

potraktowaliśmy ten cholerny strop tak delikatnie, jakby był z

choinkowego szkła, mimo to, ledwie dotknęła go drabina, od razu się

rozleciał i runął prawie cały w dół, wraz z tą nieszczęsną drabiną.

Podniósł się tuman pyłu, a kiedy opadł, zobaczyliśmy pod sobą w

dole kupę gruzu i sterczące z niego pogruchotane szczeble.

– No i coście zrobili! – zganiała nas Jaga. – Mówiłam, żeby

ostrożnie...

– My naprawdę ostrożnie... – wymamlałem płaczliwie, czując się

skompromitowany wobec Jagi ostatecznie.

– Ten strop to... to jakiś bubel budowlany – jęknął Jacek.

– Uprzedzałam – westchnęła Jaga – ale to jeszcze nie tragedia –

dodała widząc nasze zdesperowane miny. – To nawet lepiej, że strop

poleciał teraz, gorzej byłoby, gdyby zawalił się, jak byśmy już byli na

drabinie – pocieszyła nas. – Zaraz zdemontuję następną. Zostało ich jeszcze parę na górze.

– Na czwartym piętrze – zauważyłem markotnie. – Jak się tam dostaniesz?

– Sposobem alpinistycznym – odrzekła.

– Nie żartuj, trzeba by chyba być ptakiem albo... muchą! – mruknął Jacek.

– Nie przesadzaj – powiedziała.

Przez chwilę uważnie oglądała ścianę, a potem ku naszemu zdziwieniu rzeczywiście zaczęła wspinać się po niej zupełnie jak prawdziwa himalaistka. Doskoczyliśmy do muru i śledziliśmy jej poczynania z zapartym tchem, gotowi łapać ją, gdy odpadnie; to były denerwujące minuty, ale również pogładowa lekcja alpinizmu. To, co wydawało się niemożliwe, okazywało się jednak możliwe i wykonalne.

Długo ważyła każdy krok i każdy uchwyt ręki. Wykorzystując małe nierówności muru i drobne występy zastygłej cementowej zaprawy pięła się żmudnie coraz wyżej... Raz po raz wydawało się, że już odpadnie, i drętwieliśmy z niedobrej emocji, ale Jaga wychodziła zwycięsko z tych zapasów z pionową ścianą. Wreszcie z westchnieniem ulgi zobaczyłem, że dotarła do trzeciego piętra i już łatwo wciągnęła się na rękach na wierzch stropu.

Potem z tą samą zręcznością pokonała jeszcze jedno piętro i znalazła się na czwartym.

Teraz pozostało już tylko mocowanie się z ciężką drabiną i

spuszczanie jej z piętra na piętro. Jak na małą dziewczynkę spisała się fenomenalnie, ale też nie była to krucha dziewczyna. Miała klasę i kondycję! Po paru minutach drabina znalazła się na drugim piętrze i wkrótce wszyscy troje stanęliśmy pewną stopą na ziemi.

Wciąż byłem jak w gorączce, przyjemnie podminowany. Popadłem w stan niezwykle euforii, nie odczuwałem zmęczenia. Dziwiła mnie cudowna intensywność uczuć, które mnie rozpierały. I dobrze zdawałem sobie sprawę, że to nie tyle z powodu wywinięcia się z opresji, ile z powodu Jagi. Chciałem wyrazić całą moją wdzięczność, mój podziw i oczarowanie i... i to najważniejsze, to nowe nie znane uczucie, które mnie ogarnęło, ale zakneblowało mnie dziwne onieśmienie, którego nigdy przedtem nie doświadczyłem... bałem się, że nie znajdę odpowiedniego słowa i palnę coś głupiego, coś banalnego, coś co popsuje wszystko...

Stałem więc jak osioł ze spuszczoną głową i uśmiechałem się niemądrze... Na szczęście Jacek nie miał żadnych zahamowań.

– Dobra byłaś, siostrzyczko, naprawdę dobra! – rzekł z niekłamanym uznaniem. – Masz u nas zakarbowany dług wdzięczności. Obyśmy mogli go jak najprędzej spłacić, ale wciąż nie wiem, komu zawdzięczamy ocalenie, z kim mieliśmy przyjemność i szczęście... Może wreszcie powiesz nam tajemniczą istotę, skąd wzięłaś się w naszym wozie i wyjaśnisz te całe hece z trumną.

– Wszystko wyjaśnię wam po drodze, ale teraz szybko do wozu, chłopaki! I jeśli coś możecie dla mnie zrobić, to proszę, odwiedźcie mnie na

dworzec kolejowy. Muszę zniknąć z tego miasta jak najprędzej.

– Jak sobie życzysz, o ile mamy jeszcze samochód, ale najpierw na policję...

– Co?! – przestraszyła się.

– Muszą przymknąć tych bandziorów. Będziesz świadkiem.

– Na policję to beze mnie – wysapała zdenerwowana.

– Boisz się policji.

– Tak, boję, zaraz zrozumiesz dlaczego... ale teraz prędko do samochodu! W każdej chwili mogą się zjawić ludzie z gangu!

Samochód, o dziwo, znaleźliśmy nienaruszony, w tym samym miejscu, gdzie go zostawiliśmy.

– Teraz mów! – poprosił Jacek, gdy usadowiliśmy się w wozie.

– To właściwie smutna historia, choć komuś może wydać się śmieszna – zaczęła Jaga. – Zależy jak na to spojrzeć. Sami ocenicie, ale najpierw musicie mi przysiąc, że nie zdradzicie mnie, zatrzymacie przy sobie wszystko, co tu usłyszycie i nikomu nie piśniecie ani słowa!

– Masz nasze słowo – powiedział Jacek. – Wal śmiało!

– Naprawdę nie wypalacie?

– Naprawdę. Tyle dla nas zrobiłaś, jak moglibyśmy cię zdradzić! Ale po co ta cała tajemnica?

– Zaraz wszystko zrozumiecie. Jestem zbiegiem.

Na moment nas zatkało, a Jacek aż przyhamował z wrażenia.

– Uciekłaś z więzienia? Byłaś złodziejką? – oczy mu się zaświeciły z podniecenia.

- Też masz pomysły! – Jaga spojrzała na niego urażona.*
- Już wiem – wtrąciłem się. – Uciekłaś z cyrku!*
- Z cyrku?! – roześmiała się. – Właściwie można by tak to określić, ale to specjalny cyrk. Robi się tam popisy nie tyle dla oczu, ile dla uszu...*
- Zaraz... nie chcesz chyba powiedzieć...*
- Owszem – przerwała mi – urwałam się z orkiestry. Może słyszeliście o Mazowieckiej Kapeli Rodzinnej...*
- Kleofas Gędziol i jego orkiestra? – wymamrotałem zaskoczony... – Oczywiście! Spotkaliśmy się rano... Więc ty jesteś tą zaginioną Agnieszką, której szukali na parkingu! Mój Boże! Ale im napędziłaś strachu!*
- Wiesz, że wyznaczyli nagrodę za jakąkolwiek wiadomość o tobie – Jacek oblizał wargi.*
- Chcesz mnie wydać? – Jaga zmarszczyła brwi.*
- Co ty! – uśmiechnął się Jacek – to już lepiej udać, że zostałaś porwana. Byłaby heca i reklama dla waszej orkiestry, wszystkie gazety by pisały i w telewizji pokazałoby twoją buzię.*
- Nie radzę – mruknęła Jaga. – Kleofas Gędziol nie zna się na żartach, to fafuła, ględa, zrzęda, zakuty łeb – sypała epitetami.*
- Jak ty się wyrażasz o własnym ojcu! – Jacek skrzywił się z niesmakiem.*
- Ten gruby Marchońt nie jest moim ojcem.*
- Jak to... przecież mówił...*
- Wiem, on tak mówi, ale to łgarstwo! Nie mam nic wspólnego z*

Gędziolami, ani jednego genu, jeśli wiecie, co to są geny.

– Tak, oczywiście – chrząknął Jacek – jesteś fizycznie mało podobna, ale mimo to nie wierzę...

– Ja też nie wierzyłam, choć Cyganka już dawno mi powiedziała: "ty ojca nie masz ani matki". Ale ta myśl nie dawała mi spokoju. Bo czemu tak bardzo różnię się od reszty rodziny. I nagle zrozumiałam!

– Co rozumiałaś?

– Tylko nie rozpowiadajcie... pamiętajcie, coście obiecali.

– No, mów, do licha!

– Jestem podrzutkiem.

Wytrzeszczyliśmy oczy, a ona ciągnęła dalej:

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości. A najlepszy dowód, że czuję wstręt do orkiestry, do wszystkich instrumentów, a najbardziej do fagotu. Wszyscy prawdziwi Gędziolowie duzi i mali, starzy i młodzi mają bzika na punkcie muzyki, a ja przeciwnie... nienawidzę jej!

– Czy to możliwe?! Pierwszy raz słyszę – zdumiał się Jacek. –

Muzyka to taka obłędna, boska rzecz! Naprawdę nie czujesz tego...

– Nie. To pewnie rodzaj kalectwa. No cóż, nie zaprzeczam, jestem kaleką.

– Nie mów tak! – wtrąciłem się gwałtownie. – To nie jest żadne

kalectwo – wysapałem, jakbym chciał usprawiedliwić Jagę przed

Jackiem. – To jest uraz psy... psyko...

– Psychologiczny? – Jacek skrzywił się szyderczo.

– Właśnie. Tak chciałem powiedzieć: uraz psychiczny –

powtórzyłem. – Uraz z tego powodu, że zmuszali ją do grania od dzieciństwa, chociaż nie chciała, bo co innego ją bawiło i do czego innego miała genialną smykałkę. Gdyby ci co dzień po dziesięć godzin kazali się napychać tortem, choćby najsmakowitszym, to byś też znienawidził na całe życie tort!

Jaga rzuciła mi wdzięczne spojrzenie.

– Tak właśnie chyba było, jak mówi Witek – powiedziała. – On jeden mnie zrozumiał i chyba jeszcze moja mama, to znaczy przyszywana mama – poprawiła się. – Pozwoliła mi zapisać się na kurs urządzany przez Klub Wysokogórski. Przez całe wakacje w zeszłym roku uczyłam się wdrapywać na skałki pod Krakowem. A w zimie ćwiczyłam trochę w sekcji akrobatyki sportowej "Skry", ale jak Gędziol zobaczył, że w tym zasmakowałam, cofnął mi pozwolenie. Już wtedy postanowiłam, że ucieknę, ale raczej nie miałam dobrej okazji, a jak miałam, to tchórzyłam. Dopiero dzisiaj rano... tam na parkingu, kiedy grubasowi wpadło do głowy, żeby urządzić próbę! Pomyślałam, że tego już za wiele! I korzystając z rozgardiaszu przed próbą dałam dyla do lasu. Chciałam zmylić tropy, wynurzyć się z lasu pół kilometra dalej i łapać okazję na szosie, ale stary Gędziol szybko się zorientował, że mnie nie ma i zaczęli mnie szukać. Przestraszyłam się, wdrapałam na drzewo i ukryłam za gęstym listowiem. Nie zauważyli, pobiegli dalej. Zeskoczyłam i przez jakiś czas błąkałam się po lesie, aż nagle zobaczyłam... was! Wyszliście z samochodu zaparkowanego w zaroślach i ruszyliście w stronę szosy. Podeszłam ostrożnie bliżej,

zobaczyłam, że w wozie są trumny i od razu przyszło mi do głowy, żeby się ukryć w jednej z nich. Z początku chciałam schować się w tej mniejszej, z aniołkami, ale było za ciasno, pomyślałam, że nogi mogą mi ścierpnąć, a ja strasznie nie lubię, jak mi nogi cierpną, więc otworzyłam większą trumnę, tę z orłami, ale był mały kłopot, bo znajdowały się w niej jakieś słoiki i puszki...

– I co z nimi zrobiłaś? – zapytałem niecierpliwie.

– Czy to ważne?

– To rzeczy klienta. Musimy dostarczyć je do Jędrzejowa. Zapłacił nam...

– To nie wszystko – przerwał Jacek. – Mam pewne podejrzenia, że to nie są zwyczajne słoiki... Obawiam się, że nie zbadaliśmy zbyt dokładnie ich zawartości.

– Przykro mi... – Jaga chrząknęła zakłopotana. – Potrzebowałam więcej miejsca i wywalilałam je.

– Gdzie wywalilaś? – jęknął Jacek.

– Co się tak przestraszyłeś?

– Bo to nie były zwyczajne słoiki... Obawiam się, że nie zbadaliśmy wystarczająco dokładnie ich prawdziwej zawartości. Tu mogą w grę wchodzić miliardy... a ty... no, muszę ci powiedzieć, że jak na pasażera na gapę zachowałaś się zbyt śmiało! Mów, gdzie je wyrzuciłaś? W krzaki?!

– No, nie. Z początku miałam nawet taki zamiar, ale pomyślałam sobie, że szkoda i przelożyłam je do tej mniejszej trumny...

- Tej białej z aniołkami? – odetchnął Jacek a ja wraz z nim.*
- Dokładnie – odparła Jaga. – No i jakoś w miarę wygodnie i szczęśliwie dotarłam do Kielc... Tam, jak bandyci chcieli otworzyć trumnę, strasznie się przelękałam i postanowiłam udać ducha. Naciągnęłam na siebie jakąś powłóczystą tkaninę, którą od wewnątrz była wyścielona ta elegancka trumna no i wyskoczyłam...*
- Gdzie się schowałaś. Oni mówią, że rozpułyłaś się w powietrzu.*
- Akurat przejeżdżała wielka koparka, więc zrzuciłam tę białą szatę, dopadłam do koparki... dałam susa i... schowałam się w łyżce.*
- W łyżce?*
- Tak. Przycupnęłam w dużej zębatej łyżce koparki, no w takiej szuflki do wybierania ziemi...*
- A potem?*
- Potem obserwowałam ruchy tych z gangu pod... pod osłoną ciemności. Mówili o pobliskim nie wykończonym i opuszczonym wieżowcu... chcieli was tam umieścić... Tylko jeden był taki w najbliższej okolicy, więc łatwo mi było was znaleźć. No, już wam wszystko opowiedziałam, a teraz odwieźcie mnie na dworzec!*
- Przepraszam cię – warknął Jacek – ale najpierw pojedziemy po benzynę. A ty lepiej moja panno, zastanów się nad tą swoją eskapadą... czy nie robisz dużego głupstwa.*
- Obiecałaś – przypomniała ostro Jaga.*
- Tak, wiem, do jasnej nędzy – zdenerwował się Jacek – proszę cię tylko, żebyś się zastanowiła jeszcze przez pół godzinki.*

– Zastanawiałam się przez dwa lata. Chyba wystarczy!

Przy rondzie była kolejka do benzyny. Jacek wyskoczył kupić oleju silnikowego na dolewkę, a mnie kazał przetrzeć szyby wozu.

– Czy musisz to robić swoim starym? – zapytałam Jagę, która korzystając z postoju rozczesywała włosy wpatrzona w lusterko samochodowe.

– Belfegor nie zostawił mi wyboru. Powinien zrozumieć, że nie jestem już dzieckiem i mam prawo iść własną drogą i sama układać sobie życie! Czy muszę gnić w tej bankrutującej orkiestrze i za psie pieniądze dawać koncerty, których nikt już nie chce słuchać. Cały rok na cygańskiej trasie... w różnych podrzędnych hotelikach, w zapyziałych miasteczkach! Co za przyszłość mnie tu czeka? Zrywam z nimi... Nigdy więcej z Belfegorem!

– Naprawdę nie żal ci?

– Żal? To fanatyk, żyła bez serca! Nie dam się dłużej wyzyskiwać dla nasycenia jego chorobliwych ambicji... Wielki mi artysta z Bożej łaski!

– Czy nie przesadzasz trochę – wtrąciłem nieśmiało. – Chyba nie jesteś sprawiedliwa. Rozmawialiśmy z nim. Wydał się sympatyczny, to biedny zaafierowany człowiek. Odniosłem wrażenie, że autentycznie martwi się o ciebie, był wstrząśnięty twoim zaginięciem. On cię kocha.

– Akurat! Martwi się, bo mu zabraknie taniej fagocistki, której nic nie płacił. Ja, moje pragnienia, moje ambicje nic go nie obchodzą.

– Na pewno nie jest tak... Pogadaj z nim, spróbuj mu to jakoś wytłumaczyć!

– Jemu nie można nic wytłumaczyć. Myślisz, że nie próbowałam?

– Ale teraz to się zmieni – usłyszeliśmy głos Jacka. Właśnie wrócił z puszką oleju.

– Nic się nie zmieni – mruknęła ponuro Jaga.

– Zmieni, bo napędziłaś im strachu. Na pewno zrozumieli, że trzymać cię siłą w orkiestrze nie ma sensu i żalują. Łącznie z Belfegorem.

Przekonasz się. Wsiadaj. Zawiozę cię do "Bristolu".

– Co?! Co takiego?! – Jaga cofnęła się odruchowo.

– Przyjmą cię z otwartymi ramionami, zobaczysz! Wskakuj!

– Ani mi się śni! Jak śmiesz mi proponować coś takiego.

– Dobrze ci radzę, posłuchaj rady kumpla. To będzie najlepsze rozwiązanie, moja mała.

– Nie jestem "twoją małą", a ty nie jesteś moim kumplem – odpaliła ostro wzburzona Jaga. – Jesteś zdrajcą i oszustem. Chcesz mnie sprzedać Gędziolowi! Wiedziałam od początku...

– Ja ciebie sprzedać?! Ależ Jaga... Nie chcesz, to nie! Zawiozę cię, gdzie będziesz chciała. Wpadniemy tylko na parę minut do Besztaja.

Wsiadaj, siostrze!

– Nie wierzę ci – Jaga cofała się coraz bardziej wystraszona. –

Chcesz mnie zawieźć do Belfegara, chcesz mnie wydać...

– Co ty sobie wbiłaś do głowy! Uspokój się! Nic ci nie grozi! –

próbowaliśmy ją zatrzymać, ale ona rzuciła się do ucieczki.

– Jaga, zaczekaj... stój! dokąd pędzisz?! – pognaliśmy obaj za nią, ale była w biegach niemal tak dobra jak we wspinaczce.

Tymczasem za nami rozległy się kakofoniczne dźwięki klaksonów. To kierowcy z ogonku po benzynie trąbili zniecierpliwieni, żebyśmy posunęli się wozem. Jacek machnął zrezygnowany ręką i zawrócił. Ja pobiegłem dalej. Zaraz za rondem zaczynał się park. Jaga wpadła do niego i straciłem ją z oczu. Zapędziłem się aż nad staw, ale tam jej nie było, zawróciłem i zadyszany przemierzałem boczne alejki. Jagi ani śladu! W końcu zatrzymałem jednego pędraka na rowerku, co właśnie wyjeżdżał z placyku zabaw dla dzieci i zapytałem go, czy nie widział dużej dziewczynki z czerwoną torbą.

– Na pewno musiałeś ją zauważyć – dodałem. – Duża ładna i czarna.

– Murzynka? – zainteresował się.

– Nie, ale włosy ma jak Murzynka.

– Widziałem – odparł bez wahania – wszyscy widzieli. Ona schowała się w brzuchu konia.

– Co ty bredzisz? Jakiego konia?

– Tam na placyku stoi śmiejący się koń – wytłumaczył – duży drewniany koń z pustym brzuchem. Po małej drabince można wejść i schować się w tym brzuchu. To duży brzuch, pięcioro dzieci tam się zmieści.

Pobiegłem. Trafić nie było trudno, wystarczyło posłuchać, skąd dobiegają głosy rozbawionych dzieci. Plac zabaw był dobrze wyposażony w różne atrakcje – huśtawki, drabinki, zjeżdżalnie – ale największym powodzeniem cieszył się z pewnością ów trojański koń, z pękatym brzuchem i drabinką, koń, na którego nie tylko można się było

wspinać, ale w którym można się było kryć. Jednak w tej chwili to nie on skupiał uwagę mikrusów, ale... Jaga, czemu się zresztą nie dziwiłem. Musiała widać uznać, że niebezpieczeństwo minęło, bo opuściła kryjówkę. Oczywiście nie mogła się oprzeć pokusie i zafundowała sobie małą serię akrobatycznych popisów na drążku. "Jest jeszcze bardzo dziecinna" – pomyślałem z jakimś głupim rozrzewnieniem, a potem pomyślałem, że to jest naturalne pragnienie ruchu, odprężenia i rozładowania emocji po tych wszystkich przejściach, po tylu godzinach spędzonych w trumnie i po karkołomnych wyczynach w wieżowcu. To były niesamowite ewolucje! Mogłoby się zdawać, że mamy do czynienia z "gumową" postacią z filmowych kreskówek, a nie z żywą dziewczyną. Zafascynowana dzieciarnia, porzuciła huśtawki i zabawy i przyglądała się tym popisom z zapartym tchem. Raz po raz zrywały się oklaski i okrzyki: "Jeszcze! jeszcze, pokaż, jak to robisz!"

Ja też przyłączyłem się do tych braw i krzyknąłem:

– Tip top, Jaga!

Na mój widok zakręciła zawrotnego młyńca, puściła drążek i parabolicznym lotem poszybowała nad głowami dzieciarni, aby w ułamek sekundy później wylądować na grzbiecie konia.

Rzuciłem się do niej, lecz była ode mnie szybsza i jednym susem znalazła się za gęstym żywopłotem na asfaltowej alei. Tam ją dopadłem. Ten ostatni skok, choć technicznie bez zarzutu był jednak pechowy, bo spadła prosto pod nogi rozpędzonych chłopaków na tyżworolkach. W jednej sekundzie wszyscy leżeli pokotem na ziemi, szczęście, że Jaga

jakby na wierzchu.

Zanim się pozbiali, przedarłem się do niej nie zważając, że ostre gałązki żywopłotu boleśnie drapią mi twarz, i pomogłem jej wstać z pobojuwiska. Była w małym szoku, ale nie odniosła poważniejszej kontuzji, poza stłuczeniem kolana. Utykającą wyprowadziłem szybko z parku, by nie dosięgła jej złość poszkodowanych rolkarzy.

– Dokąd mnie ciagniesz?! – zaniepokoiła się.

– Musimy zmyć się stąd jak najprędzej.

– Tylko nie do wozu! Nie wrócę do Belfegora!

– Oczywiście! O tym nie ma mowy – zapewniłem ją.

– Póki nie skreśli mnie z orkiestry i nie pozwoli na trening w klubie to wykluczone – oznajmiła twardo.

– Tak jest! Koniec z fagotem! Niech maestro żałuje, co stracił. Może wreszcie zrozumie, jaką wyrządził ci krzywdę. Niech to przetrawi z goryczą. Damy mu na to... no, powiedzmy, trzy dni! Niech sobie trochę zszarpie nerwy, niedobre Belfegorzysko!

Słuchała mnie nieco zaskoczona.

– Ty mnie chyba naprawdę rozumiesz – przypatrzyła mi się

uważnie. – O Boże, ty masz podrapaną całą twarz, do krwi!

To ładnie – pomyślałem – późno bo późno, ale w końcu raczyła coś we mnie zauważyć, szkoda, że tylko tyle.

Wyciągnęła z torby chusteczkę i flakonik wody kolońskiej, a następnie dobrała się do mojej żalösnej facjaty i doprowadziła ją, jak to sama określiła, do "ludzkiego wyglądu". A na zakończenie sama

wytarła sobie nos i łzę na policzku.

– Nie przejmuj się – próbowałem ją pocieszyć. – Nie tylko ty masz kłopoty rodzinne.

– Co ty wiesz! – znów osuszyła oko.

– Wiem – przerwałem jej – ja też mam kłopoty z moim starym, tylko... odwrotnie jak u ciebie, to on uciekł od nas.

– Uciekł?! Wasz tata?

– Przez trzy miesiące nie dawał o sobie znaku życia, dopiero niedawno wpadłem na jego ślad. Ale mówmy o twoich problemach.

Jakie masz plany? Co będziesz robić? Gdzie się zaczepisz?

– Mam pół melona, jakoś przetrzymam.

– Pół melona? – zaśmiałem się szyderczo. – A to rzeczywiście kawał fortuny na przetrzymanie starego Belfegara.

– Nie bój się, dam sobie radę – oświadczyła hardo. – Jak mi zabraknie, przystąpię do wędrownej trupy.

– Do trupy? – wytrzeszczyłem oczy – do jakiej trupy, na miłość boską?

– Do trupy linoskoczków. Będę pokazywać sztuki na jarmarkach.

– Coś ci się pokręciło. Pewnie naczytałaś się starych księzek. Gdzie teraz znajdziesz wędrownych linoskoczków?

– Ale Cyganie jeszcze są – odpaliła bez namysłu. – Jestem czarna, przyjmą mnie bez wahania, to dobrzy ludzie. Będę tańczyć, będę wróżyć, będę mieszkać w kolorowym wozie i koczować przy ogniskach.

– Akurat! Oni pobudowali domy i nie koczują.

– To nic, będę myła okna na trzydziestym piętrze w Pekinie, w

Warszawie albo w Marriotcie!

– Nie dadzą ci, jesteś nieletnia.

– To będę żebrać, będę kraść!...

*– Mam lepszy pomysł – powiedziałem poważnie. – Co byś rzekła o
nawiązaniu bliższego kontaktu z naturą, ze zwierzątkami...*

– Co masz na myśli?

– Przyjemny pobyt na wsi.

– Chcesz, żebym... żebym doła krowy?

– Niekoniecznie.

– To co?...

– Jest taka ferma w uroczym zakątku nad rzeką Pilicą. Nazywa się

Duriasz Mały. Prowadzi ją z rodzicami dobra przyjaciółka Jacka. Ma na

imię Marta. Można by cię tam ulokować na jakiś czas. Nikt cię tam nie

odnajdzie. Powiemy, że jesteś po chorobie i lekarz zalecił ci

rekonwalescencję na wsi, na świeżym powietrzu, więc chcesz pobyc

kilka dni w Duriaszu do przyjazdu rodziców, którzy są na tourn~ee

artystycznym.

– A ta Marta, czy ona mnie nie wsypie?

– Wykluczone. To równa dziewczyna.

– I potrafilibyście mi załatwić ten pobyt?

– Mowa!

– Ale co ja właściwie tam będę robić? – zreflektowała się nagle.

– Och, co tylko będziesz chciała. Roboty, jak to w gospodarstwie,

nigdy tam nie brakuje. Ale miałbym dla ciebie coś specjalnego. Przyszło mi na myśl, że mogłabyś zająć się naszymi kurczątkami.

Spojrzała na mnie zdumiona.

– Hodujecie kurczęta? Wy?!

Chrząknąłem.

– Tak się nieszczęśliwie złożyło – wyznałem zakłopotany. – Jest tam tego talatajstwa przeszło tysiąc sztuk. Biega to, piszczy, bez przerwy domaga się żarcia.

– I mogłabym je karmić? – ucieszyła się Jaga.

– A chciałabyś?

– Oczywiście! Uwielbiam pisklątka. Najbardziej takie zupełnie malutkie. Są takie zabawne!

– To dobrze trafisz. Nasze mają dopiero dwa dni. Wyglądają jak...

– Wiem – przerwała – jak puszyste kłębuszki waty, jak żółte pompony! I mówisz, że jest ich tysiąc?

– Dokładnie tysiąc sześćset trzynaście, drugie tyle ma Marta, lecz możliwe, że wylęgły się jeszcze nowe z tych cholernych jaj.

– O jakich jajach mówisz? – wytrzeszczyła oczy.

– Nieważne! Chcę cię tylko uprzedzić. To nie będzie zabawa!

Musiałabyś te pisklęta nie tylko karmić i poić, ale i sprzątać po nich. To ciężka i niezbyt przyjemna praca! Zastanów się. Nie chcę, żebyś potem miała do nas pretensje, że wrobiliśmy cię...

– Już zdecydowałam – odparła szybko – nie boję się żadnej roboty.

Załatwcie mi tę fermę. Na dwa miesiące.

– No, nie przesadzaj – rzekłem zaskoczony. – Wystarczy, jak się tam zadekujesz na trzy... cztery dni, to znaczy na czas pertraktacji.

– Pertraktacji? Jakich pertraktacji?!

– Jak to jakich? Zapomniałaś? Mówię o pertraktacjach z tatusiem Belfegorem.

Jaga przygryzła wargi i zasępiła się.

– Wątpię, czy coś wskóracie. Nie wyobrażam sobie, żeby można mu było wybić z głowy, to co sobie ubzdurał.

– Zostaw to nam. Już my mu zasuniemy taką gadkę, że osłupieje z wrażenia. "Z całym szacunkiem, maestro – powiemy – muzyka to boska rzecz, a pan Fagot jest równie szlachetny jak głęboki w tonie, lecz jak świadczą klasyczne przykłady, których nie szczędzi nam historia ludzkości, nawet największe zalety żonkosia nie uczynią małżeństwa szczęśliwym, gdy brak nań zgody serca. Zatem – powiemy – czy słuszne jest nakłaniać pannę Jagę do związku ze skądinąd fascynującym panem Fagotem, skoro panna Jaga go nie kocha mając zgoła inne... hm... nazwijmy to powołanie i do czego innego smykałkę? Przecież w żadnym wypadku nie jest to ani tragedia ani ujma dla nikogo, wręcz przeciwnie, wszyscy ludzie Belfegara... przepraszam, chciałem powiedzieć cała orkiestra, to znaczy wszyscy z rodziny maestra Gądziola winni się cieszyć, że wśród nich objawiła się nowa gwiazda w zupełnie innej artystycznej widowiskowej dziedzinie, co wskazuje na szeroki wachlarz i wspaniałą gamę twórczych możliwości tkwiących w słynnej rodzinie Gądziolów! Zaiste prawdziwy to gejzer talentów!..."

Jaga patrzyła na mnie z podziwem i z niedowierzaniem zarazem.

– Naprawdę, tak byś powiedział tatusiowi?

– A co? Może źle?

– Ale skąd! Wspaniale! Nie spodziewałam się, że potrafisz

przemawiać tak... tak... to znaczy na takim poziomie. Zupełnie jak z

jakiejs książki. Powinieneś pisać powieści!

Mile

polechatny

postanowiłem

zaimponować

Jadze

jakąś

niebanalną odzywką.

– Pisać powieści?! – wzruszyłem ramionami. – Po co? Szkoda czasu.

Wystarczy być! To ciekawsze, zwłaszcza gdy mogę być z tobą.

Z przyjemnością stwierdziłem, że zaczerwieniła się. Spojrzeliśmy

sobie w oczy i roześmialiśmy się.

– To wszystko tylko zgrywy – powiedziała. – Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę – zrobiłem poważną minę. – Po co zmyślać rzeczy, życie

samo funduje nam darmo najzabawniejsze komedie i najbardziej

ponure dramaty. Wystarczy żyć!

– Masz rację – potwierdziła i spochmurniała nagle. – Życie jest

dostatecznie straszne... i głupie – dodała po chwili.

– To fakt. Życie jest snem idioty – oznajmiłem autorytatywnie. –

Tak napisał Szekspir.

– Jesteś pewny, że tak napisał?

Nie byłem pewny.

– No, w każdym razie napisał coś w tym rodzaju – powiedziałem. –

Ale uszy do góry! Jakie by to życie nie było, zawsze coś w nim można poprawić, choć trochę nim pokierować, zredukować idiotyzmy do minimum, a spróbować zrobić coś mądrego.

– Myślisz, że można?

– Właśnie to zaczęliśmy robić, moja droga, czy nam wyjdzie to inna sprawa, bo na razie...

– Tobie już wyszło – przerwała.

– Akurat! Żartujesz sobie! Na razie dostaję tylko po łapach! Sama widziałaś, w co się wpakowałem.

– To nie twoja wina. Ważne jest, że odważyłeś się, że próbujesz stanąć na własne nogi, bierzesz się do roboty, robisz interesy...

– Daj spokój, to nie to, o czym marzyłem, to nędzne spekulacje, sama tak dziś powiedziałaś. I miałaś rację. To ciągle szara strefa...

– To nic! Pestka! Grunt, że nie siedzisz z założonymi rękami, nie użalasz się nad sobą, nie czekasz aż tatuś czy dobry wujek ci da. Och, zazdroszczę ci! Ty już żyjesz na własny rachunek! Ująłeś swój los we własne ręce.

– O bandycie też można tak powiedzieć.

– Nie kpij sobie, a poważnie co do losu...

– Co do losu, to owszem, próbowałem go capnąć za ogon, niestety mi

się wyślizgnął. Miło cię słuchać, Jaga, to ładnie, że tak optymistycznie widzisz moje sprawy, ale nie pocieszaj mnie. Sam dobrze wiem, że jeszcze nie zdałem tego egzaminu. Powiedz mi lepiej, czy odpowiada ci mój plan. Umowa stoi, czy się chwieje?

– Stoi jak mur – odparła – jeśli tylko Jacek zechce i potrafi mi to załatwić.

– O to się nie martw. W końcu jest ci coś winien! To gałgan i świszczypała, ale honorowy. Potrafi spłacać dług wdzięczności.

– Jeśli tak, no to bomba! Baj, baj, żegnaj, Belfegorze! – zawołała ucieszona i wyladowała swoje zadowolenie we właściwy sobie sposób, wywijając kilka akrobatycznych kozłów po asfalcie, ku wielkiemu zaskoczeniu przechodniów. A potem, równie niespodziewanie zamieniła się w szaloną wirującą gwiazdę. Jej ręce i nogi coraz prędzej migały w powietrzu jak skrzydła wiatraka. Rozpędzona śmignęła koło mnie...

– Jaga, stój! – pogałem za nią.

Zawróciła na końcu alei i, zadyszana, padła prosto w moje rozpostarte ramiona.

– Witku, jesteś kochany! – uścisnęła mnie mocno i pocałowała. – Co za szczęście, że ciebie spotkałam!

A potem powiedziała, że musi urwać się na kilka minut, bo chce sobie coś kupić przed wyjazdem i umówiłem się z nią, że spotkamy się za kwadrans przy rondzie.

Na stacji Jacek kończył już pompować paliwo. Gdy mu opowiedziałem o moim genialnym planie rozwiązania problemu Jagi,

zatkalo go w pierwszej chwili, a potem zabalgotal, jak zawsze, kiedy byl nadmiernie poruszony.

– Czlowieku, czy ty sie zastanowiles, co chcesz zrobic? Badz co badz

Jaga to artystka. I ja na ferme?! Na taka harowke? Do gnoju?

– Tylko do kurczat. A co do warunkow, uprzedzilem ja.

– Na pewno niedokladnie, bo bales sie uzyc brutalnych slow i biedactwo nie wie, co ja tam czeka.

– Uprzedzilem ja uczciwie, ze to nie zabawa, ale ona zapalila sie do tych pisklat. Nie masz co histeryzowac, Pampers, to tylko pare dni, Jaga na pewno da sobie rade. To wspaniala dziewczyna, sam przyznasz!

– Owszem, to mila koza z temperamentem, ale porzadnie narwana.

– Koza?! Narwana?! – wykrzyknalem oburzony. – Jak mozesz tak o niej mowic, po tym co dla nas zrobila! Nie zyczę sobie! Nie pozwalam ci!

Jaga po prostu jest spontaniczna, bezposrednia, zywiolowa dziewczyna...

– Wlasnie! Zywiolowa. Jej zapal moze byc slomianym ogniem.

Wypali sie w jeden dzien i co dalej? Zostanie rozczarowanie, zal do nas i pretensje, zesmy ja wrobili. Nie, nie chce jej miec na sumieniu. Ta ferma to nie pensjonat dla rozkapryuszonych podfruwajek...

– Co?! Podfruwajek?! Jak smiesz tak sie wyrazac o Jadze...

– Ani przytulok dla zbieglych podlotkow – ciagnal nie zważajac na moje protesty Jacek. – Ty jeszcze nie znasz Marty. To twarda zyła.

Zapędzi Jagę do najgorszej roboty! Nie, dajmy sobie spokój... to zwariowany pomysł!

– Cała nasza wyprawa jest zwariowana – zauważyłem.

– To prawda, ale nie mieszajmy do tego jeszcze tej biednej

dziewczyny!

– Dobra – zasapałem – w takim razie ulokuję tam Jagę na innej

zasadzie. Chcę, żeby Jaga była tam... no właśnie jak gość w pensjonacie,

Marta nie będzie jej żyłować, ani... ani wyzyskiwać, ani... ani nią

pomiatać, przeciwnie, będzie skakać koło Jagi...

– Co?! Marta skakać? – obruszył się Jacek. – Co ty bredzisz?!

– Tak, skakać i karmić Jagę, bo ja... bo ja zapłacę za jej pobyt z

jedzeniem i obsługą – oświadczyłem dumnie – stać mnie na to!

Jacek wytrzeszczył oczy.

– Mucha – wykrztusił – ty albo kompletnie sfiksowałeś, albo... albo

po prostu... po prostu się w niej zakochałeś!

Puściłem wzgardliwie mimo uszu tę nietaktowną uwagę.

– Dzwon do Marty – rzekłem zimno – i załatw sprawę. Tylko w ten

sposób możesz spłacić dług! Pamiętaj, gdyby nie ona, prawdopodobnie

spalbyś już snem wiecznym po nowym zastrzyku Boksera! Więc zrób, co

mówię, masz lepszy pomysł?

Jacek nie miał i dość potulnie poczłapał do telefonu. Wrócił szybko z

twarzą rozjaśnioną jak księżyc w pełni.

– Marta zgodziła się bez wahania i nawet nie zadawała pytań, dobre

dziewczynisko! Oczywiście zapłacimy za pobyt wspólnie, po połowie –

oświadczył z irytującym uśmiechem.

Wcale mi się to nie spodobało.

*– Nie bądź taki wspaniałomyślny – wycedziłem. – To był mój pomysł
– szykowałem się do kłótni, ale umilkłem nagle, bo zobaczyłem
nadchodzącą Jagę. Ledwie ją poznałem. Miała włosy w kolorze
dojrzałej pszenicy, czapkę z pomarańczowym długim daszkiem,
koszulkę marynarską w niebieskie paski z wielkim napisem: live and let
live! a na nosku wielkie czarne okulary.*

*– Pomyślałam, że lepiej dla pewności zmienić aparycję –
oświadczyła. – Belfegor na pewno roztrąbił, jak wyglądam i zamieści w
prasie moją fotografię. Jak sądzicie, czy teraz ktoś mnie rozpozna?*

*– Raczej będzie to trudne – mruknął Jacek – ale mogą cię poznać po
zachowaniu. Musisz poskromić swój temperament, powstrzymać się na
jakiś czas od tych wszystkich akrobatycznych popisów i trzymać się
ustalonej wersji: jesteś po chorobie, odpoczywasz, i czekasz na
rodziców, którzy wyjechali na artystyczne tourn~ee.*

– A nazywasz się Agata Fagot – dodałem.

*– Tak jest – potwierdził Jacek – Agatka Fagot, jakby kto pytał. Za
pół godziny masz autobus z Kielc do Warszawy. Wsiądziesz na
pierwszym przystanku za Białobrzegami, za mostem we wsi Falencice, a
stamtąd już niedaleko do Duriasza.*

*Udzieliliśmy Jadze dokładnych wskazówek, jak dostać się na miejsce
i obiecaliśmy jutro, najdalej pojutrze przekazać jej telefonicznie
wiadomość, jak powiodły się pertraktacje z Belfegorem, po czym
odwieźliśmy ją na dworzec.*

Gdy autobus (z Jagą w środku) odjechał, nawiedziły mnie

niespokojne myśli.

– Jesteś pewien, że dobrze zrobiliśmy? – zapytałem Pampersa.

– Z początku byłem przeciw, ale wiesz... to chyba nie jest zły pomysł.

Krótki pobyt w Duriaszu na pewno jej nie zaszkodzi. Spójrzy na wszystko z innej perspektywy.

– Myślisz?

– Nie bój się, w pełni kontrolujemy sytuację – oświadczył, jak to

Jacuś, z nadmierną chyba pewnością. – Ale dość romantyki na dzisiaj – dodał. – Wracamy do prozy życia.

No i dobrze. Dla higieny psychicznej muszę oderwać się od myśli o

Jadze, a nasz dzisiejszy odcinek prozy życia zapowiada się nader

ciekawie. Jedziemy do Besztaja. Chcemy sprawdzić, czy rzeczywiście w

dziecięcej trumience z aniołkami były słoiki Szkaplera i czy ludziom

Kapcia udało się je przechwycić. Gdyby jakimś cudem te podejrzane

"wiktuały" wciąż znajdowały się w trumience, byliśmy zdecydowani

zbadać je tym razem bardziej dokładnie i jeśli się okaże... No, cóż, reszta

należać będzie do policji!

Niestety, choć to dzień powszedni, zakład "Elizjum" zastajemy

zamknięty, przed bramą spaceruje policjant. Dzwonimy do mieszkania

Besztaja. Wystraszona służba oznajmia nam bełkotliwie przez szparę, że

pan Besztaj został właśnie aresztowany!

Pytamy policjanta, co się dzieje. Odmawia wszelkich wyjaśnień i

kieruje nas na komendę.

`pa

Rozdział XI

Przykrości na komendzie policji. Niestuszenie oskarżeni. Czy Besztaj narkotyzował uczestników pogrzebów? Aspirant Burczoń nie ma już wątpliwości. Świadectwo niewinności, czyli zdumiewająca przysługa Manlichera. List do ojca. Nici z transakcji z Golasem. Zbawienna okazja, czyli pan Kozaczek z "Kopciuszka" i jego pumy.

Na komendzie policji przy ulicy Wesolej dyżurny policjant obejrzał najpierw nasze legitymacje szkolne i prawo jazdy Jacka, potem obrzucił nas ciekawym wzrokiem i powiedział z dziwnym uśmiechem:

– Właśnie czekaliśmy na panów.

– Czekaliście? – bąknął Jacek z niewyraźną miną.

Mnie też to się nie bardzo podobało.

– Panowie zajmują się handlem akcesoriami pogrzebowymi? – policjant znów uśmiechnął się dziwnie.

– Trumna też towar – powiedział Jacek.

– Handlujecie czym się da?

Umilkliśmy. Wyczuliśmy, że facet zastawia na nas pułapkę.

– Prowadzimy uczciwe interesy z ramienia spółki "Pyton" – Jacek zrobił godną minę.

– Tak mówicie? – funkcjonariusz skrzywił się z niesmakiem.

– Pan nie wierzy?

– Wniesiono na was skargę.

– To my chcieliśmy wnieść skargę – przerwał Jacek.

– Na kogóż to?

– Na gangsterów, mają swoją melinę przy ulicy Hajduczej i ich

szefem jest kobieta...

– Kobieta?!

– Blondyna. Taka malowana lala jak Barbie, ma na imię Lolita,

przezwaliliśmy ją Anielicą, a jej zastępcą jest niejaki Kapeć, albo na

odwrot, to on jest prawdziwym szefem, a ona tylko do wszystkiego się

wtrąca i szarogęsi.

– I był jeszcze taki śniady typek, specjalista od zamków, chyba

zawodowy kasiarz – dodałem. – Nazywa się Dżubej.

– I jeden z płaskim nosem, nazywali go Kaczynosem, nie wiem czy to

prawdziwe nazwisko – dorzucił Jacek. – No i Bokser...

Podaliśmy rysopisy wszystkich złoczyńców.

– Śledzili nas od początku – powiedziałem. – Jechali za nami...

– Zgadza się – powiedział policjant. – Ale to nie byli gangsterzy.

– A kto?!

– Pracownicy agencji ochrony Manlichera – odparł spokojnie

funkcjonariusz.

– Ale przecież Kapeć...

– Pan magister Kapeć prowadzi filię tej agencji. Jego ludzie śledzili

was na zlecenie jednego ze współników firmy "Pyton", który

podejrzewa, że za jego plecami pan Artur Saleda prowadzi brudne

interesy.

Zatkało nas w pierwszej chwili, ale Jacek szybko odzyskał

kontenans.

– Kłamstwo! Mydlenie oczu! – wysapał. – I policja w to uwierzyła?

To gangsterzy pod przykrywką agencji, rozrabiają tutaj bezkarnie!

Chcemy złożyć oficjalne oskarżenie do protokołu.

– Zaraz... zaraz... po kolei! – uśmiechnął się dyżurny – jak

powiedziałem jest doniesienie na was, więc nie odwracajcie kota

ogonem! Przeciwno wam są fakty i świadkowie. Wtargnęliście na

prywatną posiadłość podczas przyjęcia urodzinowego magistra Kapcia

i próbowaliście ukraść jego nową toyotę...

– Co takiego?! – ośłupieliśmy z powodu tak wielkiej bezczelności.

– A kiedy przyłapał was agent ochrony, zaatakowaliście go pałami.

– My? Pałami?

– Gumowymi. Ogluszonego powaliliście na ziemię, po czym

wsadziliście mu do ust końcówkę ogrodniczego węża... woda pod

ciśnieniem omal nie rozerwała biedakowi gardła i wnętrzości! To

rzadko spotykany sadyzm...

– Nie ma w tym ani słowa prawdy! – wysapał wzburzony Jacek – to

wszystko podle kłamstwa, natomiast prawdą jest, że oni zrabowali nam

trumnę!

– Czyżby?

– "Palisandrową" ze srebrnym orłem, nowy model firmy "Celebes" z

Tomaszowa.

Dyżurny pokiwał głową i powiedział:

– Zdaje się, że mam dla was niespodziankę – rzucił parę słów do

aparatu przy biurku.

W drzwiach pojawił się funkcjonariusz z rudym wąsikiem i

zaprowadził nas na podwórko komendy.

– Czy o ten mebelek chodzi? – wskazał palcem.

Wytrzeszczyliśmy oczy ze zdziwienia. Przy garażach oparta o mur

stała nasza "palisandrowa" trumna w pełnej krasie i ozdobie.

– Skąd się tu wzięła? – zapytałem.

– Leżała na ulicy kilkanaście metrów od komendy. Musieli panowie

ją zgubić.

– To bzdura! Ktoś robi nas w konia! – wykrzyknąłem.

– Podrzucili, łobuzy! Ci od Anielicy i Kapcia! – sapał Jacek. –

Szakale! Złodzieje!

– Wasze oskarżenia nie trzymają się kupy – zauważył

funkcjonariusz. – Czemu mieliby najpierw kraść, a potem podrzucać?

Cała ta sprawa brzydko pachnie, panowie. Czas, żebyście uczciwie

zeznali, jak naprawdę było z tą trumną.

Zdenerwowany Jacek powiedział krótko, z moją pomocą.

– Klient polecił dostarczyć ją do Jędrzejowa na pogrzeb –

zakończyłem. – Musimy tam zaraz jechać, bo jesteśmy bardzo

spóźnieni.

– To zbędne – słyszeliśmy dźwięczny głos za nami. Zbliżał się do nas

młody oficer policji w stopniu aspiranta.

– Zbędne?! – Jacek uniósł do góry brwi.

– Pogrzeb odbędzie się tutaj – oświadczył aspirant. – Oczywiście

pogrzeb waszych rojeń o szybkiej forsie z przestępczych poczynań! –

wyszczerył w szyderczym uśmiechu rząd białych zębów, które mogłyby służyć za reklamę pasty colgate.

Przez moment staliśmy ogłupiali gapiąc się w nienaganne uzębienie aspiranta.

– Przystępne poczynania?! – wykrztusił wreszcie wzburzony Jacek.

– Pan nas obraża! Pan nie ma prawa...

– Spokojnie, szczyłu – rudy funkcjonariusz poruszył wąsikiem. –

Pan aspirant Burczoń nie takim jak wy dawał radę. Zaraz będziecie śpiewać innym tonem.

– My... my protestujemy! Wszystkie nasze transakcje załatwiamy uczciwie z poważnymi kontrahentami, proszę zapytać pana Besztaja, właściciela firmy pogrzebowej...

Funkcjonariusze wymienili znaczące spojrzenia i uśmiechnęli się z politowaniem.

– Właśnie chciałem was zabrać do tego pana – powiedział aspirant Burczoń. – Wóz już czeka.

Załadowano nas do policyjnego poloneza i zawieziono do zakładu Besztaja.

– Zaraz wszystko sobie wyjaśnimy – powiedział Burczoń i wprowadził nas frontowymi drzwiami do dużego pomieszczenia z wielkim eleganckim napisem w kolorze fioleto:

`ty

Salon pogrzebowy

Elizjum

ty

Pod ścianą obwieszoną klepsydrami i wzorami nekrologów siedział przerażony Besztaj.

– Czy znacie tego pana? – zapytał nas.

– To pan Besztaj – powiedziałem.

– Czy przyznajecie, że dziś rano dostarczyliście mu towar?

– Tak – odparł Jacek – dwadzieścia sztuk plastikowych trumien plus jedna gratis.

Aspirant odsłonił fioletową kotarę na drugim końcu salonu.

Zobaczyliśmy poukładane jedna przy drugiej trumny. Obok na stole leżała otworzona najmniejsza, ta z aniołkami.

– Czy to te? – zapytał Burczoń. Nie dało się zaprzeczyć.

– A więc sprawa jest prosta i chyba udowodniona. Jesteście konikami ze stajni Szkaplera.

– Nic nie rozumiemy! – wykrzyknął Jacek. – Jakimi konikami?! Nie znamy żadnego Szkaplera!

– A tego dżentelmena znacie? – aspirant podsunął nam pod nos fotografię.

– To pan Niedbała – powiedział Jacek.

– Naprawdę nazywa się Józef Szkapler. Wiemy, że pracujecie dla niego. Gdzie jest reszta towaru? Komu go dostarczyliście?

– Co pan?! My jesteśmy ze spółki "Pyton" z Dłubkowa. Może pan sprawdzić. Nasz szef nazywa się Saleda. Artur Saleda.

– "Pyton"?! "Pyton" z Głupkowa? – aspirant roześmiał się. – To

kamuflaż do mydlenia oczu, ale ja się nie nabiorę na takie rzeczy. Za stary wróbel jestem. Nic wam nie pomoże kamuflaż, kiedy w grę wchodzi nagie fakty. A fakty są takie: dzisiaj rano w Radomiu Szkapler dał wam trumnę z ukrytym w środku towarem do rozprowadzenia...

– Nieprawda! – przerwałem wzburzony. – To nie tak!

– Tego gościa widzieliśmy pierwszy raz na oczy – wysapał Jacek. –

Kupił od nas trumnę z dostawą do Jędrzejowa pod kościół cystersów, a do środka załadował jakieś wiktuały na stypę...

– W słoikach! – przerwał aspirant.

– Tak, ale nie rozumiem, o co właściwie panu chodzi.

– Czyżby? – skinął na nas palcem. – No, to proszę zajrzeć do tego

pudelka – wskazał na trumienkę na stole. – Udawanie głupków z

Głupkowa nic wam nie pomoże. Tam są dowody rzeczowe. No, śmiało, do stołu, proszę!

Jacek podszedł pierwszy, ja za nim. Słoiki i puszka w trumnie były otworzone i częściowo opróżnione. Spod flaków, powideł, resztek czarnego dżemu i herbaty sterczały... małe plastikowe woreczki, białe i pękate. Zbledliśmy. No tak. Woreczki były na dnie, zajmowały zaledwie ćwierć litrowego słoika, natomiast mój palec, kiedy badałem te wiktuały, nie sięgał nawet połowy naczynia, nie mogłem więc niczego wymacać.

– Co... co to ma znaczyć? – wybełkotał Jacek.

– To ma znaczyć, że przyłapaliśmy was na handlu białą śmiercią.

– Boże, nie chce pan chyba powiedzieć...

– To narkotyki – rzekł inspektor Burczoń. – W tych słoikach licząc na oko jest co najmniej trzy kilogramy, trzy kilogramy najwyższego gatunku... heroiny pakistańskiej.

Przez moment pociemniało mi w oczach, jakby mnie rażono obuchem, a potem moja wyobraźnia zaczęła gorączkowo pracować.

Trzy kilogramy heroiny? Rany! Tyle do ćpania?! Setki, ba tysiące narkomanów mogłoby to ćpać i ćpać! Ohyda! Przerażająca ohyda! Trzy kilogramy! Ile to może kosztować? Ciężkie melony. Zielone melony.

Grube

dolce!

Kryminalna

afera

w

wielkim,

światowym,

międzynarodowym stylu! I my w tym wszystkim, niebożęta!

– No, no, nie strugajcie zaskoczonych niewiniątek – warknął

aspirant Burczoń. – Wiedzieliście doskonale, co jest w tych woreczkach!

– My?! Skąd mogliśmy wiedzieć! – zaczęliśmy się tłumaczyć jeden przez drugiego.

– Ktoś nas w to wrobił!

– To... to rozgrywki jakichś gangów!

– Naprawdę pan pomyślał, że mamy z tym coś wspólnego?

– Pan nam zarzuca, że my... – zatkało nas z oburzenia.

– Zarzucam wam, że wzięliście udział w przestępczej działalności gangu Szkaplera – wycedził zimno Burczoń. – Szkaplerowi ostatnio palił się grunt pod nogami, więc postanowił przerzucić towar do Jędrzejowa, gdzie rezydował jego wspólnik, obywatel pakistański, niejaki Mahmed, oficjalnie trudniący się handlem dywanami. Kombinując, jak zmylić tropy, obaj panowie wpadli na pomysł, by przerzucać towar w trumnach i zatrudnić do transportu niewinnie wyglądających małych, jako tak zwanych "koników". Od paru dni zachodziliśmy w głowę, kto zgodził się odegrać tę niewdzięczną rolę, no i proszę, mamy odpowiedź: to panowie Pająk i Mucha udający dzielnych kupców z Głupkowa! – aspirant roześmiał się zadowolony, jakby wyszedł mu dobry kawał. Był przekonany o naszej winie.

Wszystko mu się tak ładnie zgadzało.

Kupcy w Głupkowa! Nawet nie chciało nam się tej złośliwości prostować. Jacek powiedział tylko z zadziwiającym spokojem, choć nieco drżącym głosem;

– Pan się głęboko myli. Jeśli zajdzie potrzeba, powołamy świadków, którzy zaświadczą, że jesteśmy uczciwymi handlowcami i nie interesuje nas towar, którym handluje pan Szkapler. Może potwierdzić to choćby obecny tu pan Besztaj, z którym wczoraj mieliśmy przyjemność zawrzeć poważną transakcję.

– Pan Besztaj? A to wybraliście sobie świadka! – zakpił aspirant. – A skoro już mowa o panu Besztaju, warto by do końca wyjaśnić zaskakującą obecność szefa zakładu pogrzebowego w tej całej aferze.

Co za degrengolada! Właściciel renomowanej, starej firmy, szanowany powszechnie obywatel miasta Kielc w gangu handlarzy narkotyków! To najbardziej smakowity kąsek dla śledztwa...

– Ja w gangu?! Co pan mi wmawia! – zaprotestował gwałtownie

Besztaj, ale inspektor nie zważając na jego protesty ciągnął

niewzruszenie dalej: – Tego jeszcze u nas nie było! Zamiast

nieboszczyków w trumnach transportuje pan heroinę, mało tego, pan

przechwytuje...

– Ja przechwytyję?! – jęknął Besztaj.

– Część towaru. Po co panu była ta przechwycona heroina? Ja panu

powiem, po co... – inspektor wycelował oskarżycielski palec w Besztaja

– pan narkotyzował!

– Ja? Ja na... narkotyzowałem?

– Narkotyzował pan żałobnych gości, uczestników pogrzebów.

– Nic podobnego! Wszyscy poświadczą, zajmowałem się niesieniem

ostatniej posługi naszym drogim zmarłym, tylko ostatniej posługi!

– Czyżby! A do czego służył ten salon?

Besztaj odchrząknął, wyprostował się i rzekł z godnością:

– Ten salon służył do rekreacji.

– Komu?

– Uczestnikom pogrzebów.

– Więc przyznaje pan, że usługiwał także żywym?

– Staralem się nieść pociechę i ukojenie zboliałym członkom rodziny.

– Pan tu serwował tak zwane herbatki. Zbadaliśmy.

– Co?

– Tak zwane herbatki ziołowe – aspirant mrugnął okiem.

– Nie rozumiem... podawaliśmy po prostu herbatę, kawę, także koniaki i rumy dla rozgrzewki i rozładowania napięcia...

– Specjalnie przyprawione, prawda?!

– Jak to przyprawione?! – zdenerwował się Besztaj. – Czym przyprawione?

– Heroiną! Wykorzystywał pan niecznie sytuację! Wpędzał pan w nałóg biedne sieroty i wdowy. Sprzedawał pan im białą śmierć na raty! Skracał życie. Umyślnie przyspieszał zgon, by zarabiać na ich pogrzebach!

Ostłupiały Besztaj opadł na fotel. Chyba zrobiło mu się niedobrze.

– Chcę adwokata – wybełkotał słabym głosem.

Zadowolony, że załatwił sprawę z Besztajem, aspirant Burczoń ponownie zwrócił się do nas.

– Słyszeliście wszystko. Gra skończona. Wiemy już, jak to wszystko wyglądało. Jeszcze dziś zdejmujemy Szkaplera i resztę jego ludzi. Czas byście i wy wyłożyli kawę na ławę! Ukrywać już nie ma kogo, ani po co! Tylko szczere zeznania mogą wam jeszcze pomóc. Chcę znać wszystkie nazwiska i kontakty! Więc szybko! Gadajcie, co wiecie, całą prawdę! Od początku... Może zaczniemy od tego pakistańskiego współnika, od Ahmeda...

Milczeliśmy.

– No, więc?... – popędzał aspirant.

– Nie mamy nic do powiedzenia – rzekł przygnębiony Jacek. – Pan i tak nam nie uwierzy. Pan już nas skazał w swoich myślach.

Aspirant ściągnął gniewnie brwi.

– Grasz mi na nerwach, chłopcze. Moja cierpliwość się kończy... –

urwał, bo do salonu wszedł tęgi łysawy oficer policji w randze

komisarza, prowadząc z sobą szczupłego przygarbionego osobnika o

szpakowatych włosach, silnie zarysowanym podbródku i wyblakłych

oczach koloru wody.

– To pan Manlicher z agencji ochrony "Ares" – komisarz przedstawił

gościa. – Pan Manlicher zgłosił się do nas jako świadek... jako naoczny

świadek w sprawie Szkaplera.

Manlicher? Na dźwięk tego nazwiska poruszyliśmy się niespokojnie,

a komisarz ciągnął dalej:

– Obawiam się, że w świetle tego, co usłyszałem od pana Manlichera,

nasze śledztwo poszło w niewłaściwym kierunku i że będziemy musieli

zwolnić tych chłopców. I pana Besztaja chyba też... Czy gotów jest pan

złożyć w tej sprawie oficjalne zeznanie? – zapytał szefa ochroniarzy.

– Tak, jestem gotów! – odparł Manlicher. – Jeśli pan aspirant

pozwoli, chciałbym je złożyć bezzwłocznie i proszę, aby wszystko, co

powiem, zapisane zostało dokładnie w protokole.

– Oczywiście – chrząknął aspirant i spojrzał na nas wyraźnie

zawiedziony, że ominie go przyjemność wsadzenia nas do pudła, ale w

tej sytuacji nie pozostało mu nic innego jak przysłuchać Manlichera.

Uprzedziwszy niespodziewanego świadka o odpowiedzialności za

falszywe zeznania oddał mu głos, a to, co usłyszeliśmy, zaskoczyło nas kompletnie.

– Oświadczam z całą odpowiedzialnością – powiedział Manlicher mierząc nas zimnym spojrzeniem swych wyblakłych oczu – że ci młodzi ludzie, którzy tu siedzą, nie mają nic wspólnego z poszukiwanym przez policję przestępcą, Szkaplerem Józefem, handlarzem narkotyków.

Wiem o tym, ponieważ wykonując zlecone przez klienta zadanie śledziliśmy od paru dni tych chłopców i możemy stanowczo stwierdzić, że ich spotkanie ze Szkaplerem w Radomiu było czysto przypadkowe i nie mieli pojęcia, co naprawdę Szkapler włożył im do trumny. Szkapler po prostu wykorzystał ich dobroduszość i brak doświadczenia, odgrywając przed nimi rolę zaaferowanego, przybitego śmiercią ojca wieśniaka. Och, Szkapler to świetny aktor, panowie dobrze wiedzą, gdyż mieli już z nim do czynienia...

Tak mówił Manlicher i trudno było o lepszą obronę. Na koniec wycofał skargę złożoną na nas przez Kapcia, tłumacząc, iż zaszło "małe nieporozumienie".

Słuchaliśmy tych enuncjacji z rosnącym zdumieniem, zastanawiając się, co go skłoniło do podobnych zeznań i czym wytłumaczyć tę jego niespodziewaną troskę, byśmy nie skiśli w areszcie i nie spotkała nas żadna krzywda.

Pięć minut potem byliśmy już wolni. Wypuszczono nas po podpisaniu protokołu, zatrzymując w depozycie "palisandrową" trumnę, jako jeden z dowodów rzeczowych w sprawie. Była już godzina

czwarta po południu. Zamówioną partię obuwia w Radomiu mieliśmy odebrać jeszcze wczoraj. Wyrażam głośno wątpliwość, czy Golas czeka na nas z towarem do tej pory, ale Jacek wciąż ma nadzieję i chce pędzić jak najszybciej do Radomia.

– Jedź sam – mówię. – Ja mam tu jeszcze do załatwienia pewną sprawę, a raczej dwie sprawy.

Jacek waha się.

– Ile ci to zajmie czasu?

– Nie więcej jak dziesięć minut, jeśli podzucisz mnie na ulicę Sokolów.

– Wskakuj! – mówi Jacek.

Na parkingu Silnica łatwo odnajduję wóz z numerem K1c 9119 i nie bez zdumienia stwierdzam, że jest to nowiutki ciemnobłękitny fiat uno 1,4 i.e.s. Skąd u taty takie autko? Pampers niecierpliwi się, więc mówię do niego:

– Muszę zostawić wiadomość dla ojca, a ty zamiast popędzać mnie, mógłbyś przez ten czas zadzwonić do starego Gędziola w sprawie Jagi. Hotel "Bristol", wiesz. Telefon jest u dozorczy parkingu. Powiedz panu Kleofasowi, że spotkaliśmy jego córkę na dworcu. Jest cała i zdrowa. I jeszcze... jeszcze powiedz mu tak: "Jaga obiecała wrócić, jeśli pan zwolni ją z orkiestry, pozwoli normalnie uczyć się i ćwiczyć w klubie sportowym". Jeśli Belfegor zgodzi się na te warunki, niech zamieści wiadomość w "Gazecie Radomskiej". Wtedy Jaga poda telefon, pod którym można ją będzie znaleźć i adres. Co ty na to, Jacek?

– Bezbłędnie to sformułowałeś, Lord.

– Teraz muszę jeszcze sformułować miły liścik do taty –

powiedziałem zadowolony z siebie i na kartce wyrwanej z agendy

nagryzmoliłem, co następuje:

Drogi Tato, tak się szczęśliwie złożyło, że jestem akurat w Kielcach,

no i popatrz! Znalazłem Cię. Niezły ze mnie detektyw, co? Wyobrażam

sobie Twoją minę, jak to czytasz. Przyznaj, że Cię zaskoczyłem.

Chciałbym oniecznie zobaczyć się z Tobą, niestety muszę przed piątą być

w Radomiu, więc dzisiaj już nie da rady, ale spotkajmy się jutro. O

dziewiątej rano będę u Mamy. Pewnie jeszcze nie wiesz, że zachorowała.

Tydzień temu zabrało ją pogotowie. Leży w Radomiu w szpitalu na

oddziale kardiologii. Myślę, że będziesz chciał ją odwiedzić, więc

spotkajmy się tam! Pamiętaj, o dziewiątej w szpitalu! Do jutra, Tato!

Cześć!

Zostawiłem ten tekst na szybie wozu pod wycieraczką. Jacek

skończył rozmowę i wraca. Gędziol podobno przyjął wiadomość z

ambivalentnymi uczuciami. Na przemian cieszył się i złościł. Czy poda

wiadomość dla Jagi w gazecie? Nie wiadomo, będzie pewnie nad nią

długo medytował.

Gdy wsiadamy do samochodu, człowiek w czerwonym kubraku z

kubłem kleju i szczotką nakleja obok na słupie kolorowe ogłoszenie:

`ty

Gędziol i jego orkiestra

Mazowiecka Kapela Rodzinna

daje w sobotę

ostatni koncert w Kielcach!

Prawdziwa uczta dla ucha!

Nie przegap okazji!

`ty

Ciekawe, jak im się powiedzie? – pomyślałem. – Czy publiczność

zapełni choć pół sali?

Za niecałą godzinę jesteśmy w Radomiu. W firmie "Alexis Obuwie dla

Dystyngowanych Pań" jest już po godzinach pracy i pusto, ale

szczęśliwie znajdujemy Golasa w jego gabinecie. Trzymał w ręku

pantofelek damski, któremu odleciał obcas i medytował nad nim

posepnie. Nie oszczędza się widać i dulczy w interesie do późnego

wieczora.

Lecz szczęście nasze trwało krótko. Golas przyjmuje nas wyraźnie

niechętnie, w drzwiach, nie prosi do środka.

– Byliśmy umówieni na wczoraj – mamle z obrażoną miną. – Nie

znoszę niesłownych kontrahentów!

Próbujemy tłumaczyć, ale przerywa nam z miejsca.

– To już bez znaczenia! Nie mam dla was towaru. Wszystkie czółenka

sprzedalem od ręki. Przed dwoma godzinami zabrali je handlowcy z

Marriotta. I na przyszłość nie zawracajcie mi głowy!

Wycofujemy się jak niepyszni.

– Widzisz, to przez te trumny – syczę do Jacka – gdybyśmy

przyjechali wczoraj...

– To Golas wymyśliłby inny pretekst, żeby nas splawić – przerywa

Jacek. – Już ci to tłumaczyłem: za wysokie progi na nasze krótkie nogi.

Chcieliśmy wsiąść do wozu, gdy nagle zatrzymał nas mały spocony

człowieczek o wylupiastych niespokojnych oczkach.

– Panowie względem obuwia? Hurt? Półhurt? – zapytał zacierając rękę.

– Półhurt – odpowiada bez zajknięcia Jacek. – A o co chodzi?

– Kozaczek jestem – przedstawił się. – Miałbym towar dla panów.

– Pan? – Jacek spojrzał na typka z niedowierzaniem.

– Mam tu interes niedaleko, spory wybór obuwia, także z importu, uprzejmie zapraszam. Panowie rozejrzą się, co panom szkodzi? To tylko dwie ulice dalej – zatarł rękę.

– Faktycznie, co nam szkodzi? – powiedział Jacek i ruszyliśmy obejrzeć interes Kozaczka.

Typ zaprowadził nas do starej kamieniczki z dużym szyldem

`ty

Kopciuszek

hurtownia wygodnego obuwia

`ty

Cały interes mieścił się w dwu izbach piwnicznych przekształconych

na magazyn, świeżo odmalowanych i zawalonych pudełkami. Nie

znaleźliśmy tu nic specjalnie atrakcyjnego dla nas. Kozaczek widząc

nasze rozczarowanie posmutniał, chrząknął i powiedział:

– Wiem, panowie szukają czegoś zupełnie extra. Chyba będę miał coś

takiego dla panów. Okazja bomba! Pумы z importu.

– Pумы?

– Włoskie, firmy Puma Lombardese – pokazał nam faktycznie interesujący model miękkiego wygodnego sportowego buta.

– Cena? – pyta Jacek.

– Dwieście pięćdziesiąt jedna para.

Brzmi to nader zachęcająco. Zaczynamy walkę o opust.

Rozmięczamy Kozaczka już po dwu minutach. Opuszcza nam pięćdziesiąt tysięcy na sztuce. I przyjmuje skromną zaliczkę w postaci jednego melona. Okazuje się jednak, że owe wytargowano osiemdziesiąt par będziemy mogli odebrać dopiero jutro, w sobotę koło południa, Kozaczek chwilowo nie ma ich na składzie. Skąd ma je wytrzasnąć, tego nie mówi, tajemnica handlowa. By osłodzić nam tę "drobną" – jak się wyraża – "niedogodność" zaprasza nas "na koszt firmy" na kolację i nocleg w małym pensjonacie, prowadzonym przez szwagra i siostrę. Propozycja nie do odrzucenia.

Kolacja jest smaczna z lodami i tortem na deser, a pokój wygodny i czysty. Jackowi poprawia się humor. Z przygnębienia od razu popada w euforię, która wyraża się głównie nieposkromionym gadulstwem. Do późna w nocy zarzuca mnie coraz to wspanialszymi projektami komu, gdzie i za ile "upłynniemy" pумы i jak zainwestujemy zarobione melony.

`pa

Rozdział XII

Odwiedzam mamę w szpitalu. Rozkręcamy interes z pumami.

Pamela, Księżniczka na Otargańcach. Jak wywołałem skandal na urodzinowym bankiecie. Co było w fatalnym pudełku? Czy pumy uratują sytuację. Obuwie na nogę yeti, czyli jak zrobiono nas w konia. O dziewiątej jestem już w szpitalu. W obu rękach reklamówki z pomarańczami, bananami, czekoladami, puszkami soków... Rozglądam się po holu, po korytarzu. Taty oczywiście nie ma. Nawet nie jestem zbyt rozczarowany. Jak mogłem myśleć, że raczy się zjawić? To byłoby zbyt piękne, by mogło być prawdziwe... Ale może się tylko spóźni? Doprawdy jestem niepoprawny. Wbrew oczywistości czepiam się resztek bezsensownej nadziei. W informacji na dole dowiaduję się, że sala intensywnej terapii oddziału kardiologii mieści się na trzecim piętrze. Kupuję jeszcze siedem czerwonych róż w kiosku z kwiatami w halu i pakuję się w windę. Cały czas myślę, czy uda mi się zobaczyć mamę. Podobno na sali intensywnej terapii nie wolno odwiedzać chorych, ale może uda mi się ubłagać jakąś pielęgniarkę i wpuści mnie choć na jedną minutę. Niestety zostaję zatrzymany zaraz po opuszczeniu windy. Okazuje się, że odwiedziny chorych w tym szpitalu odbywają się w niedzielę dopiero od godziny jedenastej. Tłumaczę, że nie mogę tak długo czekać, a bardzo się niepokoję o stan matki, czy nie mógłbym uzyskać już teraz informacji.

– Nazwisko? – pyta pielęgniarka.

Podaję nazwisko. Ona sprawdza w swoim zeszycie. – Tej chorej już tu nie ma. Wykreślona... – mówi.

Drętwieję, lęk ściska mnie za gardło, nie mogę wykrztusić słowa...

– Wy... wykreślona? Czy... czy to znaczy, że...

– To znaczy, że przeniesiono ją stąd na salę ogólną, bo arytmia serca ustąpiła i jej życiu nie zagraża już bezpośrednio niebezpieczeństwo.

Łapię oddech, ściskanie w gardle ustaje. Wracam do holu i czekam.

Taty oczywiście wciąż nie ma. Wiem, że nie przyjdzie już i robi mi się smutno.

O jedenastej, jako pierwszy z odwiedzających wpadam na salę.

Widzę ją! Od razu ją zobaczyłem. Leży tam, blisko okna, nie widzi mnie.

Czyta gazetę. Biegnę. Z nerwów uderzam torbą o jakiś stolik. Brzęk

szkła. Chyba stłukłem szklankę. Co za kompromitacja. W dodatku

pomarańcze rozsypały się po podłodze, kilka wpadło pod łóżka. Na

czworakach zbieram je z powrotem do torby. Wszyscy patrzą. Mama

też. Przygląda się z niedowierzaniem, ściąga brwi.

– Witek?! Synku, to ty?! – jej twarz rozjaśnia się uśmiechem. – Skąd

się tu wziąłeś? Czy... ojciec też?... – patrzy na mnie z nadzieją.

Spuszczam wzrok. Czerwienię się.

– On... on teraz nie mógł... zatrzymały go interesy. Ale dzwonił – łzę,

sam nie wiem dlaczego – dzwonił, że niedługo wróci i... przesłał nam

pieniądze przekazem telegraficznym...

– On? Pieniądze? – mama słucha z niedowierzaniem.

– Dużo pieniędzy – sapię – zobacz! – sięgam do skarpetki. W

pierwszym odruchu chcę wydobyć wszystkie siedem melonów z

okładem i rzucić triumfalnie na łóżko ze słowami "Masz, przelicz!

Porachuj! Ciesz się! Koniec z biedą, mamó! To wszystko twoje!" Ale w

ostatniej chwili pohamowuję się. Nie, to byłoby jednak niezbyt mądre, zbyt ryzykowne z uwagi na jej stan. Za duży szok! Taka suma wzbudziłaby w niej jeszcze większy niepokój i nieufność. Tata w swoim życiu nigdy w ciągu miesiąca nie zarobił nawet pół tego. Musiałbym się gęsto tłumaczyć, skąd wziąłem tyle milionów. Nawet gdybym wyznał, że to ja sam je zarobiłem, wątpię, by uwierzyła, że pochodzą z uczciwych źródeł, a gdyby nawet – to nie sądzę, by pochwaliła mnie za to, że biorę udział w przedsięwzięciach handlowych firmowanych przez Artura Saledę. Zawsze uważała go za świszczypałę i obiboka i była święcie przekonana, że ma na mnie zły wpływ. Manipuluję więc spieszenie koło skarpetki i zamiast siedmiu wyciągam dwa melony i kładę przed mamą w formie ładnego wachlarzyka złożonego z dwudziestu stutysięcznych banknotów.

To też robi wrażenie! Mama zaniemówiła przez chwilę.

– Tyle mi jeszcze zostało – mówię szybko – to znaczy... po zapłaceniu rachunków.

– Zapłaciłeś rachunki? – na jej twarzy wciąż cień niedowierzania.

– Nie wiem, czy wszystkie – mówię, żeby wyszło bardziej prawdopodobnie. – To co znalazłem na drugiej półce bieliźniarki. Za światło, radio i telewizję... za wszystkie zaległe miesiące.

– A komorne? – pyta niespokojnie, z nadzieją w głosie, a więc jednak zaczyna mi wierzyć.

– Komorne oczywiście też – zapewniam ją – i Gancyga nie będzie już nas szarpał.

– Zapłaciłeś Gancydze?!

– Co do grosza i oddałem dług wujowi Karolowi... to znaczy połowę długu i tak był zaskoczony.

– Starczyło ci na wszystko?

– Przecież widzisz. Starczyło i tyle jeszcze zostało. Weź! Przyda ci się.

Kupisz sobie coś dobrego. Tyle rzeczy ci brakuje!

– Ależ, Witku, to za dużo! – broni się. – Nie będę tu nic wydawać.

Schowaj.

– Musisz mieć choć trochę przy sobie – nalegam. – Zobaczysz, zaraz inaczej się poczujesz. W szpitalu też są potrzebne pieniądze. Wydasz je na owoce... na napiwki... Jesteś teraz zamożną pacjentką, mamo.

Koniec z nędzą, mamo!

Wychodzę po godzinie w dobrym nastroju. Wierzę, że mama będzie wkrótce zdrowa. Tylko na myśl o ojcu zachmurzam się na nowo.

Podchodzę do przeszklonej kabiny portiera.

– Chciałbym zostawić wiadomość dla pana Romana Muchy, gdyby zjawił się w szpitalu lub zadzwonił...

– Pan Mucha? – przerywa portier – jesteś może jego synem?

– Zgadza się.

– Właśnie dzwonił nie dalej jak pół godziny temu. Był bardzo zdenerwowany i kazał ci powiedzieć, żebyś czekał na niego w poniedziałek na parkingu przed Białobrzegami o godzinie ósmej. I, że to koniec zabawy.

– Czy jeszcze coś powiedział?

– Powiedział, że ręka go świerzbi i niech cię Bóg strzeże, jeśli nie posłuchasz.

– To wszystko?

– Tak. Resztę opowiecie sobie na parkingu.

Przygryzłem wagi i odszedłem bez słowa.

Jeszcze raz przydaje się Jackowy "notes biznesmena". Pod hasłem

"Ubiory" znajdujemy tam spis sklepów i sklepików zainteresowanych

tanim obuwiem i mających już w przeszłości do czynienia z "Pytonem"

Artura Saledy. Ponieważ Jacek najdalej o drugiej chce być w motelu

"Charles" i świętować urodziny Pameli, wybiera sklepy położone w

pobliżu naszej trasy. Wstawiamy więc nasze pumy w Karczewie do

kiosku Józefa Mamuzy przy kościele, próbujemy ulokować także towar

w solidnej firmie Jakobi i Szczeci, ale sklep okazuje się zamknięty.

Firma twardo świętuje wolną sobotę. Za to interesują się nami

właściciele straganów państwo Męcik i Kuflewska. Biorą po dziesięć par

i płacą od razu gotówką. Podobną, choć nieco mniejszą transakcję

ubijamy z panią Mokobud w Sokołowie, natomiast pewien zawód

spotyka nas w Wągrowie. "Bracia Piskorek" duża firma, na którą

liczyliśmy, bierze dwanaście par, ale tylko w komis, na słowo kupieckie,

bez faktury.

Niemniej w sumie powinniśmy mieć powody do zadowolenia.

Upchnęliśmy większość towaru i to w rekordowym czasie. Możemy

nawet uregulować to, co jesteśmy winni Celebesowi i wpłacamy na

poczcie na konto jego firmy resztę należności. Niestety stwierdzam u

Jacka brak oznak odprężenia, przeciwnie, w miarę jak zbliżamy się do Otargańców robi się coraz bardziej nerwowy. Obserwuję go z troską. Nie słyszy, co do niego mówię, mamrocze sam do siebie jakieś niezrozumiałe słowa. Poważnie obawiam się o jego stan umysłowy. Przypadek chyba dla psychiatry. I pomyśleć, że to wszystko z powodu tej głupiej sprawy z prezentem dla Pameli. Żal mi człowieka i próbuję wyrwać go z tego stanu.

– Nie ma co zamartwiać się, stary, ani za bardzo główkować. Mam proste rozwiązanie. Podaruj jej pumy, jedną parę pum z tej reszty, co nam została. To będzie całkiem przyzwoity prezent.

– Wiem – mruknął – sam myślałem o tym, ale problem leży gdzie indziej.

– Jeśli chodzi ci o to cholerne pudełko Artura, nie ma co martwić się z góry. Wycofamy je.

– A jeśli ona już je rozpakowała?

– O rany, ty znów o tym!

– Mam złe przeczucia. Już ci mówiłem i powtarzam. Artur, to złośliwa małpa.

– A ja powtarzam: nie ma sensu martwić się z góry. Wytłumaczysz Pameli, że zaszła pomyłka, że to prezent Artura dla jego znajomej.

– Nie znasz Pameli, nie wiesz, jaka jest drażliwa! Nie uwierzy, przepędzi mnie, zerwie ze mną! Otacza ją towarzystwo wrogo usposobione do mnie, podburzą ją... Najgorsi są ci z Otargańców, synalkowie bogatych plantatorów. Jednego naprawdę się boję. Nazywa

się Pac-Regulski, ma wygląd i siłę goryla. Zupełnie nie wiem, co Pamela w nim widzi. Czemu z nim łązi, czemu publicznie się z nim afiszuje. Czy to jej sprawia przyjemność? Nie wiesz, Lord, jak cierpię z tego powodu. Taki bzdył... Taki małpi glut...

– Nie bój się – pocieszam Jacka. – Wybadamy sytuację na miejscu i postaramy się odzyskać pudełko. Ale musimy tam być wcześniej... grubo wcześniej zanim rozpocznie się bankiet.

Jacek rozumie to doskonale i naciska pedał gazu.

Gdy docieramy na miejsce jest dopiero za kwadrans druga. Przed motelem dużo samochodów i kręcących się młodych ludzi. Urodzinowe party zapowiada się hucznie i ludnie. Ściągnie tu kwiat młodzieży z całej okolicy. Są już pierwsi goście. Wprawiają się w nastrój przy barku. Poznać ich po kotylionach – trzech różowych wstążeczkach i zielonej tarczy z literą P przypiętych na ramieniu. Byle kogo się nie wpuszcza. Kotyliony pełnią rolę biletów wstępu. Dostają je tylko osoby ze specjalnej listy wyłożonej w recepcji. Kierujemy się tam od razu.

Jacek ma tu dobrze przetarte chody, bo dostajemy bez trudu kotyliony, mimo że nie ma nas na tej liście.

Ci z barku zapraszają, żeby przysiąść się do nich, ale nie dajemy się skusić. Mamy przecież przed bankietem załatwić wiadomą sprawę.

Jacka znów opuszcza animusz. Biedak poci się jak mysz pod miotłą. I to kto? Taki rzekomo bywalec, taki stary wyjadacz i światowiec, taki cwaniak! Jacuś Bolek dwojga imion Pająk! A robi się z niego Bolcio Nieśmiały, gdy chodzi o Pamelę. Zupełnie nie do wiary! Patrzę na niego

z niesmakiem.

– Kto to widział, tak się denerwować z powodu jakiejś dziewczyny – mówię.

– To nie jest jakaś dziewczyna! To Pamela! – złości się.

– Pamela nie Pamela, jak ci nie wstyd tak się rozklejać. Bierz bukiet, pumy pod pachę i zasuвай śmiało, jak było postanowione.

– Dobra, Lord, ale pójdziemy razem!

Kręcę głową i, nie wiem dlaczego, ulegam temu tchórzowi. Wsadza mi w rękę bukiet, sam bierze z wozu pudełko z pumami i prowadzi mnie gdzieś przez ogród na tyły domu Pameli.

– Gdzie ty mnie ciagniesz? – zaniepokoiłem się.

– Pomyślałem, że będzie najlepiej, jak dostaniemy się do pokoju Pameli przez okno od strony ogrodu i odbierzemy dyskretnie to przeklęte pudełko Artura...

– Oszalałeś?! Mamy się zakraść jak złodzieje?

– Nie bój się, nie będzie problemu... Okno na pewno jest otwarte, a Pamela o tej porze zajęta przygotowaniami w kuchni i urządzaniem bufetu w sali bankietowej. W pokoju nikogo nie będzie. Pudełko Artura powinno leżeć gdzieś na wierzchu. Podsadzę cię i przenikniesz do pokoju łatwo...

– Ja?! – przestraszyłem się.

– Obiecałeś pomóc.

– Nie wrabiaj mnie. Obiecałem, ale nie w ten sposób!

– To najlepszy sposób. Nikt nie zauważy...

– Ale... ale czemu ja?

– Bo jesteś lżejszy i łatwiej cię podsadzić... a poza tym ja... ja nie jestem dzisiaj w najlepszej kondycji, chyba zauważyłeś...

– No... niby tak... ale...

– Proszę cię... Wituś, bądź kolegą, zrób to dla mnie – Jacek jęknął błagalnie. Miał oczy nieszczęśliwej małpki.

– Chyba pakujesz mnie w nowe kłopoty, ale zrobię to dla ciebie ostatni raz... Pamiętaj, ostatni raz! – westchnąłem ciężko.

Do pokoju Pameli dostałem się faktycznie bez problemów, ale pudełko bynajmniej nie leżało na wierzchu. Zastanawiałem się właśnie, gdzie go szukać, gdy usłyszałem za drzwiami czyjeś kroki i głosy. To pewnie Pamela z jakąś koleżanką. Co robić? Udać, że zablądziłem, przeprosić grzecznie za najście, wręczyć róże, czy dać nura pod łóżko?

Nie byłem dostatecznie odważny, stchórzyłem w ostatniej chwili i wybrałem to drugie, łatwiejsze wyjście: jak spłoszony zajęc schowałem się pod łóżkiem.

Do pokoju weszła Pamela w towarzystwie Ady. Usłyszałem skrzypienie szafy. Pamela przymierzała sukienki.

– Jak myślisz, w czym będzie mi lepiej – radziła się Ady.

– Przymierz tę złocistą, w której byłaś na pikniku w Zielone

Świątki... A to co?! – Ada wykrzyknęła zaskoczona i wyciągnęła z szafy pudełko z etykietą Johnny Walkera. Nie miałem wątpliwości, to było to cholerne pudełko, o które nam chodziło. Ada oglądała je ciekawie.

– Ach ty, cwaniuro! To takie z ciebie ziółko? Chowasz w szafie

whisky?

– To nie whisky – odparła Pamela przeglądając się w lustrze – to ma być prezent od Jacka Pająka. Żeby było śmieszniej, znasz Jacka, wsadził do pudełka po butelce szkockiej. Zostawił mi to, jak jechał do Radomia i zakazał rozpakować przed bankietem.

Ma

tam

być

coś

niespodziewanego...

– Nie zaglądałaś?

– Nie.

– Zajrzymy teraz?

– Daj spokój, przecież przyrzekłam Jackowi...

– Nie dowie się, a ja konam z ciekawości – Ada urwała bo rozległo się grube szczekanie i do pokoju wpadły dwa ogromne psiury Drab i Mojra.

Miałem nieprzyjemność je poznać parę dni temu.

– A wy dokąd? – krzyknęła Pamela. – O, Boże, Ada, zobacz co

Mojra ma w pysku... chyba szczura!

– To nie szczur, uspokój się! To ucho świńskie. Musiała ukraść z

kuchni, wstrętne psisko! Puszczaj zaraz! – Ada zaczęła siłować się z

Mojrą. – No, oddaj mówię!

Ale Mojra nie dała sobie odebrać ucha i położyła je przed Pamelą.

Wpatrując się w nią w uwielbieniu i machając ogonem szczyrzyła zęby w psim uśmiechu, jakby chciała powiedzieć "zobacz co ci przyniosłam" i oczekiwała pochwały.

Już myślałem, że na tym skończy się przedstawienie i moje

bezprawne wtargnięcie ujdzie mi na sucho, gdy nagle ten drugi psiur,

Drab, zwęszył obcy zapach w pokoju. Zrobił małą rundkę z nosem przy

podłodze i bezbłędnie odkrył moją kryjówkę. Zawarczał bojowo, po

czym dzielnie capnął zębiskami moje sfatygowane dżinsowe spodnie.

Wiedziałem, że ma niecny zamiar ściągnąć je ze mnie. Oczywiście, nie

mogłem na to pozwolić i przez chwilę obaj siłowaliśmy się zajadle.

Nagle rozległ się trzask rozdieranego materiału, a ja z przerażeniem

stwierdziłem, że bestia urwała mi większą część lewej nogawki.

Uradowana łupem zaczęła biegać po pokoju ze smutnym kawałkiem

moich spodni w pysku.

– A to co znowu?! – wykrzyknęła zdumiona Pamela. – Drab, skąd ty

wziąłeś ten łachman?

W odpowiedzi Drab ustawił się przed łóżkiem i zaczął szczebrać z

oczami wlepionymi w podłogę.

– Ada – wykrztusiła Pamela. – Mam straszne podejrzenie! Tam...

tam... ktoś siedzi pod łóżkiem.

– Oszalałaś?

– Zobacz sama!

Ada zajrzała na kolanach.

– Jezus, jakiś typ!

– Mężczyzna? – wyjąkała Pamela.

– Chyba tak.

– Młody.

– Tak, to jakiś małolat z kotyliem.

– Z kotyliem? Nie wierzę!

Przerażony ujrzałem twarz Pameli. Zaglądała z drugiej strony.

– Wyłaż, smarkaczu! – wysapała. – No, ruszaj się, bo wyciągniemy cię za uszy.

Nie bardzo się kwapiłem, więc dobrały się do mnie i wydobyły mnie siłą spod łóżka, demonstrując niespodziewaną jak na dziewczyny kondycję.

– To ten kolega Jacka! – wytrzeszczyła oczy Pamela. – Skąd się tu wziąłeś, jak tutaj wszedłeś?! – zasypała mnie pytaniami.

– Ja... ja właśnie z kwiatami do ciebie – wybelkotałem gramoląc się z podłogi.

– Z kwiatami? Pięknie, ale co, u licha, robieś pod moim łóżkiem? To miał być jakiś dowcip, czy co?

Próbowałem wyjaśnić i wręczyć jej różę, lecz ten psiur Drab niespodziewanie rzucił się na mnie. Może chciał tylko pobawić się ze mną, ale jak mogłem odgadnąć jego psie intencje? Cofnąłem się dość niefortunnie, bo nastąpiłem na uślinione przez Mojrę świńskie ucho.

Poślizgnąłem się i wyłożyłem jak długi na wznak razem z moimi różami.

Zawstydzony chciałem od razu zerwać się z podłogi, niestety, ten psiur Drab był szybszy; uznał, że pozycja, w jakiej się znalazłem, to zachęta do szampańskiej zabawy i rozochocony skoczył na mnie... Skoczył i... zaraz zaskowyczał boleśnie, po czym sromotnie na trzech łapach zrejterował z podkulonym ogonem do Pameli. Od razu zrozumiałem, co się stało. Bydlak nadział się na kolce róż z bukietu, który wciąż ścisakałem w ręce.

– Mój biedny piesek! – wykrzyknęła Pamela. – Co mu zrobiłeś, ty brutalu?!

– Ja nic... Pamelu – wykrztusiłem podnosząc się obolały ze szczątkiem tego, co kiedyś było dumnym bukietem – pozwól, że wytłumaczę ci po kolei...

– Nie chcę słuchać żadnych tłumaczeń!

– Błagam...

– Dla arogancji nie ma żadnych wymówek! – ucięła krótko i pogłaskała psiurę z ostentacyjną czułością. – Chodź, Drabusiu, obejrzymy ci łapę.

Ktoś gwałtownie zastukał do drzwi. Do pokoju wsadził rudy łeb atletyczny chłopak w czarnej marynarce z kotylionem na ramieniu. Miał wylupiaсте oczy i przylepiony do ust obleśny uśmieszek. Co za niesympatyczny Wiewiór – pomyślałem.

– Nie jesteś jeszcze gotowa? Wszyscy czekają, Pam – oznajmił tonem nagany. – Co to za gnypek? – zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

– To nieproszony gość – wyjaśniła Ada. – Zakradł się do pokoju

*Pameli. Wyobraź sobie, Maciek, nakryliśmy go zaczajonego pod
łóżkiem.*

– Pod łóżkiem?! – wybaluszył oczy rudzielec. – Co za bezczelność!

Złodziej?

– Raczej podglądacz.

– Obłeśny typ! Niech mu się przyjrzę – Mateusz zajrzał mi w oczy. –

My się chyba skądś znamy?

– Nie sądzę – cofnąłem się. – Przepraszam za wszystko, już się

wynoszę – wybelkotałem.

Zrobiłem szybki krok do drzwi i nieznacznym ruchem chciałem

sprytnie zgarnąć ze stołu to cholerne pudełko Artura, ale Ada, która

śledziła bystro każdy mój ruch, była o ułamek sekundy szybsza i

pierwsza położyła rączkę na pomyłonym prezencie.

– Zostaw, to nie twoje! No, no, koleś, to ty jednak jesteś lepki!

Trzymaj go, Maciek. Bóg jeden wie, co już zwędził. Warto obszukać mu

kieszenie.

Pomyślałem, że moje sprawy poszły zdecydowanie w złym kierunku,

gorzej już pójść nie mogły. Wyjaśnienia nic tu nie pomogą, więc nawet

nie próbowałem wyjaśniać i jedyne, co mi pozostało, to ucieczka.

Rzuciłem się więc do ucieczki. Sądziłem, że przez najbliższe drzwi

wydostanę się łatwo na ogród, ale okazało się, że prowadzą one prosto

do pełnej gości sali bankietowej motelu. Przyhamowałem gwałtownie.

Wydawało mi się, że wszyscy na mnie patrzą, bo muszę wyglądać

śmiesznie w tych spodniach z oberwaną nogawką, ale z ulgą stwierdziłem, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. W tym potwornym ścisku trudno było dostrzec, jak naprawdę prezentują się moje spodnie, zresztą wszyscy byli zajęci ożywioną konwersacją.

Prawdziwe niebezpieczeństwo groziło mi natomiast ze strony obu dziewcząt i rudego Wiewióra, Mateusza. Obejrzałem się. W drzwiach zauważyłem Adę. Baczynym wzrokiem lustrowała salę. Przykurczyłem się i, wmieszany w ciżbę, zacząłem pomału przeciskać się w stronę wyjścia. Niestety, po paru krokach nogi wrosły mi w podłogę. W drzwiach wyjściowych stał Mateusz i dwu wyrostków z kijami golfowymi. Drogę miałem odciętą. Co robić? Przykurczyłem się jeszcze bardziej i schowałem za wielką żardinierę z fikusami i bujnymi filodendronami. Moje spocone czoło przyjemnie chłodził rześki powiew. Zauważyłem po drugiej stronie salonu otwarte okno i odetchnąłem nieco. "Tamtędy ucieknę – pomyślałem. – Niech tylko towarzystwo rozluźni się trochę po szampanie, a te draby z kijami przestaną być tacy czujni."

Nagle gruchnęły rześiste oklaski i zabrzmiało chóralne "sto lat" lekko tylko sfalszowane przez mniej trzeźwych gości. To na salę weszła Pamela wystrojona w czarną przetykaną srebrną nicią długą suknię. Na głowie miała diadem z brylantów i czerwonych rubinów (prawdziwych?), na szyi także kolia.

Rzeczywiście, można było uwierzyć, że to prawdziwa księżniczka na Otargańcach! Rozglądała się z uśmiechem po sali. Szukała wzrokiem

Jacka?

Za nią Ada z małym tłustawym, nieco podpitym bubkiem z gatunku korniszonów wniosła duży wiklinowy kosz z prezentami. Gdy pieśń i oklaski ucichły, Ada zaczęła wydobywać prezenty z kosza i informować, co od kogo solenizantka dostała, korniszon zaś dołączał do tego swoje przyglupie komentarze.

Niespodziewanie dla mnie jako trzeci z kolei podarek Ada wyciągnęła "naszego" Johnny Walkera. Chciałem interweniować, ale nerwy mi puściły i głos uwiązł mi w gardle.

– To prezent od Jacka Pająka – Ada zademonstrowała gościom pudełko. – Czy jest tu Jacek? – zapytała.

– Pająk odezwij się! – pisnął korniszon. – Hej, czy ktoś widział

Pająka z Głupkowa?

Łobuz zaczął sobie pozwalać na niewybredne dowcipasy pod adresem Jacusia, a sala reagowała obleśnym rechotem; niezbyt tu lubiano mojego przyjaciela Pampersa.

– Nie ma Pająka – ciągnął podochocony korniszon. – Zniknął nasz wielki hurtownik i detalista, za to zostawił tajemnicze pudełko. Co tam może być, proszę gości? Nasza solenizantka zapowiedziała: żadnych alkoholi, a co my tu widzimy? My tu widzimy Johnny Walkera! Pytanie stoi: czy koleś Pająk wypina się na życzenie naszej księżniczki, czy to koledze Pająkowi wisi, czy też... Proszę nie robić paniki, ale mam złe przeczucia, powiem szczerze: Ja się boję tego pudełka. Nasz gość z Wariatkowa to regularny szajbus! Mógł tam wsadzić coś strasznego...

coś groźnego!

– Zamknij się, Bubko, głupstwa pleciesz! – fuknęła na niego Ada. –

Nie strasz gości!

– Nie otwierać tego pudełka! – Bubko zapalał się coraz bardziej. –

Niech Pająk sam otworzy! To może być pułapka! On ma uraz na punkcie

Pameli i Paca...

– Przestań, głupi! Zabierzcie go stąd! – Ada krzyknęła do

ochroniarzy. – Upił się i pajacuje!

Ochroniarze rzucili się na Bubkę, próbowali go uciszyć i

wyprowadzić, ale on darł się coraz głośniej:

– Nie otwierać tego pudełka! Tam jest bomba, Pamelo, nie pozwól

im... ona może wybuchnąć w każdej chwili! Trzymaj się z daleka...

księżniczko! To bomba, to bomba, Pamelo!

Wpatrywałem się w nieszczęsne pudełko. Nie mogłem oderwać od

niego oczu. Hipnotyzowało mnie... i nagle coś się ze mną dziwnego

stało. Może po tych upokorzeniach i klęskach miałem potrzebę

odegrania się i zrobienia czegoś bezczelnego... Tak, to była potrzeba

spektakularnego popisu! Musiałem przemóc strach! Przekonać samego

siebie, że nie jestem tchórzem. I opętała mnie jedna nieprzeparta myśl:

gwizdnąć na oczach wszystkich to pudełko ze stołu!

Akurat rozgległy się dźwięki myśliwskich rogów i pojawiły się

uśmiechnięte kelnerki ciągnąc kartony z butelkami szampana, a za nimi

dwu kuchcików wniosło na wielkich srebrnych półmiskach pieczone

prosiątka, każde z pomidorem w zębach.

Ten apetyczny widok zaabsorbował gości i na moment odwrócił ich uwagę od bomby w pudełku. Skorzystałem z tego natychmiast.

Dopadłem do stołu i porwałem fatalny prezent.

Zagapione towarzystwo dopiero po chwili pojęło, co się stało.

Nastąpiła ogólna konsternacja, ale nikt się nie ruszył. Uwierzyli w gadanie Bubki? Czekali, aż mi pudełko wybuchnie w rękach? Bardzo możliwe. Dopiero, gdy zobaczyli, że nic mi się nie stało, podniósł się krzyk i rwetes, okrzyki oburzenia, piski dziewczyn:

– Złodziej w salonie!

– Ukradł prezent!

– Łapać łobuza!

Ale ja byłem już przy oknie i ucieczka zapowiadała się pomyślnie, niestety nie uwzględniłem jednego czynnika. Czynnikiem ten nazywał się Pac-Regulski, tubylczy adorator Pameli numer jeden. Był to osobnik o wyglądzie goryla afrykańskiego, który na bańce będąc spadł z gałęzi i poturbował się nieco. Dręczony czkawką stał tam żując, z zabandażowaną głową i z plastrem na gębie, pewnie trzeźwił się świeżym powietrzem, ale był wystarczająco przytomny, żeby mi zatrzaskać okno przed nosem.

– Pozwól, kolego – nie zaprzestając żucia wyjął mi spokojnie pudełko z rąk i poklepał mnie przyjacielsko, co mnie ostatecznie zdeprymowało.

– Dobry byleś, obserwowałem cię. Lubię szurniętych facetów, a z ciebie szajbus nielichy!

Ale nie wszyscy byli tak łagodnie usposobieni jak ten goryl. Od razu

wyrósł przy mnie z okrutnym uśmieszkiem Wiewiór.

– Jak Boga, patrzcie, to znowu ten bezczelny szczył. Ten sam menel, któregośmy przyskrzynili pod łóżkiem Pameli.

– E tam, jaki z niego menel – ktoś zareplikował. – To pijaczek małolat. Suszyło szczeniaka i chciał sobie chłopiec popróbować whisky.

– Wcześniej zaczynasz, chłopczyku! Źle skończysz! W jakimś rowie – posypały się uwagi.

– Dać nauczkę smarkaczowi! – Znow nad wrzawą zagórował głos rudego Wiewióra. – Na dwór z nim!

– Tak jest – poparły go głosy z tyłu. – Spuścić mu lanie!

– Zerznąć skórę!

– Wziąć go w dwa kije!

– Oćwiczyć łebka!

Zrozumiałem, że to nie przelewki i faceci mogą mi dać łupnia jak się patrzy, ale na szczęście wmieszła się Ada.

– Zostawcie go! To chory człowiek – spojrzała na mnie z politowaniem i puknęła się w głowę. – Brakuje mu tutaj piątej kleпки.

– To się nazywa klepkomania – wyjaśnił z powagą Wiewiór.

– Niby od kleпки?

– Tak to objaśnił jeden redaktor w telewizji.

– Nie mąć młodzieży w główce. Źle usłyszałeś – powiedział żując

Pac-Regulski. – Naprawdę to się nazywa kleptomania. Chłopiec ma takie zboczenie, że jak mu coś wpadnie w oko, nie może wytrzymać i kradnie.

– Ciekawe, że mu spadł akurat wysokoprocentowy napój –

zauważył zgryźliwie Wiewiór. – Główka u niego pracuje, klepkoman nie klepkoman, to niebezpieczny facet, ale ja mam sposób na takich facetów! Bierzemy go za uszy, panowie! Na dwór z nim! Zrobię mu mały zabieg i w trymiga go wyleczę!

Nie miałem ochoty poddać się "zabiegowi" Wiewióra i przezornie zacząłem przepychać się do wyjścia, ale dwu roślących pacholków przy drzwiach chwyciło mnie pod ręce i wyostałem się na dwór już w takiej niemilej asyście. Tam przekazano mnie w łapy Mateusza, który z wyraźną satysfakcją zaaplikował mi dwa ciosy pięścią, jeden w szczękę, drugi w żołądek. Zwinąłem się z bolesnym jękiem i na parę chwil zamroczyło mnie.

Oprzytomniałem pod wpływem rozrywającego mi pierś kaszlu.

Ostra woń jakiegoś podłego trunku nieznośnie wierciła mój nos.

Przetarłem oczy. Jacek kuczał przy mnie i wlewał mi w usta palącą ciecz...

– Przestań – usiadłem krztuszając się. – To są archaiczne metody od pana Zagłoby! Można się udusić przez zachłyśnięcie.

– A jednak ci pomogło, skoro zaczynasz się mądrzyć – warknął

Jacek. – Wspaniale się spisaleś! Na medal z krowiego łajna! Już gorzej nie można było położyć tej sprawy! Co mi strzeliło do głowy, żeby powierzyć ci tak delikatną misję? Mogłem przewidzieć, że sknocisz. I co ja teraz zrobię?

– To przez te psiury – wybelkotałem. – Nie uprzedziłeś mnie, że tam

będą grasować te bestie. Byłem o krok od sukcesu, gdy wpadły do pokoju... Ale mam nauczkę. Mogłem nie ulegać twoim żebraczym skomleniom, a uległem, choć przysięgałem sobie... Przez ciebie straciłem spodnie! Zostałem upokorzony, ośmieszony i pobity...

– Ty?! – Jacek skrzywił się gorzko. – Niewiele ci to zaszkodzi.

Naprawdę ośmieszony i skompromitowany będę ja! Zmarnowałeś taką sposobność... taką świetną szansę...

– To ty ją teraz marnujesz – odpaliłem. – Pamela jeszcze nie otworzyła pudełka. Jakbyś był mądry to zamiast wydziwiać i tracić czas, pobiegłbyś prędko po pumy i wręczył jej jako prezent, zanim rozpakuje to pomyłone Arturowe pudełko i zobaczy, co jest w środku, ale ty jesteś głupek.

– Oberwiesz, Lord! – zasapał dotknięty Jacek. – Zobaczysz, oberwiesz za wszystko! – syknął przez zęby, ale pobiegł do wozu.

Na sznurach pod płotem suszyły się uprane różne ścierki, stare fartuchy i inne łachy, a między nimi jakieś pupiaste dzinsy. Nie namyślając się wiele, ściągnąłem je ze sznura. Były na mnie za duże, ale nie miałem wyboru, nadziałem je na te zniszczone, które miałem na sobie i mocno ścisnąłem paskiem, żeby nie opadły ze mnie.

Przez małą chwilę zastanawiałem się, co mam robić w zaistniałej sytuacji. Wstyd mi przyznać, zapewne świadczy to o mojej niedojrzałości, ale zwyciężyła po prostu szczeniacka ciekawość, jak dalej potoczyły się sprawy, czy Pamela otworzyła już fatalne pudełko, co w nim było i czy sprawdził się pogląd Jacka o małpiej złośliwości

Artura.

Rozglądając się ostrożnie, czy Wiewiór ze swoimi pacholkami nie czai się gdzieś w pobliżu, wróciłem bezczelnie do sali jak natrętna mucha. Tu już wokół prezentu Jacka wytworzyła się atmosfera sensacji.

Podeksytowane towarzystwo czekało z ciekawością na otwarcie pudełka, ale Pamela grając na nerwach gości jakoś nie kwapiła się do jego rozpakowania.

– Prędeż, Pam, na miłość boską, na co czekasz, otwieraj! – zaczęły się podnosić zniecierpliwione głosy. – Śmiało, księżniczko! Pokaż, co jest w środku! No, nie wyglupiaj się, Pam!

Głosy przybierały na sile. Pamela zawahała się!

– Pamelo, nie otwieraj! – krzyknąłem rozpaczliwie. – To nie miał być prezent dla ciebie, to pomyłka, dostaniesz inny, Jacek ci zaraz przyniesie – bełkotałem, ale na nic to się zdało, zagłuszyli mnie, nie sposób było ich przekrzyczeć. Z niepokojem zobaczyłem, że Pamela oddaje w ręce Ady fatalne pudełko.

– Rozpakuj Ado!

Gwar ucichł. Wszyscy patrzyli, jak Ada rozwiązuje błękitną wstążkę.

Robiła to bardzo wolno, wyraźnie bawiła się sytuacją. Wreszcie

teatralnym ruchem prestidigitatora wsadziła rękę do pudełka i

zaskoczona, wyciągnęła... jakiś podłużny przedmiot. Towarzystwo

wytrzeszczyło oczy, ja też zdębiałem, bo to był... stary oblepiony mąką

walek do ciasta!

Ktoś parsknął śmiechem, parę osób zawyło z zawodem: "uuu"!, ale

reszta gości milczała zażenowana. Było jasne, że tego rodzaju żarty nie są tu dobrze widziane. Pamela przygryzła wargi. Jej też chyba nie ubawił ten podarek.

Po chwili oszołomienia posypały się ostre komentarze:

– Ale wysilił się!

– Ciężki dowcip!

– To po prostu niesmaczne!

– A co? Nie mówiłem? Chciał dogryźć Pameli – sapał podniecony

Bubko. – Na wszelki wypadek z daleka od tego przedmiotu. To może być

bomba w kształcie wałka. Zobaczymy, czy ma zapalnik... pozwól, Ado –

zbadaj uważnie wałek, a potem zajrzyj do pudełka. – Zapalnika nie ma

– oświadczył z rozczarowaniem – ale jest to! – wyciągnął z pudełka nie

zaklejoną kopertę.

– List?! – zaskoczona Ada wyrwała mu ją z ręki. – Chcesz przeczytać,

Pamelo?

Pamela potrząsnęła głową.

– Nie. Ty przeczytaj!

Ada poprawiła okulary na nosie i zaczęła dukać:

"Moja ko-kochana, wybrałem dla ciebie prezent skromny – ale

praktyczny, w sam raz na miarę twoich ambicji i zainteresowań..."

Ada przerwała i chrząknęła zakłopotana.

– Mam czytać dalej?

– Czytaj! – rzekła wciąż jeszcze spokojnie Pamela, choć na jej

bladych policzkach wykwitły purpurowe rumieńce.

"Sądzę – dukała dalej Ada – że wypróbujesz ten u-użyteczny

*przedmiot nie tylko na stolnicy w kuchni, ale również na zakutym łbie
swojego nowego kochasia fatyganta o uroku goryla (ach ten nieodparty
goryli czar!). Zrób to jak najprędzej, póki jeszcze trzyma się na nogach,
bo ten twój nowy ga-galopant, a mówiąc po prostu i dosadnie twój..."*

Ada urwała w tym miejscu wzburzona.

– Nie! Nie będę tego dalej czytać! To świństwo! To zwykłe chamstwo!

*– Pokaż! – Pamela przebiegła wzrokiem kartkę. Nerwowo
przygryzła wargi, w jej oczach zabłyśły łzy.*

*Wszyscy patrzyli na nią i na Paca-Regulskiego, który stał dziwnie
ostupiały, przestał żuć i wybałuszył oczy. Uplynęła dłuższa chwila
zanim dotarło do jego świadomości, że słowa o gorylu fatygancie mogą
być wymierzone pod jego adresem.*

*– Łajdak! – wysapał wreszcie. – Cholerny miglanc! Dam mu po
mordzie tym wałkiem, jak Boga pragnę! – pochwycił wałek i zaczął nim
wymachiwać. – Gdzie się kryjesz, Pająk? Pokaż się, łotrze!*

*Jakby w odpowiedzi ktoś stanął w drzwiach, ale to nie był Jacek
Pająk, to był jeden z pacholków ochrony, ten, który mnie dusił. Jego
twarz była nienaturalnie blada i jeszcze bardziej księżycowa niż
przedtem, w oczach miał obłęd. Próbował coś wykrztusić, ale język
uwiązł mu w gardle, zrobił dwa kroki i na oczach ostupiałych gości
runął jak kłoda na podłogę. Nim wszyscy zdążyli ochłonąć, przyczółgał
się na czworakach jak zwierzę drugi z ochrony, ten z wygolonym łbem,
też w ogólnie oplakany stanie... Za nim przywlókł się Wiewiór.*

Wyglądał jeszcze bardziej koszmarnie niż tamci. Cała twarz i odświętny garnitur utyłane w błocie, lewo oko podbite na czarno, zapadłe i zupełnie niewidoczne pod opuchlizną, za to prawe – przeciwnie, dziwnie wylupiaste, jakieś wysadzone, jakby miało za chwilę wyskoczyć z powieki, a do tego czerwone jak u królika. Łypał nim upiornie jak cyklop. Chyba od fatalnego ciosu w czaszkę dostał zawrotów głowy. Miał kłopoty z zachowaniem równowagi, bo zataczał się jak pijany i desperacko rozglądał za jakimś punktem oparcia. Uwagę jego zwróciła solidna sylwetka Paca. Skwapliwie oblał go oburącz i jak dziecko do matki chciał się przytulić do jego szerokiej piersi, ale Pac, zde gustowany, zdzielił go bezlitośnie wałkiem. Niewiele to pomogło. Wiewiór, półprzytomny, dalej lepił się uparcie, a gdy Pac próbował oderwać natręta od siebie, ten w rozpaczliwym chwycie ucze pił się jego bandaża i zaczął ściągać mu z głowy.

– Mój bandaż! – zajęczał goryl łapiąc się za łepetynę. – Puszczaj, ty gadzie!

Krzywiąc się z bólu usiłował wyrwać bandaż Mateuszowi, ale ten ani myślał puścić. Zaczęła się gwałtowna szamotanina...

Goście patrzyli oszołomieni na to widowisko. Doprawdy nie wiadomo było, śmiać się, oburzać czy płakać. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: czego jak czego, ale sensacji na pewno nie brakowało na tych nieszczęsnych urodzinach! Z tym, że kulminacyjny punkt miał dopiero teraz nastąpić. Oto bowiem z pudełkiem pod pachą na scenę wkroczył mój niezrównany Jacuś, wprowadzie z nosem nabrzmiiałym jak

bania, ale zwycięsko i dumnie. Już odzyskał równowagę psychiczną,

kryzys minął, znów był w szampańskim nastroju. Ot, cały Jacuś!

– Czy to ty ich tak załatwiłeś? – wskazałem na Mateusza i jego pacholków.

– Nie chcieli mnie wpuścić, bydlaki, musiałem uciec się do małej perswazji. Rudego poczęstowałem pięścią, a tych pętaków – gazem...

– Uważaj! – krzyknąłem, bo spostrzegłem kątem oka, że Pac zdołał wreszcie uwolnić się od Mateusza; z krwawiącą głową bez opatrunku i bandaża, ale tym bardziej rozwścieczony doskoczył do nas i zamierzył się walkiem. Szczęśliwie byłem o ułamek sekundy szybszy, pociągnąłem gwałtownie Jacka do siebie, wałek chybił o milimetry, a Pac siłą rozpędu wpakował się w oszklone drzwi druzgocząc je dość dokładnie; wałek potoczył się aż do stóp Pameli, która zastygła z przerażeniem w oczach.

Rozsierdzony goryl strząsnął z siebie okruchy szkła i zerwał się ze zwierzęcym rykiem z podłogi, ale Jacek zapobiegawczo zaprawił go z miejsca lewym sierpowym i posłał z powrotem na deski, widząc zaś, że twardej wciąż jeszcze nie ma dość i, uparcie nie dając za wygraną, próbuje gramolić się z upadku, chciał poprawić prawym prostym, lecz powstrzymała go Pamela.

– Co ty wyprawiasz, Jacek! – zasłoniła Paca. – Zostaw go, ty brutalu! Nie widzisz, że to ranny człowiek? Wczoraj narażał dla mnie życie i odniósł poważne obrażenia, gdy bronił mnie przed oprychami, którzy mnie zaczepili przed bramą... Jak mogłeś go tak urządzić!

– Ależ, Pamelo, sama byłaś świadkiem, ten goryl zaatakował mnie walkiem zupełnie bez powodu, jakby się urwał prosto z małpiego drzewa! Kuchennym walkiem... Czysta humorystyka! Skąd u niego ten walek?

– Nie wiesz? – Pamela przygryzła wargi.

– Co mam wiedzieć? Wiem, że zaprosiłaś tu różnych gnojków, o manierach troglodytów, co wilkiem patrzę na mnie... Jestem tu dzisiaj od początku szykanowany i znieważany... Pięć minut temu jakieś łapserdaki z kijami golfowymi rzuciły się na mnie przy wejściu i zerwały mój kotylion...

– To faktycznie przykre – powiedziała Pamela – ale widzę, że świetnie sobie poradziłeś. – Popatrzyła wzburzona na pacholków ochrony wyciągniętych na podłozie i rudego Wiewióra, który usiłował utrzymać równowagę chwytając się wielkiego figusa w donicy przy żardynierze.

– Nie chcieli mnie tu wpuścić – sapał Jacek – to przez nich się spóźniłem i nie mogłem cię uprzedzić co do prezentu...

Na wzmiankę o prezencie twarz Pameli stężała. Spiorunowała Jacka wzrokiem. Myślałem, że wybuchnie, ale opanowała się próbując ukryć swe wzburzenie pod maską ironii.

– Och, twój prezent był bez zarzutu, wyjątkowo dobrze dobrany. W sam raz dla takiej głupiej dziewczyny jak ja. Naprawdę nie spodziewałam się od ciebie tak stosownego prezentu – w jej oczach stanęły łzy.

– W tym pudełku był walek do ciasta – szepnąłem do Jacka.

– Walek? – jęknął Jacek.

– Właśnie nim zaatakował cię ten goryl.

– O, do licha – Jacek miał szczerze nieszczęśliwą minę. –

Przepraszam cię, Pamelu, zaszła tu przykra pomyłka. To... to po prostu

głupi żart Artura Saledy. Ja... ja nie dałem ci jeszcze prezentu...

– Nie dałeś? A to?! – Pameia podniosła walek. – I to?! – kopnęła

pudełko po whisky.

– To nie było dla ciebie... pomyliłem paczki. Ja zaraz ci wszystko

wyjaśnię...

– To zbędne – przerwała – już wyjaśniłeś dokładnie w liście.

– W jakim liście?

– W tym! – potrząsnęła kartką. – Możesz być z siebie dumny. Jeśli to

miał być jeden z tych dowcipów, w których celujesz, to udał się

znakomicie.

– Pamelu, uwierz mi, ja naprawdę nie chciałem i bardzo cię

przepraszam, że tak głupio wyszło...

– Ależ nie masz za co. To bardzo użyteczny przedmiot, jak słusznie

napisaleś. I zgodnie z twoją radą, zaraz go wypróbuję... – zaczęła

okładać walekiem zaskoczonego Jacka.

Biedak cofał się przerażony, a towarzyszył mu śmiech i oklaski

rozbawionego towarzystwa.

– Brawo, Pam! – podjudzali Pamelę. – Dołóż mu, picusiowi! W

nochal go! W lewe ucho! Odechce mu się stroić głupie żarty!

Robiło się gorąco i... niebezpiecznie. Popatrzyłem po rozochoconych twarzach. Większość chłopaków wprost rwała się do bójki. Krąg wokół nas zacieśniał się. Ktoś kopnął mnie w gołeń, ktoś dał Jackowi stójkę w bok, ktoś go popchnął...

– Nic tu po nas – pociągnęłam nerwowo Jacka. – Spadamy! Szybko do wyjścia!

Ale on zachował się zgoła nierozważnie, zupełnie jakby mu rozum odebrało. Miał obrazić się na Pamelę za to skandaliczne tłuczenie wałkiem, miał wypiąć się na nieprzyjazne towarzystwo i opuścić z godnością bankiet, nieszczęśnik, choć był już pod drzwiami, ruszył z powrotem jak ćma do ognia do Pameli i próbował ratować sytuację... pumami.

– Pamelo, proszę – jęczał zasłaniając ręką głowę przed ciosami wałka – przestań, choć na chwilę i zobacz, co mam w tym pudełku! To jest ten prawdziwy prezent dla ciebie, przywiozłem prosto z Radomia... Na pewno ci się spodoba! To firma światowej sławy. Weź, przymierz! Specjalnie dobrane dla ciebie! – drżącą ręką otworzył pudełko.

Obserwowałam z niesmakiem tę scenę. Te roztrzęsione dłonie, ten łamiący się głos, ten żebraczy bełkot... Odrażający przykład degrengolady młodego handlowca! A tak dobrze się zapowiadał... Oto, co potrafią zrobić z zakochanego biznesmena dziewczyny!

A jednak ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że był to jakiś sposób. Przynajmniej na Pamelę. Zawahała się i nie mogła powstrzymać od rzucenia okiem na zawartość pudełka, a z tą chwilą sprawa była

przesądzona, bo pumy faktycznie robiły wrażenie.

– To naprawdę dla mnie? – głos jej złagodniał.

– Dla ciebie, kochana!

Pamela wyjęła jeden but i oglądała z widocznym zadowoleniem.

Spojrzała na Jacka. Biedak otarł pot z szyi i odetchnął z ulgą jak zawodnik po ciężkim, lecz pomyślnym boju; wszystko wskazywało, że tamta nieszczęsna gafa zostanie mu wybaczona, lecz oto stała się rzecz zupełnie nieprawdopodobna! Pamela obejrzawszy but już miała odłożyć go z powrotem do pudełka, gdy nagle, jakby czymś tknięta, wyjęła drugi, przymierzyła do pierwszego i poczerwieniła z gniewu.

– No, nie! Tego już za wiele! – spiorunowała wzrokiem Jacka. – Mam dosyć twoich kawałów. Wcale mnie nie śmiesz!

– Co on ci znowu zrobił? – zapytała Ada.

– Masz! Zobacz! – Pamela wepchnęła jej w rękę pumy.

Ada, Jacek, cała sala – wszyscy wlepiliśmy oczy w nieszczęsne buciska... Nie, to już chyba jakaś diabelska sprawka. Te zwykowne sportowe buty miały... różną numerację. Jeden był od drugiego co najmniej pięć centymetrów krótszy. Mało tego, oba były lewe!

– Coś podobnego! – wykrzyknęła Ada.

– On chciał pokazać, że Pamela ma jedną nogę krótszą – wyjaśnił Bubko.

– Cicho, idioto – Ada odepchnęła go zirytowana. – Co ty dzisiaj wyprawiasz?! – wsiadła na osłupiałego Jacka. – Uwziąłeś się, widzę, odstawiać same niesmaczne dowcipy! Patologia umysłowa, czy zwykłe

chamstwo?!

– Ja nie rozumiem – bełkotał Jacek. – Zupełnie nie rozumiem, co się stało. Naprawdę nie mam pojęcia, wierz mi Pamelo!

– Nie... już ci za grosz nie wierzę! Za długo ci wierzyłam. Jakaż byłam głupia! Przecież to jasne jak słońce, że ty kochasz zgrywę i wszystko poświęcisz dla zgrywy! Byle kawał się udał i żeby było

śmiesznie... No i było. Czemu nikt się nie śmieje? – zwróciła się do

zebranych. – Czemu mu nie klaskacie? Klaskajcie! Przecież to takie

zabawne... boki zrywać! Nikt jeszcze nie miał podobnie wesołych

urodzin... No, śmieJCie się! – wybuchnęła płaczem i wybiegła z sali.

Jacek rzucił się za nią, ale drogę ofiarnie zagrodziła mu własną

piersiĄ Ada, tym razem w roli płomiennej obrończyni czci znieważonej przyjaciółki.

– Zostaw ją! Czy słyszałeś, co powiedziała? Ma cię dosyć! I my

wszyscy też! Popsuleś całą uroczystość! Spakuj swoje ciężkie dowcipy i

spadaj, albo wykidamy cię stąd mniej elegancko, kopniakiem w kuper!

A nie zapomnij z sobą zabrać tego szczurka kleptomana (to o mnie) –

rzuciła nam pełne wstrętu spojrzenie i odwróciła się od nas z pogardą.

Zrobiło się niebezpiecznie. Na sali narastał gniewny pomruk.

Wiedziałem, że to nie przelewki! Te prymitywy gotowe nas rozszarpać.

– Wiejmy! – pociągnąłem rozpaczliwie Jacka, ale jego zmącony

umysł nie zdawał sobie sprawy z położenia. Odepchnął Adę i zaczął

mocować się z drzwiami, za którymi zniknęła Pamela. Były zamknięte

na klucz.

– Proszę otwórz, Pamela – skomlał. Wciąż jeszcze wierzył w sens wyjaśnień i tłumaczeń... Wciąż nie chciał przyjąć do wiadomości, że to koniec...

Kilku rosnących chłopaków dopadło do niego i próbowało oderwać od klamki, a paru młodszych usiłowało dobrać się do mnie, ale ja, nie bawiąc się w bohatera, przezornie wskoczyłem na parapet i dałem dyla przez okno. Na dworze przywarłem do muru za stosem pustaków.

Nędzne to było schronienie. Bałem się, że zaraz mnie tu znajdą, ale oni nie ścigali mnie. Chyba wszyscy zajęli się Jackiem. Z sali dobiegały ryki rozbestwionych wyrostków i mrozący krew w żyłach krzyk katowanego Jacka. Raptem drzwi rozwarły się z trzaskiem i zobaczyłem biedaka wynoszonego w pozycji poziomej przez czterech pacholków. Był bezwładny i chyba nieprzytomny. Oprawcy rozkołysali go i cisnęli jak kukłę na trawnik, a zanim zatrzasnęli drzwi, wyrzucili jeszcze ten cholerny walek i nieszczęsne pumy wraz w pudełkami i wstążkami, jakby nie chcieli, by jakikolwiek ślad po nas pozostał.

Pochyliłem się nad Jackiem i obejrzałem mu głowę. Nie widać było poważniejszych obrażeń.

– Zaraz cię ocucę, stary – zamruczałem. – Posłużę się twoim i pana Zagłoby sposobem...

– O, nie! – Jacek usiadł nagle przerażony. – Nic mi nie jest.

Udawałem tylko trupa. To był fortel – usprawiedliwiał się.

– Czyżby? – wyraziłem głęboką wątpliwość. – No, to wstawaj, chłopie. Na co czekasz?

– Nie widzisz, że nie mam butów – jęknął – te łotry złośliwie

ściągnęli mi z nóg. "Ubierz się w swoje szalowe pumy – szydzili – masz ich przecież pełno w wozie". Chyba będziesz musiał faktycznie coś i przynieść z wozu, Lord. Siódemka powinna pasować...

– Sam sobie dobierz – powiedziałem.

– Nie zrobię dwu kroków bosy. Mam wrażliwe podeszwy. Bądź kolegą, Wituś i przynieś!

– Zaraz... poczekaj, tylko to pozbieram – schyliłem się, podniosłem z ziemi wałek, pumy i pudełka.

– Co robisz?! – warknął Jacek.

– Nie zostawię tego tak... – mruknąłem. – Buty będziemy reklamować, a wałek... no cóż, wałek dostarczymy adresatce... daliśmy słowo Arturowi...

– Daj spokój, bez listu to już nie ma sensu.

Pominąłem milczeniem tę uwagę, pogwizdując wsadziłem wałek i pumy do pudełek i przewiązałem dla pucu wstążką.

Jacek przyglądał się tym czynnościom z ponurą miną.

– Ty się drażnisz ze mną, Mucha – wysapał – ja cierpię, a ty sobie żarty stroisz!

– Tylko zimna krew i szczypta humoru może nas uratować – oświadczyłem. – Take it easy! Cheer up! Jak mówią Angole.

– Mnie nic nie uratuje – zajęczał płaczliwie. – Ona powiedziała: To już koniec! – Słyszysz?! Bawią się, szubrawcy, jak gdyby nigdy nic.

Wesoło im!

*Istotnie, z lustrzanej sali bankietów na nowo zaczęły dochodzić
podniecające dźwięki rocka, śmiech i głosy rozhukanej młodzieży.*

Faktycznie

przykro

było

uświadomić

sobie,

że

po

naszym

*dramatycznym wyjściu nie zrobiła się dziura w niebie, ani nawet w
suficie i życie toczy się dalej.*

*– Nie załamuj się – mruknąłem. – Jeszcze kiedyś będziesz wdzięczny
losowi, że ci się dzisiaj sprzeciwił i pomieszał ci szyki...*

*– A to niby dlaczego? Bądź łaskaw wyrażać się jaśniej. Pijesz do
Pameli? Sprecyzuj, proszę! – nalegał agresywnie.*

*Ale ja wzruszyłem tylko ramionami. Akurat, będę precyzował! I tak
za dużo mi się wysnęło. Wiedziałem, do czego może doprowadzić
dyskusja z Jacusiem w jego obecnym stanie.*

– No, co tak zatkało cię nagle? – zawarczał.

*– Potem porozmawiamy. Najpierw przyniosę ci jakieś fajne pumy z
wozu – powiedziałem. – Od razu ci się samopoczucie poprawi.*

*– Zaczekaj – zatrzymał mnie. – Powiedziała "wszystko skończone" –
powtórzył jękliwie. – Skończone zanim się na dobre zaczęło! I co ja teraz*

zrobię? – Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w okna motelu.

– Nic nie zrobisz – odparłem. – Gwiżdż na nich. Trzeba wznieść się ponad poziom tych szakali i odjechać z godnością!

– No, no, nie bądź taki lord, Mucha. Nie mogę tego tak zostawić.

Muszę to jakoś załatwić.

– Teraz nic nie załatwisz...

– Ale Pamela...

– Nie ma tam już Pameli – przerwałem ostro. – W tej chwili jest tam rozszoszczona puma, lub, jeśli wolisz zwierzątko afrykańskie, pantera!

Nie czeka nas już tam nic przyjemnego...

– Ale zrozum...

– Rozumiem i wiem, co czujesz. Zadrapała cię mocno w samo serce, ale dzisiaj już nic nie wskórasz. Może jutro jej przejdzie. Inna rzecz, że na twoim miejscu w ogóle wybiłbym ją sobie z głowy!

Jacek zesztyniał osłupiały.

– Co?! Wybić z głowy Pamelę?

– Właśnie! Ona ciebie nie kocha – rzekłem ostro.

– Co?! Jak śmiesz!... – Jacek zjeżył się.

– Nie bądź głupkiem żołądnym. "Kto kocha, ten ufa" – przytoczyłem ulubione powiedzonko taty, gdy matka podawała w wątpliwość sens jego operacji finansowych. – Niestety, stary, chyba widzisz sam, w postępowaniu Pameli nie ma ufności.

– Ty, znawca, ile ty masz lat? – zadrwił Jacek.

Przeszedłem do porządku dziennego nad tą nietaktowną uwagą i

wywalilem mu prawde przed nos:

– Gdyby Pamela cie naprawde kochala, to by sie starala zrozumiec, zamiast obrazac sie, powinna uwierzyc, ze po prostu zaszla pomylka, ze chciales ja naprawic, ale miales pecha, coz, nieszczescia chodza parami.

Naprawde rowna dziewczyna rozesmialaby sie z tej calej historii, a w kazdym razie dalaby sobie spokojnie wytlumaczyc, tymczasem Pamela zachowala sie jak znerwicowana smarkula z kompleksami, ktorej sie zdaje, ze wszyscy tylko czyhaja, zeby ja osmieszyc.

– Przestań – warknął. – Co ty wiesz o dziewczynach? Żadna nie znosi osmieszenia, zwłaszcza na takim przyjęciu. Każda chce pochwalić się swoim chłopakiem, chce być z niego dumna, chce, żeby pokazał się z najlepszej strony, a ja co? Przeze mnie najadła się tylko wstydu.

– Bo nie umiała się znaleźć w sytuacji – powiedziałem. – Rzecz w tym, że Pamela nie ma klasy. Dziewczyna z klasą panuje nad sobą i nie daje się ponosić złości. Ona naprawdę mogła obrócić wszystko w żart. Mogła, ale nie potrafiła...

– Zamknij się, mówię!

– A tak na marginesie, by the way, jak mówią Amerykanie, to nie masz czego specjalnie żałować, jeśli już chodzi o dziewczyny, to na pewno lepsza jest ta Marta z fermy.

– Powiedziałem, żebyś stulił pysk! – Jacek zamachnął się pięścią, ale przykucnąłem przytomnie i jego cios przeszył powietrze.

– Widzisz, za wolny jesteś – zakpiłem. – Nawet formę straciłeś. Ratuuj się, chłopie!

Chciał poprawić rozwścieczony. Zamachnął się po raz drugi, lecz znów uchyliłem się w porę. Pięść Jacka zamiast w moją facjatę wbiła się w rękaw fartucha suszącego się na sznurze obok nas, a nieszczęsny pechowiec z tymże mokrym fartuchem na głowie runął na trawnik zrywając przy okazji cały sznur ze świeżo upranymi ścierkami.

Patrzyłem rozbawiony, jak nieudolnie walczył z oblepiającymi go szmatami, a co uwolnił się od jednych, to drugie zsuwały mu się po sznurze...

– Sam widzisz, nie idzie ci dzisiaj, więc odpuść sobie – powiedziałem

– i ciesz się, że Pamela i ten jej nowy kochaś, ten goryl, tego nie widzieli, bo mieliby ubaw na sto dwa...

– Jeszcze słowo, uduszę cię, Lord! – zacharczał.

– Nie rób tego – odparłem spokojnie – to nie byłoby mądre w twojej sytuacji. Zapomniałeś, że wciąż jesteś karmelita bosi. Może zanim mnie udusisz, przyniosę ci jakieś buty na twoje delikatne nóżki.

Jacek spojrzał na swoje bose kończyny i opanował się.

– Przynieś siódemkę! – mruknął.

– Tak jest, szefie! Już lecę!

Po drodze zabrałem pudełka z niefortunnymi prezentami dla Pameli i schowałem je pod siedzenie wozu, potem wybrałem spośród pozostałego towaru pudełko z pumami oznaczone numerem siedem i zaniósłem Jackowi.

– Powinny pasować jak ulał! – powiedziałem.

Jacek otworzył pudełko i dziwnie osłupiał.

- Och, nie! – jęknął.*
- Co się stało?*
- Widzę, że silisz się na dowcipy. W dodatku odsmażane.*
- Ja? Silę się? – bąknąłem zdezorientowany.*
- Wiem, że jesteś złośliwy, Lord, ale to chyba nie najlepsza pora ani miejsce na takie żarty.*
- Jakie żarty?*
- Ani to śmieszne, ani pomysłowe i nie przystoi lordowi – sapnął Jacek. – Jeśli masz mnie ratować takim humorkiem, to wypraszam sobie!*
- Coś nie tak z tym pudełkiem? – zdjęty mnie najgorsze przeczucia.*
- No, nie zgrywaj się! Patrz! Czy ja mam nogę himalajskiego yeti? – wyciągnął dwa buty, a mnie zrobiło się zdecydowanie niedobrze.*
- Złośliwość martwych przedmiotów tego dnia przekraczała wszelkie granice. Pумы, które przyniosłem, były monstrualnych rozmiarów i... nie do pary! Mało tego, podobnie jak te ofiarowane Pameli, obie były na lewą nogę!*
- Przykro mi, stary – odchrząknąłem – ale obawiam się, że z tymi pumami zrobiono nas w konia.*
- Myślisz, że wszystkie są takie... takie... poplątane...*
- To nie są oryginalne pумы, lecz fałszywe.*
- Fałszywe?!*
- Bo widzisz, jakoś wierzyć się nie chce, żeby renomowana firma "Puma" miała taki bałagan w pakowni i tak mieszała numery! Wuj*

Karol mówi, że teraz roi się na rynku od różnych oszustów. Podrabiają marki fabryczne, podszywają się pod znane firmy... Nie zdziwiłbym się, gdyby ten facet z "Kopciuszka" uprawiał taki proceder...

– Pan Kozaczek?! To niemożliwe! – wykrzyknął Jacek. – To taki miły człowiek.

– Oszuści zwykle są mili i mają uśmiech przylepiony do twarzy; to należy do ich wyposażenia.

– Kozaczek oszustem?! Nie, Lord! – Jacek potrząsnął głową.

Ale widać zaniepokoiłem go nie na żarty, bo założył sobie te humorystyczne wielkie buty i próbował w nich iść do wozu po żwirowanej alejce. Niestety, co krok spadały mu z nóg, więc po paru krokach cisnął je wściekły w błotnisty rów i przygryzając wargi z bólu resztę drogi przebył boso stawiając pokraczne kroki na piętach i zewnętrznych krawędziach stóp. Kiedy wreszcie dobrnął do wozu, nie mógł go otworzyć, bo okazało się, że gdzieś posiał kluczyki. Długo szukał po kieszeniach, wreszcie doszedł do wniosku, że musiały mu wypaść, jak był wynoszony z lustrzanej sali. Pobieglem na miejsce, gdzie mu urządzono twarde lądowanie i szczęśliwie znalazłem je w trawie.

To nam trochę poprawiło humory, uznaliśmy, że nasz pech został jakoś przelamany. Zaczynamy nawet żywić nieśmiało nadzieję, że poza tymi dwoma niefortunnymi pudełkami pum wszystkie pozostałe są w porządku. W końcu kupiliśmy ten towar nie u jakiegoś pokątnego handlarza, ale w prawdziwej hurtowni, małej bo małej, ale

prowadzonej otwarcie pod własnym szyldem i jawnym adresem.

Niestety wstępny wynik lustracji nie napawa optymizmem. W żadnym pudełku nie było normalnej pary. Mimo to Jackowi wciąż trudno pogodzić się z myślą, że "Kopciuszek" nabił nas w butelkę.

– Być może pomieszały się tylko numery – mruczy – i da się wszystko uporządkować. Sprawdźmy spokojnie...

Wyładowujemy więc towar na pobocze, wyrzucamy pumy z pudełek i próbujemy je ułożyć w pary według numerów, ale gdzie tam! Okazuje się, że wszystkie prawe buty są mniejsze od lewych i mają numerację od siódemki w dół, a wszystkie lewe – od siódemki w górę, tak iż nie sposób dobrać ich do pary. Diabelska sprawka! A do tego lewych jest o dwanaście więcej i połowa z nich ma tak monstrualne rozmiary, że pasowałyby jeśli nie na nogę himalajskiego yeti, to na pewno na stopę niedźwiedzia grizzly z Gór Skalistych!

`pa

Rozdział XIII

Kuracja wstrząsowa pomaga. Syndyk masy upadłościowej goni nas!

Uparty klient Bulwieć. Uczta w Górze Kalwarii. Aresztowanie. Jak udało się nam wyłgać policji.

Tegośmy jeszcze nie przeżywali. Mocna rzecz. Wystarczy, żeby oprzytomnieć. Nawet Jacka stawia na nogi. Jest to kuracja wstrząsowa, ale skuteczna. Biedak jakby trzeźwieje i chwilowo przestaje myśleć o

Pameli.

Widocznym choć mało przyjemnym dla mnie symptomem tego

trzeźwienia jest to, że znów wszystko zwała na mnie, ryczy, że te pumy to był mój pomysł, co jak wiadomo jest grubą przesadą, ma mi za złe, że nie sprawdziłem zawartości pudełek (czemuż to on sam nie sprawdził, jak taki mądry, a w ogóle kto kupując towar w hurcie zagląda do każdego opakowania? Ma się u licha, to minimum zaufania!). W końcu, jak zwykle, wpada w zasadnicze tony i wykrzykuje, że jestem Jonaszem, przeklina chwilę, gdy zaproponował mi spółkę, podnieca się coraz bardziej, chwyta mnie za kołnierz i potrząsa mną jak workiem trocin, ucieka się do haniebnych uwłaczających mi inwektyw, ale mu nie przeszkadzam. Rozumiem, że chłopak jest wykończony nerwowo i że goni resztkami, zbyt dużo przeszedł tego dnia. Potrzebuje ukojenia. Nie odgryzam się więc, pozwalam mu się wyładować, natomiast wciskam mu gumę do żucia Risleya, w tę rozgadaną paszczę, a w paszczę odtwarzacza magnetofonu wsuwam kasetę z "Mesjaszem" Haendla. Pomaga. Jacek milknie, zaczyna żuć i słuchać. Guma i Haendel koją jego cierpienie. Bez słowa zapuszcza motor. Odjeżdżamy.

W wiadomych okolicznościach pozostaje nam już tylko jedno do zrobienia. Zabrać dostarczony sklepom wadliwy towar i zareklamować go u Kozaczka z hurtowni "Kopciuszek" w Radomiu. Chyba, że...

– Nie przejmuj się – zaczynam ostrożnie, zerkając na Jacka, czy dojrzał już do spokojnej rozmowy. – Mogło być gorzej.

– Gorzej? Nie wyobrażam sobie – skrzywił się pod nosem.

– Przynajmniej mamy gdzie złożyć reklamację! – spojrzałem na zegarek. – Już czwarta, ale to nic! Zasuwamy do Węgrowa!

– Do Węgrowa?

– A może zdążymy także do Sokółowa i Góry Kalwarii.

– Ale po co?

– Nie chcę ci robić zbyt wielkich nadziei, ale mamy jeszcze dwie szansę wykaraskania się z tej cholernej afery.

– Jakie szansę?

– Pierwsza: być może brakujące numery znajdziemy w pudełkach już dostarczonych do sklepów... Co do drugiej szansy nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, że połowa towaru była w zielonych pudełkach, a połowa w niebieskich...

– I co z tego? – mruczy.

– Zielone były na wierzchu i wstawiliśmy je do sklepów. Jak dotąd pokielbaszenie stwierdziliśmy tylko u tych, które zostały w samochodzie, to znaczy w niebieskich. W zielonych towar może być w porządku.

– Nie może i nie będzie – cedzi przez zęby Jacek – bo nie jesteś lord, jesteś Jonasz i musi się nam przytrafić wszystko co najgorsze!

Niestety rzeczywistość wkrótce zaczyna jakby potwierdzać

pesymizm Jacka. W Węgrowie trafiamy na kiermasz. Gwar i hałas.

Mimo wieczornej pory pełno sklepów pootwieranych, wszędzie barwne

szylidy i reklamy. W ogóle jakoś się zrobiło kolorowo. No, no patrzcie,

patrzcie, jak się ten Węgrów stara! Ruch przez rynek wstrzymany.

Zaparkowaliśmy więc pod kościołem i dalej smarujemy na piechotę.

Sklep Piskorków zastaliśmy zamknięty. Stary tłusty człowieczek na

drabinie

zdejmował

ze

ściany

reklamowego

manekina

–

uśmiechniętego eleganta zapraszającego gestem ręki do środka... Na drzwiach przypięta kartka:

"W sobotę i niedzielę wyprzedaż obuwia i konfekcji na kiermaszu w rynku."

Wyprzedaż? Nie bardzo nam się to podoba. I dlaczego zdejmują

reklamę? Zawracamy szybko i śpieszymy na rynek. W stoisku z

napisem: "Dom handlowy, Bracia Piskorek i spółka" widzimy

nieznajomego smutnego osobnika w ciemnym garniturze i okularach.

Rozglądamy się za braćmi Piskorek, nie ma żadnego. Kilka kroków od

stoiska dostrzegamy tylko tego subiekta, który pomagał nam wnosić

dziś rano pudełka. Na nasz widok rad chyba byłby prysnąć, ma bardzo

spłoszoną minę, ale zatrzymujemy go przytomnie.

– *Gdzie pana szefowie?*

– *Szefowie?*

– *Szukamy braci Piskorek.*

– *Nie ma ich. Wyjechali... – w głosie subiekta zabrzmiały jakieś*

dramatyczne nutki.

– Jak to wyjechali?! A ten smutny facet na stoisku?

– To syndyk masy upadłościowej.

– Syndyk?

– To taki facet co urządza pogrzeb upadłej firmie i dzieli to, co po niej zostało, między wierzycieli.

– Chce pan powiedzieć, że firma Braci Piskorek upadła?!

Bankructwo Braci Piskorek?

– Właśnie. Przestali być wypłacalni. Mają więcej długów niż ściągalnych wierzytelności. Pusta kasa. Więc ogłosili upadłość. Już dobry miesiąc temu, jak ogłosili...

– Jak to. Przecież jeszcze dzisiaj rano wzięli od nas do sprzedaży obuwie sportowe... Pan był przy tym.

– Chcieli zahandlować tym obuwem na boku, opylić prywatnie znajomym bez wiedzy syndyka, ale syndyk przyłapał ich i włączył wasze pumy do masy upadłościowej.

– Nasze obuwie do masy?! – jęknąłem. – Ależ myśmy nie dostali jeszcze za nie ani grosza!

– I wątpię, czy dostaniecie – rzekł subiekt. – Nawet gdyby obuwie zostało sprzedane, należność pójdzie w pierwszej kolejności na spłacenie zaległych podatków, potem długów w banku... Ale ono nie zostanie sprzedane – subiekt mrugnął do nas okiem. – Wiemy coś o tym. To, mówiąc delikatnie, obuwie niefunkcjonalne. Na waszym miejscu zmyłbym się stąd jak najprędzej, z syndykiem nie ma żartów, jak was zobaczy i złapie, odda w ręce policji i każe zwrócić pieniądze za te buble.

– Jakie pieniądze? – przestraszył się Jacek. – Nie było żadnych pieniędzy, wzięli obuwie na kredyt, już panu powiedzieliśmy, że nic nie zapłacili!

– Zapłacili, nie zapłacili, nie ma faktur, nie ma dokumencików, wszystko na słowo honoru, ja mogę wam uwierzyć, ale czy syndyk uwierzy? O, chyba już was zobaczył, przepraszam, ja lepiej sobie pójdę – subiekt zmył się przezornie. – Zaraz tu będzie gorąco.

Istotnie, nie wyglądało to dobrze. Syndyk patrzył wyraźnie w naszą stronę, a jakiś gruby facet, postać jakby znajoma, coś szeptał mu do ucha. Do licha, to ten fagas, co demontował manekina przy sklepie. Po chwili już było jasne. Będziemy mieli kłopot. Syndyk porwał z lady pudełko z butami i ruszył w naszą stronę. Prawdopodobnie chciał nam zademonstrować "niefunkcjonalność" obuwia i rozprawić się z nami. Zakręciliśmy się nerwowo w miejscu i próbowaliśmy wmieszać się w tłum.

– Hej, panowie, wy tam, zaczekajcie! – Syndyk wymachiwał pudełkiem.

Nie mieliśmy najmniejszej ochoty czekać i rzuciliśmy się energicznie do ucieczki.

– Policja! Łapać ich! – krzyknął syndyk i wraz z tłuściochem rzucił się w pogoń za nami.

Na szczęście nie było policji, a w sprincie na dwieście metrów ci oldboye nie mieli z nami żadnych szans. Dopadliśmy zaparkowanej pod kościołem gabloty i spiesznie daliśmy dyla. Syndyk, zadyszany,

odprowadził nas bezradnie wzrokiem, a tłuścioch próbował zanotować numer rejestracyjny wozu Jacka.

Tego by jeszcze brakowało! Możemy mieć kłopoty z policją.

Proponuję, by w tej sytuacji pruć jak najszybciej do Radomia, ale Jacek chce koniecznie skoczyć do Sokołowa i odebrać fatalny towar, zanim sympatyczna pani Mokobud zorientuje się, że przyjęła do sprzedaży obuwie "niefunkcjonalne".

Niestety, okazuje się na miejscu, że pani Mokobud już się zorientowała. Wita nas nader cierpko i już na progu zasypuje gorzkimi wymówkami. Wszystko, co możemy zrobić, to ją przeprosić, zwrócić pieniądze i przysięgać, że sami nie mieliśmy pojęcia, że tak renomowana firma mogła nam zaserwować buty nie do pary! Czerwoni z upokorzenia zabieramy zareklamowane obuwie i wynosimy się jak niepyszni.

W Karczewie zwracamy pieniądze panu Mamuzie, a na zwrot państwu Mącikowi i Kuflewskiej już nam nie starcza.

Stan Jacka znów niepokoi mnie. Z tych przejść nerwowych dostaje skurczu prawej łydki. Nie może prowadzić wozu. Musimy stanąć. Aplikuję mu masaż mięśnia. Pomaga tylko na parę minut i znów musimy stawać.

Na szczęście w Stanisławowie apteka jest otwarta. Jacek zostawia mnie w gablocie, a sam idzie kupić coś na te skurcze. Zabieram się ponownie do liczenia pieniędzy. Przypominam sobie, że mam jakieś drobne w kieszeniach wiatrówki. Może w sumie uzbiera się tę brakującą

kwotę... Słyszę pisk opon za sobą, a potem trzask drzwi samochodowych. Oglądam się i drętwię. To czerwona toyota. Lecz tym razem wyskoczył z niej nieznajomy, pulchny mężczyzna o łagodnym obliczu i dość bezceremonialnie wsadził głowę w otwarte okno naszego wozu.

– Jestem Bulwieć – przedstawił się z uśmiechem – przyjaciel pana Manlichera.

– Manlichera?!

– Zdawało mi się, że panowie poznaliście się w Kielcach. Czemu ten wyraz strachu? Proszę się nie obawiać. Nie mamy złych zamiarów. Boksera nie ma już z nami. Pan Manlicher go odprawił. Miał niedobre nawyki, a my jesteśmy w środkowej Europie – uśmiechnął się znowu – więc żadnych gwałtów nie będzie. Dwa tysiące lat chrześcijańskiej kultury to coś znaczy, prawda? To zobowiązuje – wyciągnął z kieszeni płaską butelczynę szkockiej. – Pan się napije?

– Dziękuję! – wykrztusiłem.

– Panowie widzę wciąż z towarem – Bulwieć rozglądał się po gablocie. – Co tym razem? Buty chyba. Pumpy?

– Owszem, ale nie do sprzedaży – zaznaczam szybko. – Pomieszane numery, reklamujemy całą partię towaru.

– Nie szkodzi – rzekł łagodnie Bulwieć – interesuje nas jedno pudełko.

– Mówiłem, te buty nie są w porządku.

– Coś wybierzemy na pewno – Bulwieć poklepał mnie przyjaźnie po

ramieniu. – Panowie zrobią nam tę grzeczność. Mamy propozycję nie do odrzucenia.

W istocie, o odrzuceniu nie mogło być chyba mowy, bo zauważyłem w lusterku, że z toyoty gramolą się już nieco zniecierpliwieni nasi starzy znajomi: Fakir i Kaczynos, a nadto dwu rosnących młodzieniaszków, zapewne zatrudnionych w charakterze goryli.

– To uczciwa oferta i korzystna – ciągnie Bulwieć. – Jedno pudełko za milion.

– Milion? – trochę mnie zatkało, nie wiem, czy mówi poważnie.

Do wozu zajrzał Kaczynos i powiedział:

– Podoba mi się to ze wstążką. Co o tym sądzisz, Bulwieć?

– Masz dobry gust – odparł Bulwieć. – Będzie w sam raz na prezent dla szefa.

Zaczynam kapować, o co im chodzi. Włączam się do zabawy.

– Panowie, widzę, życzą sobie specjalne pudełeczko – mrugam okiem.

– Otóż to – uśmiecha się Bulwieć. – Otóż to, przyjacielu, rozumiemy się?

– Obuwie może być jednak troszkę niewygodne – drożę się już dla samej zgrywy. – Może pokażę panom z innego pudełka?

– Nie, to ze wstążką – upiera się Kaczynos.

– I tak bez przymierzania? – podaję mu pudełko.

– Bez. Zapłać panu, Bulwieć.

Bulwieć bez słowa wyjmuje z kieszeni gruby plik banknotów i odlicza

dla mnie milion.

Robi mi się nagle wesoło. Mam ochotę pożartować z nim jeszcze trochę, ale zbliża się do nas policjant.

– Proszę jechać, tu jest zakaz parkowania.

Ludzie Manlichera pakują się szybko i czmychają. W tej samej chwili wraca Jacek wyraźnie wystraszony widokiem gliny. Biedak ma tak niewyraźną minę, jakby przed chwilą udusił aptekarza, co oczywiście ściąga na nas uwagę czujnego stróża prawa. Policjant zagląda podejrzliwie do gabloty.

– A to co za pudełka? – zainteresowanie gliniarza rośnie.

Zastygamy na chwilę. Do licha, a jeśli ktoś już naskarżył i jesteśmy poszukiwani przez policję? Mógł to zrobić choćby syndyk z Węgrowa, albo Kuflewska i Męcik z Karczewa. Nie, to niemożliwe, by policja zadziałała tak szybko.

Ja pierwszy odzyskuję kontenans.

– To jest obuwie sportowe puma – odpowiadam spokojnie.

– Macie papierek z hurtowni?

Jacek pokazuje fakturę z "Kopciuszka". Widać kontrola była czysto rutynowa, bo policjant puszcza nas bez dalszych pytań.

Zdenerwowany Jacek połyka pastylkę.

– Nie wierzę, żebyśmy dojechali do Radomia, przyłapią nas w ciągu najbliższej godziny...

– Bez paniki – mówię. – Sprawy nie wyglądają tak źle. Jak byłeś w aptece, ja ubiłem milionowy interes! – pokazuję mu banknoty. Liczę

głośno.

– Cały melon?! – patrzy z niedowierzaniem. – Jak go zdobyłeś?

– Opyliłem pumy Pameli.

– Żartujesz?! Komu?

– Ludziom Manlichera, tym z czerwonej toyoty.

– Byli tu? – Jacek drętwieje.

– Tak, tym razem bardzo grzeczni. I uparli się, że kupią to pudełko.

Wstążka ich zmyliła.

– Jak to? Nie zaglądali do środka?

– Nie zdążyli. Nadszedł policjant i ich spłoszył.

– Rany! – zajęczał Jacek. – I z czego ty się cieszysz? Jak zobaczą co kupili, wściekną się i wrócą.

– Śmiejmy się z tego! Wtedy sprzedamy im walek.

– Ty, Lord, przyhamuj. I nie bądź taki chojrak! Za bardzo się rozbestwiłeś!

Przykro. Nie wycisnąłem z niego nawet cienia kwaśnego uśmiechu.

Tak, on to widzi zupełnie inaczej. Depresja, tak to się nazywa. Coś w rodzaju załamania nerwowego. W dodatku te pastylki, co połyka, niewiele pomagają na skurcze mięśni, natomiast obniżają fatalnie jego zdolność koncentracji i refleks. Skarży się, że ma mroczki przed oczami i w głowie mu się kręci. Wiem, że potrzebny mu dłuższy odpoczynek i relaks. Dalsza jazda staje się po prostu niebezpieczna.

W Górze Kalwarii nakłaniam go do dłuższego postoju. Tłumaczę, że połowa jego stresu to skutek odwodnienia i głodu, a na zboliałą psychikę

młodzieńca takiego jak on na ogół dobrze robi duży kawał miecha i chmiel. Ciągnę go więc do "Jerozolimskiej", wybieram stolik przy oknie z panoramicznym, obłądnym widokiem na całą dolinę Wisły, sadwię biedaka w wygodnym foteliku i aplikuję mu w charakterze sedatiwu dwie butelczyny Książęcego Tyskiego. Pije małymi łyżkami i od razu oczka mu łagodnieją, wyglądają teraz jak dwa wilgotne ślimaczki, niewinne i bezbronne.

Czas przejść do treściwszego pokarmu. Studiuję kartę i zamawiam indyka z borówkami.

– Ile porcji – pyta kelnerka.

– Całego ptaka proszę.

– Całego? – patrzy na nas z niedowierzaniem.

– Ma być lekko przyrumieniony na dużym półmisku, a do tego dwie główki dobrze wymytej sałaty bez przyprawy... – uzupełniam. – Czemu

pani tak patrzy... Czy nie zna pani zasad poprawnego odżywiania

dorastającej młodzieży? To poważna sprawa. Potrzebujemy po

kilogramie protein na głowę... ja dojrzewam, a kolega ponadto

mężnieje. Dzisiaj miał trudny dzień, ale zmęźniał o dalsze pięć procent mocując się z przeciwnościami...

Moja retoryka zwiększyła tylko przykrą rozterkę kelnerki. By

rozproszyć tę rozterkę, kładę na stole pół melona. To załatwia całą

sprawę. Kwadrans później na stół wjeżdża apetycznie przyrumienione

ptaszysko. Zabrałem się żwawo do zoperowania indyka dzieląc się

sprawiedliwie z Jackiem. Jemu noga – mnie noga, jemu jedna połówka

piersi – mnie druga. Obrabialiśmy ptaka w milczeniu szybko i pracowicie. Po kwadransie ciężkiej harówki osiągnęliśmy wreszcie błogi stan pełni i sytości. Do zoperowania pozostała już tylko szyja. Zastanawiałem się właśnie jak ją podzielić uczciwie, gdy na salę wkroczyło dwu facetów w "niedotartych" dżinsach, jakby wprost ze sklepu, jeden rudy z piegami, drugi cygańskiej urody. Od razu mi się nie spodobali. Pokręcili się między stolikami i zatrzymali się przy nas.

– Czy to wasz wózek, to białe Fso z pudełkami? – zapytał rudy.

– Tak, a bo co? – zapytałem.

– Policja. Pójdziecie z nami.

A więc prawdziwe kłopoty dopiero się zaczynają. Obawiam się nieobliczalnej reakcji Jacka, lecz on nie przerywa jedzenia i zabiera się do pożerania kolejnego liścia sałaty z niezmqconym spokojem. Nie wiem, czy mu pomogła zastosowana przeze mnie kuracja, czy też należy do ludzi, u których stan zagrożenia wyzwala ukryte siły psychiczne.

– Nie mam ochoty na spacerek – oznajmia zabierając z półmiska swoją połówkę szyi.

– Obawiam się, że to konieczne – rzekł smutno policjant, ten cygańskiej urody.

– Czy to oznacza, że jesteśmy aresztowani?

– Jeszcze nie.

– W takim razie panowie sobie spocznią na pięć minut, a my dokończymy spokojnie obiad.

Zaskoczeni policjanci usiedli, a my bez pośpiechu opróżniliśmy do

czysta talerze, po czym wśród ciszy, która zaległa restaurację, daliśmy się wyprowadzić.

W komisariacie siedzieli na ławce nasi kontrahenci z Karczewa, Kazimiera Kuflewska i Józef Męcik, oboje bardzo stropieni. Policjanci ustawili nas pod ścianą i pokazali kramarzom.

– Czy to ci?

– Tak, to oni.

– Ci państwo wnieśli na was skargę – powiedział rudy policjant.

– Twierdzą, że dopuściliście się oszustwa i wyłudziliście od nich po cztery miliony złotych, sprzedając im buty rzekomo marki "Puma", które okazały się bublami bez żadnej wartości handlowej i użytkowej...

– To nieprawda! – przerwał Jacek.

– Żeby was kara boska dosięgła! – rozplakała się Kuflewska. – Za kupców się podawali! Tak potrafili nas skołować, żeśmy sobie dali wmówić po dziesięć pudełek...

– A tylko w jednym była uczciwa para – dodał ponuro Męcik. – Tylko w tym jednym, co nam dali do obejrzenia.

– Nie sprawdzali państwo pozostałych? – zdziwił się policjant.

– Strasznie im się spieszyło, jak na rozżarzonych węglach byli.

Ponaglali nas: bierzecie, nie bierzecie? Czasu nie ma! Tośmy zdążyli tylko pokrywki z pudełek zdjąć i zajrzeć, ale nie mierzyliśmy. Na oko wszystko wydawało się w porządku.

– Nie wyglądali na oszustów – Kuflewska wytarła nos. – Niewinne oczka mieli.

*– A jakie uczone wygadanie – zasapał Męcik. – Stary wróbel jestem,
a wziąłem się na te plewy!*

*– To wszystko nie tak! – oświadczył spokojnie Jacek. – Proszę –
wyciągnął dokumenty – oto zaświadczenie z firmy podpisane przez
dyrektora Artura Saledę, to znany już w świecie interesu handlowiec,
biznesmen. A to faktura na towar wystawiona przez hurtownię obuwia
"Kopciuszek", Radom, ulica Kielecka. Jak widać z tego nie jesteśmy
żadnymi naciągaczami, prowadzimy legalną działalność handlową. To
po pierwsze. A po drugie nieprawdą jest, jakobyśmy wmawiali pani
Kuflewskiej i panu Męcikowi nasz towar i w jakikolwiek sposób
nakłaniali ich do kupna. Prawdą jest natomiast, że to sama pani
Kuflewska i sam pan Męcik zgłosili się do nas w Karczewie z prośbą, by
odstąpić im towar przeznaczony dla sklepu firmy Jakobi i Szczeci,
chwilowo zamkniętego z powodu nieobecności właścicieli. I to pani
Kuflewska i pan Męcik nalegali usilnie na zawarcie tej transakcji,
ponieważ obuwie było wyjątkowo atrakcyjne, a cena okazyjna!
W tym miejscu kontynuując wywód należałoby lojalnie wyznać, że
sami nie mieliśmy pojęcia o niefunkcjonalności obuwia, które nam
sprzedał "Kopciuszek" i że dowiedzieliśmy się o tym dopiero przed
trzema godzinami oraz że właśnie jedziemy w tej sprawie z reklamacją
do Radomia. To dokładnie należałoby wyznać, ale nagle zdajemy sobie
sprawę, że zabrzmi to zgoła niewiarygodnie, a nawet jeśli nam uwierzą,
to mała pociecha, bo wyjdziemy z kolei na durniów, którym byle
Kozaczek z Radomia wlepią z łatwością skandaliczny bubel! Wstyd,*

handlowa kompromitacja!

I ze wstydu wciskamy kity.

– Nieprawdą jest, że nasze obuwie jest wadliwe – mówię.

– Tak jest – podtrzymuje mnie Jacek. – Obuwie nasze nie jest wadliwe. Ono jest tylko nietypowe, a to duża różnica.

– Zasadnicza różnica – podkreślam.

– Udowodniono naukowo, że u każdego człowieka jedna noga jest krótsza od drugiej...

– O pięć centymetrów? – pyta drwiąco Męcik.

– Udowodniono statystycznie – odpowiada Jacek – że takie zjawisko zachodzi u trojga ludzi na tysiąc, nie licząc platfusów, jak wiadomo, platfus wydłuża stopę. Dostarczamy obuwie właśnie dla tych trzech nieszczęśliwych promilów ludności.

– W dwu pudełkach były tylko lewe buty – zauważył ponuro Męcik.

– To dla jednonogich – odparł Jacek.

– Po dwa w pudełku?!

– Drugi dołączamy jako zapasowy. Wiadomo, że jednonodzy szybciej zdzierają obuwie.

W tym stylu odpowiadamy jeszcze przez parę minut na dalsze pytania i rozpraszamy wątpliwości. Nasze spokojne i elokwentne, acz w miarę

zwięzłe

tłumaczenia

robią

korzystne

wrażenie

na

funkcjonariuszach. Wszystko wydaje się na najlepszej drodze.

*– Czy macie jakichś świadków na potwierdzenie tych okoliczności? –
pytają nas już innym zgoła tonem.*

*– Owszem. Pan Mamuza Józef z kiosku przy kościele w Karczewie –
mówi Jacek. – Właśnie sprzedał trzy pary naszych pum inwalidom.*

*– I gospodyni państwa Szczekich, współwłaściciele sklepu, gdzie
mieliśmy ulokować towar – dodają.*

*Oznajmiamy także, iż jako solidna firma w każdej chwili możemy
zwrócić pani Kuflewskiej i panu Męcikowi pieniądze, jeśli nasze pumy
im z jakichś względów nie odpowiadają.*

– Nie ma sprawy – kończymy już na luzie.

*A jednak jest sprawa! Wieść o specjalnych butach sportowych –
pumach na nietypowe nogi rozniosła się po komisariacie. Na nasze
nieszczęście zainteresował się nimi inspektor Kryg, znany z narzekań
na niewygodne obuwie i cierpiący chronicznie na odciski. Wyraził on
"ściśle prywatne", jak wyraźnie zaznaczył, życzenie obejrzenia i
przymierzenia naszego obuwia. Próbowaliśmy rozpaczliwie odwieść go
od tego zamiaru, lecz bezskutecznie. Człowiek był uparty i chyba
faktycznie od dawna mający z obuwem na pieńku. Przetrzęsł nam
wszystkie pudełka w poszukiwaniu czegoś odpowiedniego dla siebie.
Oczywiście niczego nie znalazł, ale lustracja naszych pum zrobiła na*

nim duże wrażenie. Wyznał, że w życiu nie widział czegoś podobnego i nawet w chorobliwych urojeniach nie przypuszczał, by coś takiego mogło znajdować się w handlu, po czym oświadczył, że sprawa warta jest bliższego wyjaśnienia. Denerwujemy się. Gliniarze pocieszają nas, że to czysta formalność, sprawdzą tylko podane przez nas źródło zaopatrzenia, lecz aby tej formalności w pełni stało się zadość, muszą nas chwilowo zamknąć. Pakują więc nas do czegoś w rodzaju klatki dla misiów w cyrku i spędzamy tam bezpiecznie, aczkolwiek nieco bezsennie, noc w towarzystwie paru gadatliwych złodziejasków oraz łagodnego, płaczącego człowieka, który podobno próbował udusić żonę. Szczęśliwie, dzięki osobistemu zainteresowaniu sprawą inspektora Kryga, sprawdzenie naszych zeznań przebiega nader szybko. Już około godziny dziesiątej w niedzielę wypuszczają nas z klatki. Inspektor Kryg burkliwością kryjąc zakłopotanie informuje nas, że sprawa wyjaśniła się korzystnie dla nas. Rzeczywiście istnieje w Radomiu mała hurtownia obuwia specjalnego na nietypowe nogi prowadzona przez niejakiego Kozaczka. Oczywiście ukrywamy, jak bardzo informacja ta nas zaskakuje, zbija z tropu i niepokoi. Hurtownia obuwia specjalnego? Co to ma znaczyć, u licha! Kiedy kupowaliśmy te buty nie było takiej nazwy w szyldzie!

– I jeszcze jedno – ciągnie zaaferowany inspektor Kryg. – Mam znajomego. Nazywa się Władzio Lulak. Pracuje w Domu Dziecka, tam się zresztą wychował... taki chłopak do wszystkiego. Biedak, chorował w dzieciństwie na polio i po tej chorobie została mu przykra pamiątka –

prawa stopa znacznie krótsza od lewej. Biedak ma kłopoty z doborem obuwia, może znaleźlibyście coś dla niego. Wziąłby parę, jeśli cena byłaby przystępna. Zaraz po niego zadzwonię.

Władzio przybył zaraz. Był to chudy rudawy chłopak o dużych nieśmiałych oczach. Uśmiechał się z zażenowaniem.

– Nie wiem, czy mnie będzie stać – wymamrotał. – To podobno prawdziwe pumy.

– To seria reklamowa towaru – powiedział Jacek. – Idzie po wyjątkowej obniżonej cenie.

– Rozumiem. Czy mogę przymierzyć?

– Oczywiście.

Podeszliśmy do wozu. Otworzyłem parę pudełek. Władzio zastygł z wrażenia. Przez chwilę wpatrywał się w buty z zachwytem.

– Prawdziwe pumy! – wybełkotał.

– Proszę, wybierz sobie – zachęciłem go.

– Naprawdę mogę? – wyciągnął rękę, znów ją cofnął.

– Śmiało!

Władzio wytarł ręce o spodnie i wyjął ostrożnie z pudełka parę butów, z takim nabożeństwem, jakby były co najmniej ciżmami królowej Jadwigi.

– Przymierz, czy pasują, prawy, lewy! – mówię.

Dobieranie trwa długo, ale w końcu Władzio znajduje pumy w sam raz na swoje nietypowe stopy.

– A teraz przejdź się – mówi Jacek – wypróbuj, czy wygodne, czy coś

cię nie uwiera.

Władzio kuśtyka dokoła samochodu.

– Jak się czujesz? – pytamy.

– Jakbym obiema nogami był w niebie! – uszczęśliwiony robi

kolejną rundkę, co parę kroków przystaje, podnosi jedną nogę do góry i

ogląda. – Co za buty! Klasa!

Nagle twarz mu się zachmurza.

– Jeszcze nie zapytałem, ile kosztują – wstydliwie wyjmuję parę

żółtawych banknotów.

– Powiedziałem, reklamowa cena – mówi Jacek – sto patyków.

– Zapomniałeś o zniżce sezonowej – dodaję.

– To prawda! Dwadzieścia procent zniżki. Zapłacisz cztery

dwudziestki, kolego.

– Ile? – w głosie Władzia słychać niedowierzanie.

– Osiemdziesiąt. -

– Tylko osiemdziesiąt?! Za takie pumy?!

– Trafieś na okazję, kolego!

Uszczęśliwiony Władzio odlicza banknoty, płaci, porywa pudełko i

kuśtykając oddala się szybko, jakby bojąc się, że rozmyślimy się i

odbierzemy mu te wspaniałe pumy.

– No i widzisz, druga para poszła – próbuję się uśmiechnąć

odprowadzając Władzia wzrokiem.

– Tak, robimy świetne interesy – krzywi się Jacek.

Milknjemy. Nikomu nie chce się już żartować. I nie chodzi o interesy.

Inny ogarnia nas smutek.

`pa

Rozdział XIV

"Reklamacja" Bulwiecia. Tym razem to nie przelewki. Czy uwędzą nas jak kaczki? Rewelacje Manlichera. Jaką rolę gramy naprawdę w diabelskiej sztuce Artura Saledy? Co ma wisieć nie utonie, czyli szczęśliwe ocalenie skóry. Chytrność Kozaczka i beznadziejność naszych reklamacji. Kradzież gabloty Jacka.

Zaraz za Białobrzegami tuż przed duktem leśnym zatarasowała nam drogę zielona furgonetka marki Datsun. By uniknąć zderzenia Jacek skręca gwałtownie w tenże dukt. Niestety to pułapka. W tej samej chwili zza krzaków wyjeżdża czerwona toyota i zagraża nam przejazd od drugiej strony. Nie mamy żadnej możliwości manewru. Z datsuna wysypują się ludzie gangu. Widać, że już mają praktykę i znają takie zagrania nie tylko z dużych i małych ekranów. Ilu ich jest? Dużo tym razem, co najmniej sześciu, siedmiu. Nim zdołaliśmy wygramolić się z gabloty i zbiec, czterech z nich doskoczyło do nas z automatami w rękach.

– Wychodzić spokojnie! – mruknął atletyczny młodzieniaszek w czarnej wiatrówce. – Rączki na główce!

Wygląda to trochę na scenę kręcenia banalnego dreszczowca, ale niestety to nie jest film, to podradomska rzeczywistość i spluwy tych panów strzelają naprawdę ostrymi nabojami.

Wychodzimy posłusznie. Ustawiają nas kilkanaście kroków dalej w

zaroślach pod dużym dębem. Podchodzi do nas Bulwieć, już nie sili się na uśmiechy.

– No to spotykamy się znowu – mówi cierpko. – Szkoda, że w mniej przyjemnych okolicznościach.

– Właśnie – cedzi przez zęby Jacek starając się zachować spokój. –

Co z pańską dwutysięczną kulturą?

– Kultura obowiązuje obie strony – odpala Bulwieć. – Ja podszedłem grzecznie do panów, zapłaciłem bez targu ciepłą rączką milion, a panowie sprzedali mi bubla. Nieladnie.

– Rozumiem, że składa pan reklamację.

– Można to tak nazwać. Porozmawiamy tym razem zupełnie poważnie, rozumiemy się?

– Dobrze, możemy porozmawiać – mruknął Jacek – ale niech pan każe tym ludziom schować rozpylacze.

Bulwieć dał znak młodzieniaszkom, żeby się odsunęli.

– Co do towaru – zacząłem – to przecież uprzedzałem, że nie nadaje się do użytku, nalegałem, by sprawdzić, przymierzyć.

– No cóż, kolega się uparł przy tym jednym pudelku – westchnął

Bulwieć. – Spodobala mu się wstążka. Ma słabość do estetycznych opakowań, ale my przecież wiemy, że prawdziwa wartość nie zależy od opakowania. Panowie, zagrajmy w otwarte karty! Powiedzcie, gdzie to jest, a oszczędzicie nam zbędnej fatygi, a sobie dużych kłopotów.

Możemy przeszukać dokładnie wasz wózek, ale jak będzie wyglądał po takim przeszukaniu? Nasi chłopcy rozkręcą wam wszystko do ostatniej

śrubki. To świetni mechanicy i mają w furgonetce palnik acetylenowy.

Dlatego po dobroci powtarzam pytanie: gdzie to jest?

Jacek robi zdumioną minę.

– To? To znaczy co?

– No dobrze, nie mam już do was cierpliwości – sapie Bulwieć – sami tego chcieliście. Zaczynajcie chłopcy – daje znak młodzieniaszkom. Nim zdołaliśmy krzyknąć, rzucili się na nas, dwu na mnie, a czterech na Jacka. Po krótkiej szamotaninie obalili nas na ziemię, związali jak prosięta i zakneblowali, po czym ochoczo dobrali się do naszych pudełek i zaczęli je sprawnie bebeszyć, wyrzucając ich zawartość na mech leśny.

Już po paru chwilach rozlegają się ich triumfalne okrzyki:

– Jest! Mamy to!

Co ich tak ucieszyło? Okazuje się, że znaleźli wałek do ciasta.

Doskakują

do

nich

Kaczynos

i

Fakir.

Kaczynos

wyrywa

młodzieniaszkom wałek i ogląda badawczo. Udziela mu się ich podniecenie.

– Tak, tym razem ukryli to w wałku! Zobacz! – podaje Fakirowi.

Fakir potrząsa wałkiem i przyklada go do ucha. Nasłuchuje.

– Rozkręć! – rozkazał mu Bulwieć.

Fakir ujął mocno jedną dłonią korpus wałka, drugą – jego rączkę i usiłował ją odkręcić. Nadaremnie.

– Nie idzie, panie Bulwieć.

– Co jest, nie masz krzepy? – zaszydził Bulwieć.

Fakir splunął w ręce, natężył się, jakby miał do czynienia z walcem drogowym, no i uzyskał efekt. Rączka z trzaskiem oderwała się od korpusu wałka. Fakir zaklął głośno.

– No i co zrobiłeś?! – rozzłościł się Kaczynos – dawaj! – odebrał

Fakirowi wałek. – Tego się nie rozkręca, to się otwiera! – orzekł

oglądając wałek. – Sprytnie pomyślane... jak prawdziwy wałek, szpara prawie niewidoczna, ale jest, widzę ją!

Wbił nóż w rysę na wałku.

– Zaraz zobaczymy co masz w tym brzuchu! – zamruczał.

– Ostrożnie! – uprzedził Bulwieć – bo rozsypią się.

Nóż z łatwością zagłębił się w szparę. Wszyscy wpatrywali się z zapartym tchem w operację.

– Dość! – wysapał Bulwieć. – Teraz już pójdzie bez noża.

Kaczynos schował nóż i próbował dokończyć operacji palcami.

Udało się nadspodziewanie. Bez większego wysiłku rozłupał wałek wzdłuż na dwie połowy i... zaklął brzydko. W środku nie było żadnej skrytki.

– Kretyni! – krzyknął Bulwieć – to przecież zwyczajny drewniany

walek! I to marnej jakości!

– Powiedziałaś, żeby rozkręcać – bronił się Fakir.

– Ja nie badałem go, wyście badali!

– Cholerni smarkacze! Umyślnie podrzucili nam ten walek!

– Rozkręcimy im za to gablotę! Gdzieś w końcu musieli to schować!

– Szkoda naszej mitręgi – uśmiechnął się diabelsko Kaczynos –

przypiekę im pięty, zaraz wszystko wyśpiewają! – oblizwał grube wargi.

– Już ja się z nimi pobawię!

– Dobra, pobaw się z nimi – wycedził Bulwieć patrząc na nas ze

złością – chciałem tym szczyłom dać szansę, ale to uparte osiołki. Tylko

że my mamy na upór lekarstwo!

Zdrętwieliśmy. Strach ścisnął nam gardło. Kiedy zdjęli nam buty i

skarpety domyśliliśmy się, co chcą zrobić. Jak ich przekonać, że

naprawdę nie mamy pojęcia, czego szukają i niczego przed nimi nie

ukryliśmy!

Poszturchując i popychając ustawili nas pod obwisłym grubym

konarem dębu, a Kaczynos z Fakirem przywiązali nam do niego ręce.

Na próżno próbowaliśmy się wyrwać. Młodzieniaszkowie trzymali nas

mocno. Dla pewności skrupowano nam jeszcze i nogi. Potem ułożono

koło nas dwa małe stosy chrustu...

Z rosnącym przerażeniem patrzyliśmy na te przygotowania.

– Co chcecie zrobić?! – zabulgotał Jacek przez knebel.

– Podwędzimy was trochę – uśmiechnął się krzywo Kaczynos.

– Nie! Tak nie wolno! Panowie, na miłość boską! Panie Bulwieć, co

pan?! Podobno jesteśmy w Europie Środkowej.

– Nie szkodzi. Wędzone kaczki smakują tu tak samo jak gdzie indziej

– odparł zamiast milczącego Bulwiecia Kaczynos. Nagle zastygł i

nastłuchiwał. Ktoś wolno nadjeżdżał duktem. Do naszych uszu dotarł

szum motoru i trzask łamanych gałązek. Czyżby niespodziewany

ratunek? Niestety! Zza drzew wyłoniła się znajoma sylweta – biały

mercedes Manlichera. Zatrzymał się koło toyoty. Fakir podbiegł

usłudźnie i otworzył drzwiczki. Manlicher wysiadł i rozejrzał się z

niesmakiem.

– Cóż to?! Bawicie się w Indian? Dostyc tego...

– Kiedy towar... – zaczął bełkotliwie Kaczynos.

– Zapomnij debilu o towarze – rzekł z dławioną pasją Manlicher. –

Zwijamy akcję!

– Co?! – gangsterzy osłupieli.

– Możecie sobie pogratulować, ciamajdy – wycedził Manlicher. –

Diamenty już dawno są w Amsterdamie. Właśnie dostałem wiadomość,

że Saleda opylił je bez kłopotu Van Der Biltowi!

– Ale przecież ci smarkacze... – bąknął zaskoczony Kaczynos.

– Saleda podsunął nam ich umyślnie na wabia. Jeszcze na lotnisku

zainscenizował ten numer z pudełkiem, żebyśmy poszli tym tropem, a

on sam mógł się spokojnie ulotnić z towarem. Teraz łobuz hula sobie w

Holandii i śmieje się z nas do rozpuku!

– Cholerne pętaki, tak zrobić nas w konia!

– Oni nie mieli o niczym pojęcia. Artur Saleda ich też zrobił w konia.

To tylko manipulowane pionki!

– Znaczy, że w tym pudełku nie było diamentów? – jęknął

rozczarowany Fakir.

– Ani w pudełku, ani nigdzie... – skrzywił się Manlicher. – A swoją

drogą to z was nogi wołowe, zakute pały i fafuły! Żeby tak łatwo złapać

przynętę! Tak długo dać się wodzić za nos smarkaczom i nie

zorientować się w porę, że to podstawione figurki do bicia. Wywalilem

już za to Kapcia i zrobię generalną czystkę w interesie. Każdy z was

będzie miał zbadany iloraz inteligencji. Głupcy muszą odejść! Koniec

akcji. Odjeżdżamy.

– A te cwaniaki? – zapytał Fakir oglądając się na nas.

– Niech zostaną, tak jak są... Przyda im się nauczka!

– Za dużo wiedzą – mruknął Kaczynos.

– Nic im to nie da. Za małe mają ząbki, żeby ugryźć! – Manlicher

machnął lekceważąco ręką. – Spotykamy się wieczorem tam, gdzie

umówione.

– Tak jest – odpowiedzieli niemal chórem.

– I nie zapomnijcie zmienić tablicy rejestracyjnej – dodał Manlicher

wsiadając do mercedesa.

Pozostali gangsterzy też zaczęli się pakować. O nas jakby

zapomnieli. Naprawdę chcą nas zostawić w tym niewygodnym

położeniu.

– Hej, panowie, zaraz – wybełkotał Jacek – nie zostawicie nas tak

chyba...

– Boicie się, że zmarzniecie? – Kacznos podszedł do nas. – Nie ma obawy, chłopaki, przyrzekam, że ciepło wam będzie – dodał z okrutnym uśmiechem i podpałił zapalniczką chrust przy naszych stopach.

Wstążka białego dymu uniosła się do góry. Płomień liznął nasze nogi. Podkurczyliśmy je gwałtownie. Przerażeni próbowaliśmy krzyżeć, wzywać pomocy, ale z naszych zakneblowanych ust wydobywał się tylko słaby bełkot. Czy ktoś nas usłyszy? Czy uratuje?

Pod naszymi stopami zaczęło się robić coraz cieplej. Jak długo potrafimy je utrzymać w tej pozycji? Jak wysoko sięgnie płomień, gdy ognisko rozpali się na dobre?... W wyobraźni widzieliśmy już potworne, zwęglone kikuty naszych biednych nóg!

To było jak sen... Biegłem przez falującą łąkę, wznosiłem się i opadałem, w dół i znów do góry i znowu na dół... aż do mdłości...

Uciekałem przed oszalałym tabunem dzikich koni. Tętent ich kopyt rozsadał moją biedną głowę. Już nie mogłem dalej. Upadłem, ale nie zatrzymałem się. Staczałem się dalej po potwornej pochyłości, tętent coraz bliżej, tabuny tratują mnie... Boże, jak to boli!... Wciąż boli, więc jednak żyję. Otwieram oczy. Jestem w lesie chłodnym i zamglonym, chociaż jaskrawe słońce przebija się przez gałęzie, trzęsę się z zimna...

Do licha, to nie mgła! To dym z gasnącego ogniska. Kręci się jak korkociąg, wiruje... i wszystkie wysokie drzewa wirują wokół mnie coraz szybciej i szybciej... Żołądek podchodzi mi do gardła...

– Czy już ci lepiej? Co z tobą? – ktoś pyta troskliwie.

Przytomnieję powoli. Widzę moje ręce, na przegubach zdarty

naskórek. Przypominam sobie, to od sznura. Byłem przywiązany do gałęzi, lecz już nie jestem. Czy to możliwe? Siedzę sobie pod dębem obok Jacka. Koło mnie kuca drobna piegowata blondynka.

– Czy słyszysz, co się do ciebie mówi? – zadaje mi pytanie.

W jej oczach widzę niepokój. Poruszam potakując głową. To wszystko, na co mnie w tej chwili stać. Jeszcze nie mogę uwierzyć, że koszmar mam już za sobą... A jednak! Zamiast gangsterskich mord widzę przyjazne dziewczęce twarze. Uśmiechają się do mnie, wciąż jeszcze zaróżowione z emocji, bo dla nich też to było niesamowite przeżycie. Zobaczyć niespodziewanie w spokojnym lasku uwieszonych na gałęzi nad ogniskiem dwu zakneblowanych dryblasów, obok stosu tekturowych pudełek i porzrzucanych nowiutkich butów sportowych firmy "Puma".

– Zaraz... spokojnie, mów po kolei! Co się tu działo. Kto was tak urządził? – słyszę pytania skierowane do Jacka.

Jacek bełkotliwie próbuje tłumaczyć...

– Krótko mówiąc – kończy – mieliśmy zaszczyt stać się przedmiotem zainteresowań ludzi z gangu Manlichera. Ubzdurali sobie, że wieziemy jakiś drogocenny ładunek...

– To niewiarygodne! W biały dzień, tuż przy ruchliwej szosie – wykrzyknęły dziewczęta. – Co za bezczelność! Jakie okrucieństwo! Co za zwyrodnienie!

Zaczęły opowiadać, jak nas znalazły. Są juniorkami kieleckiego klubu sportowego "Korona". Jechały autokarem do Warszawy. Miały

startować w trójmeczcu lekkoatletycznym juniorów na stadionie "Skry".

Zatrzymały się niedaleko parkingu, żeby rozruszać kości i urządzić sobie ostatni trening przed występem. Biegając po lesie zauważyły dym, potem natrafiły na porzucony samochód, a potem na nas...

– Mój kumpel chyba przychodzi do siebie – przerwał Jacek przyglądając mi się uważnie.

– Nie, wciąż jest w szoku – rzekła blondynka pieguska, która, jak się zorientowałem, była trenerką dziewcząt.

– Lord, odezwij się, powiedz coś – Jacek potrząsnął mną mocno.

Chciałem, dalibóg chciałem, ale głos dziwnie uwiązł mi w gardle.

– To jeszcze dzieciuch, słaby organizm – usłyszałem głos Jacka. – Ta handlowa odyseja przerastała jego siły, był wyczerpany nerwowo, a dzisiejsza przygoda wykończyła go ostatecznie...

I kto to mówi! – zatrzęsłem się z oburzenia. Facet, co dostał kurczu w tyłce! Histeryk, który się rozkleił z trywialnego w końcu powodu!

– Nic mi nie jest! – udało mi się, o dziwo, wykrztusić.

Żeby zademonstrować swoją odporność i sprawność chciałem zerwać się na równe nogi, ale udało mi się to tylko połowicznie. Kolana miałem jak z waty i zaraz opadłem z powrotem na ziemię.

– O, jednak się ruszasz! – wykrzyknął Jacek.

– Tak, nic mu nie będzie, to twarda sztuka – uśmiechnęła się do mnie trenerka. – Ale pokaż mi dla pewności swoje biedne nogi.

Wstydliwie wyciągnąłem brudne usmolone stopy.

Trenerka obejrzała je.

– Widzę tylko zaczerwienienie. Szczęściem chrustu w ognisku było dość mało i był wilgotny. Bardziej od oparzenia zaszkodził wam dym, po prostu byliście trochę zaczerwienieni. Sądzę, że obejdzie się bez interwencji lekarza, natomiast przydałaby się interwencja policji. To co zrobili z wami to ciężkie przestępstwo, to sadyistyczna zbrodnia!

– Policja o nich wie – powiedział Jacek – lecz z pewnych powodów nie spieszy się z ich aresztowaniem. Myślę, że tu się toczy jakaś większa gra...

– Niebezpieczna gra – przerwała trenerka. – Jeszcze mogą powtórzyć ten numer z wami.

– Nie sądzą. Przekonali się, że nie mamy tego, czego szukali i dadzą nam nareszcie spokój.

Słychać gwizdek.

– Wołają nas – mówi trenerka. – Musimy wracać do autobusu.

Dziękujemy za wybawienie z opresji i żegnamy się. Nam też czas w drogę.

Wciąż myślimy o słowach Manlichera: "manipulowane pionki", "figurki do bicia", "Saleda zrobił ich w konia". Krew się w nas burzy.

Czy to możliwe? Czy Artur byłby zdolny do czegoś takiego? Manlicher chyba nie kłamał. Kiedy głębiej pomyśleć o naszej wyprawie i jej

dziwnych perypetiach, to rzeczywiście wygląda, jakby ktoś to z góry ładnie zaplanował, wszystko zaczyna się układać w logiczny wzór.

Jacek przypomina sobie, że Artur co jakiś czas wyjeżdżał do

Moskwy, gdzie, jak mówił, spotykał się z "handlowcami" z Jakucji.

Łatwo się teraz domyśleć, że chodziło o surowe diamenty, które Artur następnie przewoził do Holandii i odstępował tamtejszym specjalistom do cięcia i szlifowania, do artystycznej obróbki. To oczywiście przynosiło kolosalny zysk.

Lecz ostatnio sprawa się skomplikowała, ponieważ Arturowi zaczął deptać po piętach gang Manlichera, próbując przechwytywać przemycane z Rosji kamyczki. Zagrożony Artur obmyśla plan, jak wyprowadzić Manlichera w pole. Każe nam przyjechać na lotnisko, umyślnie na oczach wszystkich wręcza Jackowi "zagadkowe pudełko", jakby chciał komuś pokazać: "patrz, jaka to ciekawa przesyłka, przyjrzyj się, komu ją daję, jedź za nim i próbuj mu ją odebrać". I od razu staje się jasne, skąd u niego nagle taki gest, żeby odstąpić nam "napięte interesy "Pytona". Chodziło po prostu o to, żeby "wysłać nas w Polskę" z tą przynętą. Mieliśmy stworzyć pozory, że to my przewozimy cenny ładunek i wprowadzić gang Manlichera na fałszywy ślad.

– Innymi słowy – mruknąłem posepnie – chodziło o wystawienie nas na ataki gangu, żeby Artur mógł się bezpiecznie przejechać do Holandii.

Fajny scenariusz. Ciekawy. Jak thriller.

– Tak, tylko że to wszystko miało się dziać nie w filmie, ale w rzeczywistości – rzekł Jacek – a tu można było dostać w czapę naprawdę.

– Albo przypalić sobie pięty.

– Te leśne, podniecające spotkania z kimś, tylko że to nie były krasnoludki... Igrali naszym życiem – dodał po chwili. – Zadzwońię do

agenta Benona. Nie zostawię tak tego!

W Radomiu zatrzymał się przy pierwszej telefonicznej budce. Skinął na mnie, bym mu towarzyszył.

– Benon? – rzucił do słuchawki. – Już wiemy, jaką naprawdę przeznaczycie nam rolę. Jesteście gnoje! – przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, a potem powiedział do mnie: – Chcesz wiedzieć, jak zareagował?

Skinąłem głową. Podał mi słuchawkę, a ja usłyszałem głośny bezczelny śmiech.

Ten śmiech dźwięczy nam ciągle w uszach, gdy wysiadamy przed hurtownią "Kopciuszek".

Hurtownia jest zamknięta z powodu niedzieli, ale dzwonimy uparcie; wiemy, że Kozaczek tu mieszka i jest szansa go przyłapać.

Niestety Kozaczek nie daje znaku życia, zamiast drzwi hurtowni otwierają się drzwi w przyległej kamieniczce i wychodzi z nich zadbana staruszka w śnieżnobiałych spodniach, białej koronkowej bluzce i białych pantofelkach – taka królowna Śnieżka po siedemdziesiątce, i wsparta na lasce, ale jeszcze żwawa.

– Co to za raban przy niedzieli? – pyta wyraźnie zgorzona.

– My do pana Kozaczka – mówi Jacek.

– Pan Kozaczek jest na chorobie, ale jeśli mogłabym w czymś pomóc, zrobię to chętnie. Jestem dobrą znajomą pana Kozaczka. O co chodzi?

– Chodzi o to, że pan Kozaczek nabił nas w butelkę – wyrąbał Jacek.

– Pan Kozaczek? Niemożliwe – oburzyła się staruszka – taki uczciwy

człowiek?!

– Pani łaskawie zobaczy, co nam sprzedał.

Prowadzimy starszą panią do wozu, otwieramy pudełka. Starsza

pani zagląda i spokojnie wyjaśnia:

– To obuwie dla nietypowych. Nietypowi zdarzają się częściej niż się zdaje. Naukowo stwierdzono, proszę panów, że większość ludzi ma jedną nogę krótszą od drugiej...

– O pięć centymetrów?

– To też się zdarza.

– I że ta dłuższa noga jest nogą lewą?

– To dosyć częsty wypadek. Pan Kozaczek nazywa takich klientów lewicowcami. Panowie kupili po prostu obuwie dla lewicowców.

– I dla lewicowców jednonogich? – wtrącam nie tając szyderstwa.

– Pan Kozaczek nazywa ich jednośladowcami – wyjaśniła staruszka.

– Około pięć procent obuwia tej hurtowni, to obuwie dla jednośladowców. Pan Kozaczek wykazywał szczególne zrozumienie dla ich potrzeb.

– I dlatego wkładał im po dwa lewe buty do pudełka?

– Ten drugi traktował jako zapasowy – odparła. – To przecież zrozumiałe, że chodząc na jednej nodze zdziera się podeszwy niemal dwa razy szybciej.

Jacek sapie wzburzony. Wykrętne odpowiedzi tej kobiety

doprowadzają go do pasji, czuje, że jest bliski rękoczynu i próbuje go mitygować.

– Zostaw... Nie dyskutuj – syczę mu do ucha – to nic nie da. Nie bądź śmieszny. Jak się ma tupet i mało wstydu, to można klientowi wciskać różne kity, wszystko mu wmawiać. Sam wstawiałeś w komisariacie zupełnie podobną gadkę.

Ale Jacek źle się czuje w sytuacji oszukanego klienta. Nie potrafi opanować emocji i dyskutuje dalej:

– Znakomicie to pani wyjaśniła, ale rzecz w tym, że my chcieliśmy nabyć obuwie dla ludzi o normalnych nogach, tymczasem wlepiono nam towar dla osobników kalekich.

– To jakieś nieporozumienie! – dziwi się staruszka. – Przecież gdyby panom chodziło o towar na normalne nogi, nie przyszliby panowie do "Kopciuszka". Pan Kozaczek nie prowadzi takiego obuwia.

– Nie prowadzi?!

Starsza pani końcem łaski wskazała na szyld. Pod dużą nazwą "Kopciuszek" umieszczona była malutka wywieszka: "Pakownia i Hurtownia obuwia specjalnego na nogi nietypowe". Wlepiliśmy w nią oczy ze zdumieniem. Gotowi byliśmy przysiąc, że wczoraj jej tu nie było.

– To... to oburzające! To jakiś szwindel! Ten szyld zmieniono! – wykrzyknął Jacek.

– Ależ, panowie! Co za insynuacje! Panowie kupili, co chcieli. O pomyłce nie może być mowy... Byłam świadkiem tej transakcji.

– Pani?!

– Nie widzieliśmy pani.

– Wystarczy, że ja panów widziałam i mogę świadczyć. Panowie nic

nie mówili o obuwiu normalnym... A w ogóle to trzeba sprawdzać, co się

bierze, zwłaszcza jeśli się jest mało rozgarniętym, imbecyłowatym!

– To nieuczciwe, to jakaś zмова! Pani jest w konszachtach z tym oszustem!

– Radzę poskromić język, młody człowieku. Może pan stanąć przed sądem za zniesławienie pana Kozaczka. On ma prawo do ochrony czci i godności!

– Gdzie jest teraz? Muszę wiedzieć.

– Po co to panu? Nie sądzę, by pan Kozaczek uwzględnił pańską reklamację.

– Chcę go przeprosić za publiczną obrazę! – sapie Jacek.

– Lepiej niech pan go zostawi w spokoju. Pan Kozaczek jest w szpitalu.

– Na jakim oddziale?

– Kardiologicznym. Stan przedzawałowy.

– Jedziemy do szpitala – mówi Jacek.

W szpitalu okazuje się, że informacja staruszki nie była ścisła.

Kozaczka umieszczono na oddziale urologii. Jacek idzie go tam

odszukać. Nie muszę asystować mu w tej przykrej misji i korzystając z

okazji postanawiam odwiedzić mamę, ale nie zostaję wpuszczony na

oddział. O tej porze w poniedziałek nie ma odwiedzin chorych. Muszę

zadowolić się rozmową telefoniczną. Mama cieszy się, że zadzwoniłem,

jest w doskonałym nastroju. Arytmia ustąpiła. W poniedziałek

wszczepią jej rozrusznik serca i w przyszłym tygodniu wypiszą ze

szpitala; jeśli nie wystąpią nowe komplikacje, będzie mogła normalnie żyć jak zdrowa osoba. Naprawdę wspaniała wiadomość! Moją radość mąci jednak pewien drobiazg. Tak, mama wróci ze szpitala, ale do czego wróci?! Do domu bez prądu, z odciętym telefonem i Materską pielką się o czynsz! Czuję się nędznym zgrywusem i oszustem. Jak wytłumaczę, że nie zapłaciłem tych przeklętych rachunków? Ze wstydem wspominam moje szpanowanie fortuną, te melony wysypane przed mamą, te lekkomyślne obietnice! Trochę za wcześnie było na popisy, no i jak teraz wyglądam? A do tego te kłamstwa o ojcu! Całe szczęście, że zostawiłem jej wtedy te kilka tysięcy. Dzisiaj już nie byłoby mnie stać na to!

Z tego wstydu i z wściekłości na siebie tracę resztki rezonu.

Rozmowa nie klei się, jestem nienaturalny i spięty.

– Co ci jest? – pyta mama. – Czy dobrze się czujesz?

– Przepraszam – bełkoczę. – Muszę kończyć, ktoś się dobija do budki.

To Jacek. Widzę jego spoconą twarz. Rozbiegane oczy. Czuję, że coś się stało, coś bardzo złego. Wyskakuję z budki.

– Jakieś nowe kłopoty?

– Ukradli gablotę! – mówi Jacek.

`pa

Rozdział XV

Bez towaru i bez pieniędzy. Uparty Pampers zapowiada dogrywkę.

Czy można liczyć na cud nad Pilicą? Zakład. Nocny bilans. Wyprawa po jeden pocałunek? To nawet ładnie brzmi. Jak dopadli nas "inkasenci".

Mój wspomniały tato, czyli odsiecz. W ogniu krytyki. Czy naprawdę

odbicie się od dna?

Ćwiczę zalecany przez mędrców stoicyzm i przyjmuję hiobową

wiadomość z kamienną twarzą.

– To już koniec! – obwieszcza minorowym głosem Jacek.

Znów mam okazję zagrać rolę mentora.

– Spokojnie, stary, wózek znajdzie się.

– Gdzie i jakim cudem! Załatwili nas specjaliści z samochodowych

gangów. Nie ma szans, Lord!

– Nie gniewaj się – mówię – ale twoja gablota nie jest mercedesem,

ani inną toyotą. To nie robota dla specjalistów z gangu. Wózek ukradły

jakieś łachmyty.

– Mała pociecha. Co za różnica?.

– Różnica jest. Nie pojedą daleko. Wymontują radio, zabiorą

pudełka, a gablotę porzucą. Stale się słyszy o takich wypadkach. Trzeba

zgłosić na policję...

Ale myśli Jacka biegną nieco innym torem. Właśnie odjeżdża sprzed

szpitala taksówka. Zatrzymuje ją.

– Wskakuj! – rzuca mi, a kierowcy każe jechać szybko pod najbliższą

stację benzynową.

– Czemu pod stację? – pytam.

– Zapomniałeś?! Przyjechaliśmy tu na ostatnich kroplach. Złodzieje,

jeśli chcą czmychnąć moim wozem, muszą najpierw zatankować.

Gablotę Jacka zobaczyliśmy z daleka. Stała na poboczu,

kilkadziesiąt metrów od stacji.

– Jeden zero dla ciebie – mruczy ucieszony Jacek. – Faktycznie porzucono ją. Ciekawe czemu zrezygnowali z tankowania.

– Po prostu musieli mieć tu swój wóz i przesiedli się razem z łupem. Nie chcę cię martwić, ale założę się, że gablota jest pusta.

Wysiedliśmy z taksówki i pobiegliśmy do Jackowego wózka. Był w nienaruszonym stanie, ale bez radia i bez pudełek.

Tak rozwiązany został definitywnie problem reklamacji pum.

Chodziło mi tylko po głowie pytanie, czy zareklamują je złodzieje.

Przez parę minut próbowałem zabawić się myślą, jakie miny będą mieli, gdy zorientują się, co ukradli, ale wkrótce przygnębienie

ogarnęło mnie na dobre. Byłem do gruntu zniechęcony i po prostu

zmęczony psychicznie. Patrzyłem przez szybę wozu na mijane łąki nad

Radomką. Pławiły się w mocnym majowym słońcu, a mnie przenikał przykry ziąb, jakby to słońce świeciło, a nie grzało! Co teraz będzie?

Ciarki mi przechodzą po grzbiecie na myśl o spotkaniu ze stryjem

Karolem. Jest już pewne, że nie wykupię magnetowidu z lombardu.

Widzę całą nikczemność, a także lekkomyślność mojego postępków. Czy zdołam wymyśleć jakieś usprawiedliwiające kłamstwo?

Czas zrobić szczerzy rachunek sumienia. Tak, nie ma co zwalać winy

na gang, na Artura czy na pech. To my nie zdaliśmy egzaminu. Zgubiła

nas naiwność, nonszalancja, po prostu niedbalstwo. Brać towar w

hurtowni spod ciemnej gwiazdy! Dać się zrobić w konia przez jakiegoś

Kozaczka?! Ba, żeby tylko! A to zgrywanie się na biznesmenów, to

szpanowanie. I ta historia z Marudą?!

Tak, błędy były oczywiste. Czy nie ma ani jednego jasnego punktu na tym ciemnym tle? Jest. Jaga! Ta niezwykła dziewczyna. Cudowny elektryczny dreszcz, gdy dotknąłem jej ust wtedy w alei w parku. Mój pierwszy pocałunek, który zapamiętam na zawsze! Mimo wszystko wracam bogatszy, co prawda nie w melony, ale pal sześć melony, wracam inny, nowy, przebudzony... odmieniony... Więc chyba jednak warto było odbyć tę szaloną podróż. "Wyprawa po jeden pocałunek" to nawet ładnie brzmi.

A potem znów opanował mnie smutek. Pomyślałem, że ten pierwszy pocałunek może zarazem być ostatni. Jaga pocałowała mnie w euforii, bo pomogłem jej w trudnej sytuacji, lecz nie miałem żadnej pewności, że czuje to samo co ja. Nie... nie, myśleć, że zakochała się we mnie to śmieszne, żalosne zarozumiałstwo. Nic nie upoważnia mnie do tego, by tak myśleć.

– Piękna końcówka, co? – Jacek roześmiał się histerycznie.

– Tak, finał raczej smutny – mruknąłem.

– Ale będzie jeszcze dogrywka – wycedził przez zaciśnięte zęby. – I tak wyjdziemy na swoje! Już niedługo, Lord. Jutro będzie nasze, zobaczysz! Mamy jeszcze wielką szansę!

Wiem oczywiście, co nieszczęsny Pampers ma na myśli, tą ostatnią szansą ma być dla nas, pożałuj się Boże, ten mały aferzysta, ten pajac Maruda-Nowaczek! To on ma uratować nasz honor kupiecki? Żalospa historia!

– Jesteś kompletny głupek żółędny, dureń z dzwonekami i baran –

powiedziałem. – Powinieneś mieć na tyle wstydu, żeby nie wspominać tej haniebnego afery.

– Haniebnego? To się jeszcze okaże – czarne oczka Jacka rzucają ostre błyski, pali się w nich ogień niezłomnej wiary. To fanatyk, człowiek szalony. Nie mam zamiaru się z nim handryczyć, ale złości mnie jego irracjonalny upór godny lepszej sprawy. Oto, co ten zadufek ogłasza:

– Nawet jeśli Marudzie ta operacja nie wyjdzie, to i tak stawi się o umówionej godzinie w Duriaszu Małym, żeby zwrócić nam forszę.

– Naprawdę wierzysz, że się pofatyguje, czy tylko chcesz wierzyć?

– Wierzę.

– No, to załóż się, że nie zobaczymy go więcej, ani jego ani tych obiecanych melonów.

– Proszę bardzo, możemy się założyć!

– Jeśli przegrasz, przypniesz sobie plaketkę "Jestem Patentowany Osioł" i będziesz z nią chodził przez cały dzień.

– To ty sobie przypniesz.

– Przypnie ten, kto przegra.

Wycinamy z tekturowego pudełka dość okazały prostokąt, rysujemy na nim grubym pisakiem umówiony napis i zaopatrujemy w agrafkę (do przypięcia na piersi).

Noc spędzamy na kempingu w Jedlińsku, brakuje nam waluty, a

Jackowi wstyd nadużywać gościnności Duriaszów. Prawie nie

zmrużyłem oka. Niespokojna to noc, ostatnia! Myślałem o jutrzejszych

spotkaniach z ojcem na parkingu w Białobrzegach i z Jagą u Duriaszów.

Czekałem na nie z nadzieją i lękiem zarazem. Czy Jaga pamięta jeszcze o mnie? Czy cała jej przygoda była tylko wyskokiem rozkapryśzonego podlotka?

Rano biegnę do kiosku po gazety. Kupuję cały plik lokalnej prasy i niecierpliwie ją przeglądam. Jest ogłoszenie! Lakoniczne, ale napawające nadzieją na pomyślne załatwienie konfliktu:

"Przyjmuję propozycję. Czekam na telefon i podanie adresu, gdzie moglibyśmy się spotkać".

Uspokajam się nieco. Spotkamy się zapewne w Duriaszu. Jak dalej rozwinie się sytuacja? Czy straszny papa Gędziol dotrzyma obietnicy? Czy będę świadkiem pojednania czy nowego skandalu?

Ten dzień zamknie także nasz bilans – strat i zysków. Rozstrzygnie się, czy wrócimy jako przegrani, splukani co do nitki bankruci, czy też jako multimilionerzy. I kto przypnie sobie plaketkę patentowanego osła. Jest jeszcze nadzieja, nieśmiała nadzieja... ale nie chcę o tym myśleć. Przypuszczam, że wszystko raczej skończy się plajtą. I nie będę się dziwić. Zasluzaliśmy na dobrą nauzkę.

O szóstej budzę Jacka, który chrapie snem sprawiedliwego. Jest pewien swojej wygranej. Metafizyka mu pomaga. To człowiek mocnej wiary, wierzy w swój handlowy nos i w bioprądy. Wścieka się na mnie, chce dalej kimać, ale wypędzam go z wyrka. Na parking pod Białobrzegami przybywamy o siódmej. Pustawo tu i sennie. Jacek kima z głową na kierownicy. Ja wylazę z wozu i wpatruję się niecierpliwie w

zamgloną szosę. Punktualnie o ósmej nadjeżdża błękitny wóz. Tata?! Co za ulga! Nareszcie nie zawiódł. Serce mi bije jak szalone i... nagle zamiera. Nie, ten wóz to nie uno, to opel kadett! Zamiast ojca z auta wyskakuje dwu drabów w panterkach w żółte plamy, istne Lamparty, a za nimi niewielki chudy człowieczek z czarnym wąsikiem, podobny do żuczka.

W rękach mają długie noże. Nim się zorientowałem, przekłuli nam dwie opony po prawej stronie wozu.

– Panowie, co wy! – wrzasnąłem. – Czyście oszaleli?! Jacek! Zobacz, co zrobili! – szarpię Pampersa za ramię.

– Teraz możemy porozmawiać – powiedział Żuczek – a rozmowa będzie krótka. Bulicie trzynaście melonów, chłopaki!

– Melony? Bulić? Za co?! – Jackowi powoli wraca przytomność.

– Za to, żeście wtrynili buble pani Kuflewskiej i panu Męcikowi, w imieniu których działamy.

– To nie były buble – jęknął Jacek. – Jużesmy wyjaśnili na policji.

Gliniarze nas zwolnili.

– Nie obchodzi nas, jak wyłgaliście się przed gliniarzami – oświadczył Żuczek. – Towar był bublowaty. Należy się osiem melonów za pumy, trzy tytułem kosztów inkasa i prowizji oraz dwa tytułem procentu. Razem trzynaście do inkasa. Wyjąć go z wozu! – wskazał Lampartom Jacka.

– Nie mamy czasu – powiedział do nas większy z Lampartów wydobywając pistolet. – Płacisz, czy mamy ci przestrzelić kolanka –

dodał drugi kłując Jacka nożem w brzuch.

Oblał mnie zimny pot. Wiedziałem, że to nie są puste groźby, o takich rzeczach stale piszą w gazetach.

– Zaczniemy od twojego kumpla małolata – Żuczek wskazał na mnie.

– Zobacz, jak to zrobimy i zastanów się, czy jednak nie warto zapłacić.

Przerażony, chciałem rzucić się do rozpaczliwej ucieczki, gdy nagle jakiś wóz zahamował gwałtownie tuż przed Lampartami.

– Stop, panowie, chwileczkę, po co ta gorączka! – usłyszałem silny,

dźwięczny jak metal głos. Obróciłem się. Z ciemnobłękitnego uno

wysiadł elegancki pan w tegoż koloru marynarce, w śnieżnobiałej

koszuli, złocistym krawacie i nieskazitelnych kremowych spodniach.

Osobnik dziwnie znajomy ze starannie przystrzyżoną dwucalową

brodą, z krzaczastymi brwiami i śmiejącymi się oczyma koloru miodu.

Jednym słowem – mój tata.

– Cóż to za spektakl, panowie? Jestem bossem tych smarkaczy, a

panowie, jeśli się nie mylę jesteście inkasentami.

– W rzeczy samej – rzekł zaskoczony Żuczek przyglądając się

uważnie ojcu.

– Ile są winni – zapytał tata.

– Trzynaście baniek, lub jeśli pan woli, melonów.

– Za co?

Ojciec bez słowa wydobyl portfel z kieszeni i odliczył trzynaście

banknotów. Żuczek chciał je pochwycić, ale ręka taty zawisła wysoko w

powietrzu.

– Nie tak szybko, mistrzu Wielowąs – powiedział. – Czy mi się zdaje, czy te dwa koła w samochodzie tych chłopców dziwnie siadły? Czy to przypadkiem nie wskutek zbyt gorliwych działań inkasenckich?

– Coś podobnego? Faktycznie siadły! – Wielowąs nieudolnie udał zdziwienie.

Wystraszony pociągnąłem ojca za rękaw.

– Oni mają spluwy! Tato, daj spokój, nie drażnij się z nimi – syknąłem.

– Nie bój się, synu – zamruczał. – Ja znam tych panów. Raczej nie strzelają w biały dzień na parkingach. To w gruncie rzeczy dość uczciwi ludzie. Na swój sposób... A swoją drogą Wielowąs nie spodziewałem się, że pan, kulturalny superinkasent takie rzeczy... Odkąd to zajmuje się pan straszaniem dzieci? Śmiertelnie przeraził pan mojego Witka. To wrażliwy chłopczyk.

– Mój Boże, to pan inżynier Mucha – wykrzyknął radośnie

Wielowąs. – Przepraszam, nie wiedziałem, że ten ananas to pana synek.

Zaraz naprawimy szkodę na oczekaniu i bez dopłaty, w ramach

kosztów inkasa. Jak to miło spotkać starego klienta w tak znakomitej

formie – to mówiąc chciał rzucić się tacie w objęcia (serdeczny był

człowiek), ale tato odsunął się zręcznie. Nie zrażony tym superinkasent

przyglądał się tacie z podziwem. – No, no, kierowniku, nie

spodziewałem się. Widzę, że wypływamy na szersze wody. Nie poznałem

pana w pierwszej chwili w tym nowym wozie i w ubranku. I synek też

się udał, obiecujący dzieciak!

– Obiecujący, mówi pan? Właśnie mam do niego trzy słowa. – Tato obrócił się do mnie. – Na miłość boską, co to wszystko ma znaczyć, Robaczku? Czemu nie chodzisz do szkoły? Skąd nagle wziąłeś się w Kielcach? Co ty właściwie robisz?

Wielowąs roześmiał się.

– Jak to, co robi. Chłopczyna poszedł w ślady tatusia, robi interesy, wielkie interesy, rzecz w tym, że mętne, a co gorsza zbyt ryzykowne, wręcz niebezpieczne. Związał się z różnymi parszywcami...

– Wcale się nie związałem – zaprotestowałem ostro.

– Ostrzegam pana, inżynierze – ciągnął nie zważając na mnie

Wielowąs. – Rozumiem, że to przykre dla pana, ale lepiej żeby pan wiedział. Pański chłopiec przyucza się do zawodu kanciarza. Wraz ze współnikiem (nawiasem mówiąc też lepsze ziółko) grasuje po terenie i naciąga drobnych kupców wtykając im wybrakowane obuwie z felerem.

– Mój Robaczek?! Grasuje i naciąga? Nie wierzę!

– Znam z detalami sprawę – odchrząknął superinkasent. – Dwa dni temu ofiarami Robaczka i jego kumpla padli detaliści w Karczewie, biedni kramarze pan Męcik i pani Kuflewska. Sprytne małolaty wtrzyły im fałszywe pumy, co gorsza wybrakowane i prawie wszystkie nie do pary. Udawali nie obeznane z rynkiem, naiwne niewiniątka, mamili niską ceną i wlepili kramarzom całą partię bubli po pięćset tysięcy za parę. Aresztowani w Górze Kalwarii za oszustwo wykręcili się jakimś cudem na policji i zostali wypuszczeni. W tej sytuacji

behradni detaliści zwrócili się o pomoc do mojej agencji.

– To wcale nie tak! – wykrzyknąłem wzburzony. – Nie chcieliśmy nikogo nabierać! To nas nabrano. Taki jeden z "Kopciuszka" nas nabrał, nazywa się Kozaczek i struga hurtownika.

– To jest możliwe – przyznał Wielowąs. – Słyszałem o tym szakalu.

Niebezpieczny szachraj, wyjątkowo zręczny mistyfikator. Synek mógł najpierw sam paść ofiarą tego oszusta, a potem odgrywał się na innych, by wyrównać straty...

– Już ja się dowiem prawdy! – sapał gniewnie tato.

– Moje przekłute opony... moje dziurawe koła! – lamentował ogłupiały Jacek chodząc wokół uszkodzonego wozu.

– Co pan mi tu stoisz i gędzisz – huknął tato na Wielowąsa. – Bierz się pan za te koła! Migiem, migiem, bo nie mamy czasu. Ruszże się pan!

– Bez nerw, kierowniku, zaraz się wszystko zrobi – rzekł superinkasent i skinął na swoich Lampartów.

Doskoczyli szybko jak szatani do wozu Jacka z kluczami do kół i z podnośnikiem. Patrzyłem na nich z niepokojem.

– Tato, to straszne typy, ty im wierzysz? A jak ukradną te koła?

– Nie bój się – odparł ojciec. – Znam tych typów. Na tle innych nie są jeszcze najgorsi. To ludzie z agencji "Obligo", która zajmuje się wymuszaniem spłaty długów i wszelkiego typu należności. Owszem stosują wobec opornych dłużników karalne groźby, przymus fizyczny i terror, to fakt, ale nie są złodziejami i mają coś w rodzaju etyki zawodowej. Przekłute dętki i inne szkody naprawiają bez ceregieli i

ekspresowo w ramach, jak mówią, kosztów inkasa, czyli faktycznie na koszt dłużnika, ale oszczędzają mu fatygi. Są bardzo grzeczni i uczynni, ale tylko wtedy, gdy dłużnik jest wypłacalny i godzi się płacić.

– To znaczy, że gdybyś im nie zapłacił...

– Pobiliby was i zabrali wóz. Ale zostawmy tych panów i porozmawiajmy o tobie. – Tato zmarszczył brwi. – Nic nie masz do powiedzenia?

– A co mam ci mówić? – udałem, że pochłania mnie całkowicie obserwacja Lampartów Wielowąsa, którzy zabrali się żwawo do odkręcania śrub koła. Mieli dużą wprawę w tej czynności, widać było, że wykonują ją często. Przyglądałem się więc Lampartom, a tato przyglądał się mnie, wydany, jak to się mówi, na pastwę mieszanych uczuć. Wciąż chyba nie wiedział, jaką postawę wobec mnie przyjąć. Wreszcie uznał, że najlepiej wykona swe rodzicielskie zadanie, jeśli mnie obsztoruje.

– Smarkateria! – fuknął. – Szczeniactwo! Wypuścić się na handel w Polskę z pustą kieszenią, bez kapitału, bez doświadczenia i bez pojęcia o towarze, którym ma się obracać! Handel to nie jest zajęcie dla gówniarzy. Sam widzisz, w co się wplątałeś! Co ci strzeliło do głowy? Skąd ten szalony pomysł?!

– Jeszcze pytasz?! – wybuchnąłem rozgoryczony. – Musiałem coś zrobić. Zostawiłeś nas bez pieniędzy. Byłem po prostu głodny i gotów na wszystko. Czy tego nie rozumiesz? Co miałem począć? Usiąść w kącie i płakać?

Poskutkowało! Tato chrząknął zakłopotany.

– No, dobrze, Robaczku, ale bawić się w takie rzeczy? Nie mogłeś wymyśleć nic lepszego?

– To nie była zabawa – mruknąłem ponuro.

– No, właśnie! – podszedł do nas rozdrażniony Jacek. – Niech pan to nazwie, jak pan chce, ale to nie była zabawa. Wszystko, co pan sobie

życzy,

tylko

nie

zabawa!

Zrobiliśmy

kilka

prawdziwych

wielomilionowych interesów...

– Trumny – bąknąłem.

– Co? – tato wzdrygnął się. – Jakie trumny?

– Nie, nic, nieważne – rzekł szybko Jacek. – Z bielizną to był złoty interes...

– Tak, tato – potwierdziłem. – Sprzedaliśmy ją doktorowi Goldowi w Ludwisinie, firma "Manhattan", kursy przystosowawcze...

– Pięćdziesiąt kompletów bielizny.

Ojciec słuchał z irytującym nas lekceważącym uśmiechem.

– Bielizna, widzę, to twoja specjalność, Pampers – rzekł cierpko do Jacka. – Pamiętam, że miałeś stragan z bielizną dziecięcą i pieluchami.

– To rodzice, ja... ja tylko czasem pomagałem – wymamrotał Jacek i poczerwieniał.

– Tak, przypominam sobie, nie miałaś mądrej miny za ladą... Jakoś nie bardzo ci szło, Pampers.

Jacek przygryzł wargi.

– Nazywam się Jacek Pająk – zauważył wściekły.

Ale tata jakby nie dosłyszał i ciągnął z widoczną przyjemnością.

– Tak, Pampers, chyba nie masz smykałki do handlu, nie wróżę ci sukcesów w tym kierunku. No cóż, twoje zmartwienie, ale nie pozwolę, żebyś wciągał w to Witka. Te wasze interesy mogły się skończyć tragicznie. Mieliście szczęście, że nadjechałem w porę. Ale czy to koniec?

Ciekaw jestem, ile jeszcze, Pampers, zrobiłeś podobnych wspaniałych transakcji, ile milionów jesteście do tyłu i czy jakiś nowy inkasent nie będzie was jeszcze szarpał.

– Nikt nas nie będzie szarpał – mruknął urażony Jacek. – Poza tym jednym wyjątkiem to były czyste udane interesy.

– Tak mówisz? A gdzie zysk?! – zapytał ostro tato.

Jacek chrząknął pod nosem.

– Niestety okradziono nas. Straciliśmy całą partię towaru i pieniądze zainwestowane w ten towar, ale bynajmniej nie jesteśmy do tyłu. Pozostały nam inne aktywa.

– Jakie aktywa, na miłość boską!

– Lokaty.

– Macie coś w banku?

- Raczej w ziemi.*
- Do licha, nabyliście grunta, wy małoletni? – ojciec zdenerwował się. – Oszukali was!*
- Czemu mieliby oszukać?*
- A gdzie akt?*
- Jaki akt?*
- Notarialny.*
- Akt to sobie zrobił taki jeden gość – powiedziałem. – Poznaliśmy go tu w lesie przy parkingu. Nazywa się Maruda-Nowaczek.*
- Tak, proszę pana – potwierdził Jacek. – To on podpisał akt u notariusza w Grójcu. Z niejakim Paluchem podpisał.*
- A wy?*
- My? Myśmy nie potrzebowali aktu, zresztą jako niepełnoletni i tak byśmy nie mogli go podpisać. Zawarliśmy za to z panem Marudą pewną... transakcję...*
- Kupno gruntu?*
- Nie, to właściwie nie było kupno...*
- A co było?*
- To była wielka spekulacja! – powiedziałem. Nie wiem, co mi się stało, ale oświadczyłem to z dumą.*
- Spekulacja? – tato przerażony zmarszczył brwi.*
- Chciałem powiedzieć... kombinacja – poprawiłem spłoszony.*
- Po prostu korzystna operacja – sprostował Jacek. – Zdarzyła się nam okazja, żeby zarobić kilka melonów. – Opowiedział tacie o całym*

wydarzeniu.

– Zaraz – zaniepokoił się tato – chcesz powiedzieć, że robiliście jakieś kombinacje z przygodnie spotkanym człowiekiem w lesie? O święta naiwności – tato spojrział w niebo i pokręcił głową. – Ależ to oczywiste, że to był zawodowy oszust!

Jacek przygryzł wargi. Tato cholernie działał mu na nerwy.

– Nie sądzę – warknął. – To był po prostu człowiek w krytycznym położeniu. Na naszych oczach rozbito mu wóz, sam omal nie stracił życia. Był nam bardzo wdzięczny, żeśmy mu udzielili pomocy...

– Oszustom też zdarzają się kraksy – zauważył tato. – Faktem jest, że typ nabrał was na darmową jazdę do Grójca i jeszcze wyłudził dziesięć milionów. Tak to wygląda obiektywnie, moi drodzy. Nie zobaczycie już nigdy tego człowieka.

Jacek posłał tacie spojrzenie zdolne zabić wołu.

– Zobaczymy jeszcze dzisiaj – zasapał. – Zgodnie z umową da nam dwieście milionów z okładem.

– Obiecanki cacanki a głupiemu radość! Uwierzyłeś?

– Tak, uwierzyłem i wciąż mu wierzę.

– Na jakiej podstawie?

Jacek rozzłościł się.

– Na jakiej podstawie? A na takiej, że... że miał gębę kłowna, wierne psie oczy, szczecinę w uchu i nos jak purchawka! Wystarczy?

– Pięknie, Pampers. Zaufałeś mu z powodu nosa? – zadrwił tato.

– Jestem rasistą-fizjonomistą. Rozpracowuję człowieka na

podstawie kształtu twarzy, a pan nie?

– No, wiesz! – zachnął się tato.

– Przy zawarciu transakcji stosuję metodę impresyjno-parycyjną, mniej się kieruję psychologią głębi, a więcej psychologią fasady, moglibyśmy wymienić doświadczenia – oznajmił Jacek.

– Daj spokój! – pociągnąłem go za rękaw, ale on wpadł już w trans i zgrywał się na całego.

– Na Marudzie-Nowaczku też się od razu poznałem. Jego nos, jego oczy, jego głos... Dużo mówił. Pewnie dla innych to były ko-szałki, ale ja wyczułem w nim wielkiego finansistę... Nawiedzony człowiek. Symbol czasu. Jeden z przebudzonych po latach peerelowskiej śpiączki geniuszów interesu! Poczulem bijące od niego ożywcze bioprądy...

Tato pokiwał głową z politowaniem.

– No, tak... oczywiście... bioprądy – zamruczał. Już nie dyskutował. Pewnie zaliczył Jacka do kategorii, jak to określał, maniakałnych imbecylów oczywistych.

– To ja pójde teraz coś zjeść i wymyć zęby – oznajmił Jacek. – Zbliża się wielka chwila, najważniejsze w moim życiu spotkanie. Radzę panu, panie Mucha, wziąć w nim udział. Godzina dwunasta, Duriasz Mały, to niedaleko stąd. Kapitalna okazja, pozna pan tego niezwykłego człowieka. Już dziś jest na pewno multimiliarderem. Będą o nim pisać w gazetach! Człowiek przyszłości – Józef Maruda-Nowaczek. Muszę się przygotować na ten niezwykły moment i zastanowić, co zrobię z taką kupą pieniędzy. Panu z Witkiem też radzę pomyśleć o tym... Co za

wspaniały dzień! – Wycofał się mamrocząc w podnieceniu

niezrozumiałe słowa.

Ojciec odprowadził go niechętnym wzrokiem.

– Z kim ty się wybrałeś na podbój świata, Robaczku? Z Pamperssem?

Czy wiesz, jaką on ma opinię? To przecież imbecyl oczywisty! Jego

rodzice nie mogli sobie z nim dać rady. Wsadzili go do internatu ojców

jezuitów dla trudnej młodzieży; dwa razy stamtąd uciekał. To regularny

świr! Słyszałeś, co tu wygadywał?

– Ależ tato, czy nie widzisz, że on się tylko tak zgrywa dla kawału,

umyślnie struga wariata, bo wie, że go nie lubisz, chce się z tobą

podrażnić i wyprowadzić cię z równowagi. Ale on nie jest głupi!

Ojciec milczał przez chwilę. To milczenie nie wróżyło nic dobrego.

– Skończysz z nim i weźmiesz się energicznie do nauki – oświadczył

wreszcie. – Za tydzień masz egzamin...

– Za pięć dni dla ścisłości – poprawiłem.

– Zdaje się, że zlekceważyłeś go zupełnie. Musimy porozmawiać

poważnie, synu.

Uznałem za niezbędne szybko zmienić temat i przejść do kontrataku.

– Czy odwiedziłeś mamę w szpitalu? – zapytałem z surową miną,

tonem inkwizytora. – I co z Nikiforami?

Pytanie było skuteczne. Od razu zepchnąłem tatę na pozycję

strofowanego ucznia o nieczystym sumieniu.

– Nikifory? Nikifory odbiorę jutro, jak tylko spłacę dług – odparł

starając się ukryć zakłopotanie – a mamę odwiedziłem wczoraj, w

niedzielę. W sobotę nie mogłem, ale dzwoniłem.

– Czemu milczałeś, gdzie się obracałeś, czemu nie odzywałeś się tyle czasu?

– Nie miałem odwagi. Już tyle razy was zawiodłem. Te powroty do domu bez sukcesu... bez pieniędzy nie były dla mnie przyjemne. Wiesz, co matka myślała o moich interesach. Dlatego chciałem najpierw stanąć mocno na nogi.

– I stanąłeś?

– Mam dobrze rozwijającą się firmę, masz, obejrzyj sobie – wyciągnął z teczki-dyplomacki elegancki blankiet firmowy z nadrukiem:

`ty

Agencja Ubi

Usługi Budowlane

i Inwestycyjne

Roman Mucha i spółka

Kielce, ul. Azurytowa 11

`ty

– Wyszukujemy tereny pod zabudowę, załatwiamy lokalizację, kupno i rewindykacje, plany architektoniczne, zezwolenia budowlane i podłączenia do sieci, zdejmujemy z barków klientów całą tę mitręgę urzędową, wszystkie te korowody z zakładami energetycznymi, gazowniczymi, z wodociągami i kanalizacją oraz ze strażą ogniową – razem co najmniej pięć kilo dokumentacji. Oczywiście prócz tego

prowadzimy roboty budowlane: remonty, rozbudowy, adaptacje starych obiektów i wznoszenie nowych – wszystko w kooperacji z solidnymi specjalistycznymi przedsiębiorstwami.

– Pokazałeś to mamie?

– Jasne.

– I co?

– Powiedziała, że robię postępy, ten blankiet firmowy jest graficznie najbardziej udany i mogę śmiało dołączyć go do kolekcji.

– Nie wierzy w to przedsięwzięcie?

– Zupełnie. Myśli, że podzieli los poprzednich moich zamierzeń. Ale może uwierzy Kurii Biskupiej i ciotce Trafek-Trońskiej. Pokazałem jej list ciotki, który napisała do mnie.

– Ciotka napisała do ciebie? – nie mogłem wyjść ze zdumienia.

– Tak, synu. Przyjęła w zasadzie moją propozycję, by weszła do UBI i zasilila Agencję swoim kapitałem.

– I dała się na to namówić?! Przecież... hm... nazywała cię hochsztaplerem i zawsze odmawiała kredytu.

– Zaoferowałem jej wspaniałe warunki, dwadzieścia procent udziału i dałem gwarancję, że jej zysk nie będzie niższy niż trzydzieści procent. Ale nie to ją najbardziej przekonało, najbardziej przekonało ją, że mam wspaniałą opinię w kurii.

– Ty? W kurii? – moje zdumienie wzrosło o dalsze sto procent, czyli podwoiło się. Ja chyba zupełnie nie znałem mojego rodzzonego ojca. Ojciec uśmiechnął się wyraźnie rozbawiony moim zaskoczeniem.

– Miałem szczęście, ja i moi prawnicy, załatwić zwrot zabranej przed laty letniej rezydencji biskupiej, czego nikt przedtem nie potrafił dokonać. Następnie udało mi się solidnie i terminowo dokonać remontu i adaptacji zniszczonego budynku. No i zaoszczędziłem kurii tych wszystkich prawnych ceregieli... Co prawda twoja matka wciąż jest przekonana, że jakimś szatańskim podstępem wprowadziłem kurię i ciotkę w błąd, ale chyba trochę zachwiałem jej pewnością, że poślubiła niedołęgę. Najgorsze mamy już za sobą. Odbiliśmy się od dna. Chyba wierzysz – spojrzał mi nagle w oczy.

– Tak tato wierzę ci – wytrzymałem jego niespokojne spojrzenie.

`pa

Rozdział XVI

Tym razem tato w opalach. Ultimatum Zygi i Merdonia. Pół miliarda do tyłu i brak płynności finansowej. Czy można liczyć na ciotkę

Trafek-Trońską? Ach, ten beztroski tato! Przymusowe zakwaterowanie na fermie. Gdzie, u licha, podziła się Jaga? Nagan pana Duriasza.

Przybycie Kleofasa Gędziola i jego orkiestry. Belfegor w roli króla Leara. Wygrywam zakład? Niespodziewany posłaniec.

Krzyki, kakofonia klaksonów, jęk karetki pogotowia. Stoimy w

Białobrzegach w długim wężu samochodów. Zderzenie czołowe na moście na Pilicy. Niebezpieczny most, o wiele za wąski jak na tak ważną arterię. Wiercę się jak na szpilkach. Jesteśmy przecież umówieni na ważne spotkania na fermie Duriasz Mały, tymczasem możemy nie zdążyć. Pal sześć to z Marudą, położyłem na nim krzyżyk, ale spotkanie

z Jagą?... Jeśli się spóźnię, Belfegor ją zabierze i nie zobaczę jej nigdy więcej!

A już wszystko zdawało się układać tak pomyślnie. Lamparty szybko przywiozły naprawione koła i zamontowały tak sprawnie do Jackowego wozu, jakby robiły to już setki razy (a może naprawdę tak było?). Tato z miną znudzonego Krezusa wybulił Żuczкови trzynaście melonów, jakby to był mały napiwek za drobną przysługę. Zadowolony inkasent wręczył mi na pożegnanie wizytówkę – reklamówkę:

Albin Wielowąs i Julia Gęgawa s.c. doradztwo finansowe, obsługa długów, specjalność: usługi inkasenckie. Najnowsze amerykańskie metody. Działanie wzmożoną perswazją.

– To pan jest właścicielem firmy? – zapytałem Żuczka.

– Współwłaścicielem, do usług, młody człowieku – odparł i poklepał mnie po łopacie. – Sądzę, że pójdiesz w ślady swojego ojca i nasz kontakt stanie się bardzo bliski. Gratuluję pociechy – zwrócił się z uśmiechem do taty – udał się panu potomek. W tak młodym wieku już się wypuścił w handlową podróż i wypłynął na zdradliwe wody biznesu. Czas na mnie. Zostało jeszcze sporo klientów do obskoczenia – potrząsnął listą w powietrzu. – Wszystko to niestety drobnica, po parę baniek za ledwie... Rzadko wpada nam w ręce taki poważny klient jak pan – uścisnął przyjacielsko rękę tacie i uraczywszy go zapewnieniem, że wkrótce znów się spotkamy, odjechał szybko z uśmiechem przyklepionym do twarzy. Nie podobał mi się ten uśmiech. Uważałem, że był lisi.

W Białobrzegach Jacek oświadcza, że musi kupić prezent dla Marty Duriaszówny. Zatrzymuje się i biega po sklepach. Radzę mu, żeby dał sobie na jakiś czas spokój z prezentami dla dziewcząt, bo przynoszą mu pecha, ale on jest uparty i nie słucha. Zostawiam go więc i przesiadam się do wozu taty. Mam jeszcze parę pytań do niego...

Niestety w sumie znów kilka minut straconych, a teraz ten straszny zator. I ta zwłoka mści się. Gdy w końcu udaje nam się przejechać most, na skrzyżowaniu w Fałęcicach zatrzymuje nas rozpaczliwie zakrwawiony osobnik w podeszłym wieku, z siwą niechlujną brodą i sumiastymi wąsami, obok wrak roweru bez koła? Ofiara kraksy? Tato zjeżdża na pobocze i wyskakuje z wozu, żeby pomóc biedakowi. Niemal w tej samej chwili z bocznej drogi wynurzają się dwa wozy, wielka toyota camry i opel kadett, ten sam, któregośmy pożegnali niedawno na parkingu. Z głośnym trąbieniem tarasują nam drogę. Na ten sygnał ku mojemu osłupieniu rzekomy staruszek zdejmuje sobie przyklejoną, jak się okazuje, brodę tudzież wąsy, wyciera się chusteczką z "krwawych" plam, widzę teraz, że twarz ma młodą, nie dałbym mu więcej jak trzydzieści lat! Spokojnie zapala papierosa jak statysta filmowy po odwaleniu roboty. Można by sądzić, że uczestniczymy w kręceniu jakiegoś telewizyjnego thrillera, ale niestety to nie jest film, to przykra rzeczywistość. Zastawiono na nas pułapkę. Tato rozgląda się niespokojnie. Kombinuje, jak by dać dyla? Ale o ucieczce nie ma mowy. Nasz wóz jest dokładnie zablokowany. Żadnych możliwości manewru. Przerażony, z sercem w gardle, czekam, co będzie.

Z toyoty bez pośpiechu wysiadł otyły brzuchaty typ w buraczkowym garniturku pod krawatką. Miał płaską twarz żaby i wylupiaсте łzawe, jakby wiecznie zapłakane, oczy, za nim wyłonił się wysoki drab o krótkich włosach na sztorc i urodzie upiora Frankensteina, czyżby goryl brzuchatego? Jednocześnie z opla wyskoczył żwawo Wielowąs ze swoimi Lampartami.

– Przepraszam, panie Mucha – zwrócił się grzecznie do taty jakby zakłopotany – że nie załatwiłem tego wcześniej na parkingu pod Białobrzegami i znów fatyguję pana. Gdy tylko spotkałem pana, skontaktowałem się telefonicznie z panem Zyga i proponowałem, że przystąpię od razu do inkasa, ale pan Zyga chciał z panem osobiście porozmawiać, jako stary przyjaciel z ławy szkolnej.

– Tak, nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności – rzekł zbliżając się z uśmiechem na żabiej twarzy brzuchaty. – Cześć, Romuś – poklepał tatę po łopatce – dawnośmy się nie widzieli, a mamy sobie do pogadania, prawda? Ale spotkaliśmy się w końcu! Czy to ładnie tak stronić od starego kumpla z budy?

– Cześć, Zyga – bąknął tato z taką miną, jakby go rozboleł ząb.

– Co ci jest? – uśmiechnął się krzywo Zyga. – Źle się czujesz?

– Nie podoba mi się ten sposób załatwiania interesów – powiedział tato – ani sposób, ani miejsce!

– Co zrobić, kiedy ostatnio byłeś dziwnie nieuchwytny. Kluczysz, Romuś, czy to ładnie? Chowasz się gdzieś, a tu minął termin zwrotu pożyczki, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – mruknął tato. – Właśnie organizuję forszę dla ciebie, Zyga, ale nie depcz mi po piętach, bardzo tego nie lubię.

– Termin upłynął już miesiąc temu, ośmielam się zauważyć.

– Miałem pewne problemy...

– Tego się obawiałem – westchnął Zyga – ale nie kłopotz się, Romuś.

Zalatywimy rzecz po koleżeńsku, bezgotówkowo. W imię starej przyjaźni. Mam dla ciebie atrakcyjną ofertę.

Tato przygryzł wargi.

– Wolę z niej nie skorzystać. Nie sądzę, by mi się spodobała.

– Przecież jeszcze jej nie znasz.

– Ale znam ciebie, Zyga. Nie, bratku, bez kombinacji. Spłacę dług w zwykły sposób, tak jak było w umowie i kwita. Jutro dostaniesz swoje pieniądze z procentem i co do grosza!

– Wątpię, byś coś wyskrobał. Twoja agencja ma ujemne saldo.

– To nic, Zyga. Liczę na pieniądze ze specjalnego źródła. Właśnie jadę w tej sprawie do Grójca – oświadczył nie stropiony tato.

– Do Grójca? Co ty powiesz?! I tam bije to źródelko? Oj, Romuś – Zyga pokręcił łysą główką – za kogo ty mnie uważasz? Nie nabiorę się na to, za stary wróbel jestem.

– Nie wierzysz mi?

– Cwaniak z ciebie, ale tym razem nie damy się zrobić w konia. Nie, Romuś, póki nie oddasz tych pieniędzy, nie puścimy cię nigdzie! Wybij to sobie z głowy... Nawet do Grójca!

– To jak mam zorganizować tę forszę? Sama do mnie nie przyleci. Ona

nie ma tego zwyczaju – zdenerwował się tato. – Muszę mieć swobodę ruchów.

– Spokojnie... bez nerwów, przyjacielu. Pojedziesz z nami na pewną fermę niedaleko stąd. Są tam pokoje gościnne i telefon. Sympatyczni gospodarze i dobrze dają jeść. Ferma nazywa się Duriasz Mały...

– Co?! – wykrzyknąłem – Duriasz pana Duriasza?

– Widzę, że twój syn zna ten przyjemny obiekt – rzekł do taty Zyga. – Z pewnością potwierdzi, że to mile miejsce. Zadzwońisz stamtąd do swojego źródelka w Grójcu (o ile naprawdę istnieje, w co wątpię) powiesz, że byłeś w kraksie, masz złamaną nogę i nie możesz przyjechać i, że w tej sytuacji musisz prosić, by źródelko przyjechało do ciebie, albo przysłało umówione pieniądze.

– Oszalałeś?! – wykrzyknął tato. – To nie jest sprawa na telefon!

Moja kontrahentka to nieufna osoba, na pewno nie zechce się tu fatygować, taki telefon nastawiłby ją z miejsca podejrzliwie i wystraszył. Sprawa jest delikatna i wymaga taktownych pertraktacji. Nie, Zyga, takich rzeczy nie załatwia się przez telefon! Jak mogę nakłonić tę starszą osobę, by tu przyjechała?...

– To twoje zmartwienie, Romuś. Użyj w stosunku do tej pani swoich uwodzicielskich sposobów – zaszydził Zyga. – Dysponujesz przecież nieodpartym urokiem na miarę Rudolfa Valentino i Clarka Gable razem wziętych. Masz na to osiem godzin. Czekamy do godziny dwudziestej zero zero, ani minuty dłużej!

– Ależ, Zyga, zrozum...

– *Wszystko rozumiem, Romuś, niestety po tym terminie nie będę mógł już nic dla ciebie zrobić. Gdyby to ode mnie zależało, poczekałbym jeszcze tydzień, nawet dwa, dla kogo jak dla kogo, ale dla kumpla z budy zrobiłbym to, Bóg mi świadkiem, niestety mój współnik, ten Merdoń, widziałeś go... to niebezpieczny, nieużyty typ, to w ogóle nie jest człowiek, Romuś, to Frankenstein! Tak go wszyscy zresztą nazywają. Z nim nie ma żartów. Wiesz, co on robi? Co miesiąc sporządza listę niewypłacalnych dłużników, i obcina im uszy, a potem nawleka je na sznurek i suszy jak podgrzybki...*

– *Daj spokój, Zyga, co ty takie rzeczy... – skrzywił się tato.*

– *Tak robi, możesz zapytać Wielowąsa... tak robi i jeszcze gorzej; tym, co zalegają z większą sumą i nie płacą, przestrzeliwuje kolana. Już sześciu uczynił kalekami i wbił sobie do głowy, że ty, Romuś, będziesz siódmym. Po koleżeńsku uprzedzam cię, stary, więc zastanów się i lepiej przyjmij moją ofertę. Jak powiedziałem, mam sposób na załatwienie tej sprawy... zanim Merdoń dobierze się do ciebie...*

– *Tato, to rozbój i kryminal! – wykrztusiłem. – Ja zawiadomię policję!*

– *Cicho bądź! – tato przerażony zatyka mi usta.*

Milknę, bo ten ponury typ Merdoń, zwany Frankensteinem, właśnie zbliża się do nas, jego zimne oczy lustrują nas nieprzyjaźnie.

– *Co z nim? – wskazał na tatę wyraźnie zniecierpliwiony – może dosolę mu trochę?*

– *Nie rób mu nic – odparł Zyga – to rozsądny facet, zrozumiał*

wszystko, co trzeba. Pojedzie z nami grzecznie na fermę. Prawda

Romuś?

No i pojechaliśmy pod solidną eskortą. Przed nami toyota Zygi, za nami opel Wielowąsa. Niespokojne myśli przebiegały mi przez głowę.

– Tato, oni blefowali, prawda? – wyjąkałem. – To kłamstwo, że masz ujemny stan konta?

– Niestety nie – odparł tato.

– To po co spłaciłeś mój dług i Pampersa?

– Te pieniądze i tak by nie uratowały sytuacji. Inna skala, Robaczku.

Tu chodzi o pół miliarda złotych.

Zatkało mnie na moment.

– Jesteś im winien pół miliarda?

– Dokładnie.

– Tato – jęknąłem – nie myślisz chyba dać się uwięzić w Duriaszu tym gnojom. Urwijmy się im! Twój wóz ma dobre przyśpieszenie, wyprzedź toyotę i dajmy dyla – kuszę – no, gaz do dechy!

– Nie, Robaczku – tato pokręcił głową – to nic nie da. Mam do czynienia z bezwzględnyimi ludźmi, zdolnymi do wszystkiego, nawet do morderstwa. Nie dziś to jutro i tak dobraliby mi się do skóry. Nawet gdybym wygrał ten samochodowy wyścig, nie ucieknę przed nimi.

Prowadzę firmę, nie mogę cały czas kryć się w jakiejś dziurze.

– Jest policja – zauważyłem.

– Ach, policja – tato machnął lekceważąco ręką. – Ale nie bój się, dam sobie radę. Bywałem w gorszych opalach.

Umilkłem i przetrwałem w duchu, to co się nam przydarzyło. Nie wierzyłem tacie. Chyba jest gorzej niż myślałem. Cała ta jego firma to bluff! On wciąż tkwi w jakichś mętnych interesach. I skąd te kontakty z ludźmi pokroju Zygi i Merdonia?

Z niepokojem zajrzałem mu w oczy.

– Tato, ty nie mówisz całej prawdy!

– Ależ mówię!

– Na pewno nie powiedziałaś mi wszystkiego.

– Czego niby?

– Powiedz mi, tylko bez bajerów, czy naprawdę jesteś już na wierzchu, czy dalej obijasz się o dno.

Roześmiał się.

– Spokojna głowa, synu! Agencja trzyma się mocno.

– To co z tym długiem?

– To tylko mały wypadek przy pracy. Przegapienie terminu, nic poważnego.

– Akurat! Przecież sam przyznałeś, że masz puste konto.

– To przejściowe kłopoty, ale nie ma powodów do paniki. Chwilowo nie mamy płynności finansowej, to wszystko.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie możemy na bieżąco wypełniać naszych zobowiązań pieniężnych, bo pieniążki mamy uwięzione w nie dokończonych interesach, w inwestycjach, w nieruchomościach, w materiałach i w bankach na terminowych lokatach, a także w dużym

stopniu w kieszeniach naszych klientów i dłużników, którzy zalegają z płaceniem.

– Czyli, krótko mówiąc, aktualnie jesteś bez gotówki i pod kreską – jęknąłem przerażony.

– Zdarza się w interesach. Ale w najbliższych dniach, jutro już może wszystko się zmieni i to diametralnie! Bo jak wiesz, ciotka Trafek wniesie okrągły miliard do spółki.

– Ale ci dranie nie chcą czekać do jutra, oni naznaczyli ci termin do ósmej. Co zrobisz?

– Potarguję się z nimi trochę przy piwie – rzekł tato z deprymującą mnie beztroską. – Może zgodzą się przyjąć ciebie na zakładnika, a mnie puszcza, żebym mógł załatwić sprawę z ciotką Trafek.

– Co? Co takiego?! – zapewne tato żartował, ale uznałem jego żart za niesmaczny i niestosowny. – Jak ci się chce dowcipkować w takiej strasznej sytuacji! – wysapałem wzburzony.

– Nie przesadzaj – tato uśmiechnął się pod nosem – nie będzie tak źle! Mam przy sobie pakiet obligacji skarbowych na sporą sumkę. Dam im na poczet długu, a na resztę zgodzą się trochę poczekać.

Zgrywa się na optymistę – pomyślałem. Kogo chce uspokoić? Mnie czy siebie samego? A w rzeczywistości jest w dużej kropce! W rękach niebezpiecznych oprychów! Tak bardzo chciałbym mu pomóc. Ale jak? Nie mam przy sobie ani nędznej złotówki! Chyba, że... Chyba, że zdarzy się ów cud nad Pilicą, o którym rozmawiałem z Jackiem. Ale w cud nad Pilicą wierzył tylko fizjonomista Pampers, nie ja!

O pół do dwunastej jesteśmy w Duriaszu. Wita nas zapach świeżego siana oraz niespodziewana i raczej źle wróżąca cisza. Rozglądam się za Jagą. Nie wiem czemu ubzdurałem sobie, że musi czekać na nas niecierpliwie przed domem, ale Jagi nie ma! W ogóle cała ferma wydaje się opuszczona i wymarła. Domyślam się, że wszyscy pewnie pracują przy sianokosach na łące. Ale to złudzenie. Gdzieś z dołu, jak się dobrze wstłuchać, dochodzi brzęk garnków, znak, że kucharka jest na posterunku, a z drzwi wejściowych wybiega Krystek z pajdą chleba w rękę i pokazuje, gdzie ustawić samochody, żeby nie tarasowały wjazdu do stodoły. Okazuje się, że jest uprzedzony o przyjeździe gości i że Zyga zarezerwował dwa pokoje telefonicznie jeszcze wczoraj! A więc to zaplanowana z góry i dobrze przygotowana akcja.

Wielowąs ze swoimi Lampartami zostaje na dworze, jeden siada pod drzwiami, drugi pod oknem – będą pełnić coś w rodzaju warty.

Natomiast Zyga i Merdoń wytarłszy solidnie obuwie przed drzwiami pakują się do środka i kierują od razu do jadalni. O tacie jakby zapomnieli, no cóż, doskonale wiedzą, że im nie ucieknie i w tej chwili myślą tylko o zapchaniu brzucha.

Zatrzymuję Krystka i pytam o Jagę. Nie widział jej. Sugeruje, że może być w swoim pokoju, to znaczy w pokoju numer trzy. Pędzę tam i staję osłupiały. Pokój jest wysprzątnany i opustoszały! Żadnych rzeczy Jagi, to mnie najbardziej niepokoi. Co się stało? Wyniosła się? Uciekła? Dlaczego? Nie zaufała mi? Nie, nie! Odpędzam tę myśl! Po prostu nie wytrzymała nerwowo. Przestraszyła się przyjazdu rodziny. Nie

uwierzyła, że Belfegor dotrzymania umowy. Muszę ją odnaleźć! Gotowa narobić jakichś głupstw! Gdzie mogła uciec? Nie, zbyt szybko popadam w zwątpienie! Ona nie uciekła, to bzdura! Zostawiłaby jakąś wiadomość! Musi być inne wytłumaczenie jej zniknięcia. Może pan Duriasz będzie wiedział. Widzę przez okno, że właśnie przywiózł traktorem siano. Na widok gości zmierza do domu.

W korytarzu zatrzymuje mnie zdezorientowany tato.

– Gdzie ty biegasz? Co cię tak nosi?!

Szczęśliwie nie muszę odpowiadać na te pytania, bo pojawia się pan Duriasz, i prosi do małej izdebki przy wejściu, która pełni tu rolę portierni.

– Pan Mucha, domyślam się – mówi do taty. – Ma pan zarezerwowany u nas pokój numer pięć z telefonem!

– Mogę wiedzieć przez kogo? – pyta tato.

– Przez pana Merdonia – odpowiada gospodarz.

Tato kręci głową. Ma niemal rozbawioną minę.

– Coś nie w porządku? – pan Duriasz przygląda mu się zaskoczony.

– Nie, wszystko w najlepszym porządku – odpowiada tato.

– A ci ludzie w panterkach na podwórzu, to pańscy?

– Ach nie, to ludzie z agencji "Obligio". Odpoczywają po pracy. Będą chcieli się czegoś napić.

– Agencja "Obligio", coś słyszałem na ten temat – pan Duriasz

uśmiecha się pod nosem. Zapewne domyśla się, o co chodzi. Nie pyta już o nic więcej i wręcza tacie klucz.

W wysuniętej szufladzie coś przyciąga mój wzrok. To wielki

rewolwer. Leży obok książki meldunkowej.

– Ooo! Pan ma kolta – zauważam – zupełnie jak szeryf z westernu.

– To nie kolt – prostuje pan Duriasz – to siedmiostrzałowy nagan z czasów pierwszej wojny światowej. Zabytek, ale w dobrym stanie.

– Nabity?

– Nie, skądże!

– Mogę przymierzyć się?

– Proszę!

Na moment szczeniacka jeszcze część mojej natury bierze górę.

Chwytam nagan i próbuję go obracać szybko w ręce, jak to robili rewolwerowcy na Dzikim Zachodzie, ale mi nie wychodzi. Nie mam wprawy, a nagan jest potwornie ciężki.

– Przydaje się panu taka broń? – pyta tato gospodarza.

– Owszem. To odludna okolica, wie pan... a z gośćmi różnie bywa, zjawiają się także niepożądani, czasem zwykle bandziory... – odparł pan Duriasz. Schował nagan do szuflady i zamknął ją na klucz.

Przez okno widzę wtaczający się autobus Mazowieckiej Kapeli Rodzinnej Gędziolów.

– Przyjechali! Już przyjechali! A Jaga gdzieś przepadła – gorączkuję się. – Może pan wie, gdzie może być – dopytuję Duriasza.

– Spokojnie, kolego, jest cała i zdrowa. Widziałem, jak się pakowała jakąś godzinę, może półtorej godziny temu.

– Więc nie ma jej przy sianokosach? – upewniam się.

– Nie. Przecież spodziewała się przyjazdu rodziny. Powinna tu gdzieś być na fermie.

– Rzecz w tym, że właśnie jej tu nie ma. Przepadła! – mówię roztrzęsiony.

– Nie szalej, chłopcze, znajdzie się. Nikt jej przecież nie porwał, ani z nikim nie uciekła – Duriasz próbuje mnie uspokoić i dodaje z uśmiechem: – nie spodobał jej się tu żaden kawaler, cały czas wspominała tylko ciebie.

Zdenerwował mnie tylko takim gadaniem. Wybiegłem na podwórze.

Z autobusu dochodziły dźwięki instrumentów. Muzycy rzępolili jakieś ćwiczebne kawałki, ale nikt nie kwapił się do wyjścia. Najwidoczniej mieli zakaz opuszczania wozu bez zezwolenia. Czyżby Belfegor po przykrym doświadczeniu z Jagą obawiał się, że ktoś z orkiestry mógłby znowu dać dyla?

Nadjechał wreszcie opóźniony Jacek i gramoli się z wozu z ogromnym, szczelnie opakowanym prezentem dla Marty. Wolę nie pytać, co to jest. Podchodzę do niego i ciągnę go w krzaki za węgiel domu.

– Chodź, muszę ci coś powiedzieć na osobności.

– Gdzie mnie ciągniesz – szarpie się – chcę do Marty.

– Marta od rana uwija się na łące – mówię – nie absorbuj jej teraz, bo deszcz wisi w powietrzu. Lepiej wykombinuj szybko, co powiedzieć Gędziolom o Jadze, wyobraź sobie, uciekła!

– Co? Co takiego?!

– Ulotniła się.

– Nie! Nie mogła nam tego zrobić!

– A jednak!

– Idiotyczna sytuacja!

– Właśnie.

– Po jakie licho wzięliśmy sobie na głowę ten kłopot?

Chrząknąłem zakłopotany.

– Nie wiem.

– Kompletne z nas barany.

– Na to wygląda – przytaknąłem.

– Jezu, żeby wepchnąć się dobrowolnie w taki pasztet! O rany

szepnął – patrz, Belfegor w polu widzenia.

Istotnie z autobusu wytoczył się ociężałe Kleofas Gędziol i rozglądał się po obejściu z zakłopotaną miną.

– Halo! Czy dobrze trafiłem? – zagrzemiał basem. – Czy to Duriasz?

Tu miał być hotel, ale nie widzę żadnego hotelu. Halo, jest tu kto?

Chciałem odruchowo dać zbawiennego nura do sadu, ale Jacek przytrzymał mnie. Postanowił widać dzielnie stawić czoło sytuacji.

Wyłazimy więc zza węgła z głupawym uśmiechem na twarzy i uspokajamy Kleofasa Gędziola, że trafił bezbłędnie, tylko że z tym hotelem to rzeczywiście mała pomyłka. Duriasz to tylko ferma z pokojami gościnnymi, ale warto zatrzymać się tu na noc i odpocząć.

– A jak wypadło pańskie ostatnie tourn~ee? – Jacek rzuca grzecznościowe, lecz jak się okazuje niefortunne pytanie.

Poruszył bolesny temat, bo twarz Kleofasa Gędziola nabrała koloru purpury. Dowiadujemy się, że od chwili, gdy Jaga opuściła zespół, orkiestrę spotykały same niepowodzenia. Jeszcze w Kielcach ktoś ukradł im flety, gdy wyprowadzali się z hotelu. Na domiar złego wiolonczelistka Saba złapała grypę, dostała szarpiącego kaszlu podczas występu i straciła panowanie nad instrumentem w ważnym momencie koncertu. Ale prawdziwa i najdotkliwsza, bo finansowa klęska spotkała orkiestrę w Ostrowcu, gdzie na występ Gędziolów sprzedano zaledwie dwadzieścia biletów, być może z tego powodu, że zbiegł się on w czasie z koncertem rockowym grupy Pokielbasa.

Wszystkie te przejścia i zmartwienia malują się wyraźnie na twarzy artysty. Bruzdy pogłębiły się, a torby pod oczami wydłużyły się groteskowo. Jacek nie ma sumienia dobijać go jeszcze przykrą wiadomością o Jadze, kluczy więc, zagaduje, przeciąga wstępne rozhowory, cierpliwie wysłuchuje skarg i biadoleń nieszczęsnego muzyka, ale jak długo można? W końcu pada to nieuchronne pytanie:

– A gdzie to moja córka, panowie?

Milczymy zakłopotani. Kleofas Gędziol poczuł, że stało się coś niedobrego.

– Do diabła, co z moim dzieckiem, co z Jagą?! Wy coś kręcicie. Byłem z nią umówiony. – Patrzy na nas gniewnie. Widzę z bliska, że oczka ma w czerwonych obwódkach, ale bystre, kobuzowe. Wpatruje się we mnie podejrzliwie tymi oczkami, jakbym to ja gdzieś mu schował jego Jagę. – Co się z nią stało?! – krzyczy. – Kategorycznie żądam odpowiedzi! Tym

razem to już chyba sprawa dla policji!

Jacek zdobywa się na odwagę.

– Przykro nam – chrząka. – Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby namówić ją do pogodzenia się z panem, niestety jak widać nie pozbyła się obaw... Nie uwierzyła ani nam, ani panu i...

– I co? – zasapał Gędziol.

– Uciekła.

– Znowu uciekła?! – osłupiał Gędziol.

– Bała się, że pan z powrotem zapędzi ją do fagotu, bo wciąż pan nie rozumie rzeczy zasadniczej, że ją to w żaden sposób nie bawi, że grała tylko pod przymusem...

– Mój Boże, co ty opowiadasz, chłopcze! Jak moje dziecko może nie chcieć grać? My, Gędziolowie, mamy to we krwi.

– Jednak uciekła.

– Nie... nie wierzę, to niemożliwe, tyle włożyłem w nią pracy... tak wielkie pokładałem nadzieje, byłabyż aż tak niewdzięczna?

– To nie jest kwestia wdzięczności, nie będę owijał w bawełnę, powiem otwarcie i brutalnie: ona nienawidzi grać!

– Nienawidzi?! O, córko okrutna, za co mnie Bóg ukarał tak wyrodnym potomstwem! Jak możesz, niedobra, przekreślać wiekową tradycję – Kleofas Gędziol zajęczał jak szekspirowski król Lear. –

Czemu mi to robisz, córko bezlitosna! O, szczęśliwy Janie Sebastianie, jakże zazdroszczę ci, Wielki Bachu, twoich posłusznych małych Bachątek ćwiczących się od rana w muzyce, pilnie i z zapalem... ja

pokarany przez Boga...

– Hm, nie wiadomo, jak tam naprawdę było. Czy pan Bach nie używał różgi lub trzcinki – zauważył sceptycznie Jacek.

Ale Kleofas Gędziol nie zwracał na Jacka uwagi i użalał się dalej.

Nie możemy już dłużej słuchać tych teatralnych biadoleń nieszczęsnego kapelmistrza. Królem Learem to on na pewno nie jest i robi się po prostu niesmacznie, żałośnie i smutno. Zmywamy się więc dość bezceremonialnie zostawiając go na środku podwórza.

Jacek niespokojnie spogląda na zegarek. Wiem, że w tej chwili absorbuje go całkowicie zgoła inna sprawa. Właśnie minęła dwunasta, Maruda nie przyjechał, a to znaczy... To znaczy, że wygrałem zakład.

Oczywiście żadna pociecha w mojej sytuacji i gorzka to satysfakcja. Bo chyba gdzieś w głębi duszy brałem pod uwagę, że cud nad Pilicą może się jednak zdarzyć i na zapyłonym gościńcu ujrzę błazeńską twarz

Marudy. No cóż, cud się nie zdarzył, trudno, nie przeżywam z tego powodu zawodu, ale Jacek tak. Biedak do ostatka wierzył, że pod maską kłowna kryje się uczciwa twarz człowieka interesu (Jacuś fizjonomista) i teraz czuje się oszukany. A bardziej od utraty pieniędzy boli go upokorzenie, że nie poznał się na człowieku. Tak, biedny Pampers, ale i ta nauczka mu się przyda. Nie mogę sobie odmówić przyjemności wyegzekwowania wygranej.

– No, Jacuś – mówię, gdy znaleźliśmy się w pokoju – na co czekasz?

Wiesz, co masz zrobić.

Jacek rzuca mi ciężkie spojrzenie, ale bez słowa wyjmuję z kieszeni

plakietkę z napisem:

"Jestem patentowany osioł" i przypina ją do piersi. Brawo!

Honorowy człowiek!

Za oknem słyhać przeraźliwy warkot motoru.

– Chyba Marta wróciła – mówię.

Ktoś zastukał do drzwi.

Jacek skoczył otworzyć. Nie, to nie była Marta. Na progu stał młody

facet z wąsikiem w dużych motocyklowych okularach z czerwonym

kaskiem na rękę.

– Panowie Pająk i Mucha?

– Pająk to ja – Jacek przedstawił się zaintrygowany – a o co chodzi?

– zapytał zaskoczony, ale motocyklistę jakby zatkało. Z lekkim

osłupieniem wbił wzrok w kulfoniasty napis przypięty do piersi Jacka.

Jacek dopiero po chwili połapał się, o co chodzi i, zażenowany, zakrył

plakietkę ręką, ale oczywiście za późno. Typ zdążył już dwa razy

przeczytać i patrzył dziwnie na Jacka. Zapewne pierwszy raz widział

osobnika, który tak otwarcie przyznaje się do matolectwa i lojalnie

uprzedza bliźnich o swojej głupocie.

Wobec tego, że obaj panowie zamilkli przejąłem inicjatywę w swoje

ręce.

– Kim pan jest? – zapytałem ostro gościa. – Czego pan sobie życzy?

– Ja... od pana Nowaczka – wymamrotał motocyklista.

– Od kogo?! – zastygliśmy z wrażenia.

– Od pana Jana Nowaczka.

Nie dowierzamy uszom.

– Od Marudy-Nowaczka?! – upewniam się.

– Dokładnie – chrząknął posłaniec. – Szef... mój szef... to znaczy pan

Nowaczek kazał powiedzieć, że nie może...

– Zwrócić pieniędzy?! – jęknął Jacek.

Posłaniec zakłopotany zdjął motocyklowe gogle i otarł czoło, a my

zobaczyliśmy, że pod goglami nosi jeszcze jedne biedne okulary w

drucikowej oprawie.

– Ja tam nic nie wiem – bąknął. – Szef kazał tylko panom

powiedzieć, że nie przyjedzie, bo leży...

– Maruda leży? O, Boże – przeraził się Jacek. – Chce pan powiedzieć,

że jest w stanie upadłości?

– Upadłości? – posłaniec poprawił okulary. – Nie bardzo rozumiem.

– Nie szkodzi, pan nie musi znać terminów prawa handlowego...

Więc położył się, cwaniak Maruda... razem z naszymi pieniędzmi –

Jacek przygryzł wargi. – Inna rzecz, że w głębi duszy od początku

obawiałem się tego. On balansował na bardzo cienkiej linii. Pakował się

w afery na granicy prawa. To był gracz hazardzista! I musiał się

doigrać! I co z nim teraz? Wykaraska się jakoś?

– Leży... na razie leży – jęknął okularnik.

– To już wiemy, pytam, czy będzie siedział.

– Czy będzie siedział? Oczywiście, że będzie... mam nadzieję, że

będzie – posłaniec rozpogodził się i uśmiechnął.

Jacek spojrzał na niego zgorszony.

– Pana to cieszy?

– A pana nie? To przecież fajnie – posłaniec zdjął drucikowe okulary, splunął na nie i przetarł troskliwie chusteczką.

– Fajnie?! – wykrzyknął Jacek. – Co fajnie? Że człowiek będzie siedział trzy albo cztery lata?!...

– Nie rozumiem – zamrugał oczyma posłaniec.

– To ja nie rozumiem – sapnął Jacek – pan coś kręci. Niech pan mówi otwarcie i wyraźnie, co z Marudą!

– Mówię wyraźnie, że już niedługo będzie siedział, a nawet będzie chodził!

– Dostyc tego – oburzył się Jacek. – Jaki był taki był, ale to pański szef! Człowieka wsadzają do ciupy na kilka lat, a pan sobie żarty stroi! To nielojalne i brzydkie. Ja mu opowiem o pańskim cynicznym zachowaniu! Powiem, jakich zatrudnia ludzi, kogo mi tu przysyła!...

– Przestań, Pampers! – wmieszałem się. – Zupełnie nie rozumiałeś tego pana. Ty masz chyba z tych nerwów jakieś zaćmienie umysłowe.

Ten pan po prostu chciał nas zawiadomić, że panu Nowaczkowi coś się stało, leży w łóżku i nie może przybyć do nas... Czy to właśnie chciał pan nam przekazać? – zapytałem okularnika.

– Dokładnie – ucieszył się posłaniec. – Chodzi o to, że pan Nowaczek nie jest na chodzie, bo był napad na niego...

– Napad?! –

– Ma ranę głowy i mały wstrząs mózgu. Dlatego nie może przyjechać i wzywa panów do siebie. To właśnie miałem przekazać.

- Wzywa nas? – zastygliśmy z wrażenia.*
- Jest tu niedaleko, w Kątach Pileckich, siedem kilometrów stąd, zbroimy tam teren pod inwestycję.*
- Konsorcjum "Salutas Gentium"? – zapytał gorączkowo Jacek.*
- Tak jest. Firma zakupiła tam szmat ziemi i pan Nowaczek rozpoczął roboty ziemne...*
- Jezu! – wykrzyknął Jacek. – To znaczy, że spekulacja się udała.*
- Czy wspominał coś o... o pieniądzach? – zapytał niecierpliwie.*
- O pieniądzach? Nie... nic nie mówił – posłaniec spojrział na nas jakby zdziwiony, pożegnał się szybko i wyszedł.*
- To... to nic... Nie wspominał, bo nie chce, żeby wieść się roznosiła.*
- To w końcu delikatna sprawa – pocieszył się Jacek. – Ale jeśli nas wzywa to po to, by wypłacić nam forszę. Wygrałem zakład, Lord!*
- Trzymaj plakietkę! Teraz ty będziesz ją nosił.*
- O, przepraszam – zaprotestowałem. – Jeszcze nie mamy tych melonów w garści. Jedźmy do Marudy i zobaczmy, jak naprawdę wygląda sprawa. Tam się dopiero rozstrzygnie, kto z nas jest osłem!*

`pa

Rozdział XVII

Przybywamy na teren inwestycji. Nowa fala podejrzeń i niepokojów.

Klown żaloszny, czyli Maruda na łożu boleści. "Niszczę to, co kochałem i płaczę". Rozterki człowieka zasad. Czy poezja może uskrzydlić biznesmena? Zemsta wykiwanych rolników. Nasze pieniądze łupem Palucha? Pozory mylą. Maruda nie traci formy i przechytrza złodziei.

Kochajmy się, jak Bozia każe, lecz liczymy się jak lichwiarze.

Droga była fatalna, rozjeżdżona przez ciężkie wozy i maszyny budowlane. Po niedawnym deszczu porobiły się wielkie zdradliwe kałuże. Wóz Jacka lewymi kołami ześlizgnął się do głębokiej koleiny i nie dość że rzeził i prychał, to jeszcze szorował nieprzyjemnie brzuchem po gęstej bryi. Dwa razy musiałem wyskakiwać z wozu i wypychać z dołów nieszczęsną landarę. Kiedy dotarliśmy w końcu do Kątów Pileckich, miałem do kolan "skarpety" z błota.

Ale ta cholerna rozbabrana droga doprowadziła nas na miejsce budowy. Rozglądaliśmy się ciekawie. Daleko w oparach mgły jak stado dinozaurów majaczyły cielska spychaczy, koparek i żurawi. Teren nie był jeszcze zamknięty. Robotnicy rozwijali dopiero z wielkiego bębna drucianą siatkę do ogrodzenia, tylko szeroka brama była już gotowa. Uzbrojony strażnik zatrzymał nas tutaj, wylegitymował i obmacał sprawdzając, czy nie przemycamy jakiejś broni. Dość zdumiewające środki ostrożności! Przeszukał także nasz wóz, ale w końcu okazał się uprzejmym człowiekiem. Przepraszył za te, jak się wyraził, idiotyczne ceregiele, obiecał zaopiekować się samochodem i wskazał, jak iść do kierownika Nowaczka.

Ale to nie koniec zaskoczeń. Kilka metrów od bramy zobaczyliśmy brodatego człowieka zamkniętego w żelaznej klatce, takiej jakimi dysponuje zoo. Zachryplym głosem wykrzykiwał jakieś niezrozumiałe hasła... Nie zastanawiamy się nad tym fenomenem. Nasze myśli całkowicie zaprzętają te pierońskie miliony, do których już tak blisko!

Sadzimy do nich spiesznie wielkimi krokami rozdzierani na przemian nadzieją i obawami, targani wątpliwościami i niepokojem.

– Zapłaci, czy nie zapłaci – sapię z trudem dotrzymując Jackowi kroku.

– Już powiedziałem ci. Jeśli nas wzywa to zapłaci – mówi zdenerwowany Jacek. – Gdyby nie miał zamiaru płacić, to by się nie odzywał. Oszuści wydrwigrosze najczęściej "zapominają" o swoim długu... po prostu znikają, chowają się. A kiedy ich odnajdziesz i przyskrzynisz, albo udają Greka, albo... krótką pamięć.

– Nie byłbym taki pewien – mruczę – nasz przyjaciel Maruda to nie jest zwykły wydrwigrosz, to kombinator wyższej klasy. Łysa główka pracowała i na pewno coś wymyśliła... jakąś małą niespodziankę dla pary fuksów początkujących w tej branży. Jeśli nas prosi o kontakt, to musi mieć w tym interes.

– Jaki, u diabła może mieć interes?

– Nie wiem, ale na przykład będzie chciał od nas wyciągnąć więcej forsy, obiecując już nie milionowe, ale miliardowe przebicie... jakąś cholerną bonanzę w tle, a tu pokaże na wabia złoty haczyk, na który nabije się Jacuś optymista!

– Niech cię Szkapler opatruje, a Besztaj pieści – sapię Jacek zaskoczony. Tej możliwości nie brał pod uwagę.

Pana Marudę-Nowaczka znajdujemy w odległym, pilnowanym przez strażnika baraczkę tuż nad samą skarpią, skąd roztaczał się ładny widok na szeroko rozlaną Pilicę i nadbrzeżne łąki.

Znów przeżywamy legitymowanie i obmacywanie, po czym

wartownik wpuszcza nas do środka.

Z trudem poznajemy naszego niezwyklego kontrahenta. Wciąż

wygląda jak kłown, ale tym razem jest to żalosny, niechlujny,

niedomyty kłown, jakby tuż po nieudanym występie. Na twarzy chyba z

dziesięć plastrów, bandaż na głowie, nie zakryta część łysej czaszki

zasmarowana na fioletowo gencjaną, lewa noga w gipsie. Schudł i

szerniał na twarzy, może z powodu nie ogolonego od paru dni zarostu

(czyżby zapuszczał brodę?). Ale oczy miał jak przedtem bystre,

świdrujące, przenikliwe...

– Brawo! – zawołał radośnie. – Przyszły moje chłopaki, moje orły,

wschodzące gwiazdy biznesu! Cali i zdrowi, choć tyle złych wilków na

drodze. Wrócą do mamy nadziani i nie uszkodzeni, czego nie można

powiedzieć o mnie – zasepił się nagle i sięgnął po butelkę stojącą przy

łóżku.

– No właśnie – chrząknął Jacek – zmartwił nas pan. Cóż to za

straszna historia?...

– Można to nazwać wypadkiem przy pracy – Maruda uśmiechnął się

krzywo.

– Przepraszam, że zapytam, ale co pan robi w tym grajdole?

Jesteśmy niezmiernie zdziwieni. Nie spodziewałem się zastać pana tutaj

nad Pilicą. Pan mówił, że jak tylko wypali... no, wie pan, ten pański

strategiczny plan cudownego rozmnożenia melonów, rzuci pan w

diabły kanalizację, wypnie się na posadkę i ruszy do Warszawki robić

wielki biznes. Więc co się stało? Plan nie wypalił? Melony nie

rozmnożyły się?

– Zaraz, panowie, melony nie uciekną, napijmy się najpierw piwa –

Maruda otworzył butelkę, napelnił kufelek, musztardówkę i plastikowy kubek do mycia zębów. – Proszę!

Mieliśmy pewne opory, więc śmiejąc się błazeńsko sam najpierw wybrał dla siebie piwo w kubku i trącił się po kumplowsku z nami.

Wypiliśmy. Maruda otarł rękawem usta i powiedział:

– Pytacie, panowie, skąd się tu wziąłem. Odpowiedź jest banalna.

Otóż przysługiwał mi nie wykorzystany urlop od Konsorcjum, a ja bardzo nie lubię, jak się coś marnuje, więc żał mi było odejść bez wykorzystania tego urlopu...

– Chce pan powiedzieć, że jest pan tu na urlopie? – Jacek i ja spojrzeliśmy na Marudę nieufnie. Podejrzewaliśmy jakieś krętactwo.

– W rzeczy samej przyjechałem tu na urlop – odparł Maruda.

– Dziwne. Sam pan przed chwilą powiedział, że miał pan wypadek przy pracy. I od pańskiego posłańca wiemy, że jest pan tu kierownikiem jakichś robót. Więc jakże to?

– Po prostu będąc na urlopie trochę doglądam inwestycji, bo prawdziwego kierownika pokręciło, panowie...

– Pokręciło? Umysłowo?

– O, skądże! Jest wielu kierowników pokręconych umysłowo i ci trzymają się na ogół dobrze. Kierownika Bębosza pokręciło cieleśnie.

Wykąpał się w Pilicy i go pokręciło, w dodatku obsypało krostami jak

czerwoną kaszą, panowie. Człowiek był wrażliwy na kolory, osobliwie na różne metaliczne odcienie (fiata punto kupił też metalicznego) i nie mógł się oprzeć Pilicy, panowie. Zwabiła go kolorową urodą, ladacznica, niczym Goplana jakaś swoim zmiennym pastelowym nurtem, raz opalizującym, raz metalicznym, lekko tylko mętnym, niekiedy odbijającym niebo, niekiedy szmaragdy pól.

Słuchaliśmy zaskoczeni.

– Ależ pan jest poetą! – wykrzyknął Jacek.

Maruda-Nowaczek uśmiechnął się zadowolony.

– Przepraszam, poniosło mnie. Czasem uroki natury rozrzewniają mnie. To nie jest dobre dla biznesmena, ani tym bardziej dla menedżera na budowie... Nie macie panowie pojęcia, jaką przeżyłem duchową rozterkę, kiedy po wypadku tego biedaka Konsorcjum zaczęło mnie nakłaniać, bym przejął jego obowiązki. Sytuacja była, że się tak wyrażę, podbramkowa.

Wstrzymanie

prac

ziemnych

wywróciłoby

harmonogram prac i niebezpiecznie opóźniło całą inwestycję, a każdy dzień zwłoki to miliardowe straty, na to dziś nikt nie może sobie pozwolić! Dołączamy do Europy drodzy chłopcy, liczy się już nie tylko profesjonalizm, efektywność i operatywność, ale także impet i szybkość, rozmach, tygrysi skok! Nie możemy sobie pozwolić na opóźnienia i

przestoję... Otóż w tej sytuacji uległem – jęknął Nowaczek i zrobił nieszczęśliwą minę.

– Przykro nam – rzekł Witek – popsuli panu urlop! Że też taki rep jak pan dał się im zrobić!

– Zażyli mnie z mańki, rekiny. Wykorzystali moje zasady moralne.

Jestem człowiekiem starych zasad, często nad tym ubolewam, dziś może to być uznane za wadę, ale nic nie poradzę, tak zostałem wychowany, to moja druga natura. Nie mogę patrzeć, jak gdzieś coś się marnuje. Taką mam zasadę, kochani.

Chrząknęliśmy i spojrzeliśmy na Nowaczka nieufnie.

– Więc zrezygnował pan z urlopu z powodów moralnych? To niezwykle.

– Wiedzieli, jak mnie podejść! Spryciarze! Zaapelowali do mojego poczucia gospodarności. Zasada gospodarności to podstawa rozwoju i dobrobytu narodu.

– Piękna zasada – zamruczał Jacek.

– No więc sami rozumiecie...

– Rozumiemy, będąc człowiekiem zasad nie miał pan wyjścia.

– Otóż to! Ale rozterka pozostała.

– Niemniej Konsorcjum miało cholerne szczęście, że akurat tutaj wybrał się pan na urlop.

– Istotnie miało, przyznaję bez fałszywej skromności, lecz mówiąc prawdę nie znalazłem się tutaj przypadkowo. Jeśli to was interesuje i może służyć za jakiś drogowskaz życiowy, podam prawdziwy powód,

*choć zapewne wyda się wam niewiarygodny w ustach takiego jak ja
człowieka. Otóż chciałem przeżyć ostatnie lato z moją matką... pożegnać
ją.*

– Ma pan tu matkę?

– Chciałem pożegnać się z matką ziemią.

– Ach, tak!

– Wydała mnie ta ziemia, urodziłem się tutaj, pięć kilometrów stąd.

Urosłem na tych łąkach pilickich, kochałem je.

– Pan?! – wydało nam się to zgoła niewiarygodne.

– Tu łapałem motylki, ploszyłem bociany, tu wąchałem kwiatki.

– Wąchał pan?

Maruda przymknął oczy i poruszył swoim pękatym nosem błazna.

*– Do dzisiaj pamiętam ich zapach i ten żal, kiedy padały pod
ojcowską kosą...*

Patrzyliśmy na niego z niedowierzaniem.

– Pan to czuł?!

– A dlaczego nie miałbym! – wykrzyknął rozżalony Nowaczek. –

*Czemu wszyscy dziwią się, że ja czuję? Co we mnie jest takiego? Czy
mnie nie wolno czuć? Czy nie mam prawa?*

Zmieszaliśmy się.

– Oczywiście, że ma pan.

*– No więc zapragnąłem jeszcze raz zobaczyć te strony i pożegnać się
z nimi, zanim porwie mnie wir interesów, gorączka giełdy, i ten cały
zgiełk city... Ale ułożyło się bardziej dramatycznie niż myślałem –*

wytarł głośno swój trombiasty nos. – Diabelska sztuczka, panowie
(wiadomo, że diabli celują w złośliwej ironii). Bo wyszło na to, że będę
się czule żegnać z naturą, którą za chwilę sam zniszczę! Spustoszę i
unicestwię z całą mocą i okrucieństwem bezlitosnej techniki! Zamorduję
te kolorowe łąki do ostatniego żywego zielonego listka, zetrę
spychaczami z powierzchni, zryję do głębi koparkami, przestanę
kwitnąć na zawsze! Zamilkną miliony owadów... ustanie muzyka
trzmieli i pszczół, pierwszy raz od tysięcy lat, bo zawsze tu były łąki.
Śmierć!... śmierć wszystkiemu, co tutaj żyje!... śmierć żabkom i
motylkom... I wsadziłem do żelaznej klatki człowieka, który protestował
w ich obronie.

– To pan?

– Szaleniec... kładł się przed spychaczami, ile razy wyjechały w pole.

Balem się, że go rozjadą... O, jaki jestem podły!

– Proszę się uspokoić – próbował interweniować Jacek. – Pan

niepotrzebnie tak to wszystko przeżywa. Pan nie jest winien...

– Nie, nie, panowie! Jestem jak Judasz... zdradziłem... wydałem na
zatrącenie tę kwietną ziemię. Oto na co mi przyszło! Sam niszczę to, co
kochałem, niszczę i płaczę.

Wierciliśmy się jak na szpilkach. Głędząc przez cały czas Maruda ani
słowem nie wspomniał o naszych pieniądzach i to było w najwyższym
stopniu niepokojące. Czyżby chciał wykręcić się od płacenia i umyślnie
wstawiał te gadki? Należało szybko wyjaśnić sprawę, lecz baliśmy się
zapytać go obcesowo. Jeśli to krętacz, to przyciśnięty do muru może

nam wykrecić głupi numer, uda na przykład atak serca i wtedy sprawa schodzi z wokandy. Postanowiliśmy więc działać ostrożnie i na tyle dyplomatycznie, by kwestia naszej forsy wypłynęła naturalnie i niejako "niechcący".

– Pan ma gorączkę – zauważył Jacek. – Pan widzi wszystko w zbyt czarnych kolorach. Pan się za bardzo wzrusza. Po co ta depresja? To nie pasuje do poważnego biznesmena i finansisty.

Maruda-Nowaczek opadł na poduszkę.

– No, właśnie – zajęczał. – Po jakie licho ja to wszystko tak czuję? Ja nie chcę! Ja nie życzę sobie! Po jaką cholere zafundowano mi duszę poety? Co ja mam z tego? Tylko same rozterki... dramatyczne rozdarcie.

Więc dlaczego? Już tatuś mój ostrzegał, że to mnie zgubi. Pamiętam... sianokosy... bywało, tatuś kosi, matka i siostry grabią, a ja... ja stanę nagle z grabiami jak zaklęty, i przyglądam się żabie, co wyskoczyła z trawy i myślę, że jest podobna do wójta z Broniszewa. Patrzę i czerpię wrażenia estetyczne z żaby, a potem biorę pasy od ojca, który niczego nie rozumie i łoi mi skórę.

Wymieniliśmy z Jackiem ciężkie spojrzenia.

– To naprawdę wzruszające wspomnienia z dzieciństwa – rzekł Jacek – i tłumaczą pana dzisiejsze rozterki. Lecz zapewniam, to, że pan bywa czasami poetą, nie musi panu szkodzić w interesach.

– Nie musi? – Maruda-Nowaczek ożywił się.

– Zdarzają się, i to częściej niż pan myśli, poeci o wykształconym zmyśle handlowym i ze smyką do interesów.

– Naprawdę tak sądzisz, chłopcze, czy tylko chcesz mnie pocieszyć z dobrego serca?

– Jacek dobrze mówi, proszę pana – wtrąciłem się. – Niektórzy poeci są bardzo obrotni i przedsiębiorczy. Mają apetyt i dobrego nosa. Mojego tatusia to jeden poeta raz nawet nabił w butelkę. Nie dość, że zjadł na koszt taty zakrapiany obiad w najlepszym lokalu u nas w Dłubkowie i namówił na pożyczkę, to jeszcze chyba przez roztargnienie zwinął tacie z szatni nowy kożuszek i ulotnił się zostawiając na pamiątkę swój dziurawy parasol i tom poezji z autografem.

– Nie wiem, czy można nazwać to zachęcającym przykładem – mruknął Maruda. – Jest wiele innych przykładów, że skażenie poezją jest dla biznesmenów w najwyższym stopniu szkodliwe i wręcz zabójcze.

– Nie w pana przypadku – zareagował natychmiast Jacek. – Najlepszy dowód, że niedawno, mimo skażenia poezją, dokonał pan równie pomysłnej jak imponującej spekulacji... to znaczy, chciałem powiedzieć – operacji finansowej rozmnożenia melonów na niespotykaną w świecie szarego biznesu skalę i w nie notowanym dotąd krótkim czasie. Pobił pan bezapelacyjnie dość już przecież wyśrubowany rekord krajowy tej konkurencji. I to wszystko, powtarzam, mimo tego niebezpiecznego skażenia, a może... dzięki niemu? Poezja dodała panu polotu.

– Uskrzydliła mnie?

– Niewątpliwie. To pana silny atut w grze, do której właśnie pan zasiadł. To ona, poezja, natchnęła pana zuchwałym pomysłem, jak w

trzy dni stać się multimiliarderem, jej zawdzięcza pan swój rozmach, swoją fantazję, przebojowość – wydeklamował gładko Jacek.

– Zawdzięczam? Myślisz, chłopcze?

– Wygrał pan, bo miał pan ten atut w rękawie... Och to rzecz bezdyskusyjna! To poezja wyzwoliła pana z urzędniczej strachliwości, z kunktatorstwa i asekuranctwa! Niech pan mi wierzy, w konkurencji na rynku biznesu zwyciężą twardzi, ale twardzi z wyobraźnią poetów.

– Być może... być może – zamruczał Maruda. – Atut w rękawie, jak ładnie to ująłeś!

– To dzięki temu atutowi wygrał pan i dokonał śmiałego rozmnożenia melonów!

– Tak – Maruda-Nowaczek przymknął oczy z błogą miną i uśmiechnął się rozmarzony. – Wygrałem i dokonałem rozmnożenia...

– Zatem i myśmy przy panu wygrali, proszę pana – powiedział Jacek.

– Nam też się coś należy – dodałem twardo. – Chcieliśmy uprzejmie przypomnieć o przysługującej nam doli... to znaczy gratyfikacji – poprawiłem szybko.

– Czyli o dwustu melonach – wyrąbał Jacek.

– O czym? – Maruda-Nowaczek skrzywił się, zwinął dłoń w trąbkę i przystawił do ucha, jakby cierpiał na zanik słuchu.

– O obiecanych melonach z umowy na parkingu – wykrztusiłem zdenerwowany.

Zapanowała przykra cisza. Wpatrywaliśmy się w niekształtną twarz

*Marudy i szybko opuszczała nas reszta nadziei. Mój Boże, komuśmy
zaufali! To stary krętacz i zgrywus! Ma to wypisane na gębie! Klown z
podrzednego cyrku. Jak mogliśmy uwierzyć w jego bajkowe melony?
Jeszcze jedna brutalna lekcja! Znow płacimy frycowe! I zwątpiwszy w
Marudę myśleliśmy już tylko o tym, jakich sposobów użyje, by wyłgać
się od płacenia. Wyprze się w żywe oczy, zasłoni utratą pamięci? Nie,
chyba nie, mamy przecież dokumenty. Ale może zakwestionować
ważność umów? Wynajdzie jakieś formalne przeszkody? Może zagrać
na zwłokę? Albo... albo zatai prawdziwe zyski i rzuci nam jakieś
ochłapy?*

*Nagle usłyszeliśmy śmiech. Tegośmy się nie spodziewali. Maruda
zarechotał jakby rozbawiony.*

*– No, właśnie, wasze melony! A to dopiero! Ja tu was nudzę
banialukami, a wy pewnie jak na szpilkach... Boicie się, że stary
Maruda zrobił was w konia, wystawił was do wiatru? Nie, nie, dziatki
moje, powiedziałem, u Marudy pieniążki jak w banku. Szwajcarskim!
Mam je zapisane.*

– Zapisane? – spojrzeliśmy po sobie zdezorientowani.

– W głowie. Ale nie muszę chyba wam teraz wypłacać.

– Jak to? – zaniepokoiłiśmy się nie na żarty.

*– No bo chyba chcielibyście powtórzyć tę finansową przygodę i
inwestować dalej.*

– Inwestować?!

– W równie bombowy interes. Cóż lepszego można zrobić z

milionami. Radzę zainwestować wszystko u mnie, a za dwa, trzy miesiące gwarantuję wam trzykrotne, a może nawet dziesięciokrotne przebicie! Co wy na to?

Milczeliśmy.

– Zatkano was! No więc jak?

– Inwestować? – wykrztusił Jacek – tak... o... oczywiście to wspaniała propozycja... ale nie skorzystamy... na razie... to znaczy nie w tej chwili, proszę pana.

– Musimy zainkasować te pieniądze teraz i w gotówce, sytuacja nas zmusza – rzekłem spieszenie.

– To nie jest możliwe! – usłyszeliśmy w odpowiedzi tubalny znajomy głos.

W progu stał ten kuternoga z ochrony i ocierał spoconą łysinę.

– Przykro mi, chłopcy, mam dla was złą wiadomość. Pan kierownik Nowaczek nie może wam zrobić dzisiaj wypłaty, bo wasze pieniądze zagarnął Paluch.

– Co takiego?! – zdrtwieliliśmy z wrażenia.

– Pan Nowaczek trzymał je tutaj w stalowej kasecie... no i dziś w nocy...

– Dokładnie nad ranem – podjął Maruda – Paluch napadł na mnie.

Widzicie, jak wyglądam... to właśnie Paluch...

– Paluch? – wybełkotałem. – Jaki Paluch... zaraz... ten Paluch! Ten, od którego pan kupił grunt?

– Ten sam. Z całą czeredą Paluszków. Panie Boże ukarż ich! –

Maruda złożył błagalnie ręce i spojrzął w sufit – nie pozwól mi już nigdy więcej zadawać się z szaleńcami!

– Jak to się stało? – zajączał Jacek.

– To przez zawiść, chłopcze! Zawiść ludzka nie ma granic. Znaleźli się zawistnicy (posądzam o to mojego kolegę Pycia), co pod płaszczykiem bezinteresownej życzliwości nie omieszkali donieść Paluchowi, za ile odsprzedałem firmie nabyty od niego grunt. Palucha żółć zalała. Chciwiec sknera dostał ataku szału. Wpadł tu do mnie ze swoją zgrają i znieważył słownie. Przy ludziach publicznie wyzwał mnie od spekulantów, złodziei i oszustów. Dziki, niekulturalny człowiek! Jakbym ja kogoś oszukał czy coś ukradł! (Maruda-Nowaczek był wyraźnie rozgoryczony). Żądał bezczelnie, żebym mu dopłacił ileś tam od metra. Kazałem usunąć gnoja, myślałem, że zrozumie, iż nie dostanie ode mnie ani grosza więcej, niż to było w notarialnej umowie i da spokój, ale nie doceniłem zawziętości tego chłopka. Wrócił w nocy, już świtało... z synami i bratankami wrócił, siedmiu Paluszków wpadło tutaj. Draby wysokie pod sufit! Zaskoczyli mnie we śnie... Chcieli, żebym podpisał "dodatek do umowy". Miałem się zobowiązać do zapłacenia im odszkodowania, tak to nazwali... za oszustwo. Kazałem im iść do wszystkich diabłów...

– I wtedy zrabowali kasetę?

– Znaleźli ją pod łóżkiem. Wściekli, że nie chciałem powiedzieć, gdzie schowałem klucz do niej, zaczęli pastwić się nade mną. Nie wyszedłbym z ich łap żywy, gdyby nie nadbiegli strażnicy... Spłoszeni Paluchowie

porwali kasetę i rzucili się do ucieczki... Gorąco było, prawda,

komendancie Wiesiu?

– Ale zagrodziliśmy im drogę – powiedział Wiesio z ochrony. – Jak

zobaczyli, że odwrót mają odcięty, zabarykadowali się w starej

remizie... razem z pompą strażacką i rozpylaczem przeciw mszycom.

– I co?

– I nic. Siedzą tam do tej pory. Prowadzimy z nimi pertraktacje. Pan

kierownik Nowaczek prosił, żeby nie zawiadamiać policji... litościwy

człowiek. Próbuje załatwić z Paluchami na własną rękę, ale trudno

się z nimi rozmawia, bo strzykają przez szpary jakimś trującym

świństwem, tam był skład środków owadobójczych, więc mają tego pod

dostatkiem. Ale głowa do góry, weźmiemy ich głodem.

– Myśli pan?

– Jak ich głód ściśnie, poddadzą się. Najdalej do północy.

– A jak nie?

– Wtedy wykurzymy ich.

– Gazem?

– Mamy różne sposoby, ale z waszymi pieniędzmi też może być

różnie.

– Jak to, różnie? – zaniepokoił się.

– Mogli już rozwalić kasetę i wypchać sobie nimi kieszenie.

– Naszymi pieniędzmi?

– Właśnie. Najgorzej będzie, jak ich zaczniemy wykurzać. Mogą je

wtedy połknąć na złość wam... żebyście ich nie dostali, mogą je spalić!

Ale nie bójcie się...

– Jak mamy się nie bać – jęknąłem – najpierw pan nas straszy, a potem mówi, żeby się nie bać.

– Spokojnie, przyjacielu, znam nie od dziś pana Marudę-Nowaczka i kiedy mówi, że u niego jak w banku, to możecie mu wierzyć. Nawet jeśli Paluchom uda się połknąć wasze pieniądze czy w inny sposób je zniszczyć, wy nic nie straciecie. Pan Nowaczek drugi raz podejmie dla was z konta w banku, to co się wam z umowy należy, albo da wam czek na tę kwotę i sami podejmiecie.

– Czy jeszcze dzisiaj będzie można podjąć? – zapytałem niespokojnie.

– No, nie. Dzisiaj już bank nieczynny, ale jutro z rana.

– To mnie nie urzęda – przerwałem zdenerwowany. – Ja muszę mieć te pieniądze koniecznie jeszcze dzisiaj, bo inaczej... – urwałem nagle, bo gdzieś niedaleko rozległ się głośny huk. Rzuciliśmy się do drzwi. W oknie starej remizy błysnął na moment pomarańczowy płomień i zgasł, natomiast ze wszystkich dziur, szpar i szczelin rudery zaczęły wypelzać wstęgi gęstego dymu. Wijąc się jak węże łączyły się z sobą i spowijały remizę białą zasłoną.

– Uciekają! – krzyknął Jacek.

Wyteżyłem wzrok. Istotnie, w tym niezwykłym dymie zamajaczyły jakieś ludzkie sylwetki. Wytrzeszczyłem oczy i z przykrością stwierdziłem, że jako pierwsi dali dyla strażnicy pilnujący osaczonych. W chwilę później za nimi kaszląc, zatykając usta i osłaniając oczy zaczęli wymykać się Paluchowie. Naliczyłem ich siedmiu. Żaden nie

niósł kasety. No tak, pewnie już udało im się wyluskać z niej pieniądze i napchać sobie kieszenie. Łzy stanęły mi w oczach. Uciekają na moich oczach unosząc melony, których właśnie teraz tak bardzo potrzebowałem. Mam patrzeć na to bezczynnie? Poderwałem się zrozpaczony.

– Stój, co chcesz zrobić, wariacie! – Jacek próbował mnie przytrzymać, lecz wyrwałem mu się gwałtownie i rzuciłem się w stronę Paluchów.

Chciałem przeciąć im drogę, ale oni byli szybcy. Z trudem zdołałem dopaść tylko ostatniego z nich, strzyżonego na szczotkę dryblasza.

Desperacko złapałem go za rękaw, ale mój chwyt okazał się mało skuteczny. Typ szarpnął się z całej siły. Usłyszałem trzask prutego materiału, i poczułem przeszywający ból w nodze. Łobuz kopnął mnie w kolano na pożegnanie i pobiegł dalej, a ja zostałem jak głupi z jego rękawem w ręce, w dodatku niezdolny do pościgu.

Zawróciłem i utykając ruszyłem przygnębiony w stronę bungalowu Marudy. Z remizy wyszedł Jacek z komendantem Wiesiem. Komendant trzymał w ręku osmaloną, pustą i pozbawioną wieka kasety.

– Przykro mi – powiedział na mój widok – pieniądze zniknęły.

Nawet, gdyby Paluchowie ich nie buchęli, zetlałyby w tej kasecie na popiół. Ale głowa do góry! Mam jeszcze nadzieję, że moje dzielne zuchy dopadną tych oprychów! Osobiście wkroczę do akcji – zapewnił – pokieruję nią optymalnie i efektywnie! – to mówiąc włożył beret mundurowy, zasalutował i oddalił się kuśtykając.

Lzy stanęły mi w oczach. Akurat! Już oni mi pomogą! Wciąż jeszcze miałem przed oczyma widok tych "dzielnych zuchów", jak dawali zdrowo drapaka spod remizy. Nie ma co liczyć na nich! Nie dorwę się dzisiaj do forsy. Mój plan finansowego ratowania ojca spalił na panewce!

W ponurym nastroju wróciliśmy do bungalowu Marudy. Zastaliśmy go w szampańskim, a raczej szkockim humorze... Ubyło ćwierć butelki whisky.

– Cóż to za miny?! – wysapał przyglądając się nam z drażniącym uśmiechem. – Jakieś niepowodzenie, widzę. Coś mi się zdaje, że wracacie z pustymi rękami i kieszeniami, co zresztą było do przewidzenia i inaczej być nie mogło – roześmiał się całą gębą wesołego kłowna.

Jego błazeński śmiech wydał nam się grubo niestosowny zważywszy na okoliczności. Zmierzyliśmy go surowym wzrokiem spode łba, ale on nie przestawał się śmiać. Wprost zanosił się od śmiechu.

– Inaczej być nie mogło – powtórzył rozbawiony – bo mam dla was przyjemną niespodziankę: w kasecie nie było żadnych pieniędzy, ani waszych ani innych...

Ostłupiliśmy.

– Nie było? – wykrztusiłem – a co było?

– Minipetarda i parę małych świec dymnych do robienia dymu. Ha, ha, dobre, co? Mój specjalny prezent dla złodziei. Wybuchająca kasetka.

Mam kolegę z wojska, który majstruje podobne zabawki. Umieszczam

taką kasetkę w widocznym miejscu, jak przynętę dla szczurów i robię złodziei w konia za jej pomocą. Pozwalam rozpowszechniać wieści, że wszystkie pieniądze trzymam w tym stalowym pudełku. Ha, ha, dobre, co? – pociągnął łyk ze szklanki i oblizał grube wargi. – W ten sposób jestem zabezpieczony. Złodziej łakomi się na kasetę i już nie szuka gdzie indziej. Z reguły naklejam także na wieko wydruk kasowy, na którym widnieją smakowite liczby dziewięć– i dziesięciocyfrowe sugerujące, iż w kasecie znajduje się grubsza gotówka, co wspaniale zaostrza apetyt amatorów cudzych pieniędzy. Ale biada temu, kto się na to nabierze. Przy pierwszej próbie otwarcia kasety, manipulując wytrychem przy zamku czy też wyłamując wieko, spowoduje on spektakularny wybuch! Właśnie widzieliśmy coś takiego niedawno. Z bliska wygląda to jeszcze groźniej: błysk, huk, wieko odskakuje, zapalają się świece dymne. Drażniący drogi oddechowe dym atakuje zaskoczonoego złodzieja. Nieszczęsny krztusi się, zatacza... wykonuje coś w rodzaju obłądnego tańca... Bardzo efektowne widowisko! Ale nikomu o tym ani słowa, nawet komendantowi Wiesiowi...

– Tak na pewno – przytaknąłem zniecierpliwiony – ale w takim razie, gdzie schował pan nasze pieniądze?

– Tutaj, mój chłopcze! – Maruda rozpiął koszulę i pokazał nam szeroki pas na brzuchu zaopatrzony w kieszenie, w których tkwiły banknoty.

Odetchnęliśmy z ulgą na ich widok.

– Niepotrzebnie najedliśmy się tyle strachu. Czemu od razu pan nam

nie powiedział – zapytał z wyrzutem Jacek.

– Nie mogłem. Dla waszego dobra. Ściągnął tu do roboty różny element. Nie mogę ufać nikomu, nawet tym ludziom, którzy tu podają się za moich przyjaciół. Nie byliście bezpieczni. Od początku śledziły was tu niewidzialne oczy, to niemal pewne, jak i to, że są tu tacy, co doskonale znają cel waszej wizyty u mnie i ostrzą sobie zęby na wasze melony!

– I dlatego urządził pan cały ten fajerwerk?

– Właśnie. Teraz wszyscy są przekonani, że wasze pieniądze zostały zrabowane przez Paluchów, ewentualnie spaliły się w kasecie, więc możecie spokojnie i bezpiecznie wywieźć stąd swoje melony.

– Sądzi pan?

– Jestem najzupelniej pewien, choć to niemała sumka.

– Wypłaci nam pan po sto milionów? – upewniałem się, bo wciąż jakoś nie mogłem uwierzyć w pomyślne zakończenie naszego lekkomyślnego interesu.

– Sto milionów? O nie! – Maruda potrząsnął głową i roześmiał się dziwnie.

– Nie?! – zdrętwieliśmy.

Maruda zastanowił się, a może tylko udawał.

– Dostaniecie... o dziesięć milionów więcej!

Ostłupieliśmy.

– Pan żartuje.

– Ale skądże! W świecie finansów praktykuje się takie rzeczy, to się

nazywa gratyfikacja.

– Graty... gratyfikacja? Ale za co?

– Za to, że was lubię.

Zatkało nas.

– My nie możemy – zaczerwieniłem się. – Tego nie było w umowie...

my... my nie możemy za nic... – uniosłem się honorem, choć Jacek trącił mnie w żebro, żebym był cicho.

– Ależ drogi chłopcze, to nie jest "za nic" – rzekł Maruda. – Zbyt wiele wam zawdzięczam, a poza tym... – chrząknął – no... w końcu musieliście się tu fatygować, i przeżyliście pięć dni niepewności, a teraz godzinę strachu. – Wydłubał z kieszeni w pasie dwie paczuszki pieniędzy i przeliczył szybko, miliony migają mu między palcami, coś tam dołożył, coś odjął. – Proszę, to dla was! – położył przed nami dwie całkiem imponujące sterty banknotów.

Chcieliśmy szybko schować je do kieszeni (żeby się przypadkiem nie rozmyślił) ale on powstrzymał nas niespodziewanie.

– Stop, kochani, najpierw przeliczcie.

– Wierzemy panu.

– Miło mi słyszeć, mimo to radzę przeliczyć, żeby potem nie było reklamacji.

– Ale...

– Nalegam – uciął Maruda.

Jacek zignorował to żądanie i ostentacyjnie jednym ruchem zgarnął swój pakiet melonów.

Maruda pokręcił głową.

– Bądź od niego mądrzejszy – powiedział do mnie.

Dla spokoju przeliczyłem (dość niedbale) moje banknoty i...

zaskoczony znieruchomiałem na moment. Brakowało jednego miliona.

Przeliczyłem drugi raz. Wyszło to samo!

Spojrzałem na Marudę z zakłopotaniem.

– Chyba dostałem o milion za mało.

– Nie chyba, ale na pewno – rzekł z szelmowskim uśmiechem

Maruda. – I ty też dostałeś za mało – zwrócił się do Jacka. – Chciałem

dać wam na zakończenie małą nauczkę. Pamiętajcie, na przyszłość,

świat roi się od oszustów, a omyłki nie oszczędzają nikogo, także ludzi

uczciwych. – To mówiąc dopłacił nam po milionie stawiając przed nami

dwa stosiki banknotów pięćdziesięciotysięcznych.

Tym razem przeliczyliśmy je skrupulatnie.

– Brawo, bez tromtadracji, panowie – rzekł zadowolony Maruda. –

Kochajmy się jak Bozia każe, ale liczymy się jak lichwiarze! A teraz

wypijmy za wasze zdrowie. Szkockiej już nie mam, ale to nic, bo łeb mi

pęka. Za dużo dzisiaj wrażeń, za dużo jak na jeden dzień – poprawił

bandaż na głowie. – Opróżnijmy więc tę niewinną butelczynę gorzkiego

toniku! – z jękiem sięgnął pod łóżko, gdzie stał szpaler chłodzących

napojów.

`pa

Rozdział XVIII

Nie tak chciałem zarobić pieniądze, czyli moje moralne skrupuły.

Jeśli nie zwariowałem, to goni mnie... kopka siana. Przygoda Jagi na Płaczącym Drzewie. Ojciec w niebezpieczeństwie. Rzucam na stół argument, którego zabrakło tacie. Interwencja pana Duriasza, czyli co najskuteczniej przemawia do złoczyńców. Załamanie nerwów Belfegora. Czy "wyrodna córka" uratuje orkiestrę.

Opuszczamy bungalow Marudy-Nowaczka jak pijani, choć jesteśmy tylko po małej butelce toniku. Wciąż nie możemy uwierzyć, że każdy z nas ma przy sobie sto dziesięć melonów. Powinniśmy skakać z radości, ale coś nam przeszkadza się cieszyć. Krótko mówiąc wsiadamy do naszego wozu z tak zwanymi mieszanymi uczuciami, o których często się czyta...

W bramie kuternoga Wiesio dobrotliwie pociesza nas, że należne nam pieniądze nie przepadną i zapewnia z życzliwym uśmiechem o wypłacalności pana Marudy, a na zakończenie rzuca jakby mimochodem pytanie, czy pan Maruda dał nam czek. Ślepka błyszczy mu ciekawością.

Pamiętając o śledzących nas oczach i uszach, kłamiemy na wszelki wypadek, że wypłatę odbierzemy jutro gotówką.

– Coś wam poradzę – mówi Wiesio nachylając się do nas, gdy już usadowiliśmy się w wozie. – Trzymajcie się Marudy. Macie szczęście, że go poznaliście. Zwiążcie się z nim! Zrobi z was ludzi! On ma łeb!

– Trzymać się Marudy? Dziękuję! Co ty na to? – pytam Jacka sto metrów za bramą.

– Warto rozważyć – mruczy. – Nie rozgryzłem tego człowieka.

Jedziemy w milczeniu. Dwa kilometry od Kątów Pilickich przykry widok, czerwony wózek ford fiesta ugrzązł w bajorze, jego dwa prawe koła utknęły w rowie. Niefortunny kierowca, wysoki chudzielec (typu chmielowa tyka) w grubych okularach i pomarańczowej czapeczce z napisem "Salutas Centium" błaga, byśmy go wyciągnęli. Jego

bełkotliwa

mowa

przerywana

czkawką

tudzież

zwolnione

nieskoordynowane ruchy uzasadniały podejrzenie, że facet jest na bańce.

– Panowie, tak mi wstyd – zajęczał. – Jestem wytrawnym kierowcą, jeszcze jako dziecko wygrałem kryterium kolarskie w Zielonce, dwa razy byłem czempionem wyścigu samochodowego na Miedzianej Górze! Zupełnie nie rozumiem, skąd nagle znalazłem się w rowie.

Uśmiechnęliśmy się z politowaniem. Sprawa przecież była jasna, zważywszy stan upojenia czempiona.

– Co tak patrzycie, panowie – ściągnął brwi. – Przepraszam, ale nie podoba mi się wasza mina. Nie widzę tu nic wesołego. To smutna sprawa, panowie, tak ugrzęznąć, tak się pogrążyć, tak stoczyć się w bagno! Czy panowie czegoś takiego zaznali? – zapłakał nagle jak dziecko, sięgnął niepewną ręką do wozu po elegancką butelkę i zaczął

cmokać z niej głośno jak zgłodniałe niemowlę.

Zrozumieliśmy, że człowieka tego gnębi nie tyle fizyczne utknięcie w błocie, ile moralny upadek i pogrążenie duchowe, którego widać doświadczył. Widok był przygnębiający. Choć nam spieszą, czujemy się w ludzkim obowiązku pomóc pogrążonemu na ile nas stać i wyciągamy go z rowu, acz nie bez trudu.

Dziękuję nam bełkotliwie i chce nas częstować z tej eleganckiej butelki, ale odmawiamy stanowczo.

– To tylko ziółka – typ demonstruje etykietę. Okazuje się, że to wermut cinzano.

– Wermut nie wermut – mówi Jacek – nie pijemy na drodze.

Typ raczy się więc sam, pociągając dwa łyki, po czym wyciąga z portfela wizytówkę i wręcza Jackowi.

– Gdybym mógł się kiedyś odwdzińczyć... – zatyka go czkawka – w razie czego dzwońcie do Kątów Pilickich i pytajcie o inżyniera Pycia.

Kąty Pilickie... tam mnie właśnie zesłali, w te zakazane błota.

Uszy bolą. Jego mowa to bełkot przyprawiany czkawką, mimo to słuchamy go z rosnącym zainteresowaniem.

– To pan nazywa się Pyć? Słyszeliśmy o panu.

On też jest zaciekawiony, skąd wzięliśmy się na tej zakazanej drodze.

Dowiedziawszy się, że wracamy z budowy, pyta co tam się stało, czy przypadkiem nie jakiś wypadek, bo widział grupę kaszlących ludzi uciekających w popłochu.

Opowiadamy o zamachu Palucha na życie kierownika Marudy,

który miał miejsce dziś w nocy i o późniejszych dramatycznych

wydarzeniach. Pyć jest wyraźnie podniecony i przerywa nam

niecierpliwie:

– Czy Maruda żyje?

– Nic mu nie będzie, ale poleży sobie.

Pyć z trudem kryje rozczarowanie.

– Cholerny szczęściarz – mamrocze. – Znów się draniowi udało.

Diabli go mają w opiece! Kto by pomyślał, jeszcze tydzień temu był

nędznym urzędniczyną pośledniej kategorii, grzebał się w głupich

papierkach w pionie kanalizacji i zbijał bąki, aż tu nagle załapał się do

tej piekielnej windy i jedzie... jedzie, skubaniec! Do góry!

– O jakiej windzie pan mówi?

– To winda sukcesu, chłopcze. Wystarczy raz do niej wskoczyć, a już

cię sama niesie. Sukces rodzi sukces! Maruda wskoczył do niej w

najlepszym momencie. Tak się układa w życiu, ja w dół, on w górę... ja

do błota, do gumiaków i fufajki, a on został ważnym akcjonariuszem

firmy i szykuje się na menedżera.

– Pan go dobrze zna?

– Jesteśmy kolegami od stu lat w tym samym biurze. – Pyć skrzywił

się jakby go zabolął ząb. – Mówią: beczkę zjesz soli, nim poznasz do

woli. Ja zjadłem z nim dwie, ale nie poznałem, co za bestia w nim

drzemie. Długo czaił się i czyhał na okazję, jak pająk... aż przyszła,

spadła niespodziewanie, wtedy złapał wiatr w żagle i popłynął koleś

Maruda... popłynął! Ni stąd ni zowąd został ekspertem inwestycji i

doradcą zarządu. Spekulacja gruntami go urządziła, to dzięki niej

wkupił się do sitwy panów menedżerów z Konsorcjum.

– Wkupił się?

– Drogę przetarły mu te spekulacyjne miliardy. Dobrze posmarował i pojechał. Mówią, że od początku działał w porozumieniu z paroma wysoko postawionymi personami w Konsorcjum i podzielił się z nimi zyskiem z tej spekulacji. I tak na pewno musiało być, skoro od razu znalazł się w układach, skąd nagle te stosunki i chody, skąd te plecy, co mu wyrosły?

– Wyrosły plecy?!

– Mówią, że w tych dniach mają go powołać na zastępcę dyrektora działu inwestycji. Dlaczego? Bo zna tajemnicę "taniego" zakupu gruntów nadpilickich. Korupcja związała ich z sobą. Przyjechał tu niby na urlop, w rzeczywistości kontrolować przebieg robót i testować kadrę pracowniczą! Jako człowiek zaufania numer jeden wysokiej dyrekcji!... Już w najwyższych układach! I pomyśleć, mogłem być na jego miejscu!

– Pan?

– Pięć dni temu miałem taką szansę, lecz spóźniłem się trzy minuty...

– Trzy minuty?!

– Tylko trzy!

– I to miało aż takie znaczenie?

– Wtedy wartość każdej sekundy mierzyła się na grube miliony! To ja miałem ubić z Paluchem interes, ale Maruda podkupił go, oferując mu nieco wyższą cenę i umówił się z nim na sporządzenie aktu u notariusza

o godzinę wcześniej niż ja się umówiłem. Niemniej wciąż miałem szansę, bo pod Białobrzegami Maruda miał jakąś kraksę i byłbym go łatwo wyprzedził, ale szczęśliwym dla niego przypadkiem jakaś litościwa menda go zabrała i podwiozła na czas do Grójca.

Jackowi krew napłynęła do twarzy, wymienił spojrzenie ze mną.

– Nie nazwałbym tego szczęśliwym przypadkiem – zauważył

lodowatym tonem. – To było mocne, rzekłbym pokerowe, zagranie

Marudy. To człowiek nie w ciemną bity, stać go na pomysł i szeroki gest!

Zaproponował tej mendzie, jak pan ładnie określił, ponętny interes,

zagwarantował sto milionów zysku w parę dni i tak ją psychologicznie

urobił, tak wszystko zachachmęcił, że jeszcze dopłaciła mu dziesięć

baniek na piękne oczy i słowo.

– A pan niby skąd wie?

– Od samego Marudy – rzekł nie zbity z pantalyku Jacek.

– Zaraz... – Pyć otrzeźwiał nagle i czkawka mu ustała. – To kim wy

właściwie jesteście? Co was łączy z Marudą? – przeszywał nas

podejrzliwym wzrokiem. – Czemu bierzecie mnie na spytki?

– My pana? Pan sam tu mamlał i bełkotał, aż trudno było znieść, bo

miał pan pijacką czkawkę. Chodź, Witek! – pociągnął mnie do wozu –

odjeżdżamy!

– Zaraz... panowie, stójcie! – zawołał zaskoczony Pyć, ale my już

ruszyliśmy gwałtownie opryskując go błotem.

Po kilkunastu sekundach karkołomnej jazdy wyboistą drogą Jacek

zwolnił.

– Co za głupi odruch – mruknął jakby zawstydzony. – Właściwie

czemu uciekliśmy?

– No właśnie?

– Zmyliłmy się, jakbyśmy mieli nieczyste sumienie.

– A nie mamy? – zapytałem.

– O czym ty znowu... do jasnego okocimia z pianką?!

– Mówię o naszym udziale w Marudowej spekulacji.

– Zawracasz głowę! Nie było żadnego udziału.

– Nie?

– Zapewniam cię, że nie, Lord.

– To fajowo – powiedziałem. – Cieszę się.

– Cieszysz się? – Jacek spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Cholernie się cieszę, Pampers!

– I tak trzeba. Żadnych skrupułów i dzielenia włosa na czworo.

Myślmy lepiej o melonach – poklepał się po kieszeniach wypchanych

banknotami. – Czy w najśmielszych marzeniach przypuszczałeś, że to

się tak bombowo skończy? Planowaliśmy na czysto pięć melonów na

rękę, a wracamy z setką z okładem. Ciesz się, chłopie!

– Już powiedziałem ci, że się cieszę – warknąłem.

– To czemu minę masz spiałą.

– Ja? Spiałą? Co ty!

– Przecież widzę. Jakieś robaczysko cię gryzie.

– No więc dobrze! – wybuchnąłem. – Jak koniecznie chcesz, to ci

powiem: nie tak chciałem zarobić te pieniądze. Nic na to nie poradzę, ale

mam uczucie, że brudzą mi kieszeń.

– No, no, ty, Lord w białych rękawiczkach. Już powiedziałem ci...

– Wiem, już powiedziałeś mi, ale fakt pozostaje faktem, nie

zaprzeczysz, że nasz kochany Maruda...

– Dobra, dobra... uspokój się i rozważ sobie na zimno. Oczywiście

jest rzeczą dyskusji, czy Maruda jest w porządku. W stosunku do nas

bez wątpienia tak, ale czy było uczciwe kupić od Palucha ziemię za niską

cenę (choć była to cena żądana przez niego samego), skoro się

wiedziato, że Konsorcjum gotowe było zapłacić cenę wielokrotnie

wyższą... I tu od razu – pytanie: czy Maruda miał obowiązek podzielić

się z Paluchem informacją o zamiarach inwestycyjnych Konsorcjum?

– Obowiązek? No, nie wiem, chyba nie. Prawo nie nakłada takiego

obowiązku.

– Właśnie! Przypomnijmy jeszcze, że Konsorcjum podobno nie było

jeszcze zdecydowane zakupić grunta w tym miejscu i brało także pod

uwagę kupno terenów koło Warki, a więc trzeba przyznać, że Maruda

ryzykował, w tej spekulacji był element hazardowej gry, Maruda w

pewnym sensie grał w pokera, a jego olbrzymi zysk można by

rozpatrywać jako premię za ryzyko.

– Nie byłbym taki pewien, bo z drugiej strony Pyć...

– Pyć jest uprzedzony do Marudy i wiadomo z jakiego powodu.

– Nie można jednak wykluczyć, że cała spekulacja odbyła się za

wiedzą paru grubych ryb z zarządu Konsorcjum i w porozumieniu z

nimi, co zupełnie inaczej naświetla całą sprawę...

– Zgoda, ale na Boga, Lord, te wszystkie wątpliwości odnoszą się do Marudy-Nowaczka, nie do nas! W umowie z nami nie ma nic o kupnie dla nas ziemi od Palucha, nie wchodziliśmy z Paluchem w żadne układy, nie skrzywdziliśmy go w żaden sposób. To Maruda...

– Ale skorzystaliśmy z jego spekulacji.

– Postuchaj, mówiąc między nami, jeśli już kogoś wyzyskaliśmy to właśnie Marudę. To był obrzydliwy wyzysk! Korzystając z jego przymusowej sytuacji wzięliśmy od niego dwieście melonów za przejazd dwudziestu paru kilometrów. To bez wątpienia rekordowa cena za pokonanie tej trasy!

– Sam taką zaproponował i jeszcze nalegał, żebyśmy wzięli – mruknąłem. – Tata stale powtarza: Volenti non fit iniuria, tak podobno mówili starożytni Rzymianie.

Na tej sentencji rozmowa utyka. Milkniemy obaj zaaferowani. Moje wątpliwości pozostają, a przy tym uderza mnie jedno, na co przedtem nie zwróciłem uwagi: prawo nie pokrywa się z moralnością. Można być w formalnej zgodzie z przepisami prawnymi, a jednak robić brzydkie rzeczy. Ilu nikczemnikom uchodzi bezkarnie ich nikczemność, bo nie sposób udowodnić, że naruszyli jakiś konkretny paragraf!

Moje prawno-etyczne rozważania przerywa gwałtowne szarpnięcie.

Lecę w przód i omal nie wybijam głową szyby. To Jacek zahamował znienacka, bo zauważył... Martę. Trzy rozbrykane krówska maści czarno-białej uparły się szukać przygód (i pewnie lepszej trawy) poza drucianym ogrodzeniem, Marta próbowała na przemian to prośbami to

długim kijem zawrócić je z tej eskapady.

– Pomogę jej – powiedział ochoczo Jacek i wyskoczył z wozu.

Widząc, że nici z dalszej jazdy, gramolę się i ja. Sam też chętnie włączyłbym się do tej pasterskiej akcji, ale spieszno mi na fermę, gdyż boję się o ojca. To już niedaleko stąd, a na skróty jeszcze bliżej. Biegnę więc sprintem co sił w nogach polną ścieżką, a potem drogą gruntową wzdłuż zarośniętego wikliną i wierzbami dość wysokiego w tym miejscu brzegu Pilicy, obok kopek pachnącego siana.

Gdy dobiegam do końca skoszonej łąki, przecieram nerwowo oczy, bo mam dziwne wrażenie, że ostatnia kopka poruszyła się na mój widok, ba... biegnie za mną i... przemawia do mnie, a co mnie jeszcze bardziej zdumiewa, mówi do mnie po imieniu!

– Witek, zatrzymaj się! Nie uciekaj! Stój!

Przystaję i wytrzeszczam oczy. Kopka też stanęła.

– No, co się tak gapisz? To ja, Agata!

– Ty? W kopce?

– Przecież widzisz. Czy starzy już przyjechali?

– Tak, wszyscy się denerwują, że zniknęłaś. Co się stało?!

– Głupia sprawa! Wpadłam do wody. Trzęśłam się z zimna, musiałam zrzucić z siebie mokrą odzież i okryć się sianem.

– Mówisz, że wpadłaś do rzeki? W jaki sposób?!

– Wpadłam, bo... bo spadłam!

– Ty?! Z czego niby?

– Z Płaczącego Drzewa.

– Do licha, co tam robiłaś?! Umówiliśmy się przecież, że będziesz czekać na fermie.

– Potem ci wytłumaczę, a teraz błagam, biegnij po jakieś ubranie, przecież nie mogę się tak pokazać. Najlepiej przynieś taką całą spakowaną torbę, jest w pokoju numer cztery, w tym małym na końcu sieni.

– Numer cztery, mówisz? Miałaś przecież numer trzy.

Jaga tłumaczy, że przenieśli ją dzisiaj do innego, mniejszego pokoju, bo tamten miało zająć dwu nowych gości. No i wyjaśnia się sprawa, czemu nie zastałem tam jej rzeczy.

Pędzę więc na fermę, porywam torbę i wracam do Jagi.

– Może ci pomóc – proponuję niewinnie usługi w przebraniu.

Jaga wali mnie po łbie torbą.

– Idź za kopki i nie patrz!

Chowa się w nadbrzeżne krzaki i wychodzi po chwili przebrana w różowy ciepły dres. Wracamy. Po drodze dowiaduję się, jaki przebieg miały sprawy. Otóż dziś rano w portierni wpadły jej w ręce wczorajsze gazety radomskie i kieleckie. Przeczytała tam o ostatnich porażkach rodzinnej kapeli Gędziolów. Prasa potraktowała ich występy bardzo surowo (i chyba niezupełnie sprawiedliwie), nie zostawiła na nich suchej nitki. Zespół poddano miazdzącej krytyce i co gorsza złośliwie ośmieszono. Tytuły w gazetach mówiły same za siebie: "Upadek znanej orkiestry", "Rodzinna kapela w rozsypce", "Niesnaski za kulisami, na estradzie kiksy", "Nowe atrakcje u Gędziola – wiolonczelistka mdleje na

scenie", "W Ostrowcu znów pusta kasa, czy to koniec Kleofasa?", "To nasza rada, biedne Gędzioly, miast dręczyć uszy idźcie do szkoły!", "Gędziol, czyli kakofonia za trzy grosze".

– Czytam oburzona, ze łzami w oczach – ciągnęła Jaga – wszyscy się jakby zmówili przeciw nim. To mi wyglądało na jakąś sterowaną nagonkę. Był to wstrząs dla mnie. Czulałam się winna! To wszystko się zdarzyło, gdy odeszłam z zespołu. Pomyślałam, że to ja sprowadziłam na rodzinę te klęski. Roztrzęsiona pobiegłam do kuchni, do kredensu i nalalam sobie pół szklanki nalewki wiśniowej...

– Co takiego?! Ty?! Wypiłaś pół szklanki wody? – osłupiałem z wrażenia.

– Może ciut więcej – wyznała. – Zrobiło mi się trochę dziwnie.

Wszystko widziałam ostro, w wyjaskrawionych barwach. Najpierw ogarnął mnie strach, że po tych niepowodzeniach ojciec gotów złamać umowę i wpakować mnie z powrotem do swojej orkiestry. Przyznam ci się zresztą, że od początku nie bardzo mu wierzyłam i podejrzewałam, że szykuje na mnie jakąś zasadzkę. A potem znów pomyślałam o klęskach zespołu i zaczęłam się zastanawiać, czy jednak moim obowiązkiem nie jest mimo wszystko wrócić do orkiestry i być z rodziną w tych ciężkich chwilach. Postanowiłam spokojnie przemyśleć sprawę na Płaczącym Drzewie. Zawsze tam chodziłam, kiedy chciałam być sama i tam mi się najlepiej myślało. Pobiegłam więc do Drzewa, wspięłam się po gałęziach na "bocianie gniazdo" i... Nie wiem, jak to się stało, ale nagle znalazłam się w wodzie... Chyba usnęłam na tym

drzewie. Czy to możliwe?

– Faktycznie, trudno uwierzyć – powiedziałem – ale byłaś zalana, a że lubisz się wspinać, więc wspięłaś się po pijaku, no i tak chyba musiało się skończyć.

– Tak mi wstyd! Najgorsze, że wciąż jestem w kropce. Poradź mi, co mam zrobić!

Wzruszyłem ramionami. Cóż ja jej mogłem poradzić? Jedyne co mi przychodzi do głowy, to ostrzec ją, by nie kierowała się emocjami.

– Najwłaściwszy – mówię – byłby jakiś rozsądny kompromis. W każdym razie o jednym pamiętaj! – biorę Jagę za rękę i patrzę jej w oczy. – Gdyby Belfegor znów cię przycisnął, możesz zawsze liczyć na nas. Załatwimy ci nową ucieczkę i, przysięgam, w bardziej komfortowych warunkach niż tamtą... w trumnie.

Śmiejemy się, potem ustalamy, że spotkamy się najdalej za godzinę w ogrodzie przy szklarniach, jak tylko załatwimy jakoś sprawę z naszymi ojcami. Rozstajemy się w sieni. Jaga idzie, jak mówi, przygotować się duchowo i fizycznie na spotkanie z rodziną, a w pierwszym rzędzie wysuszyć sobie i uczesać włosy oraz zrobić się na dobrze zadbane bóstwo, żeby wszystkie Gędzioly zobaczyły, jak świetnie służy jej samodzielne życie. Ja zaś podchodzę ostrożnie do drzwi naszego pokoju, bo słyszę jakieś głosy. Tato ma gości. To pewnie Zyga, Frankenstein, a na dodatek Wielowąs, bo jego opla widziałem na podwórzu.

Naciskam klamkę. Zamknięte na zasuwkę od wewnątrz. Stukam. Nie

otwierają. Stukam głośniej.

– Nie przeszkadzać! – słyszę ostry głos.

Nie podoba mi się to. Nasłuchuję. Słyszę zdenerwowany głos ojca:

– Chyba nie wątpicie, panowie, w moją dobrą wolę i najlepsze chęci.

Przez cztery godziny próbowałem połączyć się z moją kontrahentką.

Telefon nie odpowiadał. Musiała gdzieś wyjechać. Spróbuję zadzwonić

jeszcze dziś późnym wieczorem, ewentualnie jutro rano...

– Nie będziesz już próbował, Romuś – odezwał się piskliwy głos Zygi

– czas minął, a mówiąc szczerze ja i Franky nie wierzymy w istnienie tej

opatrznościowej kontrahentki. Podejrzewamy, że to wytwór twojej

wybujalej fantazji. Co nam teraz pozostaje? Skoro nie wyszedł wariant

A, trzeba załatwić sprawę wariantem B. To bardzo przykry i rzekłbym,

brzydki wariant, ale to jedyne wyjście. Nie oddałeś pieniędzy żywy, to

oddasz je jako uczciwy nieboszczyk, czyli trup!

– Co to za żarty niesmaczne, Zyga – słyszę głos taty.

– Żadne żarty, Romuś. Doszliśmy do wniosku, że łatwiej będzie

odebrać ten miliard długu z masy spadkowej po tobie. No, ale rzecz

jasna, musisz przedtem umrzeć.

– Co?!

– Nie bój się, nie będzie bolało.

– Chybaście oszaleli! Nie odważycie się! To wam nie ujdzie na sucho!

– Nikt nic nie zauważy... To dyskretny zabieg, nie będzie żadnych

śladów. Czy widzisz tę pastylkę? To będzie wyglądało na atak serca,

zwyczajny zawał, takie rzeczy spotykają często przepracowanych

*biznesmenów. To bardzo skuteczny nowy specyfik, niezmiernie
użyteczny w takich rozliczeniach jak nasze. Rozpuszczony w odrobinie
kawy działa dyskretnie, niezauważalnie i niezawodnie, Romuś!... O,
patrz, już gotowe! Teraz wypij grzecznie, to ci dobrze zrobi na nerwy –
roześmiali się wszyscy trzej – no, no, spokojnie, Romuś, nie szarp się,
nikt ci nie pomoże, na dworze czuwają Lamparty pana Wielowąsa.
Opór nic nie da, jak będziesz grymasił, Franky ściśnie ci nosek i
wlejemy ci kawkę przez lejek... Do roboty, Franky!
– Nie! Nie! Szubrawcy! – krzyczał ojciec.*

Tym razem był to głos naprawdę przerażonego człowieka.

*Zdrętwiałem. Tato był w śmiertelnym niebezpieczeństwie. To ludzie bez
skrupułów. Naprawdę chcą go zamordować czy tylko straszą? W
każdym razie tam za drzwiami dzieje się coś bardzo niedobrego.*

*Zacząłem łomotać pięściami do drzwi, szarpać klamkę. Ktoś odsunął
zasuwkę, drzwi uchylły się i wyjrzał z nich Wielowąs z papierosem w
zębach.*

– Spadaj, synu! – warknął. – Mamy konferencję, nie przeszkadzaj!

No, już cię nie ma! – odepchnął mnie brutalnie i zatrzasknął drzwi.

*Wybiegłem na podwórze. Uszy wciąż ranił zgiełk muzyczny. Tylko
paru grajków wałęsało się wokół autokaru, większość ćwiczyła
maniakalnie.*

– Mordują ojca! – krzyknąłem rozpaczliwie.

*Zdumiony spostrzegłem, że nikt nie zareagował. Nie słyszeli we
wrzawie instrumentów, czy też wzięli mnie za wariata? Natomiast z*

opła wysiadło dwu Lampartów Wielowąsa i ruszyli groźnie w moim kierunku.

Uciekłem w stronę obory. Krystek, najmłodszy brat Marty, czyścił tu strumieniem wody z węża stanowiska dla krów.

– Gdzie pan Duriasz? – zapytałem.

– Na łące.

– Leć zaraz po niego! Mordują mojego tatę.

Krystek, przerażony kropnął się z kopyta, a ja zakradłem się od strony warzywnika pod okno naszego pokoju. Musiała tam się rozegrać burzliwa scena. Usłyszałem brzęk szkła, gwałtowny kaszel i brudne przekleństwa. Zajrzałem do okna. Ojciec charcząc i kaszląc wypluwał z ust resztki kawy, Zyga i Frankenstein wycierali oblane spodnie.

– No i co zrobiłeś! – piszczał Zyga. – Nie myśl, że ci się upiecze. Zaraz cię poczęstujemy drugą pastylką. Nie chciałeś w kawie, to Franky ci wpakuje prosto do dzioba, on zna takie sposoby, że sam grzecznie otworzysz kłapaczkę.

– Zaraz, panowie – wykrztusił ojciec – po co te nerwy, po co ten gwałt?! Przecież możemy spokojnie dojść do porozumienia. Gotówki dzisiaj nie mam, ale mogę wam dać obligacje. Proszę bardzo – wyciągnął z wewnętrznych kieszeni marynarki dwa wielkie pliki papierów. – Tu jest obligacji na dziewięćset milionów. Zabrałem je z sobą na wypadek, gdyby nie udało się was zaspokoić z bieżących wpływów. Nie miałem zamiaru się tego pozbywać, to miała być żelazna rezerwa, ale skoro widzę, że normalne zasady kupieckie przestają

obowiązywać, a zaczynamy się kierować prawem dżungli, weźcie tę lokatę...

– To już lepiej – odezwał się Zyga i przeliczył obligacje.

– A gdzie reszta – zamruczał Frankenstein. – A gdzie procent od pożyczki? Miało być dwadzieścia od sta za każdy zaczęty kwartał!...

– Tak, Romuś – przytaknął Zyga – wyskrob jeszcze sto baniek, inaczej nie będzie interesu.

– Zrobiłem, co mogłem, chyba nie wątpicie w moją dobrą wolę.

Resztę dopłacę jutro – powiedział ojciec.

– Nic z tego, Romuś. Frankenstein bardzo liczył dzisiaj na gotówkę.

Żeni się, a to pociąga za sobą wydatki, no, no Romuś, na pewno masz jeszcze przy sobie jakieś zaskórniaki, wyskrob, stary!

– Naprawdę nie mam.

– No, to dostaniesz po kolanach! – mruknął Frankenstein.

Usłyszałem bolesny okrzyk taty.

– Widzisz? – pisał Zyga – zdenerwowałeś Frankiego. Nic już nie mogę dla ciebie zrobić, Romuś. To nieuczciwe, wziąłeś od nas pieniądze, obracałeś nimi, przez ten czas mogliśmy je korzystnie ulokować, zainwestować w jakiś lepszy interes, a ty zmarnowałeś wszystko. No cóż, skoro nie będzie rozwiązań finansowych, pozostaje nam załatwić przynajmniej sprawy moralne. Będziesz ukarany, Romuś, obawiam się, że Franky połamie ci kolanka.

– Tak, skończę z nim – powiedział Frankenstein. – Facet działa mi na wątrobę – zobaczyłem ze strachem, że ruszył w kierunku taty bawiąc się

stalową łaską.

– Zyga, powstrzymaj go! – ojciec zerwał się z krzesła i chciał dopaść do drzwi, ale uprzedził go Wielowąs tarasując przejście.

– Zaraz, zostawcie mojego przyjaciela na moment... – zapiszczał

Zyga – coś mi przyszło do głowy. Masz jeszcze jedną, ostatnią szansę wyjść z całą skórą z tego interesu, Romuś. Moment! – wyciągnął z teczki kilka egzemplarzy zadrukowanego formularza.

– Co to jest? – zapytał zaskoczony ojciec.

– Przygotowałem to na wszelki wypadek. Miałem z tą propozycją wystąpić dopiero w przyszłości, powiedzmy, niedalekiej przyszłości, ale wobec przykrew sytuacji, w jakiej się znalazłeś, sądzę, że możemy załatwić rzecz już teraz. Przeczytaj, Romuś, podpisz i przyłóż pieczęć!

– Co za pomysł, Zyga?! – wykrzyknął ojciec. – Chcesz, żebym zrzekł się wszystkich udziałów w mojej agencji na twoją rzecz?!

– W ten sposób spłacisz dług.

– Ależ moje udziały są warte sto razy więcej.

– Nie przesadzaj. Sam wiesz najlepiej, że znalazłeś się w dołku, nie możesz nawet płacić bieżących zobowiązań.

– Zdobędę forszę, ureguluję dług z procentem, tylko puśćcie mnie stąd...

– Mowy nie ma! Płacisz tu i teraz, albo odstępujesz udziały.

– Wiesz dobrze, łajdaku – wykrztusił ojciec – że nie mam tych brakujących pieniędzy i nie zdobędę ich siedząc tutaj!

– Nie zdobędziesz ich nigdzie. Jesteś skończony, Romuś. Wszyscy już

wiedzą i nikt nie da ci już złamanego grosza na twoje piękne oczy, nawet ta ropucha Trafek-Trońska, choć jej mydlileś oczy stosunkami z kurią! No cóż, Bozia poskąpiła ci talentu, biznes to nie twoja specjalność. Po co ci ten kołowrót, chłopie, nie na twoją to głowę, nie na twoje zdrowie. Podpisz ten świstek i wyjedziesz stąd czysty, bez kłopotów. Będziesz mógł sobie spokojnie leczyć nerwy w Nałęczowie albo w pięknej Szczawnicy. Przestań wreszcie kierować się majakami i postaraj się zrozumieć...

– Och, rozumiem doskonale, draniu – przerwał gwałtownie mój ojciec – wszystko było grą. Dług był tylko pretekstem. Od początku chodziło ci tylko o jedno, o przejęcie mojej firmy! Łakomy kąsek, prawda, taka dobrze rozwijająca się agencja z przyszłością, ale nic z tego, Zyga.

– Jak chcesz, Romuś, dałem ci szansę, wybieraj. Sprawa jest prosta, albo podpiszesz, albo cię stąd wyniosą bez władzy w nóżkach i już nigdy nie zatańczysz oberka!

– Nie podpisuj, tato! – krzyknąłem. – Nie daj się wykopać z firmy. Bądź twardy.

– Witek?! – zdumiał się tato. – Skąd się tu wziąłeś?

– Cholerny szczeniak! – zapiszczał Zyga. – Zagląda przez okno!

Gdzie twoje Lamparty, Wielowąs! Każ im załatwić szczyła, niech go przepędzą i dadzą mu dobrą nauzkę! A ty podpisuj – wrzasnął do taty – nie masz już co główkować, bo nic nie wyglówkujesz.

– Nic z tego, Zyga – powiedział ojciec i odłożył pisak. – Nie

wyrugujesz mnie z powodu głupich stu baniek.

– Głupich? – zdenerwował się Zyga. – Jeśli dla ciebie to głupie pieniądze, to je daj! Proszę bardzo! No, gdzie je masz? Jakoś nie widzę...

– To zaraz zobaczy je pan, panie Zyga – odpowiedziałem głośno i rzuciłem na stół plik banknotów.

Ojciec spojrzał osłupiały.

– Skąd to masz?

– Z interesów, w które nie wierzyłeś – odburknąłem i obróciłem się do ogłupiałego Zygi. – Tu jest całe sto melonów, niech pan przeliczy.

Zyga jakby wciąż nie dowierzając własnym oczom przeliczył pieniądze, potem zaczął oglądać je pod światło, czy nie fałszywe.

Tymczasem Frankenstein i Wielowąs już odzyskali kontenans.

– Nie bądź głupi, Zyga. Nie daj im się wykręcić sianem. Pieniądze tego smarkacza nie załatwią sprawy. Mucha musi odejść, firma musi być nasza!

Zrobiło mi się gorąco. Chyba jednak nie uświadomiłem sobie dostatecznie, z kim naprawdę mam do czynienia. Tym ludziom nie można ufać, ani wchodzić z nimi w układy. To pospolici przestępcy bez czci i wiary! Pasożyty świata finansów i biznesu, żerujący na obrzeżach szarej strefy...

– No, panie Mucha, to jak będzie? – Wielowąs uśmiechnął się krzywo. – Już pan chyba zrozumiał, że to nie przelewki. Franky – skinął na goryla – ty masz większą zdolność przekonywania, zajmij się panem Muchą.

– Ale największą mam ja! – rozległ się gruby bas.

Wszyscy znieruchomieli zaskoczeni. W drzwiach stanął pan Duriasz ze swoim wielkim naganem w ręce. Za nim – starszy syn Łukasz z myśliwską fuzją i mały Krystek z widłami.

– Co pan?! Co to ma znaczyć! Jak pan śmie... – wrzasnął Wielowąs. –

Wypraszam sobie takie traktowanie! Moi ludzie...

– Pana ludzie, zaskoczeni, byli grzeczni i nie stawiali oporu. Na wszelki wypadek mój syn zamknął ich w kurniku. Przepraszam, że tak wtargnąłem, ale usłyszałem krzyki i rwetes, myślałem, że znów napad bandycki. Ostatnio zrobiło się tu niespokojnie.

– Napad?! Skądże! – Zyga zaśmiał się piskliwie i nieco sztucznie – i dlatego pan z tym strasznym orężem?! No, wie pan, obraziłbym się śmiertelnie, na szczęście mam poczucie humoru.

– Rozliczaliśmy się tylko z panem Muchą – dodał Wielowąs.

– To znaczy pieniądze... się rozliczaliśmy – sprecyzował Zyga.

– Tak, tylko pieniądze.

– Może cokolwiek za głośno, tak to już jest w interesach, ale już wszystko w porządku.

– Czy naprawdę? – upewnił się pan Duriasz.

– W największym porządku – Zyga zgarnął szybko banknoty ze stołu.

– Zwróci pan rewers i napisze pokwitowanie – przypomniałem.

– Oczywiście – Zyga spełnił potulnie żądanie. – Na nas już czas.

Dziękujemy za gościnę! – Zostawił sto tysięcy tytułem zapłaty za pokój.

– Ja też żegnam – jęknął Wielowąs. – Zechce pan, panie Duriasz, wypuścić moich ludzi...

– Za jakiś czas – mruknął gospodarz. – Jak panowie na dobre znikną z horyzontu. A teraz proszę za mną, odprowadzę panów do ich pięknych wozów.

Tato przez długą chwilę stał wpatrzony w rewers i pokwitowanie, jakby wciąż nie mógł pojąć, co się naprawdę stało. A potem wolnym ruchem zapalił zapalną i przyłożył ogień do rewersu.

– Może jednak powiesz, skąd nagle wytrzasnąłeś tyle gotówki? – powiedział wpatrując się w płonący papierek.

– To jest dzień zwrotu długów i należności – odparłem – mnie też zwrócono należność.

– Jaką należność? Za co?

– Przepraszam, tato, już Jacek ci tłumaczył. Jeśli chcesz znać szczegóły, to opowiem ci potem, a teraz mam jeszcze na głowie sprawę z tą piekielną orkiestrą i pewną osobą w głębokiej rozterce życiowej.

Chyba słyszysz, co się wyrabia?

Z podwórza dochodziły podniesione głosy zmieszane z pojękiwaniem i pomrukiwaniem instrumentów. Wybiegłem z domu. Na dziedzińcu fermy kłębił się niespokojnie tłum muzyków.

Podszedłem do zapłakanej wiolonczelistki Klary, starszej siostry

Jagi.

– Co się stało?

– Tato pogniewał się na nas – otarła oczy. – Zamknął się w stodole.

Ta historia z Jagą dobiła go.

– Pan Kleofas... w stodole?

– Od paru dni jest w fatalnym stanie nerwów. Boimy się, że zrobi coś strasznego.

– Uspokój się... chyba wychodzi – powiedziałem wpatrując się we wrota stodoły, które rozwarły się nagle z przeraźliwym skrzypieniem.

Wyleciały przez nie najpierw cztery spłoszone kury, a za nimi ukazała się zwalista postać Kleofasa Gędziola. Wyglądał okropnie. Zmierzwiona czupryna pełna plew, rozpięty kołnierzyk, rozmamlana koszula, wymięty frak ze źdźbłami słomy i siana. W ręku wciąż trzymał paleczkę dyrygencką i uderzał nią w dłoń żałobnym rytmem.

– Przemyslałem wszystko, moi drodzy – oświadczył zachrypniętym, jakby nie swoim głosem. – Rozwiązuję zespół! Byłem ślepy i zadufany w rodzinne posłannictwo, w więzy krwi, a to już nie ten czas! Nie jestem Bachem. Jestem śmiesznym kapelmistrzem orkiestry, której nie chcą już słuchać! Ostatnie wypadki otworzyły mi oczy. Ale za późno to zrozumiałem, za późno. Dlatego straciłem moją córeczkę, moją wspaniałą dziewczynkę. Byłem niedobrym ojcem, tyranem dla rodziny. Nie chciałem znać prawdy, a prawda była taka, że wy wszyscy macie już dosyć takiego życia, że wychodzi wam bokiem, tylko wstydzicie się przyznać. Dość tego grania, dosyć wyjazdów i występów, dosyć udawania zgodnej muzykującej rodzinki, dość pozowania na cudowną gędziolowską dziatwę! Chcecie być zwykłą, normalną rodziną!... A ja zmuszałem was do popisów dla swojej własnej ambicji...

– Ależ tato, posłuchaj... Jak możesz mówić takie rzeczy? – chciała

przerwać mu Krysta, ale on rozpalał się coraz bardziej:

– Nie, nie! Koniec z tym! Zwracam wam wolność! Nie mogę, nie chcę dla mojej ambicji niszczyć wam życia! Nie mam prawa budować mojej pozycji i sławy kosztem waszego szczęścia! Wy macie inne zamięłowania, inne ambicje i cele. Zwalniam was od grania w zespole. Rozwiązuję umowy z telewizją, z radiem i filharmonią, ze wszystkimi innymi menedżerami. Rzućcie instrumenty! Każde z was dostanie czek na dziesięć milionów i cześć! Rozpuszczam was, moi mili! Idźcie z Bogiem!

– głos zaczął mu się łamać dramatycznie. – Urządzimy sobie pożegnalny piknik. Rozpalimy ognisko. Będziemy tańczyć wokół niego i rzucać nuty w płomienie! Instrumenty wystawimy na sprzedaż do komisju...

– Ja znam dobry komis – wyrwało mi się. – U pana Szyjki w Dłubkowie...

– Cicho, półgłupku – zgasił mnie Jacek, a wszyscy spojrzeli na mnie z niesmakiem.

Zapanowała ogólna konsternacja, a po chwili jak burza zerwały się zmieszane głosy protestu:

– Tato, co za pomysły!

– Nie myślisz chyba poważnie!

– Stryju, zlituj się!

– Wuju, przestań!

– Nie załamuj się!

– To tylko nerwy! Miałaś za dużo przejść.

– To z tych zmartwień i kłopotów!

– Po prostu za bardzo przejąłeś się Jagą, ale nie bój się!

– Nie zginie, da sobie radę!

– Wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz!

– Nie wiń naszej córki, Kleofasie. To wszystko moja wina – załkała

pani Gędziolowa – jak miała urodzić się Jaga, szedł w telewizji serial o cyrku i stale go oglądałam, podobały mi się akrobacje, zapatrzyłam się w skaczące kobiety!...

– Nie pleć głupstw, mamó – powiedziała zawstydzona Krysta. –

Wcale często się zdarza, że niespodziewanie dziecko zdradza talenty,

których dotąd nikt nie miał w rodzinie. Jaga chce iść swoją drogą, co

nie znaczy, że nie kocha ciebie i taty. Wszyscy was kochają... chcą być z wami!

– Tak jest – podchwyciły głosy – nikt nie chce odejść! Kochamy

muzykę! To nasze życie! Nie jesteśmy tu z musu! Dobrze nam razem!

Stary muzyk stał oszołomiony, dopiero po chwili dotarł do niego

sens słów. Chciał coś powiedzieć, poruszył bezgłośnie ustami,

wzruszenie zaczoowało mu gardło.

– Ale ona odeszła – wykrztusił wreszcie. – Coś przysło... to pierwszy

wyłom... nic już nie będzie tak, jak dawniej... – urwał nagle, bo rozległo

się trzaskanie drzwi i tupot kroków.

W drzwiach stanęła zadyszana Jaga.

– Cześć mamó, cześć tato, cześć rodzinko! Witajcie wszyscy –

zawołała – przepraszam za spóźnienie.

– Jaga, ty tutaj?

– Skąd tu się wzięłaś?

– Wróciłaś?

Wszyscy patrzyli na nią ze zdumieniem, jakby nie wierząc własnym oczom.

– Cóż to za pytania? – zmarszczyła brwi Jaga. – Nigdzie nie uciekałam! Wpadłam tylko na pocztę... – zęgala.

– Na pocztę?

– Przy okazji kupiłam parę gazet i przeczytałam o was... Zatkalo mnie z oburzenia. Co oni tam wypisują! Wyobraziłam sobie, jak to przeżywacie, jak ty musisz przeżywać, tato. Pomyślałam, że nie mogę w takiej chwili porzucić orkiestry. Jeszcze nie teraz!

– Więc ty... czy to znaczy, że ty... – Kleofasowi zabrakło słów.

– To znaczy, że zostaję z wami aż do końca wakacji! Och tato, drogi tato! – padła w otwarte ramiona ojca.

– Córeczko moja, dziecko moje – stary muzyk otarł oko.

Rozległy się huczne oklaski.

– Muzyka! – ktoś zawołał. – Niech żyje zespół. Wiwat Gędziol Team!

W odpowiedzi radosnym głosem odezwała się trąbka. Na ten sygnał wszyscy chwycili za instrumenty i zagrali triumfalny marsz z opery Verdiego "Aida".

`pa

Epilog

Święto pojednania. Oczekiwanie i niepewność. Pożegnanie pod szklarnią. Zakochani bywają zakłopotani. Pocałunek aż do zawrotu głowy. Ten zazdrośnik Pampers!! Co dalej z naszą spółką? "Mucha i Syn" na szyldzie, czyli kłopotliwa propozycja taty. Naprawdę liczy się tylko Jaga.

Zrobiło się ciepło, przyjaźnie i rodzinnie. Papa Gędziol urządził małą fetę z okazji powrotu marnotrawnej (?) córki, coś w rodzaju pikniku przy zaimprovizowanym bufecie. Wyciągnięto z czeluści mikrobusu cztery pojemniki z napojami i skrzynię wiktuałów. Szeroka gama butelczyn, duży wybór soków, soczków i koktajli, a także przeróżnej galanterii bufetowej oraz paleta pełna owoców południowych zrobiły duże wrażenie na Jacku, istocie, jak wiadomo, głęboko zmysłowej, o nader wyczulonym zmysle smaku. Jakoś nagle przestał się spieszyć i dał się namówić na degustację tych specjalów.

*Co do mnie, to może dziwne, ale tym razem absolutnie nie dopisywał mi apetyt. Nie miałem najmniejszej ochoty celebrować odzyskania niefortunnej fagocistki przez Gędziolów i miałem do Jagi żal, że skapitulowała tak szybko i łatwo, że tak potulnie dała się na nowo zawłaszczyć przez rodzinę. Poczulem się zbędny w tym rozbawionym towarzystwie i jak ponury borsuk zaszyłem się w gąszczu malinowych krzaków za szklarnią, między szpalerami młodych jabłoni. Ale nawet tu dobiegał
mnie
gwar*

rozbawionych

zawodników.

A

potem

niespodziewanie dołączyły do nich głosy poszczególnych instrumentów.

Zmieszane z tęsknym porykiwaniem krów i żalonym beczeniem owiec

tworzyły oryginalną dodekafoniczną symfonię. Widocznie co pilniejsi

członkowie zespołu korzystali z wolnego czasu, by sobie pobzykać,

potrąbić i porzępolić na świeżym powietrzu gwoli wprawy. I Jaga jest z

nimi. Tak, odróżniam wyraźnie ciemny głęboki ton fagotu... Znów

grzecznie ćwicz w orkiestrze, bunt minął, a ja potraktowałem

poważnie histeryczne wynurzenia nastolatki o tłamszeniu jej "zdolności

kinetycznych" i wydumane brednie o gehennie gędziolskiej podlotka!

Muzyko, wygrałaś na całej linii! Ogarnęło mnie przygnębienie,

uczucie chłodnej pustki. Zapatrzyłem się w długie wieczorne cienie

jabłoni, przeszedł mnie zimny dreszcz. Słońce przestało nagle grzać.

Podniosłem oczy, szukałem go na niebie... W głowie dziwnie mi się

zakręciło. Nie... to tylko srebrzyste stado gołębi wirowało uparcie w

górze.

Wtem usłyszałem nad sobą cichy głos:

– Witek?

Drgnąłem i zerwałem się na nogi.

– Jaga?!

– Co ty tu robisz?! Nie mogłam cię nigdzie znaleźć.

– Myślałem, że grasz – wybelkotałem zmieszany. – Wyraźnie

słyszałem fagot.

– To Krysta ćwiczy. Przykro mi, Witku, ale już wyjeżdżamy i przyszłam się pożegnać.

– Naprawdę wracasz do orkiestry?

– Tylko na dwa miesiące i na ulgowych warunkach. Omówiliśmy

wszystko z tatą. Krysta przejmie część moich obowiązków, będziemy

grały na zmianę... Mam duże zaległości w nauce z powodu tych

koncertów. Skoro po wakacjach chcę podjąć naukę w "usportowionej"

szkole w Warszawie, muszę wszystko nadrobić.

Zapadło przykre milczenie. Oboje czuliśmy zakłopotanie.

– Czy jeszcze w ogóle się zobaczymy? – zapytałem sceptycznie.

– A chciałbyś? – podniosła wzrok.

Nasze oczy spotkały się. Czy można w jednym spojrzeniu zawrzeć to,

czego nie umiałem (a może tylko wstydzilem się) przekazać w słowach?

Cały ocean moich pragnień i tęsknot?

– Nie patrz tak – powiedziała zmieszana.

– Jak?

– Nikt jeszcze tak na mnie nie patrzył. Nie wiem, co robić.

– Po prostu pocałuj mnie.

– Po prostu?

– Tak... na pożegnanie.

Musnęła lekko moje usta, a potem niespodziewanie przywarła do

nich mocno, aż dech zaparło mi w piersiach.

– Boże, co ja robię! – nagle ogarnęło ją przerażenie, chciała uciec z

ustami, ale nie pozwoliłem jej. Srebrzyste stado gołębi już przestało kołować nad nami, wieczorne słońce już dotknęło dachu szklarni, rozpalając na niej gorące czerwone luny, a my trwaliśmy w pocałunku, drugim, trzecim i czwartym, coraz dłuższym do zupełnego zawrotu głowy, do obłądu, aż dookoła zrobiło się kolorowo, i poczułem się jak w bajecznym ogrodzie pełnym upojnych róż i fiołków.

– Nie... nie wiedziałam – zadyszała Jaga – że to może być aż tak...

– Ja też nie, chociaż przez te dni stale o tobie myślałem.

– O mnie?

– Bez przerwy.

Zaczerwieniła się.

– Czy to znaczy, że ty...

– Tak. Bardzo i od samego początku. Jeszcze w Kielcach...

– Czy naprawdę?

– Tak, Jago, naprawdę. Kocham cię!

Zarzuciła mi ręce na szyję. Wtuliłem twarz w jej włosy.

– Nie odjeżdżaj – szepnąłem błagalnie. – Nie teraz! – szalone myśli

zaczęły mi chodzić po głowie. – Ucieknijmy! Urwijmy się choć na

tydzień, choć na trzy dni! Wytłumaczysz jakoś tacie.

– Nie mogę mu tego zrobić – potrząsnęła zdecydowanie głową. – W

środe

mamy

Lublin!

Dwa

ważne

koncerty.

Po

ostatnich

niepowodzeniach potrzebny orkiestrze jest sukces. Tato bardzo liczy na

Lublin, nie mogę zawieść...

– Przecież Krysta może cię zastąpić.

– Nie rozumiesz, o co chodzi. Zespół przeżywa kryzys, tata jest w

okropnym stanie, wiesz, co on przeszedł, rodzina jest dla niego

wszystkim... W trudnych chwilach musimy być razem. Nie martw się,

będziemy w kontakcie. Napiszę do ciebie i ty napiszesz. Może uda się

nam wyrwać na krótkie wakacje i spędzić razem choć tydzień.

– Mówisz serio? – aż mnie zatkało.

– Ależ tak – podała mi swój adres i telefon, a ja podałem jej swój.

– Jaga! Szukają cię!

Drgnęliśmy. Pod szklarnią stał Jacek i patrzył na nas. Jak długo nas

tak obserwował? Jaga rzuciła się w stronę podwórza, skąd dobiegały

niecierpliwe nawoływania i ostre dźwięki klaksonu. Chciałem jej

towarzyszyć, ale Jacek przytrzymał mnie mocno:

– Stój! Dokąd to?

– Chciałem pożegnać się.

– Już to zrobiłeś w sposób aż nadto widowiskowy.

Do diabła, pomyślałem zawstydzony, widział wszystko!

– Może wytłumaczysz się, co to znaczy – podniósł głos. – W co ty się

bawisz, koleś?

– W nic się nie bawię! – odburknąłem.

–

Naprawdę

zmartwiłeś

mnie,

Lord,

rozczarowałeś.

Nie

spodziewałem się po tobie czegoś takiego! Zapomniałeś o naszej

umowie? Miałeś stanowić czynnik racjonalny w naszej spółce,

zachować chłód emocjonalny...

– Przestań, w końcu nic się nie stało!

– Rób tak dalej, a nie będziesz miał ani forsy ani dziewczyny!

Zdenerwował mnie.

– Kaznodzieja się znalazł! – zasapałem. – Kto jak kto, ale ty masz

najmniejsze prawo prawić mi morały. Czy mam ci przypomnieć to twoje

hoże dziewczę z motelu, Pamelę?

– Zostaw Pamelę w spokoju. Ja otrząsnąłem się w porę i panuję nad

sytuacją.

– Czyżby? – udałem szyderczy śmiech.

– Patrzę teraz na wszystko chłodnym okiem. Na ciebie też. I co

widzę? Widzę zadurzonego głuptasa, który wziął na serio kaprysy

postrzelonej dżierlatki...

– Zabraniam ci tak mówić o Jadze! – warknąłem.

– Żal mi cię. Widzę, że dla ciebie to poważna sprawa.

– Jak najbardziej.

– No, właśnie. Dlatego muszę cię ratować, stary.

– Ja wcale nie chcę...

– Nie masz tu nic do gadania. Zamknij się i słuchaj!

– Co takiego?!

– Póki jesteśmy w spółce, liczy się tylko spółka.

Przyjrzałem mu się uważnie. Skąd ta niezwykła zaciekłość, to zapamiętanie, tak w gruncie rzeczy niepodobne do niego? I nagle wszystko zrobiło się jasne...

– Człowieku, Pampers! Już wiem, co ci się stało. Ty jesteś po prostu zazdrosny! – wykrzyknąłem z rozbawieniem.

– Ja?! – zgłupiał w pierwszej chwili.

– Tak, tak, to właśnie to! Zastanawiałem się, co cię tak ukąsiło... a to zazdrość! Ha! Ha! Jesteś zazdrosny. To tak się rzeczy mają! Robisz mi nieprzytomne wymówki właściwie bez powodu, tylko dlatego, żeś podpatrzył moje czule pożegnanie z Jagą, wściekasz się o całe dwie oktawy za wysoko! Bo wyszło mi lepiej niż tobie z Pamelą. Ożyły urazy, otworzyła się rana.

Milczał. Wiedziałem, że wciąż jest wściekły, przygryzł wargi, chrząknął i sapał, ale nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Chyba przetrawiał wszystko w duchu.

– Więc myślisz, że to tylko zazdrość? – mruknął w końcu.

*– To tylko zazdrość – odparłem. – O Jagę! Boisz się, że stracisz
wspólnika?*

– No więc dobrze... – wyznał – jestem zazdrosny. Lubię cię, Lord.

*Tyle przeżyliśmy razem. Ty też chyba nie żałujesz naszej wspólnej
wyprawy. Nie wszystko wyszło, ale nie masz do mnie żalu, co, Lord?*

– Jasne, że nie!

*– Myślałem, że powtórzymy wkrótce naszą handlową przygodę. Tym
razem z porządnym kapitałem, z grubą paką melonów, to byłby wielki
biznes, ale ty, widzę, masz inne plany...*

– Zapomniałeś, że... ja nie mam już moich melonów...

– Ale przecież twój stary...

– Nie wiem, czy w ogóle mi odda.

*– To nic, na początek wystarczy moich. Grunt, żebyś był ze mną. No
jak, Wituś? Graba?*

– Graba.

– I będziesz dalej ze mną w spółce?

– To jest całkiem możliwe – powiedziałem oględnie. –

Porozmawiamy o tym, jak wyjaśni się sprawa taty.

– Porozmawiajmy teraz!

*– Teraz lepiej się zmywaj – powiedziałem – bo mój stary właśnie tu
idzie. On cię nie lubi.*

– Jacek przygryzł wargi i czmychnął.

*Patrzyłem z niepokojem na tatę, który zbliżał się do mnie z poważną
miną, co raczej nie wróżyło nic dobrego.*

– Nie bój się, po co ta wystraszona mina – powiedział. – Nie mam zamiaru dociekać, skąd wytrzasnąłeś tak ogromną sumę, ale ciekaw jestem, co z nią chcesz zrobić, kiedy spłacę ci dług. Masz jakiś plan? Chyba nie myślisz roztrwonić takiego kapitału na same przyjemności?

– Chciałem kupić sobie tyżworolki – mruknąłem.

– A co z resztą?

– Nie wiem... nie pomyślałem jeszcze.

– Mam dla ciebie propozycję. Poważną propozycję – zaakcentował tata. – Wejdź do mojej spółki.

Zatkało mnie.

– Chcesz żebym został u... udziałowcem w Agencji.

– Właśnie. Co ty na to?

– No, nie wiem – stropiłem się. – Musiałbym... musiałbym przedtem...

– Co musiałbyś?

– Zbadać twój stan finansowy, zajrzeć do księgowości... i czy nie grozi ci upadłość... A może w ogóle już rządzi tam masą... to znaczy chciałem powiedzieć masą upadłościową ktoś inny... taki pan, co nazywa się syndyk.

– Co ty Witek? – ojciec zdumiał się nieprzyjemnie. – Nie ufasz rodzonemu ojcu? Chcesz kontrolować mnie?! No wiesz, nie spodziewałem się, ty, mój własny syn... takie rzeczy...

– No, właśnie – rzekłem rozżalony – dla ciebie zawsze będę tylko synem... a nie współnikiem. Czy tu można mówić o prawdziwej spółce?

Tato zmieszal się.

– No, no, Robaczku, nie gniewaj się!

– Nie mów do mnie "robaczku"! – warknąłem.

– Dobrze – tato westchnął. – Naprawdę nie chciałem cię urazić, ale widzisz, dla mnie to też nowa i niezwykła sytuacja, muszę do niej przywyknąć, muszę się z nią oswoić. A wracając do mojej propozycji, to... to ładnie, że masz takie... takie... hm, profesjonalne, trzeźwe podejście do rzeczy. To mnie nawet cieszy. Oczywiście, zapoznam cię z aktualnym stanem Agencji i będę cię traktował jak prawdziwego dorosłego współnika, a gdybym się jeszcze kiedyś zapomniał, bądź dla mnie wyrozumiały, to spadło na mnie tak nagle, Robaczku...

– Tato, obiecałeś!

– Przepraszam.

– Ty się już chyba nie poprawisz!

– Ależ tak – zapewnił tato – to głupie przyzwyczajenie, tak szybko urosłeś, tak wydorostałeś synu, ale odzwyczaję się, zobaczysz, tylko potrzebuję trochę czasu – miał minę skarconego uczniaka. Głupio mi się zrobiło.

– Przestań! – mruknąłem.

– To będzie wspaniała spółka – zapalał się mój szalony tato – zamówimy nowe blankiety firmowe z nadrukiem "Roman Mucha i Syn", zmienimy szyld! Jak ładnie to będzie brzmieć "Roman Mucha i Syn". Taka rodzinna ciągłość w interesie budzi zaufanie klientów... No więc jak? Robimy spółkę?

– Jeszcze... jeszcze nie wiem, tato – wymamrotałem zakłopotany. –

Tyle rzeczy ostatnio się zdarzyło, tyle się napatrzyłem, tyle przeżyłem...

Najpierw muszę spokojnie przemyśleć wszystko... muszę wszystko rozważyć. I powiem ci od razu, jak jest naprawdę. Otóż naprawdę, to w tej chwili nie myślę o pieniądzach. Myślę o czymś ważniejszym... jedna sprawa zaprzęta mnie całkowicie...

– Egzaminy?! – tato spojrział na mnie zakoczony.

– Właśnie! – przytaknąłem równie skwapliwie jak nieszczerze i uśmiechnąłem się sam do siebie, bo w rzeczywistości myślami byłem daleko, przy cudownej, niezwyklej, zapierającej dech, olśniewającej, jedynej,

najwspanialszej

na

świecie

superdziewczynie,

mojej

szarookiej Jadze!